



Zdrada
na
trzy
głosy
Tess Stimson



1

Nicholas

Rozwód to trudna materia. Zwłaszcza wówczas, jeśli wolno mi wyrazić tę opinię, gdy klientka stwierdza stanowczo, że wszyscy mężczyźni to sukinsyny, a człowiekowi pozostaje wiercić się na krześle, czując, że jego penis najchętniej schowałby się w mysią dziurę, gdyby tylko mógł.

- Nie wszyscy, pani Stephenson - odważam się powiedzieć.

Klientka ignoruje mój życzliwy uśmiech i omiata obojętnym spojrzeniem wyłożoną dębowymi panelami kancelarię. Szare oczy na moment zatrzymują się na zdjęciu mojej żony w srebrnej ramce, wspartym o oprawną w skórę książkę interesantów; współczucie dla mojej połowicy, jakie odmalowuje się na jej twarzy, plasuje mnie jednoznacznie pośród tych nieszczęśników, których rodzice wylądowali w łóżku, nie zadbawszy uprzednio o załatwienie w stosownym urzędzie paru drobnych formalności. Ponieważ właśnie w ramach ugody uzyskałem dla niej przyjemną siedmiocyfrową sumę od eksmałzonka, ta totalna pogarda dla przedstawicieli mojej płci wydaje mi się cokolwiek niesprawiedliwa.

Wstaje, więc podnoszę się i ja, poprawiając jedwabny krawat. Wyciąga wiotką rękę w rękawie z różowego tweedu; mam wrażenie, że dotykam wilgotnej ryby.

- Może ma pan rację, panie Lyon - mówi oschle. - Może tylko ci, za których wychodzę.

Otocza ją ostra, przenikliwa woń: jakieś syntetyczne kocie siuski. O wiele za mocny makijaż; nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek

mógł pocałować te uszminkowane na czerwono wargi. Jakby człowiek poszedł z taką kobietą do łóżka, rano cała pościel nadawałaby się tylko do prania, a na poduszce widniałaby jej twarz, odcisnięta jak na całunie turyńskim.

Nogi ma jednak niezłe. Szczupłe, zgrabne łydki, kształtne kostki. Ale chuda jak patyk, no i piersi jak u chłopca.

Uśmiechając się z urzędową grzecznością, odprowadzam ją do drzwi. Staram się nie osądzać klientów pod względem etycznym; to nic nie daje, rozprasza tylko uwagę. Prawo rozwodowe nie pozostawia miejsca na sentymenty i emocje, człowiek i tak ma tego aż nadto ze strony interesantów. Moja żona, jako że jest kobietą, pozwala sobie, rzecz jasna, być innego zdania. Ja uważam, że jestem po prostu obiektywny, Malinche jednak twierdzi, że ta moja „brutalna prawda”, jak ujmuję tę kwestię, to tak jakby oceniać cerę kobiety wyłącznie w ostrym świetle dnia, a nie w łagodnej poświacie płonącego na kominku ognia. Nie do końca rozumiem, o co jej chodzi.

Klientka zatrzymuje się nagle w drzwiach, tak że o mało na nią nie wpadam. Schyla głowę niby w modlitwie; równo przycięta blond czupryna opada, odsłaniając pokryte delikatnym meshkiem kręgi.

Kobiecy kark... Tak bezbronny, tak nierozumnie erotyczny.

- Myślałam... miałam nadzieję - mówi i głos jej się załamuje - że on się jeszcze rozmyśli.

Zatyka mnie. Bynajmniej nie wygląda mi na kobietę bluszcz. Wciąż jeszcze bliżej czterdziestki niż pięćdziesiątki, zdążyła stać się posiadaczką rentownej trójki zamożnych eksmałżonków, co - choćby się człowiek nie wiem jak starał być obiektywny - nieuchronnie prowadzi do pewnych wniosków. Powiedzmy wprost: wszystkiego bym się po niej spodziewał, tylko nie tego, że chodzi jej o miłość.

Szczupłe ramiona kobiety zaczynają się trząść. O Chryste... W takich sprawach jestem beznadziejny. Stoję z opuszczonymi niezręcznie rękami. Objąć ją? To byłoby w najwyższym stopniu nieestosowne, ale jeśli, Boże uchovej, zacznie w głos lamentować?

Nagle podnosi głowę i rozprostowuje barki, całkiem jak moja najstarsza córka Sophie pierwszego dnia w szkole. Nie mówiąc ani słowa więcej, przechodzi przez otwartą przestrzeń sekretariatu i znika w holu. Oddycham z ulgą. Dziękuję Bogu... O co tu, na litość boską, chodzi?

Już, już mam zamknąć drzwi, kiedy moja sekretarka Emma macha ręką.
- Dzwoni żona, panie Lyon. Mówi, że przykro jej, że przeszkadza, ale czy może zamienić z panem szybciutko parę słów?

- Oczywiście...

Waham się przez moment, stojąc w drzwiach. Coś jest inaczej... ale...

- Obcięłam włosy, panie Lyon - wyjaśnia cierpliwie Emma. - W czasie przerwy na lunch wpadłam do fryzjera.

Szkoda. Wolałam ją w długich.

Siadam z powrotem przy biurku i podnosząc słuchawkę, rzucam okiem na zdjęcie Małinche, które wzbudziło takie współczucie mojej klientki. Zrobił je - trochę to irytujące - Kit, a nie ja, na Boże Narodzenie, parę lat temu. Małinche ogląda się na nim z uśmiechem przez ramię, nachylając się, aby wyjąć z pieca indyka. Za każdym razem, gdy na nie patrzę, czuję radosne uderzenie serca. Głupie to, wiem, ale po upływie dziesięciu lat wciąż wzrusza mnie, gdy ktoś mówi: twoja żona. To, że udało mi się zdobyć serce tak niezwyklej i pięknej kobiety, przekracza moją zdolność pojmowania. Mogę być tylko bezgranicznie wdzięczny losowi, że tak się stało.

- Tort czekoladowo-pomarańczowy z wanilią i skórką z pomarańczy i cytryny czy brzoskwińowa szachownica w czekoladowej polewie? - pyta szybko Mal, nie czekając, aż się odezwę.

Z napięcia w jej głosie łatwo odgadnąć, że przyciska słuchawkę uchem do ramienia i nawet podczas rozmowy uciera w misce coś, co sprawia, że cieknie mi ślinka.

- Czy wolno mi zadać pytanie...

- O Jezu, Nicholas, nie bądź taki nadęty - przerywa żywo Mal. - Nie jesteś w sądzie. Twój urodzinowy tort, rzecz jasna. Niespodzianka. Metheny upiera się, żebyśmy go upiekły, zanim wrócisz.

Uśmiecham się na myśl o najmłodszej córeczce. Oboje, i ona, i ja, obchodzimy urodziny tego samego dnia, oboje mamy nienaturalnie długie palce u nóg i oboje przepadamy za lodami pistacjowymi. Liczyłem, że będę mógł z nią dzielić o wiele więcej, ale USG nie pozostawiło żadnych wątpliwości: mój wymarzony chłopiec, z którym miałem chodzić na krykieta i na ryby, okazał się kolejną spódniczką. Na pociechę dostałem pozwolenie, żeby nazwać ją na cześć mojego idola, gitarzysty jazzowego Pata Metheny'ego.

- Daj mi ją do telefonu. Zapytam, co woli.

- Nie wygłupiaj się.
- To ty powiedziałaś, że się upiera.
- Jak wiesz, różnie się można upierać.

Jej miódopłynny głos zyskuje trudne do pomylenia pościelowe brzmienie. W wyobraźni błyska mi obraz karmelowych ud, jedwabnych pończoch i koronki w odcieniu kawy. W spodniach nagły alarm. Co za wiedźma z tej mojej żony... Dobrze wie, jak na mnie działa, sądząc po śmiechu, który zastępuje teraz wabiący ton.

- Tak czy owak - podejmuje milutkim głosem - nie możesz z nią o tym rozmawiać, bo nie będzie niespodzianki.

- Ja ci zrobię niespodziankę...
- Czy to aby na pewno będzie niespodzianka?
- Ktoś tu jest strasznie pewny siebie - mówię. - Skąd wiesz, że nie mam na myśli nowej stawki podatku od nieruchomości?
- A skąd wiesz, że ja też?
- A masz?
- Ja mam na myśli tort. No, rusz głową, zanim będę musiała wsadzić w torcik Metheny dwie świece, a nie jedną.
- Czy ja też będę miał świece?
- Tak, ale nie czterdzieści trzy, bo tort się roztopi.
- Co to za brutalność... Ty też będziesz kiedyś miała czterdzieści trzy lata, pamiętaj.

- Dopiero za sześć lat. Do rzeczy, Nicholas.

- Tort czekoladowo-pomarańczowy, rzecz jasna. Czy można prosić dodatkowo o wiórki z gorzkiej czekolady na wierzchu?

- Można. Metheny, zabierz, proszę, nóżkę z tatusiowej miski. Dzięki, kochanie. A jak tam sprawa pięknej pani Stephenson?

- Sześć zer - raportuję.
- Prawie dwa razy tyle co przy poprzednim rozwodzie. Rewelacja. Aż się sama zaczynam zastanawiać, czy by się nie rozwieść.

Słyszę, jak moja żona oblizuje palce, i ptak skacze mi w górę tak, że niemal widać go nad blatem biurka.

- Gdybym uważał, że wyciągniesz z tego sześć zer, kochanie, sam bym ci napisał pozew - mówię głośno, a w duchu wydaję ciężki jęk, usiłując doprowadzić do ładu swoje nieszczęsne narządy. - Niestety, nie potrafię wycisnąć krwi z kamienia.

- O rany, to mi coś przypomina: Ginger dzwonił dziś rano z warsztatu w sprawie volva. Powiedział, że tym razem udało mu się jeszcze przymocować to coś, ale że to już końcówka. Może to chodziło o koło? - Jej głos to oddala się, to przybliża, w miarę jak krząta się po kuchni. - Tak czy owak, raczej nie uda mu się dopieścić go tak, żeby zaliczyło ten cholerny styczniowy przegląd z wynikiem pozytywnym. Tak że nie ma rady, muszę zebrać się do kupy i dokończyć tę nową książkę, wziąć resztę zaliczki...

- Kochanie - przerywam, trochę poirytowany - chyba stać mnie na to, żeby kupić żonie nowy samochód, skoro go potrzebuje. Czasem zdajesz się zapominać, że jestem teraz pełnoprawnym partnerem w firmie. Naprawdę nie musisz się już mordować i pisać książek kucharskich, tak jak kiedyś...

- Ale ja lubię pisać książki kucharskie - mówi z niezmaconym spokojem Mal. - O Boże, nie rób tego, Metheny! Biedny królik... Przepraszam cię, Nicholas, muszę kończyć. Do zobaczenia na stacji. Godzina jak zwykle?

Tłumię westchnienie irytacji.

- Na litość boską, Malinche, przecież dziś wieczorem jest pożegnalne przyjęcie Williama! Tylko mi nie mów, że zapomniałaś! Masz zdążyć na ten o piątej dwadzieścia osiem z Salisbury do Waterloo, pamiętasz?

- No to zdążę - rzuca lekko Mal. - Nie, nie zapomniałam, tylko na moment wyleciało mi z głowy. Poczekaј chwilkę...

W słuchawce rozlegają się dziwne, stłumione odgłosy uderzeń, a potem niepowstrzymany, zaraźliwy chichot Metheny.

Życie lubi płać niespodzianki. Kiedy dowiedzieliśmy się z Mal, że po raz trzeci jest w ciąży, byłem przerażony. Sophie i Evie miały wtedy osiem i pięć lat i osiągnęły właśnie stadium, w którym zaczynały przypominać istoty ludzkie, zdolne do zachowywania się w sposób cywilizowany; mam na myśli takie czynności, jak na przykład jazda na nartach czy wychodzenie z nami do restauracji i siedzenie podczas posiłku na krześle, a nie pełzanie przez cały czas pod stołem. A teraz znowu mieliśmy się cofnąć w ponurą otchłań bezsennych nocy i zafajdanych pieluch... Pocięsała mnie tylko myśl, że może to będzie syn, następca tronu. Kiedy i ta pociecha się rozwiązała, popadłem w rozpacz. A tymczasem to ostatnie rodzicielstwo okazało się najsłodsze. Metheny zawładnęła bez reszty

moim twardym sercem prawnika; dzierży je niepodzielnie w pulchnych, przypominających rozgwiadzy rączkach.

Słychać plaskanie stopek po zniszczonych płytkach kuchennej podłogi, a potem pisk, kiedy Mal bierze małą na ręce i podnosi słuchawkę.

- Naprawdę muszę kończyć, Nicholas - mówi, lekko zdyszana.
- Pamiętałaś, żeby zamówić kogoś do dzieci?
- Yhm. Kit był tak miły, że zgodził się zostać.

Nie mam absolutnie nic przeciwko tym, którzy wybierają alternatywny sposób życia. To jasne, że liczy się osoba, a nie jej seksualność. Nie rozumiem tylko, dlaczego na siłę wciska się to człowiekowi do gardła. Ja nie obnoszę się wszem wobec ze swoją heteroseksualnością, chociaż jest niewątpliwa i oczywista. Po prostu nie pojmuję, dlaczego niektórzy przedstawiciele tak zwanej społeczności gejowskiej - przykre, że całkiem przyzwoite słowo „gay” zostało tak niecznie zapanektowane - muszą stałe ucierać innym nosa swoim wyborem łóżkowego partnera. Mimo wszystko.

Już dawno temu, decydując się na małżeństwo z Malinche, przyjąłem do wiadomości, że biorę ją z całym dobrodziejstwem inwentarza, którego niezbyt istotnym, ale dość rzucającym się w oczy elementem jest Kit Westbrook. *Praemonitus praemunitus...* Zawczasu ostrzeżony - na czas uzbrojony. A poza tym nie jestem z tych, co dyktują żonie, z kim ma się przyjaźnić, a z kim nie. Jej przyjaźń to jej sprawa, nawet jeśli trochę niesmaczna. No i, bądź co bądź, Kit nie stanowi - i nigdy nie stanowił - zagrożenia dla naszego związku.

Poznaliśmy się, wszyscy troje, dwanaście lat temu na Covent Garden. Zabrałem rodziców do opery - na *Cyganerię*, o ile mnie pamięć nie myli - żeby uczcić siedemdziesiąte urodziny ojca. Po spektaklu wsadziłem ich do taksówki, a sam ruszyłem niespiesznym krokiem przez plac w kierunku stacji metra. Wynajmowałem wtedy mieszkanie w Earls Court; pamiętam, jak przelotnie pomyślałem, że miło by było, gdyby w domu ktoś na mnie czekał.

Mimo późnej pory plac wciąż pysznił się swą zwykłą kolekcją ulicznych sztukmistrzów. Właśnie osłaniałem się przed dość natrętnym młodzieńcem o twarzy grubo pomalowanej czarną i białą farbą, który pchał mi pod nos kapelusz na datki, kiedy zauważyłem, że jadący tuż obok monocyklista traci kontrolę nad pojazdem. Szybko stało się jasne, że nie

jest to element przedstawienia; przez chwilę patrzyłem zafascynowany, jak kiwa się w tył i w przód niczym człowiek-metronom, wreszcie się ocknałem. I ledwie zdążyłem złapać wpół i odsunąć z drogi jakąś młodą kobietę, runął w tłum.

W ostatniej chwili zdołał jednak zapanować nad pojazdem. Pode-rwał go i choć nieco drżący, popedałował elegancko przed siebie, kła-niając się publice.

Zdałem sobie sprawę, że ściskam młodą damę trochę za mocno. Nie było to chyba właściwe. Puściłem ją, nieco zakłopotany.

- Przepraszam. Nie miałem zamiaru...

- Ależ niech pan nie przeprasza! Gdyby nie pan, zmiażdżyłby mnie na amen. Musi pan mieć szybki refleks czy coś... w ogóle nie zauważy-łam, że nadjeżdża.

Była zaskakująco ładna. Kręcone ciemne włosy w odcieniu melasy, błyszczące cynamonowe oczy, gładka lśniąca cera - i najszczerzy, naj-bardziej zaraźliwy uśmiech, jaki w życiu widziałem. Na oko dwadzieścia jeden-dwadzieścia dwa lata, drobna i niewysoka; ze swoim metr dzie-więćdziesiąt mogłem być od niej nawet o trzydzieści centymetrów wyż-szy, a w talii spokojnie objąłbym ją dłońmi. Nieduże, delikatne kobiety zawsze były dla mnie niezwykle atrakcyjne; budzą we mnie mężczyznę - myśliwego i zbieracza.

Zauważyłem, że dwa górne guziki jej koszuli dziadunia odpięły się w zamęcie, ukazując niedużą, lekko opaloną wypukłość biustu obcią-gniętą białą angielską koronką. Poczuję pulsowanie w kroczu; wacek ożył. Szybko odwróciłem oczy.

Dziewczyna wspięła się na palce i uściśniła mnie za ramię. Burza obrazów owładnęła moją wyobraźnią: zanurzam palce w tych wspania-łych włosach... smukłe uda obejmują moje biodra... moje usta na tych złotych piersiach...

- O Boże, rozdarł pan sobie płaszcz! - zawołała, badając szew na ramieniu. - To wszystko przeze mnie, lazałam jak nieprzytomna, myśla-łam o włoskich orzechach, trzeba oczywiście stosować je z umiarem, nie każdy przecież lubi orzechy, no i teraz masz...

Nie mam pojęcia, jaką bzdurę wystękałem w odpowiedzi.

- Malinche Sandal - powiedziała i wyciągnęła dłoń.

Odwzajemniłem jej szybki, chłodny uścisk.

- Nicholas Lyon. - Zakaszlałem, usiłując nie wyobrazić sobie, jak jej dłonie zaciskają się na... - Co za niezwykle imię - zdołałem wykrztusić.

- Wiem - skrzywiła się. - Moja matka jest zwariowaną hipiską, uważa, że imię określa charakter człowieka i w ogóle całe jego życie... za dużo było kwasu w latach sześćdziesiątych, gdyby mnie ktoś pytał o zdanie, ale może ma rację, bo czy można sobie wyobrazić romantycznego bohatera, który nazywa się Cuthbert albo King Wayne? Po prostu nie i już... w każdym razie matka uznała, że przezorny zawsze ubezpieczony, i na wszelki wypadek zrobiła, co zrobiła. Moja starsza siostra ma na imię Cleopatra, więc raczej powinnam być zadowolona, że w moim przypadku skończyło się na Malinche, mogłam się przecież nazywać Boadicea!

Zerknęła w dół. Zdałem sobie sprawę, że wciąż trzymam ją za rękę. Zaczerwieniony i zakłopotany puściłem ją, modląc się w duchu, by nie zauważyła namiocika w moich spodniach.

- No jasne! Wiedziałem, że coś mi dzwoni... Malinche to indiańska dziewczyna, która nauczyła się hiszpańskiego i dzięki temu pomogła Cortezowi podbić w XVI wieku Meksyk. Szpiegowąła dla niego. Gdyby nie to, mogłoby mu się nie powieść... Przepraszam - uśmiechnąłem się nieśmiało. - Nie mam zamiaru ciągnąć tego wykładu. Zaliczyłem kurs historii na Oksfordzie, nic na to nie poradzę.

Malinche się roześmiała.

- Ależ nie, to cudowne! Jest pan pierwszą znaną mi osobą, która w ogóle coś o tym słyszała. Niesamowite! To musi być przeznaczenie. - Z dziecięcą ufnością wzięła mnie pod rękę i pokazała w uśmiechu zęby. Zesztywniałem z wrażenia, pożądanie paliło mnie żywym ogniem. - A jakbym tak zaprosiła pana na kolację? Własnoręcznie przyrządzoną. Żeby podziękować za ocalenie mi życia.

- Ale przecież...

- Proszę. Nic panu nie grozi, jestem doświadczoną kucharką.

- A skąd pani wie, czy panu nic nie grozi? Przecież nawet mnie pani nie zna.

- Wiem - powiedziała serio. - Widzę to po pańskich oczach. Wygląda pan na mężczyznę porządnego, uczciwego, a co najważniejsze - z poczuciem humoru.

- No cóż, to bardzo miło z pani strony, ale...

- Lubi pan włoskie orzechy?

- Tak, byle nie w sałatce, choć nie sądzę...
- To naprawdę przeznaczenie, żeśmy się dziś spotkali, no, sam pan widzi - tyle pan wie na temat mojego imienia, to musi być znak! I lubi pan włoskie orzechy... byle nie w sałatce, jasne, ale to się nie liczy, nikt, kto ma po kolei w głowie, nie jada włoskich orzechów w sałatce. To się nazywa mieć szczęście! No, niech pan powie, czy można zlekceważyć coś takiego?

- To nie jest kwestia...

- Chodzi o to - przechyliła głowę i spojrzała na mnie tymi swoimi wspaniałymi oczami w kolorze toffi - że usiłuję napisać książkę kucharską, a całej mojej rodzinie już bokiem wychodzi moje jedzenie, jeśli mogę się tak wyrazić. Nawet znajomi mówią, że oddaliby życie za zwykłą pizzę, tak że po prostu na gwałt potrzebuję królika doświadczalnego. Wygląda pan na sympatycznego, uczciwego mężczyznę, jestem pewna, że nie jest pan seryjnym mordercą czy kimś w tym rodzaju...

- Ted Bundy też był przystojny i czarujący, a zamordował co najmniej trzydzieści sześć kobiet - dobiegł z tyłu czyjś ironiczny głos.

Malinche odwróciła się gwałtownie, pociągając mnie za sobą. Wieczór rozwijał się w sposób nieoczekiwany i czułem, że zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Kit, no wreszcie! Gdzieś ty się podziewał?

Posępny młodzieniec, na oko dwudziestoparoletni, wpełchnął jej do ręki papierową torbę.

- Kupowałem te cholerne kryształki nastroju, na których ci zależało - odparł szorstko. - Kim jest ten nowy przystojniak?

- Nicholas Lyon - powiedziałem, nie zwracając uwagi na jego obraźliwy ton, i wyciągnąłem rękę.

Młodzieniec zignorował to. Ujął wolne ramię Malinche i łącząc nas w ten sposób w niezdarne *menage a trois* - nie wiedziałem tego wówczas, ale w ciągu lat, które nadeszły, istotnie okazało się, że ta metafora trafnie opisuje nasze wzajemne relacje - popatrzył na mnie ze złością.

- Ojejku, Kit, nie bądź wredny - zachnęła się Malinche. - Panie Lyon, to jest Kit Westbrook, mój najstarszy i chyba najbardziej zgryźliwy przyjaciel, jeden z tych królików doświadczalnych, o których panu mówiłam. Kit, pan Lyon właśnie uratował mnie przed zmiążdżeniem przez

monocyklistę i przy okazji rozdarł sobie taki elegancki płaszcz! Przystań być psem ogrodnika i pomóż mi go przekonać, żeby przyszedł do nas na kolację, bo się strasznie certuje.

- Proszę mi mówić Nicholas.

- Nie chciałem być nieuprzejmy - rzekł Kit, i najwyraźniej naprawdę nie chciał - ale przecież w ogóle nie znasz tego człowieka, Mal. Nie możesz ot tak, zapraszać na kolację kogoś z ulicy, nawet jeśli rzeczywiście uratował cię od śmierci na skutek zmiżdżenia przez cyrkowca.

- Pani przyjaciel ma rację - zgodziłem się niechętnie. - Istotnie, nie powinna pani ryzykować, chociaż naprawdę nie jestem seryjnym mordercą, aczkolwiek mam wrażenie, że wychodzę w ten sposób na nudziarza...

Malinche wybuchnęła perlistym śmiechem.

- No widzisz? - powiedziała, jakby to wszystko załatwiało. I koniec końców faktycznie załatwiło.

Od samego początku zdawałem sobie sprawę, że Kit nie jest dla mnie rywalem w zwykłym sensie tego słowa. Za wiele w nim było z Sebastiana Flyte'a, zbyt krzykliwe się ubierał - w surowych latach dziewięćdziesiątych nosił aksamitne fraki, koronkowe fontazie i znał chyba z tuzin odcieni beżu - aby mógł być kimś innym niż homoseksualistą. A jednak Mal naprawdę była jego najlepszą przyjaciółką i nawet teraz, gdy od ponad dziesięciu lat jesteśmy małżeństwem i mamy trójkę dzieci, Kit nie do końca akceptuje fakt, że mąż liczy się dla niej przede wszystkim. No i był jeszcze problem Trace'a Pitta, rzecz jasna.

Z Kitem nigdy nic nie jest tak, jak się na oko wydaje. Bądź co bądź, to aktor. Uczciwość nakazuje mi jednak przyznać, że jest dobrym ojcem chrzestnym, zawsze pamiętającym o urodzinach itepe. No i dziewczynki go uwielbiają. Ja mógłbym oczywiście bez niego żyć, ale mówi się trudno.

Sekretarka wprowadza do kancelarii klienta umówionego na czwartą. Szkoda, że nie przypomniałem Mal, żeby zabrała ze sobą prezent dla Williama. Jest tak zajęta, że spokojnie może go wsadzić do pieca, a zamiast prezentu zapakować urodzinowe ciasto. Wspominała mi, co kupiła, ale za Boga nie mogę sobie przypomnieć co. Z pewnością jednak coś odpowiedniego. Mal zawsze niezwykle trafnie doбира prezenty; ma do tego typowo kobiecy dryg. Wszystkie Gwiazdki i urodziny zawsze zo-

stawiam jej, nawet gdy chodzi o krewnych z mojej strony. Po prostu jest w tym ode mnie znacznie lepsza.

Zdecydowanie usuwając z głowy sprawy osobiste, biorę ze stosu czystą kartkę papieru i odkręcam wieczne pióro. Nie, Kit absolutnie nie jest w stanie zagrozić naszemu małżeństwu. Jesteśmy na to zbyt silni.

Pan Colman to mój nowy klient, toteż w miarę jak rozwija swą smutną opowieść o ciernistej drodze, która koniec końców doprowadziła go tu, do kancelarii adwokackiej, sporządzam szczegółowe odręczne notatki. Trafne ma nazwisko, z tymi włosami w kolorze musztardy i ziemistym odzieniem cery. Kiedy mamy już ustalone podstawowe fakty, wyjaśniam mu procedurę rozwodu, formularze, jakie trzeba wypełnić, dokumenty, jakie musi załączyć, czas trwania postępowania i jego koszty - tylko finansowe, bo nieuchronne koszty emocjonalne pozna wkrótce sam.

- Chcemy się rozstać po przyjacielsku - przerywa mi pogodnie. - Nie ma sensu wydawać krociowych sum na spór o telewizor plazmowy, co do tego oboje jesteśmy zgodni. Po prostu chcemy mieć to szybko z głowy, zakończyć wszystko sprawnie i gładko. Dla dobra dzieci.

Wstrzymuję się od uwagi, że tu nie chodzi o telewizor plazmowy; w tych sprawach nigdy nie chodzi o telewizor, przynajmniej na początku. Chodzi o to, że mąż po dwudziestu latach wymienia żonę na nowszy, bardziej efektywny model. Że żona zapomina o swoim łysiejącym mężu, aby przeżyć romans w stylu Shirley Valentine z przystojnym Włochem, instruktorem narciarskim. Chodzi o rozczarowanie, zranienie, zdradę. Ale ponieważ tych rzeczy nie da się policzyć, w końcu rzeczywiście dyskusja schodzi na poziom telewizora, łyżek i tego ohydneho purpurowego wazonu, który dostaliście w prezencie ślubnym od cioci-babci Berty i na który żadne z was nie może patrzeć, a mimo to będziecie teraz walczyć do upadłego, komu ma przapaść w udziale.

Niewielu spośród moich klientów - zahartowani w bojach małżeńscy weterani, powtórni klienci, którzy już kiedyś się rozwodzili - oświadcza po przyjściu, że chce się rozejść po przyjacielsku. No, ale gdyby potrafili rozwiązać swoje problemy po przyjacielsku, to przede wszystkim w ogóle by się nie znaleźli w mojej kancelarii.

- A przyczyna skargi rozwodowej? - pytam szybko.

To zawsze chwila prawdy. Po raz pierwszy pan Colman wygląda na nieco zbitego z tropu. Momentalnie wiem, że chodzi o inną kobietę. Łagodnie-

wyjaśniam mojemu klientowi, że jeśli żona nie wyrzuci go z domu bądź nie popełniła cudzołóstwa - z niemal komiczną urazą zaprzecza - i jeśli nie zgadza się na rozwód, wówczas zgodnie z prawem on musi czekać na odzyskanie wolności pięć lat, chyba że udowodni, iż zachowanie żony jest sprzeczne z rozsądkiem.

- Nie mogę czekać pięć lat! - wykrzykuje. - Dopiero cztery jestem żonaty z tą suką! To dopiero jest, psiakrew, zachowanie sprzeczne z rozsądkiem!

Droga od języka przyjaźni do soczystej angielszczyzny okazała się nawet krótsza niż zazwyczaj.

- Spokojnie, panie Colman. Z mojego doświadczenia wynika, że zwykle żona woli dać mężowi rozwód, jeśli są do tego wystarczające podstawy, niż stanąć wobec zarzutu zachowania sprzecznego z rozsądkiem. Czy są wystarczające podstawy? - Kiwa krótko głową. - W takim razie jestem pewien, że uda nam się przekonać żonę, aby się z panem rozwiodła.

- Nieźle mnie to będzie kosztowało, prawda? - mówi gorzko. - Obedrze mnie, psiakrew, do ostatniego złamanego odkurzacza.

- Ważniejszą kwestią wydaje mi się ocena, co jest dla pana najważniejsze, i na tym powinniśmy się skupić - mówię neutralnym tonem.

Jakieś pięćdziesiąt minut później z ulgą żegnam niepohamowanego w języku pana Colmana. Praca na przodku w ponurym wyrobisku małżeńskiej katastrofy zawsze jest niezbyt przyjemna, ale zazwyczaj czerpię pociechę z myśli, że dzięki mojemu pośrednictwu staje się możliwe do przełknięcia to, co dla większości klientów stanowi niezwykle gorzką pigułkę. Jednak o piątej po południu, w ponury listopadowy piątek, gdy ma się za sobą długi tydzień obcowania z różnymi paniami Stephenson i panami Colmanami, zaludniającymi ten padół łez, trudno się powstrzymać od uczucia rozpaczki na myśl o niezmiennym naturze międzyludzkich relacji.

Po blisko dwudziestu latach pracy w charakterze specjalisty od rozwodów nie jestem ani trochę bliższy uzmysłowienia sobie, jak to się dzieje, że ludzie popadają w tak boleśnie zagmatwaną sytuację. Wiem, że staroświecka moralność jest w tych czasach całkiem *passee*, ale jako dłuгоletni świadek cierpienia i destrukcji, jakie pociąga za sobą niewierność - a cudzołóstwo to niezmiennie skała, o którą rozbija się małżeń-

ski statek - mogę dość autorytatywnie stwierdzić, iż szybki numerek w schowku na szczotki po prostu się nie opłaca.

Mój pogląd jest oczywiście trochę skrzywiony ze względu na bliźny wyniesione z dzieciństwa. A jednak immanentna skłonność do wierności jest, jak sądzę, rzeczą dobrą.

Zdaję sobie naturalnie sprawę, jakie mam szczęście, że przytrafiło mi się tak udane małżeństwo. Mal głęboko wierzy, że zostaliśmy sobie zapisani wyrokiem losu - nazywa mnie swoim *bashert*. W jidysz oznacza to podobno kogoś, kto został nam przeznaczony (kiedy Mal miała siedemnaście lat, spędziła ze swoją przyjaciółką Żydówką lato w kibucu). Przykro mi, ale nie wierzę w te zabobony, tak samo jak nie wierzę w horoskopy czy w stawianie kart, niemniej zdaję sobie sprawę, jak rzadko się dziś zdarza dociągnąć do piątej rocznicy ślubu, a cóż dopiero do dziesiątej.

A, właśnie. Nasza przypada w okolicy świąt - jedenastego, zdaje się... a może dziewiętnastego? Muszę pamiętać, żeby w tym roku kupić Mal coś wyjątkowego. Zabije mnie, jeśli znowu zapomnę.

Kolejne dwie godziny czy coś koło tego zajmuję mi papierkowa robota. Kiedy stuka Emma, zdziwiony jestem, że to już prawie siódma.

- Panie Lyon, zaraz wychodzimy wszyscy do Milagro's na przyjęcie pana Fishera - mówi. - Idzie pan z nami czy chce pan poczekać na żonę?

- Chyba mówiła, że przyjedzie z dworca taksówką prosto do lokalu. A ja muszę jeszcze dzisiaj dokończyć tekst ugody. Idźcie, a ja dojdę, jak tylko będę gotów.

Emma kiwa głową i zamyka drzwi.

Wracam do pracy, rozkoszując się rzadko dostępnym luksusem - ciszą, jaka panuje w opustoszałej kancelarii. Nie dzwoni telefon, nie zagląda żaden z kolegów. W tej sytuacji sporządzenie szkicu ugody zabiera mi znacznie mniej czasu niż zwykle i po jakichś trzydziestu minutach robota jest skończona. Idealnie: lada moment do restauracji powinna dotrzeć Mal.

Poluzowuję pasek w spodniach i wstaję. Kiedy wkładam marynarkę i płaszcz przeciwdeszczowy, nachodzi mnie ironiczna refleksja, że małżeństwo z kucharską znakomitością nie pod każdym względem wychodzi człowiekowi na dobre. Obawiam się, że szacowny wyjściowy garnitur,

który zaliczył chyba z tuzin dorocznych przyjęć w Towarzystwie Prawników, nie zdoła już zbyt długo koegzystować z moją talią, której obwód prędko się powiększa.

Życząc sprzątacze dobrej nocy, przechodzę przez recepcję i w przebłyску rozważę decydując, że zamiast ściągać winę, zejść cztery piętra pieszo.

Kiedy wchodzę do holu, okazuje się, że przy windach kręci się najwyraźniej zdezorientowana młoda trzydziestoletnia kobieta w bładozielonym kostiumie. Na mój widok podskakuje, a ja, przekładając aktówkę do drugiej ręki, by popchnąć chromowany uchwyt drzwi, zatrzymuję się na chwilę.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Szukam kancelarii prawnej Fisher Raymond Lyon. Czy jestem na właściwym piętrze?

- Tak, ale kancelaria jest już zamknięta. Czy chce się pani umówić na wizytę?

- Nie, ja nie jestem klientką - mówi szybko. - Jestem adwokatem. Nazywam się Sara Kaplan... od poniedziałku mam tu pracować.

- Ach tak, oczywiście. - Puszczam skrzydło drzwi i wyciągam rękę. - Nicholas Lyon, jeden ze współników. Kiedy moi koledzy rozmawiali z panią w sprawie pracy, musiałem zatrzymać się nieco dłużej w Leeds w związku z pewnym trudnym przypadkiem... proszę mi wybaczyć. Wiem, że otrzymała pani z poprzedniej firmy doskonałe referencje.

- Dziękuję. Bardzo się cieszę, że będę tu pracować.

- Świetnie. Cóż, w takim razie witam w firmie. Do zobaczenia w poniedziałek.

Waham się, gdyż kobieta nie rusza się z miejsca.

- Chce pani zostawić jakieś papiery, panno Kaplan, czy może chodzi o coś innego?

Nerwowo sięga dłonią do kolczyka. Niepewność tego gestu sugeruje, że jest młodsza, niż z początku myślałam - jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat.

- Hm... chodzi o to, że pan Fisher zaprosił mnie na pożegnalne przyjęcie i pomyślałam, że może miło byłoby poznać wszystkich przed poniedziałkiem...

- Rozumiem. Tak, oczywiście. Ale to nie tu, tylko we włoskiej restauracji naprzeciwko. Właśnie tam idę.

Z grzeczności rezygnuję ze schodów i naciskam guzik windy. Stoimy nieco skrępowani naprzeciw siebie, starannie unikając kontaktu wzrokowego. Jest wysoka jak na kobietę, będzie miała z metr siedemdziesiąt osiem czy coś koło tego. Krótka blond czupryna w odcieniu truskawkowym, szerokie ramiona pływaczki, lekko ozłocona słońcem cera i bujne, krągłe kształty; po dzieciach będzie miała skłonność do tycia, jeśli nie będzie uważała. Dostyc duży nos, ale - o dziwo - nie psuje to jej aparycji, a nawet wręcz przeciwnie. Ta nieoczekiwana mocna krecha wzdłuż twarzy wprowadza pewien ferment w składną poprawną, olśniewającą urodę. Podejrzewam, że za tymi szarymi oczami kryje się ostry jak brzytwa umysł i twarda jak stal wola. Posągowa uroda, nie da się ukryć, ale absolutnie nie w moim typie.

Aczkolwiek, muszę przyznać, jest w niej jakaś zwierzęca zmysłowość. Sypialniana, łózkowa aura.

O Chryste... Ja mam na nią ochotę.

R S

2

Sara

To nie do wiary, że inteligentna, przytomna kobieta, pod każdym innym względem pozbierana i radząca sobie z życiem jak należy, może się zmienić w drżącą kupkę emocjonalnej galarety z powodu mężczyzny. I żeby to był jakiś seksowny gość w rodzaju Orlanda Blooma - dopóki nie otworzy ust, rzecz jasna, bo słodziak jest równie mało lotny, co śliczny - czy Matthew McCohaugheya. Nie, nasz Casanova ma pięćdziesiąt jeden lat, jest niski, łysy - i żonaty.

Czyli jest łajdakiem. Ale nowina...

- Obiecał mi, że się z nią rozejdzie - powtarza Amy. - Mówił, że jak tylko sprzedadzą dom, to jej o nas powie. Obiecał!

Nie ma sensu jej przypominać, że obiecał coś również żonie - miłość, wierność, uczciwość małżeńską i inne tego typu głupoty. Jeśli istnieje jakaś hierarchia obietnic, to myślę, że przysięga małżeńska złożona w obliczu Boga i tłumu parafian zajmuje nieco wyższą pozycję w porządku dziobania niż mętne łożkowe obietniczki, szeptane przez faceta w uszko panience, która mogłaby być jego córką.

- Ile lat z nim jesteś? - pytam.
- Cztery - mówi wyzywająco.
- A ile lat ci obiecuje, że rozejdzie się z żoną?
- Cztery - powtarza. Trochę mniej wyzywająco.

Prawda jest taka, że jej szef Terry Greenslade przysięgał jej jak dotąd, że rozejdzie się z żoną, gdy tylko - w tym wypadku kolejność nie ma znaczenia - a) dostanie awans b) żona dostanie awans c) najstarsze

dziecko pójdzie na studia d) najmłodsze dziecko skończy szkołę e) jego umierająca matka, katoliczka, odejdzie do nieba, czyścica czy gdzie tam jeszcze idą te kadzidlane dziwadła f) suka (złociasty labrador) wróci do zdrowia po... chwileczkę... a, histerektomii. Najnowsza wymówka ze sprzedażą domu to i tak postęp w stosunku do amputacji narządów rodnych psa, ale tak czy owak wszystko to jeden wielki kit. Rok za rokiem przychodzi i odchodzi, a on - nie do wiary - wciąż jest ze swoją żoną. No, coś takiego! Kto by się spodziewał?

Nie, nie mam jakichś szczególnych moralnych oporów, jeśli chodzi o romansowanie z żonatymi, aczkolwiek nie nie ma po co trąbić o tym całym świecie. W końcu to oni oszukują, a nie my. Krótki ognisty flirt z cudzym małżonkiem to niemal kobiecy rytuał przejścia; każda powinna coś takiego zaliczyć, zanim przekroczy trzydziestkę. No i żonaci fałszywi zwykle są fantastyczni w łóżku. Z wdzięczności.

Czym innym jest jednak krótka przygoda, a potem odesłanie faceta z powrotem do żony z podbudowaną samooceną, odnowioną garderobą i świeżym zapasem sił na kolejne dziesięć lat małżeńskiego szczęścia, urozmaiconego paroma nowymi łóżkowymi sztukami (doprawdy, żony powinny nam być wdzięczne) - a czym innym świadome rozwalenie przyzwoicie funkcjonującego związku.

Przykro mi, ale jeśli chodzi o małżeńskie złodziejstwo, w moim prywatnym kodeksie widnieje gigantyczny znak zakazu. Po prostu wszyscy źle na tym wychodzą. Nie mówiąc już o biednych dzieciakach, które będą mogły odtąd widywać tatusia w co drugą sobotę w McDonaldzie, to w dłuższej perspektywie nam samym się to nie opłaca. Babiarczowi nie przechodzi skłonność do skoków w bok; facet, który oszukał żonę, może oszukać i mnie, więc jak w ogóle będę mu mogła kiedykolwiek zaufać, nawet gdyby mi się udało wyrwać go nieszczęsnej małżonce z pazurów? I bądźmy realistami: szansa, że tak się stanie, jest bliska zeru, choć słyhać czasem gadki, jak to po latach cierpliwego czekania któraś tam kroczy wreszcie do ołtarza pod rękę z małżonkiem, lekko zużytym a beztróskim niegdyś lodołamaczem niewieścich serc. To mit. Jeśli mężczyzna nie zostawia żony w ciągu pierwszych trzech miesięcy znajomości, to nie zostawi jej nigdy.

Dolewam sobie wina do kieliszka. Diabli wezmą całą tę ciężką pracę na siłowni dziś rano... A, pieprzę. Należy mi się.

Amy dalej nadaje coś o Terrym, a ja wyciszam dźwięk i udając, że słucham, popatruję na siedzących przy barze facetów. A nuż trafi się coś ciekawego... Lubię tę dziewczynę, słowo daję, ale naprawdę mam już potąd tej gadki. Twarda, bezkompromisowa prawniczka od podatku korporacyjnego, w odniesieniu do mężczyzn kompletnie traci głowę. Myśli dupą.

Na dworze pada i choć dochodzi zaledwie piąta, jest już całkiem ciemno. Okropność. W barze czuć wilgotną wełną, ulicznym brudem, moką skórą i pieniędzmi. Jeśli mam być brutalnie szczerą, to właśnie jedna z przyczyn, dla których zostałam prawniczką: kasa. Aczkolwiek okazało się, że nie mam temperamentu Amy i nie potrafię jak ona pójść na całość i dla szmalu, niczym Faust diabłu, zaprzedać duszę prawu korporacyjnemu. Wstyd mi, bo to żadna cnota u prawnika, ale odkryłam, że tak naprawdę niczego nie potrafię robić wyłącznie dla pieniędzy. Właśnie dlatego przerzuciłam się na prawo rodzinne. Mniejsza kasa, to fakt - aczkolwiek wystarczająca, żebym mogła sobie pozwolić na pantofle od L.K. Bennett, kiedy zostanę współnikiem w firmie, co zdecydowanie zamierzam zrobić przed ukończeniem trzydziestki - ale przynajmniej nie umrę z nudów, zanim będę miała szansę ją wydać.

Okna zachodzą mgłą, bo w barze coraz więcej jest napalonych, nadzianych prawników, którzy przyszli odreagować całotygodniowy trud, i drapieżnych sekretarek z odpiętym guzikiem w charakterze przynęty. Dobrze, że zajęliśmy z Amy miejsca wcześniej; chociaż to jeden z tych lokali stylizowanych na retro z lat osiemdziesiątych, z wysokimi chromowanymi stolikami i klinowatymi taboretami, na których nawet tyłek w rozmiarze trzydziestki sześć wygląda na wielki (a mój, powiedzmy sobie szczerze, był większy już w chwili, gdy przyszedłam na świat), nie jest to więc taka znów wielka korzyść.

Za każdym razem gdy wchodzi nowi goście, do środka wdziera się kolejna fala chłodu i łoskot ulicznego ruchu, a w szparze uchylonych drzwi widać przez moment, jak czarne taksówki i czerwone autobusy - nawet prawnicy nie mogą sobie w tych czasach pozwolić na jazdę po Londynie własnym samochodem - mkną ze świstem przez kałuże, wzbijając fontanny wody. Każdemu, kto wchodzi do ciepłego wnętrza, temperatura skacze chyba o dziesięć stopni; pełno wokół czerwonych policzków i zwilgotniałych nosów.

Zaraz zaraz! Skoro mowa o wilgoci... Spójrzcie tylko, kto przyszedł! Ciemnoblonde czupryna, wysoki - przez co rozumiem, że ma więcej niż moje metr siedemdziesiąt osiem, inaczej nie jestem zainteresowana - i bary jak u niedźwiedzia. Starannie wystrzępione przez projektanta dżinsy. Klata i brzuch jak ze stali. Jasne, że nie prawnik. Reklama albo media. Głowę dam.

Zakładam nogę na nogę, tak że moja krótka jedwabna spódniczka w kolorze miętej zieleni podjeżdża w górę, odsłaniając skrawek kremowej koronki, i spuszcza nieco pantofel na superwysokiej szpilce, tak by dyndał mi na palcach. Poruszam ramionami okrytym ruchem, rzekomo aby rozluźnić mięśnie, w rzeczywistości by uwydatnić biust - od drzwi ciągnie chłodem, sterczy na nim co trzeba - i niedbale sięgam ręką do karku, aby zanurzyć ją uwodzicielsko we włosach. A tu pustka. Delikatne ukłucia ostrzyżonej na chłopaka czupryny przypominają mi, że ze względu na nową pracę - po raz pierwszy, odkąd pamiętam - obcięłam długie włosy, i szybko przenoszę dłoń do ucha, by niby bezwiednie pobawić się kolczykiem.

Liczę do dziesięciu, po czym zerkam na obiekt. Cholera. Jakaś blondynka, chuda niczym szkielet, przylepiła mi się do biodra i oślepiła krążące wokół sekretarki diamentem wielkości wielkanocnego jajka Cadbury's, który nosi na lewej ręce. Szlag by trafił... Ja to mam szczęście.

Nie, wcale mi się tak nie śpieszy, żeby złapać męża, zwłaszcza że dość łatwo o cudzego z odzysku. Ale może miło byłoby, gdyby raz wreszcie ktoś to człowiekowi zaproponował. Jak dotąd żaden chłopak nie przedstawił mi nawet rodzicom (aczkolwiek parę razy chowałam się przed rodzicami pod kołdrą). Obecnie wystarczyłoby mi - tak nisko już upadłam - gdybym miała chłopaka choć na tyle długo, żeby kot na niego nie prychnął, kiedy wchodzi do mojego mieszkania. Amy twierdzi - bez cienia ironii - że za mój chroniczny status singla mogę winić tylko siebie, gdyż Nie Traktuję Życia Serio, Nie Formułuję Celów i Nie Koncentruję Się Na Ich Realizacji. Ja osobiście winię raczej matkę, bo pozwoliła, żebym trzy razy była druhną na cudzym weselu.

- ...czasem mi się wydaje, że on nigdy nie odejdzie od żony.

Amy, dziewczyno, on nigdy nie odejdzie od żony.

- Naprawdę, Sara, czasem mi to daje do myślenia. Jak myślisz, czy on kiedykolwiek odejdzie od żony?

Był czas, kiedy kłamałam i mówiłam: tak, miłość wszystko zwycięży, to ważny krok, musisz dać mu trochę czasu, przecież nie chciałybyś faceta, który zostawia dzieci ot tak, bez chwili namysłu, prawda?

- Nie - mówię.

- Ale, Sara...

- Nie.

- Mam wrażenie, że wcale ci nie zależy, żebym była szczęśliwa — mówi nadąsana.

- Jasne, strzał w dziesiątkę - rzucam zgryźliwie. - To przecież szalenie zdrowo słuchać, jak nadajesz, kurna, *ad infinitum* o tym cholernym dupku. Pewnie, po co mam iść do klubu i załapać trochę luzu, skoro mogę spędzić piątkowy wieczór na słuchaniu, jak moja najlepsza przyjaciółka usiłuje usprawiedliwić jakiegoś żalostnego palanta, który nie może, jak większość żonatych facetów, poprzestać na unieszczęśliwieniu jednej kobiety, nie, on musi rozwalić życie dwóm, dopiero wtedy jest z siebie zadowolony.

- Nie musisz być taka wredna. - Amy pociąga nosem. - Zawsze jesteś taka cyniczna...

- Nie jestem cyniczna, tylko...

- Jesteś. Miłość nie wybiera. Zobaczysz - mówi, przybierając znajomy współczujący ton, jakiego zawsze, jak świat światem, używają Żyjący w Stadle (nawet popapranym) w stosunku do Singli - kiedy w końcu i tobie się to przydarzy, wtedy zrozumiesz. Nie zawsze ma się wpływ na to, kogo się kocha.

Za dużo sobie pozwala, naprawdę.

- Muszę iść do kibelka - mówię szorstko i ześlizguję się z klinowatego narzędzia tortur. - Rzuć okiem na moją torbę, dobra?

Obciążam spódniczkę - pięć centymetrów powyżej kolana: seksowna, ale dyskretnie - i dbam, by odpowiednio kusząco kołysać biodrami, gdy idę do toalety. Nigdy nie wiadomo, kto na człowieka akurat patrzy. Odkryłam pewien trick: trzeba myśleć w takim momencie o ostatniej sytuacji, kiedy ostro kochałaś się z facetem - choć, niestety, jeśli o mnie chodzi, jest to wspomnienie o wiele bardziej odległe, niż wypadła w przypadku wolnej, dysponującej przyzwoitą zdolnością kredytową dwudziestopięcioletniej istoty płci żeńskiej bez rzucających się natychmiast w oczy felerów w rodzaju owłosionych pach, ropiejących migdał-

ków czy welurowych spodni od dresu marki Juicy Couture. Co nie znaczy, żebym w tej chwili była w nastroju, jeśli mam być szczerą. Amy i jej żonaty amant mają w tym swój niewątpliwy udział. Dlaczego niektórym kobietom wciąż się wydaje, że lepszy jakikolwiek facet, nawet łysy debil, który należy do innej, niż żaden?

Mimo to stąпам z palców na piętę, z palców na piętę, tak by poruszać się jak modelka prezentująca erotyczną bieliznę.

Tak naprawdę wcale nie chce mi się siusiu, staram się tylko uniknąć wyroku od dwudziestu pięciu lat do ka-es za uduszenie najlepszej przyjaciółki. Podchodzę leniwie do wolno stojącej umywalki z zielonego szkła - strasznie się wypinają w tym barze - i rzucam okiem w lustro. Słowo daję, ten ponury fluoroscencyjny blask świetlówki jest bezlitosny dla dziewczyny. Każda krostka, jaką miałam na twarzy od dwunastego roku życia, straszy nagle niczym upiór spod warstwy makijażu, a worki pod oczami mam takie, że Roseanne Barr by się nie powstydziała.

Przeciągam dłonią po mojej nowej krótkiej fryzurze. Jasny gwint, gdzie się podziała ostra, przebojowa, seksowna profesjonalistka, jaką się czułam, gdy wychodziłam dziś rano od fryzjera? Deszcz i ciepła, przypominająca atmosferę pralni wilgoć najpierw metra, a potem baru sprawiły, że zaczynam niepokojąco przypominać lady Di z roku mniej więcej 1982, co raczej nie jest efektem, którego oczekiwałam. Szlag by trafił. Nie trzeba było słuchać Amy. Jak ja mogłam ulec jej namowom i obciąć włosy? Chyba mi padło na mózg, cholera. Spójrzmy prawdzie w oczy: gust ma raczej taki sobie.

Desperacko szarpnię kosmyk na nagim karku. Jak prędko rosną włosy? Pięć milimetrów na miesiąc? Zostanę starą panną, zanim znowu będę jakoś wyglądać. Żaden facet nie odważy się do mnie podejść, zmienię się w zaszuszoną bezpłciową prawniczkę od rozwodów, nigdy więcej nie będę się kochać, chyba że z jakąś lesbą o owłosionych łydkach, w ortopedycznych kłapkach Birkenstock. Może dołączę do afgańskich talibów? Jak się człowiek okręci w czarne prześcieradło, to przynajmniej nikt nie wie, że ma pryszcze albo włosy do niczego.

Ledwie zjawiam się z powrotem przy stoliku, Amy zaczyna znowu nadawać o Terry; chyba w ogóle nie zauważyła, że wychodziłam. Boże, jeśli będę kiedyś miała chłopaka, co wydaje się mało prawdopodobne,

proszę, lepiej niech we mnie piorun trzaśnie albo niech dostanę jakiejś ohydnej wysypki, niż miałabym skończyć tak jak ona.

Rzucam okiem na zegarek. Właściwie powinienam już zmierzać do kancelarii „Fisher Lyon Raymond” na imprezę pożegnalną tego starego piernika. Nie jest to najbardziej frapująca opcja, jeśli chodzi o spędzenie piątkowego wieczoru - choć, niestety, lepszych propozycji nie mam - ale nie mogłam mu po prostu odmówić, skoro mnie zaprosił na tę cholerną rozmowę kwalifikacyjną. Zresztą to chyba niezły pomysł, żeby - jak się wyraził - poznać wszystkich w nieformalnym otoczeniu, zanim zacznę w przyszłym tygodniu pracę. Zobaczyć ich wszystkich bez pancerza - a może i bez gatek, jeśli to, co słyszałam o adwokatach specjalizujących się w prawie rodzinnym, jest prawdą.

To dziwne, biorąc pod uwagę, jakie mam ostatnio szczęście, ale zanim dopiłyśmy drinki i wyszły, przestało padać. Coś takiego. Odprawiam Amy do stacji metra i - powściągnąwszy niechrześcijański, choć w pełni uzasadniony odruch, by pchnąć ją pod pociąg - ruszam sama ulicą Holborn, wdychając lodowate powietrze listopadowej nocy. Mam wrażenie, że zamara mi krtań.

Spacer, który normalnie trwałby pięć minut, na obcasach-gigant zajmuje mi dwadzieścia, tak że jest już siódma, gdy docieram do biurowca, w którym mieści się firma Fishera. Ku memu zaskoczeniu budynek jest pogrążony w niemal totalnej ciemności. Przyciskam nos do drzwi z matowego szkła: nawet ochroniarz gdzieś się wyniósł. Co jest grane? Fisher powiedział, że impreza będzie o siódmej, co do tego nie mam wątpliwości.

Wyprostowuję się, żeby odejść, gdy wtem ktoś popycha drzwi od wewnątrz, niemal zwalając mnie z nóg. Drań nawet nie zaszczycza mnie spojrzeniem, gdy mruczę coś w stylu, że jestem umówiona, i wślizguje się do ciepłego wnętrza, zanim drzwi zatrzaskną się z powrotem. Rozcieram skroń. Masz szczęście, kurna, że nie jestem terrorystką, przemądrzały palancie.

Wjeżdżam windą na czwarte piętro i zaglądam - tym razem ostrożnie - przez szklany świetlik w drzwiach prowadzących do biur Fishera. Tylko sprzątaczką macha od niechcenia ścierką nad biurkiem recepcjonistki. Cholera. I co teraz?

Czekam przez chwilę, a potem z irytacją walę w guzik windy, żeby wrócić na dół. No tak, to do mnie podobne: pilot i gotowe żarcie z sieci

Lean Cuisine, oto co mnie czeka dziś wieczór. Rewelacja. Od czasów Matki Teresy nie było kobiety, która miałaby równie chybioną młodość jak ja.

Znowu wciskam guzik. Ktoś załadowuje windę na drugim piętrze, czy co? Stoi tam od niepamiętnych czasów. Dreszcz mnie przechodzi; czuję, jak jeżą mi się włoski na karku. Zewsząd czyha ciemność opustoszałych biur. Zbyt wiele thrillerów się widziało, gdzie za którąś z szafek na akta...

Z tyłu za mną otwierają się nagle drzwi, a ja skaczę niemal pod sufit.

Od Fishera wychodzi jakiś prawnik i kieruje się ku schodom. Już niemal otwiera drzwi na klatkę, gdy w ostatniej chwili zauważa mnie i zamiera z ręką na chromowanym uchwycie.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - pyta z urzędową grzecznością; typowy wychowanek prywatnej szkoły w Surrey.

- Szukam kancelarii „Fisher Raymond Lyon”. Czy jestem na właściwym piętrze?

- Tak, ale kancelaria jest już zamknięta. Czy chce się pani umówić na wizytę?

- Nie jestem klientką - mówię z urazą. Cholera, czy ja wyglądam na jakąś nieszczęsną rozwodzącą się kobiecinę? - Jestem adwokatem. Nazywam się Sara Kaplan, od poniedziałku mam tu pracować.

- Ach tak, oczywiście. - Przekłada aktówkę do lewej ręki i wyciąga prawą, niemal łamiąc mi palce uściskiem. Jak tak, to masz, myślę i też ściskam mu dłoń z całej siły. - Nicholas Lyon, jeden ze współników. Kiedy moi koledzy rozmawiali z panią w sprawie pracy, musiałem za-trzymać się nieco dłużej w Leeds w związku z pewnym trudnym przy-padkiem... proszę mi wybaczyć. Wiem, że otrzymała pani z poprzedniej firmy doskonałe referencje.

To coś nowego. Nie wiedziałam, że aż tak im zależało, żeby się mnie pozbyć.

- Dziękuję. Bardzo się cieszę, że będę tu pracować.

- Świetnie. Cóż, w takim razie witam w firmie. Do zobaczenia w poniedziałek.

Boże, co za wkurzający sztywniak. Całkiem jakby go przypięli pa-sami do szpitalnego wózka - ale zarazem, dziwne, jest w jakiś sposób

seksowny. Nie za bardzo wiem, na czym to polega. Może chodzi o usta? Ma bardzo pełne wargi, a także dołek w brodzie. Jest też przystojny, choć już niemłody: minimum czterdziecia. I ciuchy przedpotopowe. Szelki, o Jezu! Ale przynajmniej jest wysoki. No i te usta. Założę się, że byłby świetny w miłości francuskiej, gdyby go trochę podszkolić...

- Chce pani zostawić jakieś papiery, panno Kaplan, czy może chodzi o coś innego?

Czuję, że się czerwienię, tak jakby mógł czytać w moich myślach. Uświadamiam sobie, że znów niepotrzebnie sięgam ręką do nieistniejących włosów na karku, i szybko przenoszę dłoń do koleczka. Chyba mi uszy odpadną, jeśli się w porę nie przyzwyczaję do nowej fryzury.

- Hm... chodzi o to, że pan Fisher zaprosił mnie na pożegnalne przyjęcie, i pomyślałam, że może miło byłoby poznać wszystkich przed poniedziałkiem...

- Rozumiem. Tak, oczywiście. Ale to nie tu, tylko we włoskiej restauracji naprzeciwko. Właśnie tam idę.

Wcisną guzik. Winda pełźnie w górę, a my stoimy i wpatrujemy się jak zahipnotyzowani w stalowe drzwi. Dostyc to zabawne. Mam wrażenie, że gapi się na mnie ukradkiem kątem oka, pewnie dziwiąc się, dlaczego, do kurwy nędzy, koledzy przyjęli mnie do pracy, i ślubuje w duchu, że już nigdy nie wyjedzie i nie pozwoli im podejmować decyzji bez niego. Wiem, że nie jestem w jego typie. Idę o zakład, że lubi drobne, filigranowe, dziewczęce kobiety, z długimi włosami i małymi sterczącymi piersiami. Po prostu ma w sobie ten jakiś staroświecki rys. Plecy sztywne jakby kij połąknął, tak jak to się zdarza byłym wojskowym, i nijakie, krótkie, ale nie za krótkie włosy; tak strzyże się mój ojciec od czasów, gdy nie było mnie jeszcze na świecie. No, ale przynajmniej ma jeszcze włosy. .. Ciemne, gęste, a jakby pozwolił im trochę odrosnąć, pewnie by się kręciły. A czy ma niesamowite: choć niespecjalnie ciekawe w kolorze, szaroniebieskie, wodniste, wprost krzyczą: „łóżko!” Coś takiego... Poza tym jest tak szczelnie opancerzony, że pewnie dostałby ataku serca, gdyby o tym wiedział.

Zerkam ukradkiem na jego lewą rękę. *Naturellement*. Głowę dam, że jego żona nigdy nie pracowała zawodowo. Widzę wszystko jak na dłoni: startowała od rozmiaru trzydzieści osiem, ale teraz bliżej jej do czterdzieści sześć, własnoręcznie krochmali i prasuje mu koszule, przy-

rządza domową zapiekankę z wołowiny i nerek i kocha się z nim z musu co sobota, planując przy tym menu na kolejną proszoną kolację. Dwoje dzieci w wieku szkolnym, dziewczynka i chłopiec, rzecz jasna, prywatne szkoły na przeciętnym poziomie, lekcje tenisa i skrzypiec, średnio nowe volvo w garażu, zimą wyjazd na narty - trendowo, ale bez bajerów - a latem dwa tygodnie w jakimś słonecznym, ale niezbyt tłoczonym miejscu: północny Cypr, może Malta. Boże, chroń mnie od śmierci przez udomowienie.

Wreszcie winda podejżdża i naturalnie on przepuszcza mnie przodem, rzucając mi to swoje dziwne spojrzenie, tak jakbym była kosmitką, która właśnie po krótkim pobycie w Roswell wylądowała na trawniku przed jego domem. Z chęcią bym się do niego dobrała, wyłącznie po to, żeby nim trochę potrząsnąć. Idę o zakład, że jakby go rozruszać, mogłoby się okazać w łóżku niezłym ogierem; a najfajniejsze byłoby obserwowanie, jak sam to odkrywa.

Najwyraźniej nigdy nie będę miała szansy, żeby zweryfikować tę teorię w praktyce. W windzie Lyon staje pod przeciwległą ścianą, na ulicy odsuwa się ode mnie na odległość autobusu, a jak tylko wchodzimy do knajpy, momentalnie wystrzela niczym rakietą w najdalszy kąt lokalu. Albo się boi kobiet, albo odbijają mi się radioaktywne odpady, które zjadłam na śniadanie.

Przechodzi kelner z tacą; łapię z niej kieliszek ciepłego białego wina. Sądząc z wyglądu sali, firma prawnicza wynajęła knajpę na cały wieczór. Większość stolików poodsuwano pod ściany, dzięki czemu ludzie stoją zbici w nieporęczne grupki, nie wiedząc, jak sobie poradzić z drinkami, kanapkami i wymianą uścisków dłoni. Sekret w tym, odkryłam, żeby nie zwracać sobie głowy kanapkami.

Właśnie sięgam po drugi kieliszek, kiedy zza kolumny obwieszanej plastikowymi winogronami wyskakuje ten dziad Fisher. Całe szczęście, że odchodzi - całując mnie w policzek, ten zbok korzysta z okazji, żeby zarazem złapać mnie przelotnie za tyłek. Czy on nigdy nie słyszał o procesach o molestowanie seksualne? Jasne, że słyszał, ale jak komuś stuknęła sześćdziesiątka, to gdzie ma ryzyko i nie przepuści okazji, skoro się nadarza.

Integruję się przez chwilę z tym i owym, pozwalając, by łapa Fishera błądziła mi po łopatkach. Przedstawia mnie najpierw megierze pod

pięćdziesiątkę nazwiskiem Joan Bryant, ich cichej współniczce - powinna się cieszyć jak cholera, że choć tyle chcą mieć z nią wspólnego, gebę ma niczym tyłek po solidnym klapsie - a potem Davidowi Raymondowi, dosyć nieśmiałowemu prawnikowi, który musi być po trzydziestce, choć wygląda na młodszego ode mnie. Wystarczy na niego spojrzeć, aby mieć pewność, że od wielu tygodni nikt nie zwrócił się do niego w niedzielny poranek per „Dave”. Domyślam się, że figurujący w nazwie firmy Raymond to jego ojciec.

Zaczynają rozmawiać o rządowej wpadce, jaką jest najnowsza inicjatywa ustawodawcza co do rozwodów bez orzekania o winie. Jak było do przewidzenia, Joan natychmiast wyraża opinię, że u podłoża całej sprawy tkwią fałszywe przesłanki logiczne, jako że za rozwód zawsze ponosi winę mężczyzna, i wpatruje się w Davida takim wzrokiem, jakby miała zamiar, niczym Gollum, pożyć go i wypłuć kości. David uśmiecha się trwożliwie i zaczyna słabo argumentować, że zawsze są dwie strony medalu - o Jezu, nie w sytuacji rozwodu, David, kim ty jesteś, kurna, doradcą małżeńskim? Zawsze jest tylko jedna strona: ta, która nam płaci - szybko jednak wycofuje się i milknie, błady i spocony, a Gollum oblizuje wargi.

Tłusta łapa Fishera niby to od niechcenia zjeżdża mi po plecach i łąduje na tyłku.

- No już, już... Może lepiej pozwólmy się wypowiedzieć naszej nowej pracownicy, kochani? Co pani o tym myśli, Saro?

- Myślę, że szybkie rozwody bez orzekania o winie to chyba dobry pomysł - mówię z namysłem, walcząc z chęcią, by odpłacić mu pięknym za nadobne i złapać go za pomarszczonego ptaka. - Większa szansa, że będziemy mieli w przyszłości wielokrotnych klientów, jeśli szybko przeprowadzimy małżeński recykling.

- Długi proces rozwodowy, w którym strony walczą ze sobą, przynosi większy dochód - odparowuje Gollum.

Fisher wybucha głośnym rechotem.

- Ależ wy, kobitki, jesteście do siebie podobne... Tylko kasa się liczy, wszystko inne nieważne.

Ledwie mam czas, żeby zarejestrować tę obelgę-gigant, gdy obok łąduje uróżowany knedelek w sukni od Laury Ashley - wieloletnia wytrwała żona Fishera, jak sądzę - i łagodnie uwalnia go od pokusy mani-

pulowania przy mojej talii. Z miejsca czuję, że ją lubię. Pani Fisher wygląda jak uosobienie dziecięcych wyobrażeń o idealnej matce: pulchny, miękki jak poduszka biust, ramiona gotowe zamknąć w uścisku, który wszystko rozumie i wszystko wybacza. Krańcowe przeciwieństwo mojej matki.

Moi rodzice pobrali się w tragicznie młodym wieku — oboje mieli po siedemnaście lat— a w sześć miesięcy później urodziłam się ja. Hm... łatwo policzyć. Matka lubi opowiadać każdemu, kto siedzi dostatecznie długo, o „koszmarze” związanym z wydaniem mnie na świat: jak się męczyła całe trzy i pół dnia, jak się okazało, że konieczna jest cesarka, jak wystąpił krwotok, jak najbliżsi krewni musieli podpisać zgodę na usunięcie narządów rodnych, no w ogóle o wszystkim. Człowiek zaczyna mieć coś w rodzaju poczucia winy, że istnieje, słowo daję. Ale tak czy owak, istnieję - ich jedyny strzał w nieśmiertelność. Tato ma przynajmniej pracę - jest doradcą finansowym - ale matka nigdy nie pracowała zawodowo; jestem ośrodkiem jej uwagi i prawdę mówiąc, bywa to męczące. Zawsze kupowała mi rzeczy: torebkę od Louisa Vuittona na urodziny, pantofle od Gucciego pod choinkę; do tej pory dostaję na Gwiazdkę pończochę wyładowaną prezentami, których łączna wartość przekracza wysokość moich rocznych zarobków. Właściwie to się nie skarzę; ta sytuacja ma dobre strony. Za każdym razem, gdy wpadam w finansowe tarapaty - co zdarza się na ogół wtedy, gdy przechodzę obok sklepu z ciuchami Jigsaw - matka udziela mi pieniężnego wsparcia, tyle że wymawia mi je potem całymi miesiącami. Nie robi tego z dobrego serca, ale po to, żeby mnie kontrolować. Tacie się to nie podoba, ale nigdy się nie wtrąca; nie ma wątpliwości, kto nosi spodnie w naszym domu.

Odstawiam ocet i popatruję od niechcenia po sali w poszukiwaniu Nicka. Stoi w najbardziej odległym kącie... i wpatruje się we mnie jak zahipnotyzowany. Przenika mnie prąd. Rozpoznaję ten głód w jego oczach... Gdy nasze spojrzenia się spotykają, blednie i odwraca wzrok, ale jest za późno. To się czuje, kiedy mężczyzna ma na ciebie ochotę.

Jestem w szoku. Nigdy bym nie pomyślała; nie wygląda na ten typ faceta. Dawniej określiłabym go jako jednego z tych średniowiecznych mnichów, co to nosili włosiennicę, żeby umartwić ciało, i biczowali się, ilekroć przyszła im do głowy zdrożna myśl. W sumie to może jest nawet płatnym członkiem Opus Dei. Ja też czytałam *Kod Leonarda da Vinci*, a co.

Wygląda na tak przerażonego, jakby wpadł głową naprzód do dołu pełnego rozkładających się ofiar zarazy. Prawie mam ochotę podejść do niego i powiedzieć, żeby się tak nie przejmował. Owszem, jest apetyczny, zwłaszcza z tym tłumionym ogniem w środku. Ale rzecz nie wchodzi w rachubę. Mogę sobie od czasu do czasu wypożyczyć jakiegoś leżącego odłogiem męża, ale nigdy nie romansuję w miejscu pracy - w takim wypadku stroną, która zostaje wyrolowana, zawsze jest kobieta. Nie mam zamiaru skończyć za cztery lata jak Amy.

Nie sposób jednak zaprzeczyć, że spotkania przy automacie do kawy będą chyba dzięki temu ciekawsze. A moja praca zawodowa, jeśli tylko będę ostrożna, nie ucierpi od tego, że on czuje do mnie mięty.

Jejku, to brzmi tak, jakbym była jakąś kalkulującą na zimno małpą, a przecież wcale nie jestem. Chodzi po prostu o to, że w tym biznesie mężczyźni zawsze trzymają sztamę, podczas gdy kobiety mają do dyspozycji wyłącznie spryt - i ciało - które dał im Pan Bóg. Nieczęsto widuje się kobiety, które podają rękę młodszej siostrze, żeby pomóc jej się wspinać po drabinie zawodowej kariery, tak jak to robią faceci. Nigdy nie poszłam dla kariery do łóżka, ale mały flircik - nic więcej, słowo honoru - żeby naoliwić tryby koleżeńskich stosunków nigdy nie zaszkodzi. No co? Gra się takimi kartami, jakie się ma do dyspozycji.

Nagle do knajpy wpada kobieta w średnim wieku i rozgląda się jak szalona po sali, usiłując odnaleźć jakąś znajomą twarz. Pewnie żona któregoś z urzędników. Zapomniała przyczesać kędzierzawę, rozczochrane włosy i wygląda, jakby dopiero co wstała z łóżka. Bez płaszcza, w bezpiecznej, niezawodnej małej czarnej do kolan, na szyi dyskretna biżuteria z okresu wczesnomałżeńskiego - diamenty maciupcie, ale wartość sentymentalna gigantyczna - a na ramieniu zniszczona torba o rozmiarach kanału la Manche. Ma jednak bardzo ładne ciemne oczy, a smukłością przypomina trzcinę. Ma szczęście, małpa. O matko! Zapomniała włożyć buty. O, jasny gwint... Stoi, nieszczęsna, pośrodku modnej włoskiej knajpy w centrum Londynu w różowych frotowych kaptach.

Wygląda na to, że nikt na razie nie zauważył jej przybycia. Łapię z najbliższej tacy kolejny kieliszek białego wina i pruję do niej.

- Proszę - mówię uprzejmie. - Smakuje jak podgrzany płyn akumulatorowy, ale lepsze to niż nic. A przy okazji - zniżam dyskretnie

głos - być może miałyby pani ochotę zmienić w toalecie obuwie, zanim przyłączy się pani do towarzystwa.

Bierze ode mnie wino i przekłada torbę na drugie ramię. Torba się niechcący rozchyła i wysypuje się z niej na podłogę kaskada ligninowych chusteczek i popsutych długopisów, a wśród tego coś, co wygląda jak nadgryziony piernikowy ludzik. Czy aby na pewno znalazła się tam, gdzie zamierzała? Nawet żona księgowego nie byłaby chyba taką wariatką.

- Jak to miło z pani strony - mówi nieobecny tonem i schyla się, żeby pozbierać całe to dziadostwo, a przy okazji wylewa na siebie połowę zawartości kieliszka. Wciąż rozglądając się z roztargnieniem po knajpie, nieudolnie osusza chusteczką sukienkę, w rezultacie czego znoszona tkanina zaczyna wyglądać jak posypana mąką.

- Pantofle - syczę ponownie.

Ze zdziwieniem spogląda na własne kaptcie, jakby je zobaczyła po raz pierwszy.

- A, rzeczywiście - mówi beznamiętnie. - Co tam, przynajmniej nie zniszczyły się na deszczu.

Z niedowierzaniem patrzę, jak spokojnie zrzuka kaptcie i wypycha je do torby, która kształtem i wielkością przypomina teraz planetoidę Tardis. Najwyraźniej w ogóle jej nie wzrusza, że jest w centrum Londynu na bosaka, tylko w pończochach. Czy ta kobieta jest realna? Jezu, mam nadzieję, że nie będę na starość aż takim czubkiem.

Nagle obok materializuje się Nick. Wygląda na spiętego. Mnie kompletnie ignoruje.

- Malinche, gdzie ty się podziewasz, na litość boską? Jest wpół do dziewiątej, Will pyta o ciebie od godziny! Co się stało?

Jasny gwint. To jest żona Nicka?

- Korki - mówi, robiąc nieokreślony ruch dłonią w kierunku ulicy.

- Mówiłem ci przecież... a zresztą, nieważne. Skoro jesteś, chodź, zabaw się z nami.

- Ależ bawię się, kochanie, rozmawiałam właśnie z tą fantastyczną dziewczyną... jaki śliczny kostium, co prawda nie cierpię chartreuse, mam na myśli likier, rzecz jasna, ale ten kolor jest po prostu cudowny, zwłaszcza w połączeniu z tymi złocistymi włosami, jak pani to fantastycznie dobrała... jak pani na imię, bo zapomniałam?

- Sara Kaplan - podpowiadam słabo.
- No właśnie, no więc widzisz, Nicholas, że się bawię, porozmawiałyśmy sobie z Sarą, była tak miła, że przyniosła mi drinka, akurat miałam iść szukać ciebie i Willa, a tu proszę, jesteś!

Czy ta kobieta nigdy nie potrzebuje zaczerpnąć tchu? Nie do wiary, że sztywny, ale zadbany Nick ma za żonę tę zwariowaną, kompletnie pozbawioną jakiegokolwiek stylu hipiskę. On też najwyraźniej nie czuje się zręcznie, gdy wiesz mu się u ramienia, i nagle widzę wszystko jak na dłoni: sympatia z dzieciństwa, z którą się ożenił, kiedy był za młody, żeby mieć jakiegokolwiek pojęcie o życiu, dzieci, które przyszły na świat, zanim się obejrzał, pętla hipoteki na szyi, jałowe życie seksualne, cały ten koszmar. Nieszczęsny gamoń... Najwyraźniej przydałaby mu się mała rewitalizacja.

Hm... To brzmi interesująco.

Nieoczekiwanie czuję, że nie mogę się doczekać poniedziałku.

RRSS

Malinche

Kit potrafi być czasem wredny, słowo daję. Ciskam w niego ścierką kuchenną, ale robi unik i zamiast w niego, trafiam w wieszak na rondle, zwisający nad roboczą płytą pośrodku kuchni. Garnki i patelnie brzęczą i grzechoczą. Zakrywam dłonią słuchawkę, tak żeby Nicholas nie usłyszał rumoru, i pokazuję Kitowi język. Siedzi sobie spokojnie, trzęsąc się ze śmiechu, i nie robi absolutnie nic, żeby powstrzymać moje niesforne dziecko przed wsadzeniem królika do kosza na śmieci.

- O Boże, Metheny, nie rób tego! - wyrzucam z siebie. Szybko wyciągam drżące stworzonko i przytrzymuję rondle, żeby nie brzęczały. - Biedny królik... Przepraszam, Nicholas, muszę kończyć. Do zobaczenia na stacji. Godzina jak zwykle?

Przy uchu słyszę stęknienie.

- Na litość boską, Malinche, przecież dziś wieczorem jest pożegnalne przyjęcie Williama! Tylko mi nie mów, że zapomniałaś! Masz zdążyć na ten o piątej dwadzieścia osiem z Salisbury do Waterloo, pamiętasz?

Chryste Panie. Zapomniałam na amen. Jest za dwadzieścia czwarta, za moment Liz podrzuci dziewczynki ze szkoły, nie zrobiłam im jeszcze podwieczorku... myślałam o ravioli *di magro*, ale na razie jestem w lesie: trochę świeżego serka ricotta przyprawionego gałką muszkatołową, solą morską i czarnym pieprzem i wymieszanego ze szwajcarską boćwiną i *pancetta stesa*, no i oczywiście świeżo utarty parmezan na wierzch. Nie załatwiłam opieki do dzieci, muszę umyć głowę, co ja mam na siebie włożyć, jak na Boga mam być na stacji o piątej dwadzieścia osiem?

- No to zdążę. Nie, nie zapomniałam - łzę, krzyżując palce za plecami - tylko na moment wyleciało mi z głowy. Poczekaj chwilkę...

Kładę słuchawkę, pakuję Don Juana de Marco z powrotem do stojącej w zmywalni klatki, wtykając mu na pociechę parę świeżych liści sałaty, i zabezpieczam drzwiczki kawałkiem szpagatu, tak żeby mała nie mogła go znów wypuścić. Metheny natychmiast zostawia swoje zajęcie - zbieranie rozsypanych kółeczek Cheerios spod wysokiego krzesła i kładzenie ich po jednym na wyciągniętej dłoni Kita - przykuca przed klatką królika i zaczyna manipulować pulchnymi paluszkami przy szpagacie, usiłując go rozwiązać. Pampers wypycha jej śpiochy, bujne złociste loki przylgnęły do pulchnego karczku. Krzyżuję palce, żeby sznurek wytrzymał jeszcze choć przez pięć minut, i rzucam się teatralnie na kolana przed Kitem z wyciągniętymi w geście błagania rękami, starając się wyglądać możliwie najżałośniej.

Kit ignoruje moją amatorszczyznę. Starannie układa Cheerios w piramidkę, po czym zanurza długi wytworny palec w cieście i próbuje. Dla zapachu dodałam do niego trochę wanilii, utartą skórkę z pomarańczy i cytryny, dosypałam dla koloru kakao, a na zakończenie przyprawiłam kandyzowaną skórką pomarańczową. Bogata mieszanka woni snuje się w ciepłej kuchni niczym mgły nad wrzosowiskiem.

- Co? - pyta surowo.

Rozpaczliwie macham ku niemu, żeby był cicho. Nicholas wie, że Kit to mój najlepszy przyjaciel i że u nas bywa, ale nie musi wiedzieć jak często.

- Co? - powtarza szeptem.

Robię jeszcze bardziej natarczywie-błagalną minę, choć z drgnienia kącików ust Kita widzę, że moja mina wyraża raczej kłopoty z wypróżnieniem niż prośbę. Przewraca oczami, ale kiwa głową, tak jak przewidywałam. Podnoszę się z podłogi. Dramatyczne gesty są przydatne, ale trzeba potem ponosić konsekwencje; to trochę jak seks na plaży, który wcale nie jest tak romantyczny, jak sobie człowiek wyobraża, no i wszędzie ma się potem pełno piasku. W samą porę łapię Metheny na rękę - mój rozkosznie apetyczny dzidziuś, pachnie jak świeżo upieczony, ciepłutki chleb - i podnoszę słuchawkę.

- Naprawdę muszę kończyć, Nicholas.

- Pamiętaj, żeby zamówić kogoś do dzieci?

- Yhm. Kit był taki miły, że zgodził się zostać.

Szybko odkładałam słuchawkę, żeby nie słyszeć zbolącej ciszy, jaka nieodmiennie zapada, ilekroć wspomnę o Kicie. Od dwunastu lat na przemian to przypochlebam się, to błagam, to znów doprowadzam do spięcia, ale nie ma siły - bieżący stan rzeczy, to znaczy ostrożna rezerwa pomiędzy moim mężem a moim najlepszym przyjacielem, jest najwyraźniej wszystkim, co można w tej sprawie osiągnąć. Współczuję z całego serca wszystkim w ONZ, jeśli stosunki izraelsko-palestyńskie są choć w przybliżeniu równie złe, choć, rzecz jasna, ani Nicholas, ani Kit wcale nie przypominają tego męczącego faceta, Arafata... a prawda, przecież on nie żyje, teraz jest ktoś inny, jak on się nazywa, muszę trochę częściej czytać gazety, naprawdę. Oczywiście idzie o czas: przychodzi sobota wieczór, a ja wciąż jeszcze nie przekopałam się przez stos gazet z poprzedniej niedzieli, choć trzeba powiedzieć, że nie ułatwia sprawy liczba dodatków, jakie towarzyszą im w dzisiejszych czasach. Ci biedni roznosiciele gazet, nie wiem, jak oni dają radę to dźwigać: rośnie nam pokolenie skrzywionych kręgosłupów. Kiedyś myślałam, że Nicholas nie lubi Kita, bo Kit jest gejem, i może faktycznie na początku... choć oczywiście Nicholas nie jest rasistą, seksistą, homofobem ani nikim takim, skąd, może tylko w sensie określonego schematu w tle, człowiek nic nie poradzi na to, jak był wychowywany. Ale nie o to chodzi, naprawdę...

- Cóż to za niebiańskie wonie, Mal - mówi Liz, otwierając górną połowę kuchennych drzwi. Do rozgrzanej kuchni wdiera się powiew zimnego listopadowego powietrza, niosąc ze sobą zapach ognisk i butwiejących liści. Liz wkłada rękę do środka i otwiera z zasuwę dolną połowę, po czym zręcznie usuwa się z drogi Sophie i Evie, które wpadają do kuchni, ciskając po drodze gdzie popadnie płaszczyki, tornistry i pojemniki na drugie śniadanie.

- Cześć, Kit. Mmm, jak cudnie pachnie, czekoladą i pomarańczami, robisz coś na Boże Narodzenie?

Wydjmuję miskę z wytwornych dłoni Kita i wlewam gęstą, lepką czekoladową packę do wysmarowanej tłuszczem formy.

- To ma być tort urodzinowy dla Nicholasa i Metheny na jutro, choć biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy, rzeczywiście ma szansę stać się czymś na Boże Narodzenie.

- Zostaw dla mnie kawałek. Albo nie, nie, lepiej nie zostawiaj, idą święta, znowu powinnam być, cholera, na diecie. - Liz rzuca okiem na

zdjęcie w mojej książce kucharskiej i widać, że leci jej ślinka; wypisz wymaluj wygłodniała wiktoriańska sierotka, przyciskająca nos do witriny cukierni. - Okropnie apetyczne, co ja na to poradzę... Co tam, święta prawie już mamy, zaczęły stosować dietę South Beach w styczniu, to moje postanowienie na Nowy Rok. W takim razie może jeden kawałek.

- Jeden kawałek dla Nicholasa, a jeden dla Metheny - mruczy Kit.

Liz wygląda na zmieszaną. Kit zazwyczaj tak właśnie działa na kobiety, nawet jeśli wiedzą, jak to z nim jest; emanuje z niego sypialniana inteligencja. Nie ustaliłam jeszcze, czy chodzi o to, że uważają go za tak obezwładniająco przystojnego - trudno się dziwić, z tymi ostro ciosanymi kośćmi policzkowymi i lokami do ramion, przypominającymi perukę z czasów Restauracji - czy dlatego, że otacza go aura pikanterii, sprawiająca, że chciał nie chciał, człowiek musi przy nim myśleć o seksie.

- Nie wiem, jak to możliwe, że wciąż masz taką linię, Mal - ubolewa Liz. - To nie fair, wciąż stoisz przy kuchni i przyrządzasz takie fantastyczne żarcie, a jesteś chuda jak patyk.

- Życie rodzinne - mówię, tylko częściowo żartem.

- Na mnie działa to akurat odwrotnie - wzdycha Liz.

Z zawiścią popatruje na tacę jeszcze ciepłych piernikowych ludzików, które upiekłam wcześniej i zostawiłam do wystygnięcia. Kochana Liz. Przez całe życie toczy godną epopei walkę z pokusami, bo kocha jeść, wszystko, kocha namiętnie i bez reszty, ale złośliwym wyrokiem losu każdy kęs idzie jej w biodra. Strasznie ją lubię, ale sylwetką przypomina twierdzą, jak złośliwie określa to Kit - z tym rozłożystym zadem, wbitym bez względu na pogodę w zawsze te same znoszone bryczesy, z szeroką, szczerą twarzą o policzkach czerwonych jak dwa wypolerowane jabłka i z najlepszym na świecie sercem. Współpracujemy ze sobą przy odprowadzaniu dzieci: rano, po odwiezieniu Nicholasa na stację, ja podrzucam do szkoły moje dwie starsze i jej jedynaczkę, a Liz ma zmianę popołudniową, dzięki czemu mogę skrobnąć parę przepisów do nowej książki, kiedy Metheny śpi. Przynajmniej takie jest założenie.

- O rany, muszę lecieć - woła Liz, rzucając okiem na solidny zegarek na przegubie, zapięty na skórzany pasek. - Chloe ma o czwartej jazdę konną, za dwa tygodnie zawody. Buziaczki, Kit. Do jutra, dziewczyny.

Sophie i Evie podskakują, złapane na gorącym uczynku: każda ma buzię wypchaną piernikowym ludzikiem. Zdają się je pożerać w całości

jednym kęsem, niczym dwa małe węże boa w ludzkiej skórze. Łapię tacę i usuwam ją spoza ich zasięgu, a one, wcale niespeszone, zęgnają się entuzjastycznie z Liz, rozsiewając przy tym fontannę przeżutych okruchów na zamszową marynarkę Kita w odcieniu palonej umbry i superobcisłe dzinsy. Nic dziwnego, że biedna Liz nie wie, gdzie podziąć oczy. Spodnie są tak opięte, że z miejsca poznać po nich jego preferencje.

- O Boże... Jesteście potwornie niegrzeczne, dzieciaki - krzywi się Kit, otrzepując się z niesmakiem.

- Dobrze ci tak. Może przestaniesz tak dumnie roztaczać ten swój pawi ogon - odcinam się.

Dziewczynki chichoczą. Uwielbiają Kita. Chociaż tak się puszy i wypina, jest nadzwyczajnym ojcem chrzestnym i z pewnością, nie mam co do tego wątpliwości, wprowadzi je we wszelkie możliwe zdrożności, jak na przykład palenie czy gra w karty, gdy tylko będą na tyle duże, żeby zabierać je do Londynu beze mnie.

- Znalazłam dzisiaj kota, ale był nieżywy - oświadcza sześciioletnia Evie.

Powstrzymuję dreszcz.

- Skąd wiesz, że był nieżywy?

- Bo zrobiłam mu siku do ucha, a on się nie poruszył - odpowiada Evie.

- Co zrobiłaś?

- No wiesz - Evie jest zniecierpliwiona - nachyliłam się nad nim i powiedziałam: psik! A on się nie poruszył.

Parskamy z Kitem głośnym śmiechem. Evie patrzy srogo to na niego, to na mnie, wreszcie wychodzi dumnie z kuchni, urażona do żywego. Dziewięcioletnia Sophie pewnie będzie w przyszłości wyglądać oszłamajająco: gęste orzechowe włosy, wielkie oczy koloru tarniny, śniada, karmelowa cera - spadek po włoskich przodkach mojego ojca - a jednak mam wrażenie, że to Evie ze swoją błazeńską interpretacją życia będzie kiedyś łamać męskie serca.

Obrywam główkę cebuli ze zwisającego nad nami wianka, żeby zabrać się do ravioli dla dziewczynek, a Kit, wsparty dotąd o kuchenny blat, powoli dźwiga długie, smukłe ciało do pionu.

- Właściwie to nie wiem, na co się dokładnie zgodziłem *pour ce soir* - mówi omdlewającym tonem.

- Tylko na przypilnowanie dzieci. Nie masz nic przeciw temu, kochanie, prawda? Po prostu Will Fisher odchodzi na emeryturę i urządza pożegnalną bibkę, a ja obiecałam Nicholasowi, że będę, a potem oczywiście na śmierć zapomniałam... Metheny, nie, nie wolno wkładać kapelusza wujka Kita do kosza na śmieci, taki śliczny kapelusz, zabierz! I teraz mam mniej więcej godzinę, żeby się ogarnąć, znaleźć jakiś ciuch i zdażyć na pociąg.

- Wobec tego w tej chwili zapominasz o nadziewanych makaronowych poduszeczkach czy co tam masz w planie - mówi zdecydowanie Kit i wyjmuję mi z rąk cebulę. - Zabierasz swój zgrabny tyłeczek na górę i piorunem wskazujesz do wanny. Podwieczorkiem zajmę się ja. Sophie, Evie - zwraca się do dziewczynek, bo moja średnia córka właśnie wraca do kuchni z kotem Halibutem w ramionach, znowu promienna jakby nigdy nic - co byście chcieli, żeby wujek Kit wam zrobił na podwieczorek?

- Pizzę! - wykrzykuje Sophie.

- I lody! Z pudełka! - uzupełnia Evie.

Wiele razy przerabiałam już tę lekcję. To jeden z niezmiennych faktów związanych z macierzyństwem: ilość czasu i troski, jakie wkładamy w przygotowanie posiłku, jest odwrotnie proporcjonalna do entuzjazmu, z jakim witają go dzieci. Człowiek sterczy godzinami przy kuchni, starając się zrobić coś pożywnego, smacznego i obejmującego wszystkie podstawowe grupy żywieniowe, a one potem grzebią widelcem w talerzu, aż jedzenie robi się zimne jak lód i nie nadaje się nawet dla psa. A wrzucić z poczuciem winy na patelnię mrożone paluszki z kurczaka czy karbowane frytki, będą wspominać je z zachwytem całe tygodnie.

Pędzę na górę. Nie mam czasu na długą relaksującą kąpiel z bąbelkami - marzę o niej bezskutecznie od chwili urodzenia Sophie - a nawet na czekanie, aż płataniną rur dowlecze się do zarosłego kamieniem prysznica na piętrze gorąca woda ze zbiornika na zewnątrz domu, co pod względem długości czasu i złożoności problemu do złudzenia przypomina wyścig Paryż-Dakar. Zrzucam ubranie i uzbrajam się wewnętrznie na spotkanie z lodowatym strumieniem, który w tym domu uchodzi za natrysk. Sześćsetletnia, kryta strzechą farma na dwu akrach oszołamiającego wiejskiego pejzażu Wiltshire jest niezwykle romantyczna i wprost ocieka czarem dawności, i rzecz jasna jak tyl-

ko ją z Nicholasem zobaczyliśmy - byłam wtedy w ciąży z Evie i polowaliśmy na dom - po prostu musieliśmy ją kupić, co do tego nigdy nie było cienia wątpliwości. Ale nie jest praktyczna, o nie. Przeciekające szambo i wystające ze ścian śmiertelnie niebezpieczne elektryczne przewody nie są ani urocze, ani romantyczne, i zdarzało się - choć nigdy nie dałam tego po sobie poznać, Nicholas byłby załamany - że tęskniłam za czymś ordynarnie nowym, z pospolitej czerwonej cegły, wyposażonym we wszystkie najnowocześniejsze pod względem sprawności niemieckie akcesoria.

Lodowata woda zapiera mi na chwilę dech. Łapię kawałek mydła i szybko namydlam gęszą skórkę, tak wielką, że z trudem wyróżniają się na jej tle sutki - jestem w stanie je dostrzec tylko dlatego, że na szczycie sterczą dwie brązowe, drżące brodawki. Mydło jest dziwnie szorstkie, wodzę nim po ciele i wodzę, a piany nie widać; wreszcie spostrzegam, że usiłuję namydlić moje skromne drugorzędne cechy płciowe kawałkiem gipsu, który odpadł z sufitu.

Kiedy kończę mycie głowy - za pomocą paskudnego płynu do kąpieli z supermarketu, bo przebrzydła Sophie znowu podkrađa resztkę piekielnie drogiego szamponu, który podarował mi Kit na urodziny - usta mam sine, palce zdrętwiałe z zimna i mam wrażenie, że biorę udział w wyprawie antarktycznej Shackletona. Cholerne włosy zmieniają się w jakieś upiorne afro, jeśli użyję suszarki, a że jest już po piątej, nie mam nawet czasu, żeby je wysuszyć przy piecu w kuchni, jedynym ciepłym pomieszczeniu w całym domu, tak jak to zwykle robię. Będę musiała zaryzykować wyjście na dwór w przejmujący listopadowy wieczór z moką głową; na pewno się przeziębię i umrę na zapalenie płuc, opłucnej i gruźlicę za jednym zamachem, ale rzecz jasna sama sobie będę winna, bo o czym jak o czym, ale o przyjęciu zapomnieć mi nie było wolno.

- Tylko nic nie mów - ostrzegam Kita, wbiegając do kuchni w bezpiecznej, ale nudnej małej czarnej, którą mam w szafie od niepamiętnych czasów, chyba odkąd skończyłam czternaście lat - nie mam czasu zawracać sobie głowy, ma być ta i już.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. Dzięki.

Hojnie rozdzielam pocałunki pomiędzy dziewczynki, wrzucam do torby klucze, pieniądze i szminkę i gramolę się do mercedesa Nicholas,

po czym gramolę się z powrotem i wracam po ozdobiony monogramem nawilzacz powietrza, który kupiłam w charakterze prezentu od niego dla Willa Fishera. Nienawidzę prowadzić samochodu Nicholasa, zawsze się boję, że go rozbiję czy coś, a chociaż jest taki wspaniały, ogromny, bezpieczny - mam uczucie, jakbym prowadziła luksusowy czołg - wiem, że najdrobniejsze zadrapanie na zderzaku będzie nas kosztowało setki funtów. Dużo lepiej się czuję w moim starym volvo, o ileż bardziej przyjaznym, a przy tym każde, najmniejsze nawet wgniecenie na jego karoserii to historia jakiegoś zdarzenia, to auto to jakby metalowy album ze zdjęciami, naprawdę, i wiem, że ciężko to przeżyć, kiedy w końcu będę musiała się z nim rozstać. Ale volvo nadal stoi w warsztacie u Gingera, więc muszę jechać mercedesem... ojejku, zapomniałam, przecież tu są podgrzewane siedzenia! Co za rozkosz. Przynajmniej podgrzeję sobie tyłek, zanim dojadę do stacji.

Kiedy poznałam się z Nicholasem, nie miałam pojęcia o prowadzeniu samochodu. W wieku dwudziestu czterech lat wciąż włączyłam się po Londynie przedpotopowym rowerem mojej matki Louise, który przeszedł na moją własność, kiedy pojechałam jej śladem do Edynburga; aczkolwiek Louise właściwie nie skończyła studiów, rzuciła je na drugim roku i pojechała do Kalifornii, „żeby się odnaleźć” - ze swoim chłopakiem, który rzecz jasna najpierw zrobił dyplom, a dopiero potem wymknął się, żeby dołączyć do dzieci-kwiatów. Drań był z nią akurat tak długo, żeby zdążyła zajść w ciążę z moją siostrą, po czym czmychnął do domu, do Esher, by wieść żywot księgowego, zamknawszy raz na zawsze swój krótki flirt z alternatywnością. Louise, bynajmniej nie przejmując się jego dezercją, dołączyła do kalifornijskiej komuny lesbijek i urodziła Cleo w basenie, a siostry, otoczywszy ją kręgiem, śpiewały *Kumbaya*. W parę miesięcy później zaszła w ciążę po raz drugi - „wiesz, całe to lesbijstwo nigdy mnie tak naprawdę nie brało” - ze świeżo przybyłym kelnerem z Florencji, który tym razem przynajmniej się jej oświadczył, mocno łamaną zresztą angielszczyzną. Louise podziękowała mu bardzo uprzejmie za miły gest, grzecznie, ale stanowczo odmówiła i wróciła do Salisbury, by wydać mnie na świat w Stonehenge; nie dosłownie - na to nie pozwolono by jej nawet w szalonym roku 1970 - ale w położonej w pobliżu wiejskiej porodówce.

Któregoś dnia, niedługo po tym, jak poznałam Nicholasa, spytałam matkę, dlaczego po powrocie nigdy nie wyszła za męża. Spodziewałam

się jakichś deklamacji w stylu Germaine Greer (dopóki się nie wyparła swoich przekonań, rzecz jasna, moja matka nigdy jej tego nie wybaczyła), na przykład że małżeństwo to forma zniewolenia kobiety przez system patriarchalny, a że Louise popatrzyła na mnie poważnie i powiedziała: „Ludzie myślą, że małżeństwo to sprawa między tobą a nim, ale to nieprawda. To w ogóle nie ma nic wspólnego z romantyzmem. Bierzemy sobie na głowę tyłu innych ludzi, wszystkie ich problemy, lęki, trudności... Nie miałam na to ochoty. Wiedziałam, że nie mam cierpliwości, żeby sobie z tym wszystkim poradzić. Chciałam, żebyśmy byli tylko ja i on i nikt więcej”.

Zrozumiałam wtedy, że tak naprawdę w ogóle nie znam mojej matki.

W sensie najzupełniej dosłownym w ogóle nie znam też mojego ojca. Ale to po Robercie - Louise nigdy nie pofatygowała się dowiedzieć o jego nazwisko - mam te niemożliwe włosy i niepohamowane pragnienie, by zajmować się kuchnią, niemal od chwili, kiedy byłam w stanie utrzymać łyżkę w ręce. Z pewnością nie po matce - Louise czuła się bezradna, gdy prosiłam ją choćby o otwarcie puszkii fasolki. Nic dziwnego, że jestem taka chuda, w dzieciństwie byłam właściwie stale niedożywiona; nauczyć się przyrządzać posiłki to była w równym stopniu kwestia instynktu samozachowawczego, co genów. Gdybym mogła sama o sobie decydować, uciekłabym z domu w wieku siedmiu lat i została gastronomicznym odpowiednikiem małego dobosza, wspinając się po szczeblach kuchennej hierarchii od pomywaczki do *sauciera*, o ile miałabym szczęście i pracowałabym codziennie dłużej niż młodszy lekarz czy menedżer. I wreszcie mogłabym się najadać do syta. Ale Louise z typową rodzicielską hipokryzją - nie rób tego co ja, rób to, co ci mówię - nie chciała słyszeć o tym, żebym rzuciła szkołę; sama mi napisała podanie o przyjęcie na uniwersytet w Edynburgu. Czułam, że nie wypada, by kolejne pokolenie kobiet z rodziny Sandałów odrzuciło szansę uzyskania wyższego wykształcenia. Ukończyłam jak należy studia, aczkolwiek nawet kiedy potulnie płodziłam analizy twórczości Chaucera, Byrona i Nathaniela Hawthorne'a, moje myśli krążyły wokół idealnego sufletu z sosem holenderskim, który by nigdy nie opadał, nawet w najbardziej zaparowanej kuchni.

Po trzech latach nudów weszłam w końcu do czerwonego niczym wnętrze macicy pokoju relaksacyjnego mojej matki na piętrze naszego

domu w Islington i wymachując dyplomem, zawołałam: „Zrobiłam to, mam papier, czy teraz mogę wreszcie pójść do szkoły kucharskiej?”

Louise z wdziękiem osunęła się z pozycji drzewa do pozycji kobry, po czym przyjęła pozycję embrionalną i z przyciśniętą do maty twarzą powiedziała: „Ciekawa byłam, jak długo potrwa, zanim zdobędziesz się na odwagę, żeby mi o tym powiedzieć”.

W szkole kucharskiej przekonałam się jednak, że jestem bardziej córką mojej matki, niż mi się wydawało; nie w kwestii samego przyrządzania potraw, z tym na szczęście nie miałam żadnych problemów - często myślałam, że być może w poprzednim życiu byłam kuchmistrem, u Napoleona na przykład albo u jakiegoś wschodniego władcy - ale jeśli chodzi o konieczność podporządkowywania się wszystkim upiornym regułom i przepisom, które ograniczają człowieka, tłamszą jego twórczy potencjał i uniemożliwiają sporządzenie czegokolwiek nowego i oryginalnego. Potwornie irytowały mnie te restrykcje; wyglądało na to, że ich nadrzędnym celem jest nauczyć wszystkie pulchne panienki bez krzty wyobraźni, z przepaskami na włosach i perełkami na szyi, jak znaleźć drogę do serca właściwego mężczyzny przez jego żołądek. Po dwu semestrach rzuciłam szkołę i zamieszkałam z Kitem oraz jego ówczesnym chłopakiem, drapieźnym jak rekin sprzedawcą obligacji o martwych oczach.

- Co ty w końcu tak naprawdę chcesz robić? - spytał któregoś wieczoru Kit, gdy rekin pracował do późna, a ja znowu doprowadzałam go do szału, jęcząc, że spieprzyłam swoje życie.

- Wiesz, co chcę robić - odparłam rozdrażniona. - Powtarzam ci to od czasów, kiedy byliśmy w przedszkolu. Chcę otworzyć własną knajpę, rzecz jasna.

- Miałeś wtedy trzy lata. Myślałam, że wyrosłaś z tej dziecinady.

- Ty też miałeś trzy lata. I nie wyrosłeś.

- Aktorstwo to co innego...

- Niby dlaczego?

- Przestań tak wydymać usta i udawać rozpieszzonego dzieciaka. Aktorstwo to co innego, bo można z niego żyć, jak doskonale wiadomo. Zdajesz sobie sprawę, co tak naprawdę oznacza otwarcie własnej knajpy? - spytał. - Trzy czwarte nowych knajp pada w ciągu pierwszego roku działalności. Pracowałabyś co najmniej osiemdziesiąt godzin

na tydzień, zero wolnych wieczorów, zero wakacji, ani chwili dla siebie, w biznesie, który ma największy procent uzależnionych od narkotyków po dentystach...

- Dentystach?

Machnął ręką.

- Nie o to chodzi w tej chwili. Reszta personelu zniechęciłaby cię za samą obecność. Połowa facetów w knajpiowym biznesie nadal uważa, że kobieta w kuchni powoduje, że sos się warzy. W kółko byłaby molestowana seksualnie...

- Dobrze, dobrze - przerwałam. - Wiem o tym. Ale skoro pytałeś...

- Masz dyplom z anglistyki i gotujesz jak archanioł. Wiesz, co powinnaś robić, najdroższa? - Oczywiście Kita rozbłysły ewangelicznym zapachem, który znałam zbyt dobrze, żebym się go miała obawiać. - Nie pojmuję, dlaczego nie pomyśleliśmy o tym wcześniej: powinnaś pisać książki kucharskie, moje złotko!

Kiedy Kit nabije sobie czymś głowę, jest jak pies, który dopadł szczególnie smakowitą szpikową kość. Uparł się, głównie więc po to, żeby dał mi wreszcie spokój, poskładałam do kupy moje najlepsze przepisy, zilustrowałam je za pomocą olśniewających zdjęć, wykonanych przez wolnego strzelca, który zajął miejsce rekina od obligacji w przelotowej sypialni Kita, i przekazałam agentce, wybranej na chybił trafił przez Kita w *Podręczniku pisarza*, w pełni przygotowana na odmowę i zwrot maszynopisu. Tymczasem nieoczekiwanie dla nas obojga, agentka, którą wybrał Kit, przypadkiem otworzyła moją przesyłkę w dziesięć minut po tym, jak wróciła z lunchu ze spanikowanym wydawcą, który przez dwie godziny truł jej o luce wydawniczej, bo ich gwiazda od książek kucharskich - nazwisko w dziedzinie gospodarstwa domowego z własnym show w telewizji - uciekła do Gwatemali ze swoim podkuchennym i kolosalną zaliczką, nie dostarczywszy od dawna zaległego i coraz pilniej potrzebnego maszynopisu.

Rola szczęśliwego zbiegu okoliczności jest zdecydowanie niedoocenia. Moja matka zawsze mówi, że lepiej jest mieć szczęście niż być mądrym, chociaż, dodaje pogodnie, nie zaszkodzi mieć i to, i to.

W wieku dwudziestu dwóch lat miałam podpisaną umowę na trzy książki, potem przyszedł krótki gościnny występ w nowo uruchomionym

kanale telewizji satelitarnej, a kiedy moja pierwsza książka osiągnęła pierwszą pozycję na liście bestsellerów „Timesa”, zaczęło się nawet mówić o moim własnym programie telewizyjnym za rok czy dwa. Byłam nową gwiazdą, wszystko szło jak po maśle, a potem poznałam Trace’a i przez jakiś czas nic poza tym się nie liczyło. Było fantastycznie, cudownie, po czym rzecz jasna wszystko pękło z hukiem, a ja zapadłam się w czarną otchłań. To Kit mnie z niej wyciągnął, powiedział, że już dość, i kazał wrócić do pracy, chociaż jedyne, na co miałam ochotę, to zagrzebać się w pościeli i nigdy więcej z niej nie wychodzić.

A potem oczywiście spotkałam Nicholasa.

Stoję na progu restauracji i przekładając torbę na drugie ramię, rozglądam się za nim po sali, czując przedsmak tak dobrze znanego radosnego skurczu w całym ciele na widok jego harmonijnych, rzeźbionych rysów - nawet teraz, po dwunastu latach. Taki sam dziwny prąd poczułam już w pierwszej chwili, gdy ujrzałam go wtedy na Covent Garden: absolutną pewność bez cienia wątpliwości, że to Ten. Kochany Nicholas, taki wysoki, subtelny, prawy; taki cielesny, zmysłowy, pełen nieświadomionego erotycznego czaru.

Co za ulga znaleźć się w środku, w ciepłe. Gdzie jest Nicholas? W pociągu z Salisbury było upiornie zimno, a w taksówce ze stacji Paddington niewiele lepiej. Nie pojmuję, dlaczego Louise w ogóle wyjechała z Kalifornii.

Kelnerka podaje mi kieliszek wina, mamrocząc zarazem coś o moich pantoflach. Gdzie ten Nicholas się podziewa? Pociąg się trochę spóźnił, na szczęście, inaczej by mi uciekł, ale opóźnienie nie jest znów takie wielkie, niemożliwe, żeby Nicholas już wyszedł. Gdzieś tu musi być. Chyba że pomyliłam nazwę restauracji, rzecz jasna. Nie byłby to pierwszy wypadek.

Grzebię w torbie w poszukiwaniu koperty, na której zapisałam nazwę knajpy, i wysypuję połowę zawartości na podłogę. Kelnerka wciąż wpycha mi kieliszek z winem, nie mam więc innego wyjścia, niż go wziąć, a że nadal grzebię w torbie, kończy się tym, że wylewam wino na siebie. Dzięki Bogu, na tej sukience nic nie widać, a przy trójce małych dzieci znacznie gorsze rzeczy już zaliczyła. Do jasnej Anielki, gdzie ten Nicholas? O rany boskie, ta chusteczka nie jest czysta...

- Pantofle - syczy znowu dziewczyna.

Rzucam wreszcie okiem na nogi i odkrywam, że Kit z całym rozmysłem wypuścił mnie z domu w różowych frotowych kapciach. Co za świnia. Powieszę drania, a jak już będzie bliski śmierci, odetnę go i wyopatroszę, a potem podpalę... albo nie, wystarczy, że pozwolę mu za którymś razem opiekować się Metheny u niego w domu.

Nie mogę dopuścić, żeby ta efektowna dziewczyna - najwyraźniej wcale nie kelnerka, za drogie ma buty i za wysokie obcasy - zobaczyła, jaka się czuję upokorzona. Jest taka ładna, elegancka, czysta; doskonale zdaję sobie sprawę, że w myśli spisała mnie już na straty jako osobę o włos od starczej demencji.

Zdobywam się na beztronski uśmiech.

- A, rzeczywiście. Co tam, przynajmniej nie zniszczyły się na deszczu.

Nonszalancko pakuję kapcie do torby, tak jakby to była dla mnie normalka. I oczywiście jest. Nie w tym sensie, żebym stale wkładała różowe frotowe kapcie na pożegnalne przyjęcia odchodzących na emeryturę panów, nie, to wpadka-gigant nawet jak na mnie; w tym, że dość często padam ofiarą, gdy zderzają się dwa moje światy: matki dzieciom i robiącej karierę zawodową żony.

Choć co do kariery, to specjalnie jej ostatnio nie widać. Co, rzecz jasna, było absolutnie do przewidzenia, to zjawisko w pełni naturalne, gdy ma się trójkę dzieci; kolejne terminy oddania książki prześlizgują mi się pomiędzy palcami niczym żółtko jajka. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie to będzie trudne - już nawet nie rozwijać się, ale utrzymać dotychczasowy poziom.

Nieoczekiwanie materializuje się Nicholas, błądy i zdenerwowany.

- Malinche, gdzie ty się podziewasz, na litość boską? Jest wpół do dziewiątej, Will pyta o ciebie od godziny! Co się stało?

- Korki- mówię, zaskoczona jego poirytowaniem. Przecież nie spóźniłam się aż tak.

- Mówiłem ci przecież... a zresztą, nieważne. Skoro jesteś, chodź, zabaw się z nami.

- Ależ bawię się, kochanie, rozmawiałam właśnie z tą fantastyczną dziewczyną... jaki śliczny kostium, co prawda nie cierpię chartreuse, mam na myśli likier, rzecz jasna, ale ten kolor jest po prostu cudowny, zwłaszcza w połączeniu z tymi złocistymi włosami, jak pani to fantastycznie dobrała... jak pani na imię, bo zapomniałam?

- Sara Kaplan - podpowiada.

Jest naprawdę bardzo atrakcyjna: nie banalnie ładna, nie pozwala na to jej nos, ale ma w sobie to coś, jakąś zmysłowość, jakąś żywiołową cielesność. Musi jej być okropnie zimno w tym cieniutkim kostiumiku; głupia dziewczyna, za młoda jest, żeby wiedzieć, że jak ktoś jest tak śliczny i pełen życia jak ona, to naprawdę nie musi nakładać ton makijażu i nosić krótkiej spódniczki, żeby zwracać uwagę. Mogłaby włożyć na siebie worek na śmieci, a i tak by się za nią oglądali.

Uśmiecham się.

- No właśnie, no więc widzisz, Nicholas, że się bawię, porozmawialiśmy sobie z Sarą, była tak miła, że przyniosła mi drinka, akurat miałam iść szukać ciebie i Willa, a tu proszę, jesteś!

Czuję idące od Nicholasa fale napięcia. Nie rozumiem, co go tak zdenerwowało; niemożliwe, żeby chodziło tylko o mnie, pewnie coś w związku z pracą, ale przecież zwykle jest taki opanowany. To jedna z rzeczy, które mnie w nim pociągały, ten jego spokój i niezachwiana pewność, kim i czym jest - nie zawsze słuszna, rzecz jasna, ale tak czy owak niezachwiana. Nicholas ma w sobie więcej rozmaitych warstw, niż sam o tym wie; liczyłam, że się ujawnią w miarę trwania małżeństwa, ale to teraz nieważne, i tak jesteśmy znakomitymi przyjaciółmi i kochankami, o wiele szczęśliwsiymi niż większość dzisiejszych par.

Biorę go pod rękę i prowadzę do kolegów, paplając uspokajająco o czymś kompletnie bez znaczenia, głaszczę go emocjonalnie, mentalnie, nawet fizycznie, gdy stoimy z Willem, gadając i śmiejąc się, i wreszcie przytula mnie i czuję, że się odpręża - choć nie na tyle, żeby całkiem wymazać ten daleki odgłos alarmu.

Uświadamiam sobie, że nie jest to właściwa pora, by mu powiedzieć, że Trace przeprowadza się z powrotem do Salisbury.

Nicholas

Widzę we śnie czyjeś długie, białe kończyny i różowozłocistą czuprynę; budzę się z bólem jąder i potężną erekcją. Na dworze jest jeszcze ciemno, jeśli nie liczyć blasku jarmarcznych bożonarodzeniowych światełek, które na natarczywe prośby Evie rozwiesiliśmy wzdłuż podstrzeża, pożyczwszy drabinę od człowieka od mycia okien. Ryzykowałem życiem, a na pewno połamaniem nóg, żeby uczynić zadość tej wulgarniej amerykańskiej modzie, rozprzestrzeniającej się jak epidemia.

Przesuwam dłonią po ciepłym wklęsnięciu między ramionami i biodrami Mal i ujmuję lekko dłonią jej pupę. Wsuwam palec między nogi i delikatnie manipulując w miękkim futerku, wprowadzam go w gościnnie wilgotne wnętrze. Mal nie reaguje, ale zmiana w jej regularnym dotąd oddechu zdradza, że nie śpi.

Przywieram ciałniej i szturcham ją penisem w plecy. Łagodnie odnajduję palcem łechtaczkę i zwiększam nacisk i tempo, a drugą ręką sięgam poprzez ramiona ku piersiom. Mal mruczy coś niewyraźnie i przewraca się na brzuch, chowając przede mną i piersi, i cipkę.,

- Nicholas...

- Spokojnie, nie martw się, mamy czas. Jeszcze nie ma szóstej.

Zsuwam się w dół, przypadam twarzą do jej pupy i zataczając językiem kółeczka, schodzę nim powoli ku cipce. Co za słodycz... Niczym miód lawendowy, który Mal wybiera co roku w czerwcu z naszych uli w sadzie.

Unoszę biodra i tak jak dotąd językiem, zaczynam lekko atakować ją od tyłu twardym jak skała penisem. Mal kuli się, przekręca na wznak

i z sennym uśmiechem rozchyła nogi w geście zaproszenia. Uwielbia poranny seks; oboje go uwielbiamy. Obudzić się w stanie miłego podniecenia przy ciepłym, znajomym ciele i pogrążyć jedno w drugim - nie ma lepszego sposobu na rozpoczęcie dnia. Wyciąga ręce, żeby mnie przygarnąć, ale ja znów schodzę w dół i zaczynam ją otwierać jak dojrziałą figę. Mal napina mięśnie ud, czuję jej narastającą niecierpliwość. Jej soki spływają mi po brodzie, tak jakbym nadgryzł nabrzmiałą słodyczą brzoskwinie.

Z pulsującym członkiem podciągam się w górę i kładę na niej. Odnajduję wilgotną szparkę i wślizguję się do środka, delektując się ciasnym, gorącym uściskiem. Czuję pod klatką piersiową drobne piersi Mal. Unoszę biodra i zaczynam się w niej poruszać, tam i z powrotem, tam i z powrotem... Znajomy żar rozlewa się we mnie, nasze ciała robią się śliskie od potu. Uderzam stopą w oparcie łóżka, wezgłowie stuka o ścianę niczym werbel. O tak... o tak...

Sara...

Jezu Chryste, chyba nie powiedziałem tego na głos? Ze strachem zerkam na twarz żony. Wygląda słodko i beztrzesko jak zawsze. Dzięki Bogu. Ale mimo wszystko...

Przywieram do Mal, wstrząsany rozkoszą i wstydem zarazem. To nie długie, skręcone w sprężynki ciemne loki mojej żony widziałem przed chwilą na poduszce, tylko krótką blond czuprynę Sary. Całując drobne śniade piersi Mal, w wyobraźni zanurzałem twarz w różowym, bujnym biuście Sary.

Od chwili, gdy weszła do biura, nie mogę pozbyć się z głowy tej kobiety. To coś znacznie więcej niż odruchowa, powierzchowna reakcja samca na widok atrakcyjnej samicy, która się pojawia na jego drodze. Gdziekolwiek patrzę, wszędzie widzę Sarę. Choroba psychiczna czy co? Przecież nie tkwię w pułapce nieszczęśliwego małżeństwa i nie szukam czegoś na boku; to ostatnia rzecz, jaka przyszłaby mi do głowy. Kto jak kto, ale ja dobrze wiem, do czego może prowadzić niewierność. Chryste, przecież kocham Mal! Bezwarunkowo. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. I nawet nie znam Sary.

- Miło było. - Mal głaszcze mnie po głowie. - Jak zawsze.
- A ty...
- Nie. Ale to nieważne.

- Ważne, oczywiście, że ważne. Pozwól...

Mal odsuwa moją rękę.

- Poczekajmy z tym do wieczora. Niedługo wstaną dzieci, trzeba się brać do roboty. Wieczorem dziewczynki mają jasełka, muszą jeszcze naszyć cekiny na kostium smoka, tego z łąty, i przykleić skrzydła pterodaktylowi.

Ochoczo uciekam w domowość, kryjąc się w jej dobrze znanych, bezpiecznych fałdach przed niepokojącymi myślami.

- Wprawdzie minęło trochę czasu, odkąd grałem w szkole króla Baltazara - mówię, wstając z łóżka - ale jestem pewien, że żaden pterodaktyl nie latał nad głową pastuszkom strzegącym swoich stad. Z miejsca porwałby jakąś owcę. - Zawiązuję pasek granatowego szlafroka, szykując się do sprintu po arktycznie mroźnym korytarzu do łazienki. - Do smoka z łąty też nie jestem przekonany.

- Ciesz się, że wciąż jest rola Dzieciątka Jezus. Choć po zeszłorocznej katastrofie z Chloe Washington i trzema malutkimi tchórzofretkami tym razem w żłóbku będzie raczej plastikowa lalka.

Ze stłumionym przekleństwem podrywam bosą stopę z klocka Lego.

- Będę się cieszył, jeśli jesienią na dożynkach nie okaże się, że kościół zmienił się w meczet.

- Ty stary oszuście, ostatni raz byłeś na dożynkach w czasach, kiedy używano jeszcze pługów, a nie traktorów - woła za mną Mal, gdy wybiegam na korytarz. - Pamiętaj, nabożeństwo zaczyna się o szóstej; obiecałeś, że złapiesz wcześniejszy pociąg, żeby zdążyć.

Z westchnieniem napełniam umywalkę lodowatą wodą i zanurzam w niej maszynkę do golenia. Na biurku czeka na mnie stos papierów. Dziecięc dni przed świętami każdy chce doprowadzić sprawę rozwodową do końca; niedługo przyjdą ferie i kraj jak długi i szeroki zapadnie w letarg, a tymczasem połowa urzędników sądowych i adwokatów biega po sklepach i robi zakupy. Mam nadzieję, że Mal zdaje sobie sprawę, iż pragnę być świadkiem początków scenicznej kariery mojego potomstwa nie mniej niż ona, ale ktoś w rodzinie musi zarobić na te łąty i pterodaktyle skrzydła.

Jest jeszcze ciemno i potwornie zimno, kiedy Mal tuż przed siódmą podrzuca mnie na stację. Ostry wiatr miecie zwirom po peronie i przesywa ubranie na wskroś. Wciskam rękę w kieszenie płaszcza i przytupuję,

wydychając kłęby pary. Na przeciwległym peronie trzęsie się z zimna dziewczyna w krótkiej dżinsowej spódniczce i cieniućkiej kurtce; nogi ma wręcz fioletowe. Zawsze mnie zdumiewa, ile potrafią wycierpieć kobiety w imię mody. Dziwne, że Sara jeszcze nie przeziębła się na śmierć, biorąc pod uwagę, w jak cieniućkich kostiumikach pokazuje się w pracy; choć muszę przyznać, że wygląda w nich bardzo atrakcyjnie. Bardzo. Ale i Mal ma parę ślicznych swetrów, naprawdę ślicznych, a dżinsy są o wiele bardziej praktyczne.

Siódma zero osiem do Waterloo przyjeżdża z dziesięciominutowym opóźnieniem; mimo wczesnej pory pociąg jest nabyty ludźmi zdążającymi ku jaskrawym światłom Oxford Street na świąteczne zakupy. Wygląda na to, że kolej żelazna tuczy swoich klientów niczym gęsi hodowane na *foi gras*: im ciaśniej wypychają obskurne, nie pierwszej młodości wagony, tym są bogatsi. Jeszcze przed Basingstoke jednodniowi podróżni zaczynają się przepychać do pierwszej klasy, ściskając w dłoniach papierowe kubki z kawą Starbucks i pocąc się w swoich puchowych kurtkach. Ten i ów ma na tyle poczucia przyzwoitości, że robi skruszoną minę, ale większość patrzy wyzywająco w oczy pozostałym pasażerom i głośno sarka, że przecież zapłacili za bilet, a tu nie ma miejsca nawet żeby stać. Czego się Koleje Brytyjskie spodziewają: że pasażerowie będą podróżować na dachu, jak w Indiach?

Trochę im współczuję - kury w kombinacie drobiarskim mają w klatkach więcej przestrzeni - ale inwazja wszelakich toreb i ćwierkających komórek nie pozwala mi się skupić na notatkach do sprawy. Zaczynam więc rozwiązywać krzyżówkę i robię to aż do Woking, gdzie wsiada przystojna, obdarzona bujnym biustem kobieta po pięćdziesiątce - moja stała współpasażerka o siódmej zero osiem. Jest tak jak ja entuzjastką akrostychów w „Timesie”; z upływem lat ustalił się zwyczaj, że gdy tylko wsiądzie, wymieniamy się gazetami, aby porównać wyniki, po czym zwracamy je sobie nawzajem na pięć minut przed przyjazdem do Waterloo. Prawdopodobnie także jest radcą prawnym albo adwokatem, bo od czasu do czasu widzę, jak studiuje jakieś materiały w biurowej teczce, ale że nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawialiśmy, nie mam pewności w tej sprawie.

Wszystkie miejsca są zajęte, więc ustępuję jej moje; dziękuję skinieniem głowy i bez certowania się siada. Jak proste jest życie, jeśli rządzi nim jasne zasady i wszyscy znają je i respektują.

Staję w przejściu między siedzeniami. Dwie nastolatki w pucho-
wych kamizelkach i spodniach bojówkach - nigdy nie przepadałem za
tą modą, jest kompletnie bezpłciowa - spoglądają na mnie i wymieniają
znaczące uśmiešky. Rzucam okiem na moje odbicie w szybie i nagle wi-
dzę siebie tak, jak pewnie widzą mnie one: nudny, staroświecki biznes-
men w średnim wieku w zapiętej pod szyję jesionce, którego najwięk-
szym szaleństwem jest wrzucanie zagranicznych monet do parkometru.
Ciekawe, przemyka mi przez głowę, czy tak właśnie wyglądam w oczach
Sary. Jest niewiele starsza od tych dziewczyn, najwyżej o parę lat.

Jak za każdym razem od miesiąca, wchodzę do biura z dreszczem
radosnej ekscytacji zmieszanej z lękiem i poczuciem winy. Opieram się
pokusie, by spojrzeć na wieszak i sprawdzić, czy jest tam już jej cyna-
monowy wełniany płaszcz.

Nad pustym jeszcze biurkiem Emmy, niczym szubienicza pętla,
zwisła oberwany z sufitu kawałek srebrzystej serpentyny. Przechodząc,
przytwarzam go na powrót - tak wymowny symbol mógłby źle podzia-
łać na słabszych psychicznie klientów - i zamykam się w sanktuarium
mojego celowo niczym nieprzyozdobionego, surowego gabinetu.

- Skąpiec- orzekła Mał w zeszłym tygodniu, kiedy odmówiłem
wdrapania się na dwudziestometrowy próchniejący dąb na tyłach ogro-
du, żeby naciąć jemioły rosnącej na samym szczycie.

Powstrzymałem się od wskazania na pogański charakter tej akurat
bożonarodzeniowej tradycji oraz na fakt, że gdy ma się troje małych dzie-
ci, ma się też, psiakrew, porozdeptywane po całym domu lepkie jemiolowe
jagody. Zwróciłem natomiast uwagę mojej żony na dwa inne fakty: że płą-
cimy co miesiąc kolosalną ratę długu hipotecznego i że moje ubezpiecze-
nie na wypadek śmierci bynajmniej nie opiewa na kolosalną kwotę.

- Dobrze, więc kup jemiolę na stacji benzynowej - ustąpiła po
chwili namysłu. - To chyba nie zagraża naszemu finansowemu bezpie-
czeństwu?

- Nie widziałas, ile sobie liczą za bukietek - zauważyłem ponuro.

W domu, gdzie sam wobec czterech kobiet nie mam żadnych szans,
ustąpiłem w sprawie jemioly - tak jak w sprawie jarmarcznego oświetle-
nia dachu, gałązek ostrokrzewu na ścianie (a wkrótce potem jego kolców
w podszwach stóp), papierowych łańcuchów, serii okropnych świą-
tecznych kartek i ohydnych czerwonych poinsecji, którymi z uporem

obdarowuje nas co roku Kit, wyłącznie po to, żeby mnie zdenerwować - ale w biurze mogę robić, co chcę. Nie będę miał ani błyskotek, ani karetek przedstawiających pijane elfy ściągane z obwodnicy M25. Nie, nie jestem ponurakiem; lubię Boże Narodzenie, ale to prawdziwe, trudne do odnalezienia w dzisiejszych czasach: domowe ciasto z miętą, grzane wino z korzeniami, mandarynki w gwiazdkowych pończochach, miski pełne brazylijskich orzechów, kolędy, o ile wykonawcy znają trochę więcej niż dwie pierwsze linijki *Dobry królu Wacławie*, pasterkę o północy... A najbardziej miny moich córek, kiedy rano zbiegają z góry i przekonują się, że Święty Mikołaj („Santa Claus”, tak samo jak Halloween czy mrożona herbata, należą do świata z drugiej strony Atlantyku, odległego o siedem tysięcy kilometrów) napełnił po brzegi poszewki, które zostały wieczorem przy kominku wraz z surową marchewką dla reniferów i kieliszkiem Harvey's Bristol Cream na rozgrzewkę dla staruszka.

Nie cierpię natomiast konwencjonalnego „Wesołych Świąt” rzucanego beznamiętnie przez niewierzącego sprzedawcę, który uważa, że to całkiem normalne wsadzić w rolkę po papierze toaletowym plastikowy gwizdek, chińskie ciasteczko z przepowiadnią i niesprawny fajerwerk, a potem policzyć mi pięćdziesiąt funtów za tuzin krakersów, bez których wyrafinowany świąteczny obiad matki będzie dla moich dzieci gorzkim rozczarowaniem. Jeśli z tego powodu uważa się mnie za skąpca, trudno. Przeżyję to.

Siadam przy biurku i zaczynam przeglądać korespondencję. Przez jakiś czas zajmuję się dwoma pilnymi przypadkami i dyktuję Emmie odpowiedzi, żeby je później przepisała; załatwiam też parę telefonów. Ale nie mogę przecież zamurować się w pokoju. Muszę się jakoś nauczyć opanowywania tej atawistycznej reakcji na Sarę. Ta sytuacja nie może trwać wiecznie.

Za dwie dziesiąta uzbrajam się wewnętrznie i - próbując nie zwracać uwagi na stan ciągłej półerekcji, w jakim znajduję się ostatnimi czasy - dołączam w sali konferencyjnej do pozostałych współników na cotygodniowy przegląd prowadzonych spraw. Tłumię odruch irytacji, gdy widzę, że Joan i David nie są sami. Will Fisher formalnie odszedł na emeryturę, lecz nie przeszkadza mu to pokazywać się w każdy piątek od czterech tygodni, a że wciąż jeszcze porządkujemy finanse, by odkupić jego udziały, musimy, choć niechętnie, pogodzić się z tym, że usiłuje nadal trzymać rękę na sterze.

- Nicholas, miło cię widzieć! - wykrzykuje na mój widok.
- Dzień dobry, Will. Co za przyjemna niespodzianka.
- Tak sobie pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak sobie radzicie beze mnie - mówi jowialnie Fisher, jak co tydzień. - Pewnie wszyscy marzą, żebym się wreszcie odczepił i zajął grą w golfa, a wam dał święty spokój, co?

Upływa chwila ciszy, zanim dociera do nas, że wypada zaprzeczyć. Pierwszym wazeliniarzem okazuje się młody Raymond. Gdyby miał dyplom z medycyny, Fisher zaoszczędziłby majątek, o ile byłoby mu potrzebne badanie proktologiczne. Trudno uwierzyć, że David jest synem jednego z najbardziej utalentowanych i charyzmatycznych adwokatów, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia. Śmierć Andrew Raymonda na białaczkę w wieku zaledwie pięćdziesięciu czterech lat była dla mnie tragedią zarówno osobistą, jak i zawodową; fakt, że to serwilistyczne beztalencie jest jego genetycznym spadkobiercą, zakrawa na zbrodnię.

Drzwi za mną otwierają się i elektryzuje mnie słaba woń Allure. Gdy w zeszłym tygodniu na stoisku Chanel u Harrodsa kupowałem dla Mal na naszą rocznicę ślubu jej ulubione nr 5, tuż obok ekspedientka przysnęła klientce na przegub inną kompozycją. Od razu rozpoznałem ją jako zapach Sary. Pod wpływem jakiegoś szaleńczego impulsu dołożyłem do zakupów duży flakon tych perfum; w tej chwili uszczęśliwia starsze panie z Oxfam, bo tej właśnie dobroczynnej organizacji przekazałem je, spłoszony, w drodze powrotnej.

- A oto i nasza ślicznotka we własnej osobie! - wykrzykuje Fisher i podrywa się z krzesła, żeby podprowadzić Sarę do stołu. - Proszę siadać, moja droga, proszę siadać. Joan, czy nie zechciałaby pani się przesiąść... o tu, młoda damo, obok mnie, zapraszam.

Joan patrzy na niego gniewnie, ale przesuwa się o jedno krzesło. Sara siada, przy czym spódniczka podjeżdża jej na udach, odsłaniając na moment koronkową krawędź pończochy. Co za udręka.

Nie odwzajemniam jej uśmiechu. Pograżam się w notatkach do sprawy.

Joan wdaje się w zwykłą polemikę na temat kredytu dla klientów, a raczej znacznego przekroczenia jego limitu. Przeciętna prawniczka, ale niezwykle skuteczna menedżerka, szybko rozpoznała charakter swoich uzdolnień i stosownie do tego zaplanowała karierę. Solidny spadek

po ojcu umożliwił jej nawiązanie współpracy z dwoma zdolnymi, ale niezamożnymi młodymi prawnikami, Willem Fisherem i Andrew Raymondem, którzy stworzyli firmę, umiejętnie wykorzystując własne talenty i jej pieniądze; ja zaokrętowałem się dziesięć lat później. Joan rzadko zabiera głos w sprawach klientów, a w sposobie bycia jest równie szorstka, jak jowialny jest Fisher. Pod jej bacznym zarządem kancelaria prawna Fisher Raymond Lyon kwitnie i należy do najbardziej dochodowych małych firm w kraju.

Joan głosowała przeciwko zatrudnieniu Sary. Ponieważ jednak David włązi Fisherowi w tyłek tak głęboko, że mógłby go pocałować w migdałki, a na starszym panu wdzięki Sary robią piorunujące wrażenie, wynik głosowania był dwa do jednego.

Wolę się nie zastanawiać, jak ja bym głosował, gdyby nie zatrzymała mnie tamta sprawa w Leeds.

- ...czyli nie mamy innego wyjścia, niż skierować sprawę do sądu, tak, Nicholas? - głos Fishera wrywa mnie z zamyślenia.

- Przepraszam, Will. Odpłynąłem. Co mówiłeś?

- Will mówił o przypadku Wainwrightów w Manchesterze - wyjaśnia usłużnie David. - Zapewne nie myli się, twierdząc, że żadna ze stron nie zareagowała na twoją ostatnią propozycję?

- Nie, chyba że jest coś w dzisiejszej poczcie, której jeszcze nie zdążyłem przejrzeć...

Sara kręci głową.

- Dzwoniłam do nich. Claire Newbold nie było w biurze, ale rozmawiałam z sekretarką. Powiedziała mi poza protokołem, że Claire uważa naszą propozycję za niezwykle atrakcyjną, ale że żona nie zmieni zdania.

- Szlag by to trafił - marszczę brwi. - Miałem nadzieję, że uda się uniknąć sądu. To idiotyzm przy środkach, jakimi dysponują. Dwa, trzy dni przepychanki przed sędzią i oboje będą mieli szczęście, jeśli wystarczy im na taksówkę, żeby wrócić do domu.

- Ważne, żeby im starczyło na zapłacenie nam - wtrąca Joan.

Jedwabna bluzka w kolorze toffi opina się na biuście Sary, gdy ze skupieniem w szarych oczach sięga po teczkę. Pod cienką tkaniną widać sterczące brodawki. Boże, czy ona w ogóle nosi stanik?

- Mężowi trzydzieści tysięcy nie zrobi wielkiej różnicy, jeśli sprawa skończy się w sądzie - mówi, przeglądając notatki - zwłaszcza że już

jest nam winien czterdzieści. Dla niego to sensowne: dać żonie, czego żąda, i odejść z tym, co zostanie...

Poruszam się niespokojnie na krześle. O Chryste, jak mnie boją jądra.

- Ja tego nie rozumiem. Przed laty sporo zarobił na franczyzie sklepu z materiałami biurowymi, ale dużo stracił, kiedy załamał się rynek akcji, i mniej więcej w tym samym czasie zwinął interes. Jego obecny stan posiadania to dom i emerytura. Ma pięćdziesiąt sześć lat; co on ma zamiar zrobić?

- A czego oczekuje żona? - pyta Fisher.

- Żąda domu, który jest wart około pół miliona i sześciu tysięcy rocznie dla siebie i dwójga młodszych dzieci. Zarabia trzydzieści trzy jako arborystka i mieszka w wynajętym pokoju nad fastfoodem. Chodzi z głową w chmurach, ale wygląda na to, że on zbankrutuje, zanim jej to udowodni.

- Coś mi się zdaje, że pojedziesz w poniedziałek do Manchesteru - rzucza pogodnie Will w moją stronę.

- Tylko tego mi trzeba przed samymi świętami.

- To może zabrałbyś ze sobą Sarę?

Nieruchomieję.

- Co?

- Tak, to właśnie to, czego potrzebuje: porządny kawałek sprawy, w który będzie mogła wbić te swoje śliczne drobne ząbki - podnieca się Fisher. - To będzie dla niej znakomite kształcące doświadczenie, a poza tym zawarła znajomość z sekretarką, co może się okazać bardzo przydatne. Nigdy nic nie wiadomo - nachyla się ku mnie i puszcza oko - możesz się nawet czegoś nauczyć, Nicholas.

- Ale nasz klient nie może sobie pozwolić na jednego prawnika, a co dopiero na dwóch...

- Zostaw to nam. Nie, Joan - mówi, gdy Joan otwiera usta, żeby zaprotestować - spójrz na to jak na inwestycję w przyszłość firmy.

Ujmuję palcami mostek nosa. Dwie noce w hotelu, z dala od domu, z kobietą, która od czterech tygodni siedzi mi w głowie i nie mogę się jej stamtąd pozbyć...

Jaja mi chyba odpadną, zanim wrócę.

Humor bynajmniej mi się nie poprawia, gdy przybiegłszy niemal pędem na przystanek Waterloo, by złapać wcześniejszy pociąg, przekonuję

się, że stacja jest chwilowo nieczynna z powodu zalania. Musiało padać, i to ostro. Otwierają ją po godzinie, kiedy nie mam już szans zdążyć na jasełka z udziałem moich córek.

Za dziesięć siódma wślizguję się wreszcie do szkolnej auli, zmęczony i zły. Na scenę wchodzi Smok z Łaty w towarzystwie kilku pterodaktyli i Ciasteczkowego Potwora, by wraz z ośmioma mędrkami po raz ostatni ukłonić się publiczności. Na palcach, zasłaniając widok kamerom wideo, przekradam się do Mal i siadam obok niej, a chwilę potem rozbłyska światło. Klaszczę z zapałem, a nasza latorośl wraz z resztą eklektyczne; go zespołu aktorskiego zeskakuje ze sceny na widownię.

- Widziałeś mnie? - dopytuje się Evie.

- Widziałem. Byłaś fantastyczna.

- Ogon jej odpadł - prycha pogardliwie Sophie. - Akurat wtedy, kiedy tańczyliśmy Taniec Ptaszka.

- Więc to nie było zaplanowane? Nigdy bym się nie domyślił.

- Wcale nie odpadł sam - Evie gniewnie marszczy brwi. - Susan Pelt mi go przydepnęła. Specjalnie.

Sophie patrzy na nią z wyższością.

- Bo się poruszałaś nie do taktu. I nie w tę stronę co trzeba.

- Nieprawda!

- A właśnie że prawda!

- Dziewczynki, dość - mówię stanowczo, konfiskując skrzydła pterodaktyla, zanim zdąży kogoś pokaleczyć.

Mal otacza ramionami nasze pociechy i kieruje je ku wyjściu. Uśmiecha się do mnie nad ich głowami, ale widzę, że jest na mnie zła; ja też czuję rzadki odruch irytacji. To naprawdę nie moja wina, że się spóźniłem.

W drodze do domu opowiadam jej o zalanej stacji i później, w łóżku, Mal przytula się, dając znak, że mi przebacza; ale jestem zbyt wytrącony z równowagi, żeby stać mnie było na coś więcej niż cmoknięcie jej w czubek głowy. Trzymając Mal w ramionach, wpatruję się w ciemność. To śmieszne, żeby się tak denerwować o przyszły tydzień; emocjonalny zamęt, jaki wzbudziła we mnie Sara, w końcu ucichnie, jeśli się postaram. To tylko kwestia samokontroli.

W moim życiu panuje idealna harmonia. Mam żonę, którą kocham i której pożądam, trzy ładne, zdrowe córki, pracę, która daje mi satys-

fakcję i pieniądze, duży dom na malowniczej angielskiej prowincji. Jestem naprawdę szczęśliwy.

Mimo to, ni z tego ni z owego, w moim życiu pojawiła się nagle ta młoda kobieta, niczym ciśnięty znieścacka seksualny granat.

Śpię niespokojnie, a rano jestem przykry dla dzieci i niekomunikatywny wobec Mal. Kiedy posyła mnie bez sensu do Salisbury po czerwoną krepinę, zachodzę do jednego z tych snobistycznych sklepów, gdzie ubrania są przypięte kajdankami do stojaków rozstawionych na pokrytej popiołem podłodze, i kupuję żonie drogi brunatny kożuszek, do jakiego ona sama nigdy by się nie przymierzyła nawet w myśli. Ale czy orgia świątecznych zakupów zdoła zagłuszyć moje wyrzuty sumienia?

W poniedziałek rano budzę się w bardziej optymistycznym nastroju. Sara jest pewnym zagrożeniem - albo byłaby, gdyby istniało choćby śladowe niebezpieczeństwo wzajemności z jej strony. Ale nawet gdyby, to nie mam zamiaru się poddawać. Ślubowałem mojej żonie przed Bogiem i nie zamierzam złamać tej przysięgi, ani teraz, ani kiedykolwiek indziej.

Jak ja nie cierpię tego nowoczesnego eufemizmu: „to było nieuniknione"! Wierzę w słowa Beniamina Franklina: „Nic nie jest nieuniknione oprócz śmierci i podatków”. A już na pewno można uniknąć niewierności.

Od czterech tygodni uciekam od Sary, staram się jak najmniej kontaktować z nią w pracy i nigdy nie być z nią sam na sam. Choć technicznie ta metoda okazała się skuteczna - nie ma okazji do ukradkowych spojrzeń w typie Fishera i „przypadkowego” fizycznego kontaktu na schodach - zmieniła mnie we wrzącą lawę hormonów i młodzieńczego podminowania.

Skoro unikanie tylko podsycy ogień, potrzebna jest zmiana taktyki. W tej chwili nie mogę uciec od Sary, stanę więc z otwartą przyłbicą i rozwiążę problem raz na zawsze. Czego ja się właściwie boję? Przecież nic się nie wydarzy. Przebywanie przez jakiś czas blisko siebie na pewno przełamie tę gorączkę i będę mógł wrócić do mojego wygodnego, niezależnego żadnymi troskami rodzinnego życia.

Naprawdę chcę, żeby tak się stało; nieustanna erekcja sprawia, że trudno mi się skoncentrować na czymkolwiek poza chronicznym bólem jąder.

Jedziemy z Sarą do Manchesteru osobno, bo z różnych kierunków. Samotna podróż pociągami nieoczekiwanie okazuje się bardzo przyjemna:

spędzam ją na przeglądaniu notatek do sprawy i utwierdzaniu się w moim postanowieniu. Zanim docieram do hotelu Piccadilly w centrum miasta, uświadamiam sobie, że zupełnie bez potrzeby nadałem całej tej historii z Sarą aż takie znaczenie. Który mężczyzna w wieku czterdziestu paru lat, żonaty czy nie, nie byłby nawiedzany przez erotyczne myśli, kiedy w jego biurze pojawia się ponętna młoda laseczka? Nie ma co wpadać w panikę, że się jest moralnym degeneratem, tylko wspomnieć z tęsknotą własną młodość, westchnąć w duchu, że już nie wróci, a napalonym szczeniakom wodzącym za nią pełnym nadziei wzrokiem życzyć wszystkiego najlepszego. To nie grzech odczuwać pokusę, grzechem jest się jej poddać. A ja mam i tak więcej szczęścia niż inni faceci: czeka na mnie w domu piękna i seksowna żona.

Nie przeczę, że Sara wzbudziła we mnie erotyczne odczucia, ale to niekoniecznie musi być złe. To po prostu kwestia ich przekierowania.

Z upływem lat nauczyłem się od moich klientów, że dla większości małżeństw znacznie poważniejszym zagrożeniem niż błysk zgrabnego kolana czy odsłaniająca nagi brzuch bluzka jest nuda. Łatwo osunąć się bezwolnie w czyhający za węglem wiek średni, gdzie seks jest limitowany do weekendów, a w rocznicę ślubu wpada się do lokalnej włoskiej knajpki na szybką przegryzkę, żeby wrócić w porę do domu na *Morderstwa w Midsummer* i wczesne lulu. Być może potrzebowałem takiego szturchańca, żeby sobie przypomnieć, że mam dopiero czterdzieści trzy lata; jeszcze nie pora na ciepłe kapcie i kubek kakao przed snem. Kurczę, przecież wciąż mam własne zęby i włosy! Mam gdzieś nawet dżinsy. Może powinniśmy wyjechać gdzieś z Mal na weekend, a dzieci zostawić z jej matką?

Cała sprawa z Sarą zniknie równie szybko, jak się pojawiła, gdy tylko rozprawię się z moimi idiotycznymi uczuciami. Już nie mogę się doczekać najbliższych paru dni. Jaka to będzie ulga podjąć wyzwanie i przywrócić sprawom właściwą perspektywę, mieć je na powrót pod kontrolą.

Melduję się i zostawiam w recepcji wiadomość dla Sary, żeby zadzwoniła, kiedy przyjedzie, po czym idę do pokoju, aby wziąć prysznic i się odświeżyć. Rozmawiam z biurem w Londynie i miejscowym adwokatem, który prowadzi tu naszą sprawę, po czym dzwonię do Mal.

- Żałuj, że nie słyszałeś występu Evie - mówi moja żona.

- O Chryste, był jakiś występ? Przepraszam, na śmierć zapomniałem. ..

- Spokojnie, chodziło mi o to, że powinieneś usłyszeć jej pracę domową z historii biblijnej - łagodzi pośpiesznie. - Od lat się tak nie uśmiełam.

Przytrzymuję słuchawkę ramieniem i zaczynam rozsznurowywać buty.

- W takim razie dawaj.

- „Mojżesz - czyta Mal - poprowadził Hebrajczyków nad Morze Czerwone, gdzie upiekli przaśny chleb. Przaśny chleb to jest chleb bez żadnych składników. Potem wszedł na górę Synaj, gdzie dostał dziesięciu komandosów. Umarł, zanim dotarli do Kanady, ale komandosom się udało”*.

Parskam śmiechem.

- Poczekaj, będzie jeszcze lepiej - chichocze Mal. - „Starożytny Egipt był stary. Mieszkali w nim Cyganie i mumie, którzy wszystko pisali hydraulikami. Mieszkali na pustyni, która nazywa się Sara. Klimat Sary jest taki, że wszyscy mieszkańcy muszą mieszkać gdzie indziej”.

Przez usta dzieci...

- Niemożliwe, nie mogła tak napisać! - wykrzykuje.

- Napisała. Mam to przed sobą. Nie mogę się już doczekać ferii, w drugim semestrze będą się uczyć historii średniowiecza.

Kiedy wreszcie kończę rozmowę, stwierdzam, że w czasie gdy dyskutowałem z moją średnią córką na temat egiptologii, Sara zostawiła mi wiadomość w poczcie głosowej. Na dworze panuje ziąb, a że tydzień przed świętami nie zamierzam współzawodniczyć z naszymi biurowymi lowelasami, jeśli chodzi o taksówki, chętnie przystaję na jej propozycję, żebyśmy się spotkali w hotelowej restauracji i omówili jutrzejszą sprawę przy kolacji. A poza tym trzeba przecież coś zjeść.

Kwadrans później, dokładnie za dwie ósma, stoję uzbrojony w plik akt w hotelowym holu i rozglądam się za koleżanką.

O jasny gwint. Wpadłem. I to jeszcze jak.

Czeka przy wejściu do restauracji i zwrócona do mnie tyłem, rozmawia z szefem sali. Jej posagowe kształty okrywa czarna sukienka z miękkiej wełny, która w niewyjaśniony sposób jest zarazem i opływowa,

* Gra słów: *commandments* — *commandos*. *Commandment* to po angielsku przykazanie. Kanadę w czasie nasilonej emigracji nazywano czasem ziemią obiecaną (przyp. tłum.).

i obcisła, uwydatniając każdą ponętą krągłość. Sięga skromnie kolan, ale na nogach Sara ma czarne pończochy ze szwem i szkarłatne pantofle na wysokim obcasie. Nie potrafię powiedzieć, czy te pantofle psują całość, czy ją nadzwyczajnie upiększają. Pewnie trzeba być kobietą, żeby to ocenić.

Uświadamiam sobie, że stoję z otwartymi ustami, więc je zamykam. Przyciskając akta do twardego niczym drąg członka, biorę głęboki oddech i ruszam naprzód. Jesteśmy tu w sprawach zawodowych. Poza tym nic nas nie łączy.

O Boże.

Słyszając moje kroki, Sara odwraca się z uśmiechem.

- Super. Dostałeś moją wiadomość.

Głęboki dekolt w kształcie litery V hojnie odsłania ozłocony przedziałek. Spoczywa na nim malutkie srebrne serduszko na łańcuszku. Ciekawe, czy jest ciepłe od jej ciała... A może dopiero co je założyła i wciąż jeszcze jest chłodne w dotyku?

Wacek staje mi jeszcze bardziej i po raz pierwszy od czasu, kiedy miałem piętnaście lat, obawiam się, że spuszczę się w spodnie.

- ...odpowiadają ci miejsca w niszy, Nick?

Kiwam tępo głową. Kelner prowadzi nas do stolika i przez chwilę zajmują nas manipulacje przy serwetkach, kartach dań, paluszkach i tym podobne. Robię miejsce na stole i kładę stos teczek, wznosząc w ten sposób między nami ochronny wał. To jedyny sposób, żebym odebrał oczy od jej piersi.

Zapada cisza. Niezręcznie odchrząkuję i z wojskową precyzją wyrównuję leżącą przede mną stertę.

- A więc... hm... wychodzisz gdzieś później?

Rzuca mi dziwne spojrzenie.

- Nie, dlaczego?

Dziewczyny są teraz inne: ubierają się dla siebie samych. Reakcja fizyczna, jaką wzbudzają w nieszczęsnych facetach, to po prostu skutek uboczny.

Ujmuje w dwa palce chlebowy paluszek i wkłada go do ust. Mentalnie wyobrażam sobie, że te różowe wargi obejmują mojego pulującego ptaka. Ponuro zakładam nogę na nogę i zaczynam powtarzać w pamięci tabliczkę mnożenia.

Do przedziałka wpada jej okruszek chleba. Niedbałe zwilża językiem koniec palca i sięga między piersi, żeby go usunąć. Sześć razy osiem jest czterdzieści osiem...

- Czy mamy jakieś wiadomości od strony przeciwnej? - pyta, podnosząc wzrok.

- Oficjalnie nie - mówię, z ulgą łapiąc tę konwersacyjną linię ratunkową. - Ale nasz mecenas, Roger, występował w piątek w sądzie w innej sprawie przeciwko Sandrze Reizen, która reprezentuje żonę w naszym przypadku. Sandra nie komentowała niczego wprost, rzecz jasna, ale z tego, co mówiła, Roger odniósł wrażenie, że zamierza odwieść żonę od pomysłu kierowania sprawy do sądu.

- Ciekawe. Myślisz, że żona się zgodzi?

- Nie można tego wykluczyć...

Przez kolejne pół godziny rozmawiamy o sprawie; bezpieczny na neutralnym terytorium kwestii prawnych i po dwu szybkich kieliszkach szkockiej, pozwalam sobie w końcu na odrobinę rozluźnienia. Nie ma wątpliwości, że ta kobieta działa na mnie piorunująco w sensie fizycznym, ale interesują ją wyłącznie sprawy zawodowe; jest energiczna, rzeczowa i uświadamiam sobie z ulgą, że choćby nie wiem jak daleko sięgały moje fantazje, pozostają wyłącznie fantazjami. Nieodwzajemniony szczenięcy zapał nie może być zagrożeniem dla niczyjego małżeństwa.

Przegląda listę win i zamawia do kolacji butelkę wcale przyzwoitego, ale niedrogiego. Jestem pod wrażeniem zarówno jej towarzyskiego wyrobienia, jak i smaku. Nie mam pewności, czy podobałoby mi się, gdyby kobieta zawsze przejmowała odpowiedzialność za tego typu decyzje, ale to z pewnością interesująca odmiana.

Podczas posiłku - ja zamówiłem jagnięce kotlety, ona filet z okonia - zakres tematów rozszerza się na kwestie zawodu prawnika w ogóle, a naszej firmy w szczególności; pozwala sobie na przejawienie lekko zaprawionej rozbawieniem pobłażliwości, gdy mowa o Fisherze i Davi-dzie, ale poza tym jest nienagannie dyskretna.

Prawdę mówiąc, gadam chyba wyłącznie ja; ale jak to miło mieć przychylne audytorium, które niemal spija człowiekowi z ust każde słowo. Zwłaszcza gdy audytorium jest tak młodziutkie. I atrakcyjne.

Ledwie tyka zamówionego dania. Dziwi mnie to: nie wygląda na niejadka. Wolę, jeśli kobieta zajada z apetytem; to przejaw radości życia.

- Wszystko w porządku? - pytam. — Możemy zamówić coś innego, jeśli to ci nie odpowiada...

- Nie, nie, jest pyszne. Po prostu nie jestem specjalnie głodna. Pewnie zjadłam za dużo paluszków. - Odchyła się na oparcie i uśmiecha - oślepiająco - gdy kelner napełnia nam kieliszki. - Powiedz mi, Nick, jak długo jesteś u Fishera?

- O Boże... Chwileczkę. Dołączyłem do nich tuż po trzydziestych urodzinach, a zatem to już trzynaste... nie, tej zimy upłynie czternaście lat.

Przegląda mi się przez chwilę z uwagą szarymi oczami.

- Dopiero co oceniłam cię na jakieś trzydzieści pięć lat. Góra. Choć gdybym się zastanowiła, domyśliłabym się, że musisz być starszy, skoro zdążyłeś zapracować na taką reputację.

- Reputację?

- Słuchaj, to ty jesteś głównym powodem, dla którego złożyłam aplikację do firmy - mówi szczerze. - Wciąż słyszałam twoje nazwisko, no i oczywiście występowałeś w paru głośnych sprawach. Wiem, że raczej nie mówi się takich rzeczy, ale pomyślałam, że nie ma lepszej praktyki niż praca z tobą.

Czuję się pochlebiony. Śmieszne.

- To strasznie miło z twojej strony, ale...

- Nie w tym rzecz, czy to miłe, czy nie. To prawda, Nick.

Nikt nigdy nie zwracał się do mnie per Nick. Nawet w szkole wszyscy mówili Nicholas. Chyba podoba mi się to zdrobnienie; brzmi młodo, mniej statecznie, mniej dętwo.

Odsuwa nietknięty talerz i nachyla się ku mnie. Dzięki Bogu, że dzieli nas stos akt, w przeciwnym razie zjrziałbym jej w dekolt aż do pępka.

- Sprawa Hopewellów na zawsze zmieniła prawo rozwodowe w tym kraju - mówi. - Nigdy wcześniej żona nie dostała jednej trzeciej przyszłych zarobków męża. Zdawałeś sobie sprawę, kiedy się do tego zabierałeś, że stwarzasz istotny precedens?

- Cóż, przypadek był nad wyraz interesujący z paru powodów to bardzo przenikliwe z twojej strony, że...

Kelner przerywa nam, pytając, czy mamy ochotę na kawę.

- Ja chętnie - mówi Sara. - Napijmy się przy barze, Nick, zróbmy sobie mały czilaucik. A może odrobina koniaku?

Czilaucik... Boże, ona mówi innym językiem.

Mam już na dzisiaj dość jakichkolwiek drinków. Powinienem wrócić na górę, przejrzeć raz jeszcze notatki do sprawy i wypaść się przed jutrzejszym dniem.

Mimo to idę w ślad za kołyszącymi się biodrami Sary - pięć razy osiem jest czterdzieści - ku dwóm starannie podniszczonym skórzanym fotelom w kącie mrocznego baru, zwróconym do siebie pod prawidłowym kątem. Kładę teczkę z aktami na stoliku obok, a Sara zrzuca czerwone szpilki typu „przeleć mnie” i siada, podwijając pod siebie nogi. Opiera głowę na dłoni, a drugą rękę przrzucza przez oparcie, przypadkowo odsłaniając piersi w czarnym koronkowym biustonoszu. Oczy mi o mało nie wyłażą z orbit. Głowę bym dał, że widzę przeświecający ciemny róż brodawek...

- Sprawa Hopewellów - przypomina.

Znowu ratuje mnie jej nastawienie na sprawy zawodowe. Poprawiam się w fotelu i odmieniam w myśli łacińskie czasowniki, bo tabliczka mnożenia przestała działać.

Jej srebrzyste oczy połyskują zainteresowaniem, kiedy relacjonuję szczegóły tego skomplikowanego przypadku. Przyjemnie podyskutować o sprawach zawodowych z kimś, kogo to naprawdę interesuje i kto się na tym zna. Nie mogę zarzucić Mal, że nie obchodzi jej moja praca; zawsze chętnie słucha, gdy opowiadam jej o prowadzonych sprawach, ale tylko koleżanka prawniczka potrafi w pełni zrozumieć i ocenić wszystkie techniczne niuansy. I na odwrót: uwielbiam zupę Mal z młodego zielonego groszku i pożeram ją z rozkoszą, ale genyza domowego rosółu z kurczaka, który stanowi jej kulinarną bazę, nie jest dla mnie najbardziej atrakcyjnym przedmiotem konwersacji.

- Zawsze chciałeś się zajmować prawem rozwodowym? - pyta Sara, gdy w końcu zapada między nami chwila nieskrępowanej, przyjaznej ciszy.

Patrzę, jak porusza kieliszkiem, zahipnotyzowany zmysłowością tego gestu. Bursztynowy świetlisty płyn, przefiltrowany przez kryształ, rzuca złociste błyski na jej twarz, wydobywając z blond czupryny ciemniejsze, brunatne pasemka.

- W zasadzie tak. Przez moment chodziło mi po głowie prawo korporacyjne i podatkowe...

- Wiem. - Sara wybucha śmiechem, który rezonuje w moich spodniach. - To wszystkim nam choć przez chwilę chodzi po głowie.

Odwzajemniam uśmiech. Mimo potwornego seksualnego napięcia - jądra bolą mnie jak chyba jeszcze nigdy - czuję się zaskakująco rozluźniony; niewątpliwie na skutek niemałej, uświadamiam sobie, ilości wypitego alkoholu, ale także w efekcie jej relaksującego, przyjaznego towarzystwa. Sprytnie podporządkowała mi się i pozwoliła, żebym gadał przez cały wieczór - nie jestem przecież całkiem naiwny - ale samo to podporządkowanie jest dla mnie raczej pochlebne. I naprawdę bardzo miło się z nią rozmawia. Tak jak nadzwyczaj miło jest na nią patrzeć.

Poluzowuję krawat i mechanizmy obronne i z westchnieniem zadowolonia rozpieram się w fotelu.

- Czasami żałowałem, że się nie sprzedałem - przyznaję. - Zwłaszcza kiedy zbliżał się kolejny termin opłaty za studia.

- Fajnie, że tego nie zrobiłeś. Inaczej nie miałabym szansy pracować z tobą.

- Cóż, to bardzo miłe, ale...

- Mówiłam ci już, Nick - dotyka lekko mojego przedramienia - że to z twojego powodu przysłałam do firmy.

Jakoś nie cofa ręki. Wiem, że to ja powinienem cofnąć swoją. Powinienem podziękować jej za miły wieczór, zebrać teczkę z aktami i pójść na górę. Sam.

Nie ruszam się.

Mijają sekundy. Ostro, wyraziście uświadamiam sobie dotyk jej ręki na moim przedramieniu, to, że zaledwie parę milimetrów bawełnianej tkaniny dzieli jej skórę od mojej. Uczucie rozluźnienia sprzed paru chwil jest już tylko odległym wspomnieniem. Mój ptak jest twardy jak skała.

Czuję przemożne pragnienie, żeby chwycić tę kobietę - tak różną od mojej żony - w ramiona, wpić się ustami w jej lśniące, uległe, różowe usta, wtulić twarz w obfite piersi i pogрузić się w jej ciepłym, wilgotnym wnętrzu. Chcę się w niej zatracić, robić z nią rzeczy, które wstydę się nawet nazwać.

Patrzy mi w oczy. Widzę w nich przyzwolenie.

- To co, Nick - mówi bardzo cicho, a jej głos jest intymny jak szelst pościeli - pójdziemy na górę na małego drinka przed snem?

Sara

Słowa pulsują w powietrzu pomiędzy nami. No, Nick, ponaglam go w myśli, no, powiedz tak, powiedz tak, wiesz przecież, że tego chcesz!

Te jego nijakie, a jednak pościelowe oczy najwyraźniej widzą mnie nagą w łożu z baldachimem, leżącą na wznak i przysypaną płatkami róż a la Mena Suvari, ale wygląda na to, że na autostradzie informacyjnej łączącej mózg ze strunami głosowymi trwają roboty drogowe. Boże, Nick, czy to naprawdę takie trudne? Czy gdybym wyłożyła się na półmisku Royal Doułton, posypana zieloną pietruszką, mogłabym zaferować ci bara-bara w sposób bardziej oczywisty?

Jeśli jeszcze trochę będę musiała utrzymywać na twarzy ten swobodny, zachęcający uśmiech, to chyba zwichnę sobie szczękę. Cholera, nigdy bym nie pomyślała, że aż tak mi zależy, by powiedział „tak”.

Zwilżam lekko wargi językiem i nie umyka mojej uwagi gwałtowne drżenie w tych jego spodniach w prażki. Nie wiem, czy kij, który ma w tyłku, działa jakoś na prostatę, ale ten sztywny, zahamowany wychowanek prywatnej szkoły, którego ulubioną pozycją jest zapewne „po bożemu”, jakimś cudem jest także najbardziej seksownym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam. Tylko sobie tego jeszcze nie uświadamiam.

I to ja chcę być kobietą, która mu to pokaże.

Amy uważa to za historię, że tak mnie podnieca żonaty szef. Nie mogę mieć jej tego za złe, biorąc pod uwagę, ile się nagderałam na temat jej romansu z Terrym. Różnica polega jednak na tym, że ja wiem, co robię, a co ważniejsze, wiem, jak to się skończy, nawet w tej chwili,

zanim się jeszcze zaczęło. Zwłaszcza zanim się jeszcze zaczęło. Pożyczasz na chwilę zabawkę od innej dziewczynki, a jak ci się znudzi, oddajesz ją z powrotem. W tej grze nie ma fantów.

Chcę go tylko wypożyczyć, odpowiadam cichutkiemu wewnętrznemu głosowi, który kłuje mnie lekko w sumienie. Nikogo nie skrzywdzę. Nikt się nawet nie dowie.

Nachylam się, żeby podnieść torbę, częstując Nicka jeszcze jednym kuszącym błyskiem cycków, i rzucam mu rozbawione spojrzenie: idziemy? Nie odważam się znowu go dotknąć, choć mam na to wielką ochotę. Jeden fałszywy ruch i ucieknie gdzie pieprz rośnie.

Z nerwów i podniecenia aż skręca mnie w środku. Majtki mam mokre, wibracja w brzuchu sięga palców u nóg. Powiedz tak, powiedz tak, powiedz tak...

Powiedzmy sobie szczerze: nie znalazłabym się w takim kłopotcie, gdyby próby dobierania się do niego nie były początkowo takie zabawne. Śmieszne było, kiedy wystrzelał z pokoju jak z procy za każdym razem, gdy wchodziłam, albo gdy szedł po schodach cztery piętra, kiedy pojawiałam się przy windzie - nic dziwnego, że schudł. Ale od jakiegoś czasu przestało mnie to bawić. Naprawdę lubię Nicka i chcę, żeby on polubił mnie. A jak może mnie kiedykolwiek polubić, skoro ucieka, zanim skończę mówić „cześć”?

Muszę przyznać, że nigdy żaden facet nie zalał mi tak za skórę, i wcale nie jestem pewna, czy mi się to podoba. Bóg raczy wiedzieć, co takiego ma w sobie Nick, co tak klika w moją myszkę.

Na gruncie zawodowym jest pewny siebie, przebojowy, nawet arogancki. Byłam świadkiem, jak wyciska z prawników reprezentujących stronę przeciwną ustępstwa, po których klientki chętnie oprawiłyby jego portret w złote ramy - a po tym, jak Nick załatwił ich eksów, mogą sobie nawet na to pozwolić. Co więcej, wie, że jest dobry; i to właśnie jest takie rajcowne. Kiedy się rozkręci i prze do przodu jak burza, prawie że sama się go boję. To ta jego moc tak na mnie działa. Efektowny starszy mężczyzna u szczytu swoich możliwości, śmiały, pełen brawury - jejku, trudno się dziwić, że człowiek sika po nogach.

Ale oprócz tego jest inny Nick, beznadziejnie nieśmiały wobec kobiet, zupełnie jakby nie miał pojęcia, co się robi w sypialni. Potrafi się nawet czerwienić!

No i oczywiście stanowi dla mnie owoc zakazany. Totalnie i bezwarunkowo. Żonaty, dzieciaty, znacznie starszy, a na dodatek mój szef!

Oj, nie jest to dobra kombinacja. Ale co robić.

Chętnie ucałowałamby tego zboka Fishera za prezent, jaki mi zrobił tym Manchesterem, tylko że wtedy już by się ode mnie nie odczepił. Wreszcie jakaś szansa, żeby się podrapać w to swędzące miejsce. Więc zaszalałam. Sukienka od Donny Karan kosztowała mnie miesięczną pensję - jeśli ten słodziak Nick myśli, że jeszcze kiedyś ją włożę, to się grubo myli - ale cel uświęca środki. Pożyczyłam od Amy czerwone szpilki od Jimmiego Choo; o dwa numery za małe, ale w XXI wieku brzydkie siostry o dużych stopach też mają prawo iść na bal, a co. Sukienka i pantofle zrobiły swoje - z niejaką pomocą ze strony stanika typu push-up - ale z Nicka jest ciapa-gigant, nie zacznie flirtu pierwszorzędu, żeby nie narazić na szwank swojej cnoty. Wszystko było na mojej głowie: to ja musiałam wyciągnąć go z pokoju, skłonić, żeby mówił o sobie, sprowadzać rozmowę na bezpieczne tematy, kiedy zaczynał się denerwować, a potem wytrącić mu grunt spod nóg za pomocą starego, ale niezawodnego numeru z okruszkiem w dekolcie. (Ten okruszek to niemal jedyne moje pożywienie tego wieczoru. Głodna jestem jak cholera, ale nie chcę jeść za wiele, boby go mogło odrzucić. Mężczyźni nie cierpią żarłocznych kobiet).

Okej, wszystko to antyfeministyczny chłam rodem z poradnika *Jak zdobyć mężczyznę*, ale spójrzmy prawdzie w oczy: tak to już jest z facetami. Później mogę go olśnić moim intelektem i fascynacją skomplikowanymi przypadkami procesowymi. Droga do serca mężczyzny prowadzi przez jego ego via ptak; i po to właśnie cały ten dzisiejszy wieczór.

Pytanie tylko, czy mi się udało.

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Ponieważ wygląda na to, że kompletnie zaniemówił, wstaje, rzucając tym samym sypialniczną rękawicę w sposób ostateczny i jednoznaczny.

Zrób coś, Nick. Patrz, już stoję, a tu przeciąg jak diabli...

Alleluja! On też wstaje.

- Myślę - mówi z wahaniem - myślę...

I w tej chwili dzwoni jego komórka.

Szlag by to. Tylko nie żona, proszę, tylko nie żona. Teraz, kiedy jestem tak blisko?

- Dobry wieczór, George... Nie, skąd, absolutnie nie jest za późno... Wainwright - mówi do mnie bezgłośnie, samymi ustami, i znowu oddycham z ulgą. Nasz klient. Jest już prawie północ, ale trudno mieć za złe człowiekowi, że się denerwuje; chodzi o całą jego przyszłość. - W czym mogę ci pomóc? Oczywiście, dawaj...

To tylko standardowy, podręcznikowy przypadek przedrozwodowej paniki na pięć przed dwunastą; a jednak kiedy dziesięć minut później Nick kończy rozmowę, momentalnie dociera do mnie, że go straciłam. Ramiona ma sztywno wyprostowane, w oczach opuszczone żaluje. Chodzi nie tylko o to, że nastrój chwili minął; chodzi o to, że stanął przez moment twarzą w twarz z Duchem Rozwodowej Przyszłości - cała ta walka o dzieci, alimenty, wynajmowane pokoje, zupy z torebek - i spietrał się na amen. Jasne, traktuje tę rozmowę jako znak, przypomnienie w samą porę, co ma do stracenia. Pieprzę, pieprzę, pieprzę!

A raczej wręcz przeciwnie.

No cóż, pięknie. Uroczę rodzinne święta z mamusią i tatusiem, bogaty wybór wujów, ciotek i kuzynów, rozmaici znajomi i sąsiedzi, którzy chętnie przychodzą najeść się za friko, a także - zstąpiłam w piekło Bridget Jones - męskie latorośle ich wszystkich razem wziętych, które mogą stanowić „dobrą partię”; no i oczywiście pastor. Który nosi miniówkę w łączkę od Laury Ashley, przy czym występkiem ten tylko częściowo łagodzi fakt, że jest bądź co bądź kobietą. A w każdym razie tak się nam mówi. Trochę trudno to wytłumaczyć.

Jedyne, czego mi w tej chwili potrzeba, to Colin Firth w ręcznie dzierganym norweskim swetrze w choinki i ptaszki. Plus jakiś porządny...

- Saro, kochanie, jesteś! W porządku, Muriel, znalazłam ją, jest koło pasztecików. Coś ci upadło, kochanie? Prawie cię nie widać za tą kanapą. Nie? W takim razie wyłaź!

- Przepraszam, Pearl, właściwie to szłam akurat do...

- Dla ciebie jestem ciocia Pearl, moja mała dorosła panno!

Ciocia-babcia, gdybym chciała być złośliwa.

Uśmiecham się słabo.

- Przepraszam, ja...

Zamyka mnie w uścisku cuchnącym kulkami na mole i menopauzą.

- Nie jesteś chyba za duża, żeby dać wreszcie ciocie buziaka, mam nadzieję? O tak, grzeczna dziewczynka. Och, kochanie, jakie ty masz krótkie włosy! Wyglądasz jak chłopak. Twoja mama powinna była mnie uprzedzić! No nic, odrosną. No, przestań się kulić w tym kącie, chodź, przywitaj się z innymi. Coś ty taka nieśmiała?

Prawdę mówiąc, właśnie konieczność przywitania się z innymi jest powodem, dla którego kulę się w kącie, i słowo daję, nie ma to nic wspólnego z nieśmiałością. Na chłopcach w tym pokoju ostrzyłam sobie zęby, a że większość z nich albo a) popatruje na mnie wrogo, albo b) z rozmysłem mnie unika, przypuszczam, że dotąd noszą blizny po ukąszeniach.

Moja matka organizuje świąteczne wieczorki od czasów, kiedy jeszcze wierzyłam, że staruch w czerwonej piżamie wślizgujący się w noc z prezentami do twojej sypialni jest okej. Łączą one w sobie jej dwa ulubione rodzaje zajęć: imponowanie (ubogim krewnym) i towarzyski awans (dzięki zamożnym sąsiadom). Dostarczają jej także doskonałego pretekstu, żeby co roku w styczniu wymienić dywan na nowy ze względu na plamy po winie.

Bóg raczy wiedzieć, jak mój ojciec z tym wytrzymuje. Biedny tato. Nie cierpi przyjęć. Zwykle, jak tylko Jej Królewska Wysokość wygłosi mowę do narodu, wymyka się z wujkiem Dennym do szklarni, gdzie spędzają miłe popołudnie, śliniąc się nad świerszczykami, które tatuś przechowuje w plastikowej torbie pod folią do ogórków. Brawo, tato! Choć magazyn „Busty Beauties” budzi niejakie wątpliwości. Niektóre z tych dziewczyn doprawdy sprawiają wrażenie zdeformowanych.

Co roku na Boże Narodzenie schodzą się ci sami podejrzani z salaterkami deseru owocowo-biszkoptowego własnej roboty i ohydnyimi doniczkami poinsejji (co to jest z tymi paskudnymi minitryfidami?), plus lub minus świeżo narodzony potomek albo świeżo zmarła babunia, zależy z którą końcówką spirali życia mamy akurat do czynienia. Co oznacza, że przez wszystkie te lata kolejno grałam w gry planszowe, bawiłam się w doktora i pielęgniarkę, grałam w monopol, w PlayStation, w oczko, po czym znowu bawiłam się w doktora i pielęgniarkę, cały czas z tym samym zestawem kuzynów i synów sąsiadek. Faktem jest, że z racji skrajnego lenistwa z większością z nich umawiałam się prędzej czy później na randki, przy czym okres spotykania się wynosił od jednej

godziny do jednego roku. Te świąteczne zgromadzenia to upiorna ekshumacja ofiar moich miłosnych zderzeń czołowych.

Pierwszy był Gareth, który przy każdym spotkaniu z moimi rodzicami całował się z tatą i ścisnął dłoń mamie. Był trochę dziwny, prawdę mówiąc. Kiedy mu powiedziałam, że uwielbiam małe kotki, zabrał mnie do zoo, żeby mi pokazać lwiatko. A jak strzygł trawnik, to jeździł kosiarzką zygzakiem.

Mark miał nozdrza jeszcze mniejsze niż ja. Nasze dzieci miałyby chyba skrzelą. Rzuciłam go czterdzieści minut po naszym pierwszym łębokim pocałunku, zanim któreś z nas zdążyło się udusić.

Kuzyn Jonathan był - i jest nadal - najprzystojniejszym facetem, z jakim się spotykałam; taki trochę grzeczniejszy Jude Law. Spotykaliśmy się trzy tygodnie, po czym wyjawiał, że jest gejem. Powinnam się była domyślić już wtedy, kiedy zapisałam nas oboje na kurs tańca, a on spytał, czy mają w ofercie także taniec baletowy.

Daryl był słodki. Ale tępy. Powiedziałam mu, że potrzebuję więcej przestrzeni, a on zrobił wiosenne porządki w mojej garderobie.

No i był jeszcze Andrew. Kobiety mają tuzin mentalnych kanałów i potrafią utrzymać myśli w ramach każdego z nich oddzielnie. Andrew miał tylko dwa. Pierwszy: „Chcę się bzykać”. A drugi: „Zjadłbym coś”. Nierzadko funkcjonowały równocześnie, co dawało dość przyjemny efekt.

Spotykałam się z nim prawie rok wyłącznie ze względu na seks. Było niesamowicie. Z tą stroną naszego związku nie mieliśmy żadnych problemów. Niestety, inne strony nie istniały. Z Andrew wszystko było bardzo proste. Kiedy mówił: „Masz piękne oczy”, oznaczało to: bzyknijmy się. Kiedy mówił, że mam ładny uśmiech, oznaczało to: bzyknijmy się. Nie trzeba mieć doktoratu, żeby po mistrzowsku opanować ten dialekt.

Kłopot polegał na tym, że Andrew nie wierzył w zasadę ograniczania liczebności klasy. Ja potrzebowałam jednego mężczyzny, który zaspokończyłby wszystkie moje potrzeby. Andrew potrzebował wielu kobiet, które zaspokończyłyby jedyną jego potrzebę.

Domyślałam się - z nadanego *sotto voce* programu sponsorowanego cioci Pearl, informującego, że po drugim rozwodzie w wieku trzydziestu jeden lat Andrew jest znowu do wzięcia, „a więc nie jest za późno, Kochanie” - że nie zmienił się w ciągu tych sześciu lat, odkąd przytapa-

łam go, jak uczył lingwistyki siedemnastoletnią córkę mieszkającą po sąsiedzku pani Newcombe w łóżku moich rodziców.

Jak się rozejrzeć, wygląda na to, że niezła ze mnie maszyna. Ale tak naprawdę liczba moich podbojów jest w sumie dosyć skromna. Nie moja wina, że w chwili obecnej trzy czwarte moich ekspartnerów przebywa w tym pomieszczeniu.

O Boże... Jeszcze Martin. Zapomniałam o Martinie. A bynajmniej nie było to łatwe.

Gdyby w angielskich szkołach, tak jak w Ameryce, wydawano co roku księgę pamiątkową, Martin zyskałby w niej pierwsze miejsce w plebiscycie na tego, Kto Ma Największą Szansę Umrzeć Samotnie. Powiem tak: gdyby Martin się palił, ja bym piekła na ogniu pianki cukrowe.

- O, czeeeść - mówi Martin do mojego biustu.

Przyjemne okulary, Martin. Podoba mi się zwłaszcza to sklejenie za pomocą taśmy samoprzylepnej w stylu *Gwiazdnych wojen*. Dobra robota.

- Sorry, właśnie wychodzę...

- Wychodzisz? Myślałem, że będziesz cały wieczór?

Wymuję z dekoltu na wpół przeżuty kawałeczek pieczonego kurczaka, który właśnie wyleciał mu spomiędzy wilgotnych warg. Tym razem nie chodzi mi o efekt erotyczny, słowo daję.

- Będę, ale... eee... muszę coś sprawdzić w kancelarii, a moja komórka nie ma zasięgu... muszę wyjść na dwór.

- W święta? To kancelaria nie jest zamknięta?

- Jest, ale... mam dyżur adwokacki. W święta jest dużo rozwodów.

Cały ten rodzinny klimat... A do tego przedzienie. To często działa jak samowyzwalacz.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia. Wiesz co, musimy pogadać - woła za mną, gdy rejteruję w kierunku tylnych drzwi. - Może byśmy spróbowali jeszcze raz, Hm? Hm?

Jeszcze raz? To między nami coś było? Nie przypominam sobie. Gnojek musiał mi chyba podrzucić pigułkę gwałtu.

Jestem już w ogródku na tyłach domu, kiedy dociera do mnie, że przecież jest koniec grudnia, a ja mam na sobie tylko jedwabny dżersej plus przylepiony do twarzy uśmiech.

Drżąc, przysiadam na kamiennej ławeczce obok „wodnego elementu” mojej matki - ohydneho głazu tryskającego wodą z każdego otworu,

który jeszcze nie zamarzył na kamień. Cholerny program *Twój ogród*, to wszystko przez nich. Matce nie trzeba było powtarzać dwa razy. A te dwumetrowe nagusy z brązu, pożał się Boże... Nie powinniśmy byli jej puścić na wystawę kwiatów w Chelsea. Całkiem jakby przenieść starożytny zamek do dzielnicy slumsów.

Przytupuję, żeby krew mi nie zamarzała w żyłach, i chucham w dłonie. Boże, co ja tu robię? Co za pieprzone życie. Mam dwadzieścia sześć lat, pracę, mieszkanie, przyjaciół i znajomych oraz świecę w ciemności wibrator, a spędzam Boże Narodzenie w ogródku rodziców, trzęsąc się z zimna w towarzystwie doborowej reprezentacji pseudoklasyk rzeźb.

Kiedy byłam małą, istniała przynajmniej nadzieja ucieczki. Podawałam półmiski z vol-au-vents z indyka i marzyłam, że kiedyś spędzę Boże Narodzenie na zalanej słońcem złocistej plaży z ogorzałym na brąz Adonisem. Patrzyłam na dwudziestoparoletnie niedołęgi płci obojga, wchodzące do naszego salonu w towarzystwie tatusia i mamusi, i z całą wyższością moich czternastu lat parskałam pogardliwie w duchu: totalna beznadzieja. No i proszę. Gdyby tak można było wyjść za poręczeniem z tego więzienia... W życiu nie całowałabym się z Garethem (Markiem, Jonathanem, Darylem, Andrew, Martinem), gdyby przyszło mi do głowy, że istnieje najłepsze choćby niebezpieczeństwo, że dziesięć lat później dalej będę z nimi puszczać świąteczne petardy.

Było rewelacyjne okno, gdzieś między szesnastym a dwudziestym trzecim czy czwartym rokiem życia, kiedy wszyscy moi znajomi też byli singlami i spędzaliśmy święta na nartach we Francji, na desce surfingowej w Oz czy pieprząc się w Phuket. Nie wyobrażałam sobie, że to się kiedykolwiek skończy. Tymczasem nagle się okazało, że wszyscy są w parach, niektórzy nawet mają dzieci; normalnie w ogóle mnie to nie obchodzi, ale w święta trudno nie zauważyć, że wciąż żyjesz w pojedynkę. Pozostaje ci do wyboru albo porcja gotowego indyka do podgrzania w mikrofalówce i świąteczne wydanie *Only Fools and Horses* w telewizorze, albo powrót do rodzinnego gniazda w stylu pseudotudoriańskim, gdzie w pejzażu dzieciństwa wyglądam równie na miejscu, jak szyta w synagodze.

Zaczyna siąpić. Patrzę z wściekłością na stojący obok posąg z brązu. Masz, Panie Boże, zaiste boskie poczucie humoru. Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło z tym Adonisem. On miał być brązowy od słońca.

Czemu, do kurwy nędzy, ten Nick jest żonaty? I dlaczego, do pioruna, właśnie on musi być jedynym poza moim ojcem mężczyzną na tej planecie, który jest wierny swojej żonie?

Nawet nie próbuję się oszukiwać, że możemy wrócić do tego, co (prawie) było już między nami, kiedy po świętach spółki z o.o. w Zjednoczonym Królestwie znowu zostaną otwarte dla klientów. Sufletu się nie odgrzewa.

Nazajutrz rano Nick zadzwonił do mnie do pokoju i powiedział, że strona przeciwna nieoczekiwanie ustąpiła - „Nic nie szkodzi, Saro, nasza praca nie poszła na marne. *Si vis pacem, para bellum*: chcesz pokoju, szukaj się do wojny” - i jak tylko załatwił niezbędne papierki, wrócił najbliższym pociągiem do domu, do swojej zwariowanej żony, bez wątpienia wdychając z ulgą, że udało mu się wysłiznąć z macek biurowej wszetecznicy. Nawet nie widziałam, jak się wymeldowywał.

W tej chwili pewnie kroi doskonale przyrządzonego, soczystego indyka, siedząc u szczytu uginającego się od jadła stołu, a jego trzy śliczne córeczki w nowych odświętnych sukienkach z zapałem puszczają bożonarodzeniowe petardy. Pod pięknie ubraną choinką (prawdziwą, rzecz jasna) leży stos nierozpakowanych jeszcze prezentów, bo wrażenia są starannie racjonowane, żeby nie przedawkować. Z odtwarzacza hi-fi sączą się cicho łagodne tony *Hark the Herald Angels*. Z boku na szafce czeka butelka Chateau Latour '85. A na piętrze, na jej poduszce leży malutkie aksamitne pudełeczko z... o Boże. Dosyć.

Mżawka zmienia się w ulewę. Martin wciąż czyha na mnie w ogródku skalnym obok kuchni, rzucam się więc biegiem do szklarni. Jest pogrążona w kompletnej ciemności; dopiero po chwili oczy przyzwyczajają się do mroku. Czuć wilgotną ziemię, kompostem i zdechłymi pajakami. Tato jest na przeciwległym końcu, koło półek z doniczkami, więc uśmiechając się w myśli, robię przedstawienie-gigant z wykręcaniem mokrej spódnicy, żeby mieli z wujkiem Dennyem czas na schowanie pornosów.

Ale to nie wujek Denny przesuwają się za chwilę obok mnie, mamrocząc coś z zakłopotaniem.

To Libby, córka pani Newcombe, mieszkającej dwa domy dalej.

- Wyniosła mi po cichu kawałek czekoladowego tortu - tłumaczy tato, wyciągając ku mnie usiany okruciami talerzyk. - Matka znowu każe

mi być na jakiejś diecie... - Dostrzega mój wyraz twarzy i urywa. - Ej, co ty sobie myślisz? Ze dziewczyna wymknęła się z twoim staruszkiem na szybki numerek?

Oczywiście, że tak, ma niezły trening.

- Oczywiście że nie - mówię szybko.

Tato wybucha śmiechem.

- Myślisz, myślisz! Może nie? Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć o tym chłopakom w King's Arms. O Boże, powinienem się mieć za szczęściarza! Dziewczyna, która mogłaby być moją córką!

- Młodsza - mrużę ze złością.

Najwyraźniej dostaję świra, jasny gwint. To przez tę całą historię z Nickiem: w głowie mam tylko miłosne afery. Tak jakby tato kiedykolwiek się wygłupiał. Są z mamą już tak długo, że zaczynają być do siebie wręcz fizycznie podobni. Matka wkurza mnie jak nie wiem co, ale to niewątpliwie ona jest sternikiem ich łodzi.

Tato obejmuje mnie ciepłym gestem.

- I tak to jest, moja kochana. U takiej dziewczyny starzec w moim wieku nie ma szans.

Czyżby? Patrząc na tatkę, na jego spodnie khaki i błękitny sweter, który podarowała mu mama dziś rano - „bo pasuje ci do oczu”, czy coś w tym stylu - i usiłuję być obiektywna. Nie jest tak szczupły jak na zdjęciach ze ślubu, ale z drugiej strony, nie jest też już pryszczaty. Na oko całkiem do rzeczy; gdyby nie był moim ojcem, można by się nim nawet zainteresować, pomimo tej czereśniackiej fryzury (to jedyna rzecz, która pozostała niezmieniona od czasu gdy miał siedemnaście lat). W każdym razie nie ma przynajmniej mięśnia piwnego, jak wujek Denny czy reszta towarzystwa z King's Arm. Ale te rzeczy ma już chyba za sobą? Wiem, że musieli z mamą od czasu do czasu... no dobrze, dajmy temu spokój. Dwadzieścia sześć lat razem, ustatkowane, porządne, stare dobre małżeństwo.

I w tym momencie uprzytamniam sobie, że on ma dopiero czterdzieści trzy lata. Dokładnie tyle co Nick... Który z całą pewnością nie ma tych rzeczy za sobą.

Sylwester jest jeszcze gorszy.

Zamierzałam uciec do Londynu i skrzyknąć paru znajomych, żeby poszukać jakiejś wystrzałowej imprezy. Gdyby się nie powiodło, bra-

łam pod uwagę nawet to, że sama coś zorganizuję (nieuchronnie mniej wystrzałowego), o ile uda mi się zebrać wystarczającą liczbę chętnych; albo, w charakterze ostatniej deski ratunku, że posiedzimy do piątej rano z Amy - zmuszone, jak wszystkie kochanki, spędzać weekendy i święta solo - i obejrzymy na CNN sylwestrową imprezę na Times Square w Nowym Jorku, jako że Nowi Lepszy Labourzyści bardzo skutecznie spaprali londyńską na Trafalgar Square. Z całą pewnością nie miałam w planie jednej rzeczy: że pójde z rodzicami na sylwestrowe serowo-winne przyjęcie w sali parafialnej kościoła Świętego Edwarda.

Muszę przyznać mojej matce: i Machiavellego potrafiłaby przekonać do proporcjonalnego systemu wyborczego, gdyby miała ochotę się do tego przyłożyć.

Najpierw nastąpiły prezenty gwiazdkowe: najnowszy BlackBerry, system dźwiękowy Bose do mojego iPoda, zestaw kosmetyków do makijażu Chanel (właściwie to wolę MAC, ma bardziej trendowe kolory, ale matka upiera się, że Chanel jest bardziej klasyczna) i śliczna apaszka (aczkolwiek nie mam pojęcia, do czego będę ją nosić; apaszki nie są w moim typie, wyglądam w nich po wieśniacku). I ostatni, rozstrzygający cios: bożonarodzeniowa karta płatnicza obejmująca moje ostatnie należności z kart Visa, Amex, River Island, Gap - wszystko zapłacone. Jasny gwint, to musiało być parę tysięcy funtów. Albo i więcej... U Agnes B była w zeszłym miesiącu wyprzedaż. Matka musiała przekopać moją szufladę z majtkami, kiedy była u mnie ostatnim razem; ale zbyt rozkoszne jest uczucie, że znowu jestem wypłacalna, żeby mieć jej za złe tę inwazję.

Odfajkowawszy kwestię Wdzięczności, przeszła do Poczucia Winy.

Szeptana rozmowa w kuchni o tacie:

- Chyba trochę schudł ostatnio, prawda, kochanie? Ten ciągły stres w pracy... Najpierw gorąca woda, córciu. Żeby się garnek rozgrzał. Oczywiście okropnie za tobą tęskni, zawsze tak się cieszy, jak przyjeżdżasz. Zaraz mu się poprawia humor. Wiem, że jesteś bardzo zajęta swoją „karierą”... - niech ją cholera, wyraźnie słyszę ten cudzysłów- i nie mam ci za złe, że nie bywasz w domu zbyt często. Nie, zbierane mleko, kochanie. Szkoda, że nie możesz zostać trochę dłużej.

I dalej:

- Córka pani Newcombe zdobyła w zeszłym miesiącu pierwszą nagrodę za biszkopt na dożynkowym jarmarku Women's Institute, mówiłam

ci? Joan pęka z dumy. Libby piecze fantastyczny tort czekoladowy, wprost rozpływa się w ustach...

A następnie:

- Podałabyś mi kapturek do czajnika z tamtej półki, kochanie? Okropnie dokucza mi ischias, nigdy nie wróciłam tak naprawdę do formy, odkąd cię urodziłam. Cóż to był za koszmar... Ale ale, wspominałam ci, że córka Muriel ma bliźniaki? Muriel jest już babcią czworga wnucząt...

Kiedy więc spytała, czy nie poszłabym z nimi na tę cholerną serowo-winną kolację - tatuś tak by się ucieszył, tak byśmy chcieli się pochwalić naszą mądrą córką, prawie cię ostatnio nie widzujemy, kochanie! - wiedziałam, że jestem ugotowana.

No i teraz mam. Ja tego chyba nie przeżyję.

- Nie potrzebuję, żebyś mnie umawiała! - syczę wściekła, kiedy Martin ściska z entuzjazmem dłoń mojego ojca i rzuca mi triumfujące spojrzenie. -I dlaczego właśnie on, na rany boskie?

- Nie bluźnij, kochanie, za ścianą jest kościół - mówi spokojnie matka. - Zawsze mi się zdawało, że lubisz Martina.

- Skąd ten pomysł, na rany...?

- Nie zaprzeczaj, kochanie. Pamiętasz, jak ojciec przyłapał cię z nim w szklarni i musiał sobie z Martinem pogadać?

Słowo honoru, nie pamiętam nic a nic. Albo to wczesny rzut alzheimera, albo ten dupek naprawdę wcisnął mi kiedyś pigułkę gwałtu. Chociaż, jak tak pomyśle... tak, był jeden wieczór, kiedy eksperymentowałam z tymi maciupcimi bibulastymi pigułkami; niewykluczone, że Martin mógł być wtedy ze mną.

- Bądź dla niego miła - mówi twardo matka. - Zgodził się przyjść w ostatniej chwili.

Jest to tak piramidalne nieporozumienie, że przez chwilę nie mogę wykrztusić słowa. Ta chwila wystarcza Martinowi, żeby usadowił swój obleśny tyłek na plastikowym krześle obok. Z drugiej strony mam ścianę. Jestem w pułapce.

- Dobrze, w takim razie zostawiam was samych - mówi matka z ożywieniem i wstaje od stołu.

- Mamo...

- Chodź, Vincent - zwraca się do ojca. - Muszę się dostać do serów, zanim wyjdą te najlepsze. Jest doskonały Crottin de Chavignol, bar-

dzo wyrazisty w smaku, tak powiedział nasz trener od serów, i chcę też spróbować Tomme de Savoie...

Trener od serów? Czy matka naprawdę tak powiedziała, czy może ja wpadłam w króliczą norkę?

Ojciec rzuca mi pełne skruchy spojrzenie i posłusznie idzie za matką. Mam ochotę go udusić. Na litość boską, tato, czy nie możesz choć raz sprzeciwić się tej Gorgonie?

- Przyjemnie, prawda? - Ten oblech Martin przysuwa się bliżej. - Nareszcie tylko we dwoje.

- W wypełnionej po brzegi sali - zaznaczam. Ludzie patrzą, Martin...

Poprawia kciukiem okulary.

- Coś ty się wtedy tak ze mną droczyła? Wyleciałaś tak nagle z domu... Przeziębilem się przez ciebie na tym deszczu. Mama była zła jak diabli. Ale wiem, że dziewczyny lubią nieładnie traktować facetów, żeby ich podjarać, Hm? Hm?

O Boże. On jest sekretnym synem Fishera. Łapię butelkę taniego czerwonego wina, nalewam pełną literatkę i wychylam jednym haustem. To będzie bardzo, bardzo długa noc.

Libby Newcombe parska śmiechem i ze stosu książek, które trzyma w ręce, upuszcza na papierowy obrus w gałązki ostrokrzewu jeden egzemplarz. Unoszę głowę i patrzę z wściekłością na jej oddalające się plecy. Skoro taka jesteś super, ty pipo, to dlaczego i ty tu spędzasz sylwestrowy wieczór?

- Może zatańczymy? - pyta z nadzieją Martin.

- Nie mogę. Muszę przejrzeć tę książkę. Jest szalenie interesująca. O tym... o serach.

- Nie wiedziałem, że interesujesz się serami.

- O tak, bardzo. A mój trener od serów jest strasznie wymagający, nie pozwala nam się opierniczać. Jak już coś robić, mówi, to na całość. Muszę poczytać... eee... - otwieram książkę - o serach pleśniowych.

- Sam bym chętnie poszedł na całość - ślini się Martin. - Chyba łapiesz, co mam na myśli.

- Wybacz, muszę się skupić. We wtorek mam test.

Mój wzrok pada na zdjęcie autora na skrzydełku obwoluty i robi mi się mokro w majtkach. Jasny gwint, co za seksowny gość. Można

powiedzieć, upadły anioł. Kwadratowa szczeka, mocne spojrzenie, wyraz twarzy typu „idziemy do łóżka, mała?” Kto to jest, do diabła?

Odwracam książkę i patrzę na okładkę. Tracce Pitt. No tak, słyszałam o nim. Fabryka serów Pitta, to tam jest ten słynny luksusowy sklep z serami... Boże, gdzie to jest? Gdzieś przy Covent Garden, zdaje się. To tak jakby Harvey Nicks w dziedzinie serów. Jest jeszcze tylko jeden taki sklep, w Nowym Jorku. Przypominam sobie teraz, że mama wspominała coś, że komitet parafialny zamówił tym razem sery u Pitta, po zeszłorocznej wpadce.

Facet jest super. Głupie ma nazwisko, jak z komiksu o detektywie, ale z taką twarzą mógłby się nazywać nawet Matka Teresa, przynajmniej dla mnie...

W tym momencie Martin wsadza mi język w ucho.

Walę go w łeb *Przewodnikiem miłośnika serów*, kucam, prześlizguję się pod stołem i uciekam na przeciwległy koniec sali. Nie, nie zostanę tu ani chwili dłużej, choćbym miała iść do Londynu na piechotę.

No, ale chyba nie w tych szpilkach. Gdzie są ci moi starzy, do cholery?

Matki ani śladu - pewnie jest z Muriel za ścianą, gdzie mają czytać z Ewangelií Serowej - ale ojca dostrzegam od razu.

Siedzi przy barze, i to nie sam. Patrzę, jak Libby Newcombe zakłada nogę na nogę, przy czym idiotycznie krótka spódnica podjeżdża w górę, odsłaniając tacie pełny widok z lotu ptaka na jej uda. Wprost spija każde słowo z jego ust - tak, tato, stożki drogowe na obwodnicy M25 to pasjonujący temat - odrzucając raz po raz do tyłu długie blond włosy, jakby to była reklama szamponu czy co. Wredna kurewka. Co tak obliżesz te usta i błyskasz odsłoniętym przedziałkiem? Przed moim tatką? On jest żonaty, i to szczęśliwie! Wbrew wszelkim rozsądnym oczekiwaniom, muszę przyznać, ale jednak.

Co ta pinda sobie myśli? W co ona gra? Rozpuszczone blond włosy, nogi do samej szyi, bez stanika... To całkiem jakby strzelać do ryb w beczce. Tato nie ma szans. Słuchaj no, ty złodziejko, on jest zajęty. Małżeństwo i tak trudno utrzymać, nawet bez dwudziestoparoletniej laski atakującej najsłabszy punkt. Którym, jak wszystkie dobrze wiemy, jest mężczyzna.

Podchodzę zdecydowanym krokiem i władczo obejmuję ojca ramieniem.

- O, cześć, kochanie - mówi tato, najwyraźniej zaskoczony tym nagłym przejawem córczyngo afektu. - Co się stało z Martinem?

- Nic straszego - mówię z żalem. - Słuchaj, tato, może byśmy już poszli? Jestem zmęczona, a jutro będę musiała prowadzić. Wracam do Londynu.

- Co takiego, chcesz wyjść przed północą? Nie poznaję mojej córki. - Pieszczotliwie wicherzy mi włosy. - Był czas, kiedy nie byliśmy w stanie wpakować cię do łóżka wcześniej niż o świcie.

- Cóż, nie ma już dwudziestu jeden lat - mówi słodko Libby. - Wiesz, Vinny, nie mogę uwierzyć, że masz dorosłą córkę. Wyglądasz tak młodo.

Vinny? Vinny?! Od kiedy to na mojego tatę mówi się inaczej niż Vincent? (Albo tato, rzecz jasna).

- Pochlebiasz mi — beszta ją tato. Koniuszki uszu ma zaróżowione.

- Tato, proszę, naprawdę jestem zmęczona...

Libby wie, kiedy odtrąbić odwrót. Marszczę brwi, gdy całuje tatę w policzek i życzy mu szczęśliwego Nowego Roku. Vinny... Boże, ależ ci mężczyźni są naiwni.

- Niepotrzebnie to robisz, kochanie - mówi półgłosem tato. - Coś tam do mnie czuje, wiem, ale to nic groźnego. Po prostu głupie zadurzenie. Wyrośnie z tego.

- Tato, ona nie ma trzynastu lat. I to wcale nie jest nieszkodliwe, ona jest w ciebie wpatrzona jak...

- Wystarczy mi twoja matka - przerywa mi ojciec i patrzy miękko na mamę, która gra rolę duszy towarzystwa przy stole z serami. - I zawsze będzie wystarczać.

- Nie wiem, jak ty z nią wytrzymujesz - mruczę.

W spojrzeniu taty pojawia się coś na kształt rozczarowania i nagle czuję się, jakbym znów miała dwanaście lat.

- Wy, dzieciaki, macie obsesję na punkcie zakochania - mówi. - Wydaje się wam, że chodzi tylko o motylki w żołądku i romantyczne spacery wzdłuż plaży.

- Aż taka naiwna nie jestem. Wiem, że z czasem robi się trochę nudno, ale dopóki się ludzie kochają...

- Uważasz, że to wystarczy?

Wzruszam ramionami.

- Zdarzały się dni, kiedy budziłem się rano i twoja matka irytowała mnie przez sam fakt, że jeszcze oddycha. Z pewnością ona czuła to samo wobec mnie. Bywały tygodnie - miesiące nawet - kiedy samo przebywanie w jednym pomieszczeniu wydawało się trudne do udźwignięcia. Ale to mija. Skoro stworzyło się rodzinę, to się w niej trwa, choćby nawet było bardzo ciężko. Przecież nie przekopujesz ogrodu co pięć minut i nie sadzisz nowych roślin, jeśli te, które wybrałaś, nie zakwitły, prawda? Podlewasz je, nawozisz, a potem czekasz. Chcę ci powiedzieć, moja kochana... marnie mi idzie, wiem... że w małżeństwie chodzi o zobowiązanie. I o kompromis. Kompromis wobec siebie nawzajem i - tato wdycha - wobec tego, jak twoim zdaniem powinien wyglądać związek.

O nie... To nie ja. Nie zamierzam trzymać się zasady „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Nie chcę skończyć jak tato i mama, którzy są ze sobą z przyzwyczajenia i ze strachu.

Ja pragnę namiętności! Ognia! Miłości, o jakiej czyta się w książkach! Bogart i Bacall. Hepburn i Tracey. Christopher Reeve i... dobra, pani Reeve. Tato się myli: to nie musi być kompromis. Jeśli ludzie naprawdę się kochają, potrafią utrzymać motylki w żołądku. Trzeba tylko szukać swojej połówki jabłka, a jak się znajdzie, to łąpać ją i nie puszczać.

Ale co robić, jeśli ktoś przed tobą odnalazł twoją połówkę jabłka?

W życiu nie wszystko jest poukładane. Bywa, że ludzie popełniają błąd i łądzą przy niewłaściwej osobie. Czy to znaczy, że mają tkwić przy niej na wieki? Chyba lepiej skorzystać z szansy na prawdziwą miłość, jeśli się na nią trafi? Nawet jeśli... nawet jeśli ktoś zostanie zraniony.

Tato obejmuje mnie i ściska przelotnie.

- Muszę zatańczyć z mamą, zanim wyjdziemy. Uwielbia Sinatrę. Zostaniesz przez chwilę sama, dobrze?

Patrzę, jak rodzice wychodzą na parkiet. To beznadziejne, żeby w ich wieku dreptać w miejscu, gdy bezębni emeryci przemykają z gracją obok nich, jakby byli na kółkach. Rodzice tańczą ze swobodą, jaką daje długoletnia praktyka, wykonują mało ryzykowne obroty i maskują nawzajem swoje potknięcia. Ale pozdrawiają znajomych podczas tańca i paplają o pogodzie, a nie wpatrują się sobie namiętnie w oczy. Ja chcę czegoś więcej.

Nagle wszyscy zaczynają się kręcić, śmiać, przepychać i uświadamiam sobie, że do północy zostało raptem parę minut.

Wokół same pary; nawet Martinowi udało się dorwać Libby Newcombe w jakimś ciemnym kącie. Kiedy bije północ, widzę, jak tato wręcza mamie prezent specjalny, zarezerwowany na pierwszą minutę Nowego Roku; zawsze jest to jakaś biżuteria, jednego roku droższa, innego tańsza, ale za każdym razem zrobiona na zamówienie specjalnie dla niej, żeby jej z góry podziękować, jak mówi tato, za to, że spędzi z nim kolejne trzysta sześćdziesiąt pięć (albo trzysta sześćdziesiąt sześć w roku przestępnym; tato jest pedantycznie dokładny) dni.

Mam już potąd bycia singlem. Potrzebuję kogoś, kto uratuje mnie od ciotek i zatańczy ze mną w sylwestra. Fajnie byłoby dostać specjalny prezent i pierwszy noworoczny pocałunek i mieć faceta, który odwiezie mnie do domu, jeśli wypiję za dużo, by iść na własnych nogach. Taka już jestem zmęczona udawaniem, że samotność wcale mi nie przeszkadza. Nieźle by było być mężatką o tej porze roku.

Kiedy z głośników rozbrzmiewają uderzenia Big Bena, wyciągam mojego nowego BlackBerry i wybieram parametry Nicka. Szybko, żeby się nie rozmyślić, ściągam piosenkę, o jaką mi chodzi, załączam ją do e-maila i przyciskam „Wyślij”.

Malinche

O Boże, nieczęsto pozwalam sobie na takie marzenia - nie lubię kusić Losu, ma on brzydki zwyczaj traktowania człowieka odrobinę zbyt dosłownie; zawsze się boję, że jak będę marzyć o utracie paru kilogramów, to mogę stracić nogę w wypadku samochodowym - ale zdarza się, że nie mogę się powstrzymać od myśli, jak to by było cudownie być o tej porze roku bezdzietnym singlem.

Żadnych gorączkowych pogoni za zabawkami, które koniecznie muszą mieć twoje dzieci. Żadnych trójwózkowych wypraw do Sainsbury's po - między innymi - pięć kilo kartofli (których nie ma czasu obrać wcześniej niż w Boże Narodzenie o trzeciej nad ranem). Żadnych straszliwych wielowyznaniowych koncertów kolęd, na których człowiek nie może nawet zobaczyć własnej pociechy, bo załania ją najwyższe dziecko w szkole, które oczywiście musi stać w pierwszym rzędzie, dokładnie w środku.

No i żadnych rozwścieczonych wydawców siedzących samotnie przy lunchu w drogiej londyńskiej knajpie, bo tak się głupio składa, że o tej samej porze wypadł koncert kolęd, a ty zapomniałaś ich o tym powiadomić.

Na przykład ta śliczna dziewczyna w dżinsach-biodrówkach i zam-zowej kurtce w odcieniu biszkoptowym: z pewnością nie jedzie na świąteczne zakupy dla trojga dzieci w wieku żłobkowym i wczesnoszkolnym. W tych seksownych kozakach na dziesięciocentymetrowej szpilce? Pewnie dziś albo jutro porwie ją jakiś Adonis i zawiezie na złocistą karaibską plażę, z dala od bachorów z palcami lepkiemi od konserwantów i zagęstni-

ków oraz przemądrzałych mężów, którzy ciskają pouczeniami na prawo i lewo, a potem nie potrafią ziożyć do kupy studia nagrań dla Barbie.

Pociąg z łomotem pokonuje ostry zakręt, a mnie rozpląszcza na ścianie na placek. Jazda do Londynu na zakupy cztery dni przed świętami to jak wiosłowanie z powrotem do tonącego „Titanica”, żeby zdobyć kostkę lodu. Już bołą mnie nogi, choć rozważnie włożyłam buty na płaskim obcasie, a jesteśmy zaledwie pięć minut od przystanku Salisbury. Pociąg jest zapchany - nie ma szansy, żeby usiąść. Stoję wciśnięta w gabardynowe palto jakiegoś pokaznego biznesmena rozpląszczzonego obok mnie.

Coś mnie łaskocze w majtkach. Czy raczej drapie. To nie może być metka, obciąłam ją (trochę to kłopotliwe, kiedy na majtkach masz napisane „wiek 8-10 lat”, ale gatki Sophie są o wiele wygodniejsze niż moje). No tak... Żywa choinka jest o wiele fajniejsza niż plastikowa, Nicholas bezwzględnie ma rację, ale...

Nie rozumiem, dlaczego Gabardynowy Płaszcz dziwnie na mnie zerka. To przecież tylko świerkowe *igły*.

Jasne, Boże Narodzenie jest dla dzieci. Ale jak się ma trójkę, trzeba kupić doprawdy sporo prezentów, które dostaną od Świętego Mikołaja (nie wolno mówić Santa Claus, Nicholas strasznie się wścieka); a przecież są jeszcze rozmaite ciocie, wujkowie, dziadkowie i rodzice chrzestni, którzy dzwonią i mówią: „Nie pogniewasz się, kochanie, jak cię poproszę, żebyś im kupiła coś ode mnie, prawda? Ty najlepiej wiesz, czego im trzeba”. To bardzo miłe z ich strony i koniec końców zwrócą ci pieniądze, ale oznacza kolejne rzeczy, które musisz wymyślić, znaleźć, kupić i zapakować. Chociaż po tym, co się zdarzyło w zeszłym roku... Co, zdaniem mojej matki, może zrobić troje małych dzieci z pełnowymiarowymi piecem garncarskim poza próbą upieczenia w nim biednego królika, doprawdy nie jestem w stanie pojąć.

Powinłam była ruszyć na zakupy wcześniej. I miałam taki zamiar, tylko zaczęłam planować rozmaite świąteczne pyszności - w tym roku można by, uznałam, podać gęś nadziewaną *foi gras* i śliwkami daktylowymi, a do tego Chateau d'Yquem rocznik 1985; choć dreszcz mnie przechodzi na myśl, co powie Nicholas, miłośnik tradycji, gdy nie zobaczy na stole indyka - i jakoś zleciało. Dlatego jestem dramatycznie spóźniona. O jakieś dwa miesiące. Miło ze strony Liz, że zajęła się dziewczynkami, ale Bóg jeden wie, gdzie ja znajdę kombinezon narciarski dla

Barbie, który zażyczyła sobie Chloe. Biedactwo, idzie w ślady Liz, jeśli chodzi o biodra; rozmiar 38 w wieku dziewięciu lat to naprawdę sporo. Ma śliczną buzię i cudowne włosy, jak z obrazów prerafaelitów, ale urodziła się w niewłaściwym stuleciu. Siedemnaste byłoby w sam raz - Rubens by ją uwielbiał. Gdyby tak Nicholas wpadł do mnie do Snow+Rock, żeby coś wybrać; to raptem dwie minuty od jego firmy w Holborn... Ale to niemożliwe, pojechał dziś do Manchesteru. A gdyby nawet nie pojechał, prezenty to nie jego działka. Choć właściwie dlaczego posiadanie dwu chromosomów X ma automatycznie sprawiać, że działka prezentów należy do mnie, jak zdaje się sądzić Nicholas? Przecież nawet nie...

Kartki świąteczne. Czy wrzuciłam je do skrzynki? Chyba tak. A może - o Boże! - zostały na przednim siedzeniu samochodu? Normalnie nie jestem aż tak roztrzepana. Wszystko przez te święta, każdego roku powtarza się to samo. Zupełnie jakby mój mózg gnał do przodu jak szalony, przewijając w supertempie na ekranie listę spraw, które mam jeszcze do załatwienia...

Wrzuciłam, Jestem pewna.

Chciałabym mieć tyle odwagi, żeby pójść w ślady Louise. Moja matka, jeśli chodzi o kartki świąteczne, stosuje cykl trzyletni: jednego roku wysyła od A do H, drugiego od I do P, a trzeciego od Q do Z. W ten sposób każdy dostaje kartkę raz na trzy lata. Wystarczy, żeby się ludzie nie pobrażali na śmierć i nie wykreślili jej z własnych kartkowych list.

Stajemy po raz kolejny, bo na linii trwają prace konserwatorskie. Patrzę na zacinający w szyby deszcz. Już dziesiąta, a o wpół do piątej muszę być z powrotem: Evie ma dziś czytać na religii swoje wypracowanie. Nie dość, że muszę przeczesać Londyn w poszukiwaniu prezentów, którymi napełnię gwiazdkowe pończochy, to jeszcze powinnam wpaść do Harrodsa po Spanish Roncal (strasznie trudno znaleźć ten gatunek sera) do *gratin* z ziemniaków. U Pitta na pewno go mają, ale to odpada; mogłabym wpaść na Trace'a, a przecież już sam fakt, że wrócił do Salisbury, jest wystarczająco kłopotliwy, choć minęło tyle lat...

Nie, nie będę o tym myślała. Wspominki są dla mięczaków, jak ma wia Kit.

Na Woking do pociągu wdziera się kolejna fala pasażerów i mentalnie robi się tak ciasno, że nie ma czym oddychać. Mam wrażenie, że znajduję się w jednym z tych bydlęcych wagonów jadących do Aus-

chwitz... o Boże, jak mogłam tak pomyśleć, przecież nie ma żadnego porównania...

- Mam tego dość - ogłasza nagle Gabardynowy Płaszcz, schodząc ze stojaka na bagaż, gdzie wwindował go ostatni przyrząd. - Cena, jakiej żądają za bilety, powinna gwarantować miejsce siedzące. Skoro dają za mało wagonów drugiej klasy, to moim zdaniem mamy prawo poszukać miejsca gdzie indziej.

Jego akcent i jedwabny krawat w odcieniu bladego złota świadczą, że jest szacownym mieszkańcem któregoś z okołołondyńskich hrabstw. Kiedy stłamszona milcząca większość w końcu odzyskuje głos, staje się oczywiste, że będą kłopoty.

Po wagonie przebiega pomruk uznania. Naprawdę można się tu uduścić: wszyscy jesteśmy opatuleni w zimowe ciuchy, pozapinani pod szyję, w szalikach i czapkach, więc wewnątrz zaczyna pachnieć cokolwiek nieświeżo. Ogarnia nas klimacik koleżeńskej konspiracji spod znaku „jak ty, to i ja”; przypomina mi to, jak w dzieciństwie bawiłyśmy się z siostrą w dzwonienie do drzwi sąsiadów. (Cleo zawsze była o wiele odważniejsza, potrafiła zadzwonić nawet do Zboka - choć jestem pewna, że tak naprawdę to nie był żaden Zbok, po prostu samotny stary wdowiec, rzadko odwiedzany przez dzieci, bo za daleko mieszkały - i policzyć do trzech, zanim uciekła).

Dwie pulchne niczym pudding dziewczyny w puchowych kamizelkach marki Puffa - mogą sobie wyobrazić, co by pomyślał Nicholas o ich srebrnych kolczykach w nosie - rozsuwają drzwi do sąsiedniego wagonu pierwszej klasy. Gabardynowy Płaszcz pomaga jakiejś zatrważająco młodej matce przepchnąć przez chwiejny pomost dziecięcy wózek. Po paru minutach wszyscy zapadamy w wytworne miękkie siedzenia, rozkoszując się uczuciem wspólnie popełnionej psoty.

Biznesmen w tenisowym garniturze naprzeciw mnie cmoka z dezaprobatą i zaśnania się różową płachtą gazety. Chichoczę w duchu i myślę: och, jak mi brak Nicholas.

Wiele się nauczyłam od moich córek w ciągu minionych lat. Na przykład: ilość wody, jaką zawiera łóżko wodne w rozmiarze XXL, wystarczyłoby do wypełnienia trzysypialnianego apartamentu na Florydzie na głębokość dziesięciu centymetrów (Evie, ubiegłe lato).

Siedmioletnia dziewczynka potrafi rozpałić ogień za pomocą krzemienia, choć czterdziestotrzyletni prawnik uparcie twierdzi, że to się zdarza tylko na filmach (też Evie).

Jeśli mieszać płyn hamulcowy z bielinką, powstanie dym, i to dużo (Evie. W ślad której poszedł Kit, a następnie Nicholas, kiedy o tym usłyszeli).

Zanim włączysz piecyk, obowiązkowo zajrzyj do środka - plastikowe zabawki Fisher Price zdecydowanie nie lubią przebywać w piecu (nawiasem mówiąc, czas reakcji Straży Ogniowej w Salisbury wynosi niecałe cztery minuty).

A dziś rano wszyscy odkryliśmy, że odwirowanie w pralce nie powoduje zawrotu głowy u dżdżownic. Natomiast u królika tak.

Królik, który dostał zawrotu głowy, wymiotuje dwa razy tyle, ile sam waży.

Sprzątanie na czworakach zarzyganej przez królika podłogi nie jest najbardziej podniosłym sposobem na inaugurację Bożego Narodzenia, myślałam, ścierając kuchenne płytki z nadmiernym być może wigorem. I chyba nie powinnam mieć do siebie pretensji, że gdy Nicholas zakradł się od tyłu i wsadziwszy mi ręce pod szlafrok, złapał za gołe pośladki, moja reakcja nie była taka, jakiej oczekiwał.

Nie, żebyśmy nie lubiła kochać się z moim mężem. *Per se*. Gdybyśmy się znaleźli w willi na Malediwach z perspektywą dwutygodniowego pobytu, bez dzieci, telefonów, wściekłych wydawców, odwożenia do szkoły, prania, sprzątania, byłoby to moje najulubieńsze zajęcie. No, może nie tylko - muszę przyznać, że domowy pudding na bazie chleba i masła i grube tomiszcze Jilly'ego Coopera mogłyby konkurować z seksem, mam do nich nieodpartą słabość - niemniej seks jako rekreacja, a nie obowiązek to pomysł zdecydowanie atrakcyjny. Tymczasem ostatnio, gdy Nicholas, zadowolony, przetacza się na swoją (suchą) połowę łóżka, łapię się na tym, że myślę: okej, dziś czwartek, więc mam spokój do... no, przynajmniej do weekendu. Co nie jest najbardziej romantycznym podejściem do cielesnej bliskości z twoją połówką jabłka. Ale sto pięćdziesiąt dwie świąteczne kartki nie napiszą się same.

Z nieoczekiwaną nostalgią wspominam, jak kiedyś, krótko po tym, jak się poznaliśmy, zaskoczyłam Nicholasa któregoś wieczoru w kancelarii, ubrana tylko w pasek do pończoch i pończochy ze szwem, a na

to płaszcz deszczowy. Udało mi się przekonać sprzątaczkę, żeby mnie wypuściła (okazało się, że jest moją wielką fanką i ma wszystkie dotąd wydane książki z przepisami mojego autorstwa), i przesiedziałam po ciemku dwie godziny, czekając, aż Nicholas wróci z sądu. Strasznie się spóźniał; już prawie straciłam nerwy i miałam ochotę wrócić do domu, ale zbyt dużo trudu sobie zadałam i żal mi było tak po prostu wyjść. Brodawki miałam posmarowane specjalnym gatunkiem czekoladowej jadalnej farby - zdobycie jej kosztowało mnie wyprawę do sex shopu tylko dla pań o nazwie Pst! w północnej części Londynu, to była najtrudniejsza i najbardziej podniecająca podróż metrem w moim życiu - i nawet owłosienie łonowe posypałam sobie kakaowym proszkiem; drżałam, że się to wszystko rozpuści czy coś, zanim Nicholas wreszcie wróci, ale nie, trzymało się idealnie, i wszystko wyszło dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam, całkiem jak w erotycznym filmie.

- Nie włączaj światła - powiedziałam najbardziej zmysłowym głosem, jaki potrafiłam z siebie wydobyć, kiedy sięgnął do kontaktu.

Podskoczył prawie do sufitu, gdy podeszłam do bursztynowej płamy światła z ulicznej latarni i odpięłam płaszcz. Szczeka mu po prostu opadła: mało brakowało, a parsknęłabym śmiechem i wszystko popsuła, tak skrajnie zdumiony miał wyraz twarzy.

- Zamknij oczy - powiedziałam, tłumiąc chichot. - Otwórz buzię.

Sięgnęłam mu do rozporoka i zaczęłam rozpinać spodnie, a równocześnie włożyłam do ust drogą belgijską czekoladkę, których całe pudełko kupiłam u Harrodsa. Najpierw trufle o smaku gorzkiej pomarańczy, potem z nadzieniem koniakowym... Rzucił mnie na biurko i z miną kota, który dorwał się do (czekoladowej) śmietanki, zapadł mi głową między nogi.

Wzdycham i sięgam po *foi gras* ze śliwkami daktyłowymi. Dużo wody upłynęło, odkąd kochaliśmy się gdzie indziej niż w pościeli z najlepszej egipskiej bawełny od Johna Lewisa (dwieście nitek na dwa i pół centymetra kwadratowego). Po prostu nie mam siły.

Jeśli pominąć incydent z królikiem, bożonarodzeniowy poranek mija względnie dobrze. Zdarza się wprawdzie nieco delikatny moment, kiedy po powrocie z kościoła Louise próbuje obdarować rodziców Nicholas młodą sadzonką konopi indyjskich; na szczęście dla niewinnego wszystko jest niewinne, a Kit dyskretnie (aczkolwiek dość zdecydowanie)

interweniuje, zanim roślina zdążyła wylądować na tylnym siedzeniu hillmana moich teściów.

- Ale przecież Daisy mówi, że ją potwornie bołą stawy - protestuje Louise, kiedy obie z Cleo osaczamy ją w kuchennym kącie - a marycha to najlepszy środek przeciwbólowy, jaki...

- Mamo, proszę - syczy Cleo. - Jeśli już musisz mieć do czynienia z narkotykami, to przynajmniej daj sobie spokój z tym śmiesznym hip-pisowskim slangiem i nazywaj je normalnie.

Cleo udaje, że nie pamięta, jak bawiłyśmy się w dzwonienie sąsiadom do drzwi, jak chodziłyśmy na jabłka czy dla sportu kradły szminki w Woolies. Twierdzi, że jej miłość do Donny'ego Osmonda to wytwór mojej wyobraźni i że zawsze uważała, że *Fame* to najgorszy chłam. Cleo jest obecnie niezwykle szanowaną dyplomowaną księgową („Geny tatusia - westchnęła Louise, kiedy Cleo oznajmiła jej swoją decyzję - oto ile jest warta ceremonia narodzin”) i byłaby pewnie dla nieszczęsnych Lyonów znacznie bardziej odpowiednią synową niż odjechana twórczyni literatury dla kucharek, jaka im się trafiła. Ale wyszło, jak wyszło.

W wieku trzydziestu dziewięciu lat Cleo wciąż wyzywająco prezentuje światu swój status singla.

- To mój wybór - mówi szorstko, kiedy Daisy Lyon pyta ją przy kieliszku sherry, czy się z kimś spotyka. - Gdybym chciała, mogłabym mieć tyłu, ile dusza zapagnie.

- Yhm - mruczy pod nosem Kit. - A ciało się nie liczy?

Rzecz jasna, uwielbiam Edwarda i Daisy Lyonów - ona jest łagodna jak owieczka, on džentelmen w każdym calu, zawsze po staroświecku uprzejmy i nawet teraz, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat, wyprostowany po wojskowemu jak struna; ale trzeba przyznać, że są trochę oszłomieni tempem współczesnego świata, czują się zagubieni i szukając jakiegoś oparcia, desperacko trzymają się tego, co stare i dobrze znane. A Nicholas... cóż, Nicholasa czasami naprawdę można by wziąć za syna swoich rodziców. Nie ci rodzice, którzy spłodzili, tylko ci, którzy wychowali, to prawda.

Dosłownie na moment przed rozpoczęciem przemówienia królowej udaje mi się wyciągnąć Kita z pokoju; gdyby zobaczył, jak Nicholas i Edward wstają, żeby wysłuchać Jej Wysokości - robią to zawsze - okiełznanie go przekraczałoby moje możliwości.

Świąteczny obiad na dziesięć osób to zawsze wielka niewiadoma, zwłaszcza gdy jeden z gości nagle decyduje się przejść na weganizm - „Fantastyczny pomysł, Sophs - entuzjazmuje się Kit - ale wiesz co, zaczniemy od jutra, okropnie nie lubię świątecznych resztek” - lecz na szczęście gęś zostaje dobrze przyjęta i jakimś cudem efektu nie psuje paniczne czterdziestominutowe poszukiwanie Metheny (którą w końcu odnaleźliśmy pod ławką w kotłowni, śpiącą jak kamień w nowych kapiach z Kubusiem Puchatkiem) ani prowadzone z niepokojącym talentem alchemiczne eksperymenty Evie. Naprawdę, ten Kit to świnia. Jakby nie dość było incydentu z sodą oczyszczoną i octem miesiąc temu, musiał dostarczyć Evie środków do wyprodukowania H_2SO_4 w jej pokoju.

Robi mi się okropnie głupio w związku z moją wcześniejszą irytacją co do szlafroka, kiedy po lunchu rozpakowuję prezent od Nicholasa - co nie znaczy, że seksualne fawory powinny mieć jakikolwiek związek z efektywnym zamszowym kożuskiem od Josepha w kolorze gałki muszkatołowej (choć nie sposób zaprzeczyć, że jeśli mają, to w pełni sobie na ten kożuszek zasłużyłam w ciągu ostatniego miesiąca. Nie wiem, co się stało mojemu mężowi, chyba musiałam niechcący użyć chemicznej aparatury Evie i wyprodukować trochę związków bromu, które dosypałam mu do herbaty) - ale niewątpliwie wydał na niego kupę kasy. Kupę. Pomyśleć tylko, Joseph... a ja...

- Fantastyczny, kochanie, dzięki - mówi Nicholas, rozpakowując mój nieoczekiwanie skromny prezent: kaszmirowy sweter w takim samym szarozielonkawym odcieniu jak jego oczy. - Strzał w dziesiątkę.

- Wiem, że nie jest szczególnie podniecający, ale prosiłeś o...

- Dla mnie jest podniecający - mówi cicho. - I cudownie ciepły. Będzie jak znalazł w przyszłym tygodniu, gdy wyjedziemy na narty. Jesteś cudowną żoną, Malinche, żaden mężczyzna nie marzyłby o lepszej. I ja też nie marzę. Naprawdę.

- Dziwnie powiedział - mówię w zadumie do Kita trochę później. - W ogóle zachowuje się trochę dziwnie od paru tygodni. Wiem, że szlag go trafia, że Fisher cały czas zagląda mu przez ramię, choć niby przeszedł na emeryturę...

- Dziwnie?

- No, tak... Odsuń się, Kit, nie mogę ruszyć łokciami.

- Nie wiem, dlaczego mu nie powiesz, że palisz - wzdycha Kit, z wdziękiem wydmuchując kółeczko dymu. - Przecież się z tobą nie rozwiedzie i nie wystąpi z pozwem przeciwko Marlboro Light drogą korespondencyjną. Zachowujesz się jak Metheny. Wymykać się cichcem na szybkiego dyma do kotłowni...

- Masz zapewne na myśli szybki numerek?

- Szybkie numerki to nie ze mną, kochanie. Zapytaj Paula. Albo Jamesa. Albo...

- Ja nie palę, Kit - przerywam mu szybko, żeby uciąć ten przegląd jego seksualnego życiorysu, który mógłby potrwać do Wielkanocy. - Boże Narodzenie i urodziny się nie liczą.

- Nie liczyłyby się, gdybyś miała na myśli własne urodziny, malutka. A teraz pogadajmy o naszym drogim Nicku. W jakim sensie jest dziwny?

Biorę głęboki oddech i przez kolejne pięć minut kaszlę niczym romantyczna heroina z zaawansowaną gruźlicą. Niedostatek praktyki, z mojej wyłącznej winy: powinnam była powiedzieć Nicholasowi, że palę, jak tylkośmy się poznali.

- Nie nazywaj go Nick, Kit, on tego nie cierpi. Nie wiem, jak ci to powiedzieć... po prostu... no, po prostu jest jakiś dziwny.

- To już mówiłaś - zauważa Kit.

- Po pierwsze, jest kompletnie nieopanowany. To znaczy, zawsze był w łóżku pełen wigoru, choć może nieszczególnie pomysłowy... wyobraź sobie, że w swoim czasie był w robocie syrop klonowy. I oczywiście kostium pielęgniarki, takiej z internatu dla chłopców, niby to strasznej oddziałowej...

- Malinche - mówi Kit - to przemiłe z twojej strony, że dzielisz się ze mną detalami, ale nie są one niezbędne.

Czasem zapominam, że Kit nie jest dziewczyną.

- Przepraszam. A poza tym od pewnego czasu jest jakiś taki szorstki; mówi, że to praca, jasne, ale...

- Dla mnie zawsze jest szorstki - wydyma wargi Kit.

- To prawda, ale powiedzmy sobie szczerze, ty też nie pogrywasz z nim, jak należy.

- Robię, co mogę...

- Na Gwiazdkę dałeś mu kulki analne...

- Po prostu chciałem, żeby i on miał trochę rozrywki.

- Całe szczęście, że pomyślał, że to fragment kompletu biżuterii Sophie. Musisz je zabrać, bo jeszcze przyjdzie jej do głowy podarować je nauczycielce w charakterze naszyjnika. - Gaszę niedopałek. - Właściwie to Nicholas nie jest szorstki; raczej humorzysty. Raz jakiś taki mrukliwy, a potem nagle ni stąd ni zowąd strasznie miły, troskliwy, uważający...

Kit milczy znacząco.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegam. - Po tym, jak...

- Tak jest - odpowiada Bat. — Zrozumiano.

- Chociaż - zastanawiam się na głos - powiedział przedwczoraj w łóżku imię tej dziewczyny, dosyć to było zabawne...

- Zabawne? Zwariowałaś, Malinche?

- Nie patrz tak na mnie, Kit. On ma po prostu trochę zdrowych fantazji na temat tej dziewczyny z pracy, Sary. Poznałam ją kiedyś, raczej nieśmiała, o ile sobie przypominam... ale wiesz równie dobrze jak ja, że on czegoś takiego nie robi. Nigdy. On cierpi po prostu na fobię zdrady, i trudno mu się dziwić, biorąc pod uwagę przypadek jego rodziców. To było nieświadome; jestem pewna, że nie miał pojęcia, co mówi, pewnie by trupem padł, jakbym mu powiedziała.

- Cóż, Polyanno, obawiam się, że tym razem twój optymizm jest uzasadniony - mówi ze smutkiem Kit. - Nie potrafię sobie wyobrazić Nicholasa, jak robi pinga-pinga na biurku z cizią z pracy, choćby nawet chodziły mu po głowie takie rozkoszne wizje. Nie, myślę, że to faktycznie kłopoty zawodowe, albo może rak mózgu...

- To nie jest śmieszne.

- Za to jeśli chodzi o ciebie, to owszem, potrafię sobie wyobrazić, że pakujesz się w jakieś głupstwa.

Zamurowuje mnie.

- Głupstwa? Ja? O co ci chodzi?

Kit unosi z ławki swą wytorną sylwetkę i niespiesznie rusza ku drzwiom.

- Właśnie ci miałem powiedzieć - rzuca niedbale. - Tracie Pitt otwiera knajpę w Salisbury, dlatego wrócił. I słyszałem... - odwraca się z wymownym uśmiechem - słyszałem, że liczy, że to ty zostaniesz u niego nową szefową kuchni.

- O Boże, Nicholas, czy to nie fantastyczne?

Wbijam kijki w śnieg, ściagam zębami palec po palcu rękawiczki i odwijam szalik, chłonąc zarazem zjawiskowy pejzaż. Daleko w dole dolina Briancon przypomina bożonarodzeniowy tort przybrany tu i tam malutkimi choinkami z zielonego plastiku. Wczorajsza zamieć minęła, zostawiając po sobie trzydzieści centymetrów cudownego świeżego puchu i nieskazitelnie błękitne niebo.

- Ładnie - mówi krótko Nicholas.

O rany. Myślałam, że parę godzin ostrego szusowania choć trochę poprawi mu humor. Oderwie myśli od tamtego, by tak rzec.

Kocham go, naprawdę, i naprawdę wciąż na mnie działa - „Czy ja robię coś nie tak? Albo czegoś nie robię? Powiedz mi, proszę”, powiedział dziś rano z desperacką szczerością - ale po prostu nie potrzebuję tyle seksu co on. Nie teraz, przy trójce dzieci, na litość boską... A poza tym nigdy nie lubiłam robić tego rano. Czuję się wtedy nieświeża. No i naga rzeczywistość już rwie do przodu, tysiąc spraw kłębi mi się w głowie - kostiumy do WF-u, drugie śniadania, nakarmienie królika, uszczelnienie okna - a na dodatek mam za mało snu. Zawsze za mało. Wystarczająco trudno być w nastroju wieczorem, kiedy chcąc nie chcąc, zerka się na zegar: już północ, za sześć godzin muszę być na nogach; jeśli to zajmie kolejne dwadzieścia minut, to...

Ale rano, kiedy człowiek zabiłby, byle pospać jeszcze chociaż pięć minut! I kiedy w każdej chwili do pokoju mogą wejść dziewczynki! Można by sądzić, że po dziesięciu latach małżeństwa powinien wiedzieć, kiedy jestem w nastroju, a kiedy...

- Lepiej jedźmy — mówi teraz. - Będą na nas czekać.

I nie czekając, aż naciągnę rękawiczki, ostro szusuje po wyrównanym przez ratrak stoku. Wciąż upycham pod kurtką kombinezonu końce szalika i nieporadnie dopinam suwak zgrabiałymi palcami, gdy on osiąga ostry zakręt w lewo. Podnoszę wzrok i lekko mrużąc oczy przed oślepiającą bielą śniegu, usiłuję dojrzeć, gdzie jest. I wszystko rozgrywa się przed moimi oczyma jak na dłoni: ni stąd ni zowąd zza grzbietu wyskakuje grupa snowboardzistów jadących sąsiednią trasą; Nicholas stoi na zakręcie i czekając na mnie, poprawia kłamrę buta; snowboardziści pędzą prosto na niego, krawędzie desek połyskują w słońcu jak ostrza noży. Nicholas podnosi głowę, zaskoczony, gdy dwóch snowboardzistów

przecina mu drogę tuż przed nosem, uniemożliwiając ruch do przodu, a z tyłu już pędzi kolejnych czterech, tak że nie ma innego wyjścia, tylko rzucić się w bok, w zaspę, inaczej by na niego najechali.

I nagle jest po wszystkim. Nicholas dźwiga się z zaspą, a z dołu rozbrzmiewają echem drwiące okrzyki snowboardzistów:

- Z drogi, dziadku!

Kiedy dwadzieścia minut później dołączamy w górskiej kawiarence na stoku do Liz i jej męża Gilesa, Nicholas opowiada im całą historię.

- Sam sobie jestem winien - komentuje - że stanąłem jak głupi w połowie stoku. Mogłem to przewidzieć. I jeszcze na zakręcie... Idiota i tyle.

- Oni też powinni byli uważać, jak jadą - protestuje Liz.

- Ba. Nie tak łatwo manewrować deską. To nie narty - zauważa Giles.

Giles należy do ludzi, który we wszystkim widzą dobro, nawet w morderczych snowboardzistach z antypodów. Podobno kiedyś powiedział, że Osama bin Laden jako jeden z mniej więcej dziewięćdziesięciu pięciu braci jest niewątpliwie szalenie rodzinnym człowiekiem.

- Ale nic ci się nie stało? - pyta z niepokojem Liz. - Zamówiłam ci ekstra porcję frytek, ze względu na szok.

Nicholas śmieje się pośpiesznie.

- Pewnie plecy będę miał posiniaczone jak diabli, a okulary przeciwsłoneczne zostały na sośnie, ale poza tym ucierpiała wyłącznie moja duma. Próboweś kiedyś jeździć na desce, Giles?

- To zabawa dla młodzieży. - Giles chrząka głośno.

- Giles! Masz dopiero trzydzieści pięć lat! - śmieję się.

- Nie każdemu latka służą tak jak tobie, Malinche - mówi z galanterią. - Za stary przyk ze mnie, żeby próbować nowych sztuczek.

- A mnie się zdaje, że trzeba próbować nowych sztuczek właśnie po to, żeby zachować młodość - mówi z namysłem Nicholas, dmuchając w swoje *vin chaud* i zaskakując mnie po raz drugi tego ranka.

W ciągu kolejnych dni zaskakuje mnie znacznie więcej razy. A ja zaskakuję nas oboje, odkrywając, że ten nieznany mi dotąd Nicholas jest szalenie pociągający. Do tego stopnia, że któregoś dnia musi stać czoła wyzwaniu, jakim jest nabycie o jedenastej w nocy prezerwatywy w miejscowej aptece; mnie (co za wstyd) nie przyszło do głowy, żeby zabrać choć jedną.

- *Edepol nunc nos tempus et malas peioris fieri* — mówi triumfalnie, rzucając paczuszkę na łóżko, a ubranie na podłogę. - Przychodzi pora, kiedy niegrzeczne dziewczynki stają się jeszcze bardziej niegrzeczne.

- Kto to powiedział? - pytam, wciągając na siebie jego piękne nagie ciało.

- Plautus.

- Lubię Plautusa - mówię zdecydowanie.

Wszystko zaczyna się następnego dnia po tym niedoszłym wypadku ze snowboardzistami. Schodzę spóźniona na śniadanie - po dwudziestu minutach walki z tym demonem Metheny, która nie chce włożyć kombinezonu na wyprawę do bożonarodzeniowej szopki we wsi - tylko po to, by odkryć, że Nicholas zniknął.

Evie podnosi twarz znad talerza i prezentuje uśmiech Kota z Cheshire.

- Tatusz powiedział, że masz o dwunastej pokazać swoją pusię na van-show - oznajmia.

Patrząc pytająco na Sophie.

- Powiedział, że masz o dwunastej pokazać się w Le Poussin na *vin chaud* - Sophie z westchnieniem odwała swoją robotę tłumaczki. - Aleś ty beznadziejna, Evie. Tak jakby tatuś kiedykolwiek jeździł vanem.

Nawet gdyby Nicholas naprawdę podjechał do kafejki na stoku białym fordem transitem i zażądał seksualnej satysfakcji, mniej by mnie zaskoczył.

- Snowboard?! - wykrzykuje Kit, kiedy dzwonię do niego z komórki w kawiarnianej toalecie, żeby się podzielić apokaliptyczną nowiną.

- Snowboard - potwierdzam.

- Porwanie przez kosmitów nieoczekiwanie zaczyna brzmieć całkiem rozsądnie - zauważa Kit. - Teraz widzę całą tę historię z Roswell i Strefą 51 w całkiem nowym świetle. Ale, ale - dodaje znacząco - jak karmiłem waszego królika, zwróciłem uwagę, że masz sporo wiadomości na sekretarce.

- Przestań, Kit.

- Nie rozumiem cię — mówi ze złością. - Nie jesteś ciekawa, po tylu latach?

Trace zawsze miał talent kusiciela... W wyobraźni błyska mi jego sataniczny uśmiech. Ale to poza dyskusją. Choćby godziny pracy. Dziewczynki musiałyby mieć przy łóżkach moje zdjęcia, aby nie myślały, że to napad, wpadłszy na mnie na korytarzu w środku nocy.

Ale własna restauracja...

Nie, to niemożliwe. Nie ma co nawet o tym myśleć. Więc bardzo się staram nie myśleć.

Bez względu na to, jakie godziny Trace by mi zaoferował, przyjęcie jego propozycji jest wykluczone. Kocham Nicholasa bardziej, niż można sobie wyobrazić, ale nie zamierzam ryzykować wszystkiego, ustawiając się znowu w strefie ognia.

Okazało się, że Nicholas ma smykałkę do snowboardu. Przez dwa dni zgromadził kolekcję siniaków, na której widok Evie zrobiła się zielona z zazdrości, a potem nagle wszystko zaskoczyło i trzeciego dnia dołączył na stoku ze swoją deską do nas, zwykłych, wiemych nartom śmiertelników.

Znalazł nawet czas, żeby kupić sobie nową kurtkę khaki i szare bójki, odnotowuję ze zdumieniem. Choć lubię jego granatowy jednoczęściowy kombinezon, który ma od czasów, kiedyśmy się poznali, trzeba przyznać, że trochę się podniszczył.

A już całkiem opada mi szczęka, kiedy widzę, że Nicholas ma w uszach białe słuchawki - słuchawki! I to jest ten sam mężczyzna, który aż do 1994 roku uparcie odmawiał przestawienia się z płyt winylowych na CD! - a w nich leci piosenka w wykonaniu jakiejś dziewczyny, o której słyszę pierwszy raz w życiu.

- Ja bym się nie skarżyła - mamrocze Liz, żując z zapałem *pain au chocolat*, jej małe przedobiednie conieco. - Jak na kryzys wieku średniego, sprawienie sobie iPod'a i jazda na desce to całkiem nieszkodliwe objawy. I musisz przyznać, że mu z tym do twarzy.

Liz ma rację: do twarzy mu z tymi zmianami. Kiedy patrzę na mojego męża, jak przemyka obok na desce z rozpostartymi dla równowagi rękami, na ugiętych kolanach, z rozwianymi włosami — najwyższa pora je przystrzyc - nagle niczym cios pięścią uderza mnie myśl: to jest prawdziwy Nicholas. Zdarzały się w przeszłości przebłyski - zwłaszcza w łóżku — ale przez dwanaście wspólnie przeżytych lat nigdy nie widziałam tego tak wyraźnie jak w tej chwili.

To jedno z cichych rozczarowań mojego małżeństwa, że nigdy nie udało mi się przełamać twardej jak zbroja samokontroli Nicholasa. Pedantyczne metody wychowawcze Edwarda i Daisy Lyonów okazały się trwałe w skutkach.

A jednak nie aż tak trwałe jak przypuszczałam.

Nie. Trace Pitt może sobie zbudować Tadž Mahal w centrum Salisbury, a ja i tak nie mam zamiaru odpowiadać na jego telefony.

- Sophie, pośpiesz się! - drę się, przerzucając Metheny z jednego biodra na drugie. - Mówiłam ci, że mam dzisiaj dużo spraw do załatwienia, spóźnimy się!

Sophie pokazuje się u szczytu schodów.

- Ale mam, kiedy nie mogę znaleźć ani jednej pary czystych majtek! Wszystkie zniknęły! Przecież nie mogę iść do szkoły bez majtek!

O żesz.

- To złap któreś z kosza na pranie. Wyjaśnimy to jutro. Pierwszy dzień po feriach zawsze jest trochę zwariowany, sama wiesz...

Parę minut później Sophie zbiega po schodach i minawszy mnie pędem, ładuje się na tylne siedzenie samochodu obok Evie. Obchodzę volvo, żeby przypiąć fotelik Metheny. Mała opiera się, wykręca zwinnie jak foka; już prawie mi się udaje dociągnąć i zapiąć wszystkie pięć klamer, gdy puszcza pawia płatkami śniadaniowymi na siebie, na siedzenie samochodu, na...

- Evie! Co tu robi Don Juan, do jasnej Anielki?

- Dziś w szkole mamy opowiadanie na przykładzie...

- Zanieś go do klatki. Ale już! Sophie, pomóż mi przenieść Metheny z powrotem na tył, muszę ją przebrać. O Boże, telefon...

Dzwoni sekretarka mojego ginekologa, żeby zmienić termin wizyty, bo nieoczekiwanie wypadła im cesarka na życzenie - czytaj: zaproszenie na golfa i długi lunch w dziewiętnastym dołku. Czy byłabym tak uprzejma i przysłała godzinę wcześniej... Wcześniej? O, jasny gwint, jestem dziś umówiona na wizytę kontrolną! Sekretarka sprawia wrażenie, że naprawdę jej przykro, ale obie wiemy, że nic się nie da zrobić. Bądź co bądź, ginekolog jest mężczyzną.

Mogłabym w ogóle zrezygnować z wizyty, ale ginekolog będzie potem stroił fochy i każe mi czekać trzy dni, jak po raz kolejny będę miała okropnie bolesne zapalenie pęcherza (na co, jeśli Nicholas utrzyma bieżącą łożkową formę, pewnie nie będę musiała czekać zbyt długo).

Pędzę więc na złamanie karku - „Mamusiu, widziałas, jaką miałam minę tamta pani na świątkach? Ale śmiesznie wyglądała! Mogłybyśmy jeszcze raz o mały włos kogoś przejechać?” - z dziewczynkami do szko-

ły, zostawiam Metheny u Liz i wracam do domu, zyskując dwie dodatkowe minuty, zanim będę musiała wyjść ponownie.

Zawsze kiedy idę do ginekologa, lubię podjąć dodatkowy wysiłek na froncie higieny (to jak mycie zębów szczoteczką przed użyciem nici albo odkurzanie pod łóżkiem przed wizytą sprzątaczkii), ale tym razem mogę się umyć tylko pobieżnie, jak kot łapą. Pędzę na górę, zrzucam wełnianą kapotę do kostek - cóż to za cudowny krawiecki wynalazek, nie pojmuję, dlaczego wyszedł z mody - wkładam pod kran flanelową szmatkę i wycieram się od dołu, żeby prezentować się jako tako przynajmniej w tym miejscu. Ciskam flanelkę do kosza na pranie, wskakuję ponownie w kapotę, potem do samochodu i pędzę do lekarza.

Ta oszalała gonitwa to moja codzienność, myślę, pełną przez kolejne dwadzieścia minut za kontenerem z końmi i zgrzytając ze złości zębami.

Zdaję sobie sprawę, że Nicholas - jak większość mężów, których żony nie wychodzą do pracy - wyobraża sobie, że cały dzień leżą na kanapie i jem czekoladki, a dla rozrywki od czasu do czasu przymierzam pantofle. I do pewnego stopnia ma rację, jako że dokładnie to bym robiła, gdybym nie musiała odwieźć dzieci do szkoły, przetrzeć podłogi w kuchni, wpakować naczyń do zmywarki, przeszukać domu pod kątem brudnych skarpetek (moja ostatnia inspekcja za piecem kuchennym, pod kłatką Don Juana i w pudełku z biskoptami dała wynik cztery sztuki), włączyć pralki, podrzucić do pralni chemicznej rzeczy Nicholasa, pójść z Metheny na huśtawkę na skwerze, wstawić rondla do pieca, powycierać kałuż, bo zmywarka przecieka, zadzwonić po hydraulika, pozmywać wszystkiego ręcznie, wynieść i rozwiesić prania, położyć Metheny do łóżeczka, zebrać prania, bo zaczęło padać, zamówić przeglądu mercedesa, zapisać pomysłu na nowy suflet, który przyszedł mi nagle do głowy, znowu rozwiesić prania, bo przestało padać, cztery razy odebrać telefonu od handlowca, który usiłuje mi wcisnąć okna o podwójnych szybach, zabrać dziewczynkę ze szkoły, przykleić waty na bałwana z tektury, napisać pięciu zdań, w których występuje przysłówki, dać dziewczynkom jeść, wykapać je, ubrać, przeczytać im bajki, położyć do łóżek, dyskutować przez czterdzieści minut z teściami na temat organizacji ich złotych godów, zajrzeć pod łóżko Evie, czy nie czają się tam potwory z pochodniami, przeczytać im bajki jeszcze raz, wyprasować koszuli Nicholasa na jutro, zrobić kolacji dla nas

dwojga, pozmywać, posprzątać, wykapać się i pójść do łóżka. Niech mi ktoś chociaż ustawi te pantofle do przymierzenia, a jestem pewna, że jutro będę miała trochę czasu.

Kit twierdzi, że powinnam przestać tak się starać, pozwolić, żeby Nicholas zobaczył czasem szaleńcze wiosłowanie łapami pod powierzchnią wody, a nie tylko majestatycznego łabędzia sunącego spokojnie po tafli; ale ja nie potrafię, on uważa, że jestem taka zdolna, świetnie zorganizowana, ze wszystkim sobie radząca, nie mogę go rozczarować, nie przeżyłabym tego.

Przez kontener z końmi, który pełził w ślimaczym tempie, wpadam do ginekologa z dziesięciominutowym opóźnieniem. Sekretarka wprowadza mnie do gabinetu z uśmiechem typu „to pani wina, nie moja”. Rozbieram się i wskakuję na fotel, wkładając stopy w strzemiona i starając się mieć odpowiednio skruszoną minę. Nie ma co wchodzić w konflikty z przekonanymi o swojej wyższości facetami uzbrojonymi w zimny wzniernik.

Patrzę w sufit i staram się odpłynąć mentalnie w inne rejony. Gdybym została szefową kuchni u Trace'a - oczywiście nie mam zamiaru, ale gdybym została, w małej gastronomii dzieje się ostatnio tyle fascynujących rzeczy... och, to brzmi tak okropnie nudno i naukowo, w ogóle nie zapowiada rzeczy typu, jak sprawić, żeby truskawki smakowały jak czekolada, a kartofle jak zielony groszek, a na tym to przecież polega...

(Spokojnie, spokojnie, on to widział z tysiąc razy).

.. jeśli ktoś, to właśnie Trace jest człowiekiem, który może podjąć tego typu gastronomiczne wyzwanie; aż się dziwię, że dopiero teraz otwiera własny lokal...

(Och, jakie zimne ręce).

...choć z drugiej strony, niezupełnie sobie wyobrażam, że lody sardynkowe w Salisbury...

Ginekolog chichocze między moimi udami.

- No, no, pani Lyon, podjęto się dziś rano ekstra wysiłek, tak?

Zerkam spomiędzy rozłożonych kolan na czubek jego głowy.

- Słucham?

- Zawsze miło widzieć, że ktoś się przykłada do roboty. W porządku, proszę się rozluźnić, to potrwa sekundkę...

Zastanawiam się nad tą jego uwagą w drodze powrotnej, ociekając wilgocią od spodu - tyle tego lubrykantu, koniecznego, oczywiście, ina-

czej wyróciłoby człowieka na lewą stronę, jak obcy facet pakuje w ciebie, a potem wyciąga zimne metalowe narzędzie; nic w tym złego, aczkolwiek czuję się trochę jak bohaterka powieści erotycznej - ale chwilę później, kiedy otwieram tylne drzwi, dzwoni telefon i zanim zdołam uspokoić Ali, moją coraz bardziej zdenerwowaną agentkę, lekkomyślnie obiecując, że do połowy lutego dostarczę dwanaście nowych przepisów i plan całości (dwanaście! do połowy lutego!), kompletnie zapominam o całym zdarzeniu.

Bomba wybucha, gdy wracają dziewczynki.

- Mamo - woła Sophie z łazienki - gdzie jest moja flanelka?
- Jaka flanelka? — drę się w odpowiedzi, z głową w piecu (z którego wyciągam lekko przypalony placek, daleka od pomysłów w stylu Sylvii Plath).
- Ta, co była koło umywalki - wyjaśnia cierpliwie Sophie. - Miałam w niej złoty proszek.

Stoję goła w łazience i już mam wejść pod prysznic - co za wstyd! - kiedy wpada Evie, błada, zszokowana, z oczami jak spodki.

- Przyszła Liz i nawet nie spojrzała na placek który zostawiłaś żeby wystygł przeleciała przez kuchnię jest w kapciach i mówi że masz natychmiast zejść na dół i zobaczyć w telewizji!

Fala strachu spływa mi po plecach. Łapię ręcznik. Instynktownie wiem, że mojej rodzinie przydarzyło się coś strasznego.

Liz siedzi skulona na sofie przed telewizorem, z łokciami wspartymi o kolana. Zrywa się i rzuca ku mnie, tak jakby chciała mnie objąć, lecz w ostatniej chwili najwyraźniej dociera do niej, że to by było niewłaściwe - na razie, myślę przerażona - więc stoi niezręcznie, kręcąc w palcach rożek powyciąganego rozpinanego swetra.

- Co jest, Liz?
- Bomba - mówi bezradnie. - A właściwie pięć bomb. W Londynie, znowu. Wygląda na to, że zostały ustawione tak, żeby wybuchły wszystkie naraz w porze największego ruchu...
- Gdzie? - pytam z trudem.
- Trafalgar Square, Marble Arch... tam jest okropnie, och, Mal, te widoki... Victoria Station, Knightsbridge i...
- Urywa. Nie zniosę tego współczucia w jej oczach.
- Holborn... o mój Boże, Nicholas.

Jakie to nieoryginalne, jakie desperackie, te nasze targi z Bogiem. Proszę, ocal go, a będę co niedziela chodzić do kościoła. Proszę, ocal go, a dam sto funtów na cele dobroczynne. Proszę, ocal go, a nigdy nie będę się złościć, jak będzie rzucał rzeczy na podłogę, nie będzie mi przeszkadzało, że nie ściele po sobie łóżka, będę idealną żoną, idealną matką, zrobię wszystko, tylko proszę, ocal go, ocal.

Kit przychodzi dziesięć minut po Liz i zabiera dzieci do siebie - „Hej, dzieciaki, kto ma ochotę spać u wujka Kita? Nie, Evie, ty potworze, królika nie zabieramy, za bardzo rozrabia, chyba że weźmiesz też dla niego trochę marchewki i cebuli” - a ja siedzę jak przykuta przed telewizorem, zaciskając ręcznik wokół piersi, aż bieleją mi kostki palców, niezdolna oderwać oczu od przerażających obrazów, sparaliżowana ze strachu.

Terrorysty przeszli tym razem samych siebie: wygląda na to, że wysadzili też elektrownię. Całe dzielnice Londynu są bez światła, nie działają telefony, ani stacjonarne, ani komórkowe. Nie sposób się porozumieć ani czegoś dowiedzieć. Jedyne, co chciałabym teraz zrobić, to wskoczyć w samochód i pojechać tam, i zobaczyć na własne oczy, ale to oczywiście niemożliwe, drogi dojazdowe do centrum Londynu są zamknięte, pół miasta otoczone kordonem, więc siedzę, napięta jak struna, powtarzając w myśli jak mantrę: ocal go, ocal go, ocal go; bo może coś zobaczę, dostrzegę jakąś najcieńszą choćby nitkę łączącą mego męża z życiem.

Patrzę na przekazywane na żywo kadry w jakimś niesamowitym otępieniu. Te dymiące ruiny, ta rzeź... To chyba Teł Awiw? Albo Bagdad, Kabul... Ale nie Londyn. Znowu?

To się nie dzieje naprawdę. Za chwilę ta stara kobieta pokryta grubą warstwą pyłu znów otworzy oczy, oczyszcza z ketchupu tego nastolatka o martwych oczach, ci ludzie drżący pod arkuszami folii wstaną, sięgną po kubek kawy i będą ze śmiechem narzekać na jakość kanapek w bufecie, czekając na następne ujęcie. Tyle że te nieforemne tłumoki pod niebieskimi płachtami to nie są starannie zaaranżowane filmowe akcesoria, to czerwone na chodniku to nie farba, tego pluszowego misia - zawsze jest jakiś miś... - zgubiło prawdziwe dziecko.

Choć wiem, że sieci komórkowe nie działają, raz po raz naciskam przycisk „ponowne dzwonienie”, aż wreszcie Liz zabiera mi telefon.

- Sam zadzwoni - mówi z otuchą - jak tylko telefony będą znowu czynne. Wszystko będzie dobrze. Znasz Nicholasa, jest silny, sprawny. Przypomnij sobie, jak jeździ na desce.

No to co! - mam chęć wrzasnąć. Sprawność, choćby nie wiem jaka, znaczy tyle co nic wobec strzaskanych belek, potłuczonych szyb, zwałów cegieł i brył betonu!

Około północy stacje telewizyjne przestawiają się na spokojniejszy styl przekazu. Pierwsza fala adrenaliny minęła, reporterzy, nieco bardziej opanowani, podają trochę nowych wiadomości, stojąc na tle dymiących, osmalonych gruzów, przez które przekopują się powoli ratownicy o ponurych twarzach. W studiach dyskutują eksperci od terroryzmu i politycy. A ja wciąż nie mam pojęcia, czy mój mąż żyje, czy nie; czy jest jedną z tych dwustu osób - Boże, dwieście osób rozszarpanych na strzępy! - których śmierć już stwierdzono, czy też dołączy do statystyk jutro lub pojutrze.

W końcu wysyłam Liz do domu, żeby pocieszyła własnego męża. Dzwonię jeszcze raz do rodziców Nicholasa i obiecuję, że dam im znać, jak tylko będę coś wiedziała. - Brak wiadomości to dobra wiadomość - mówi dzielnie Edward, ale w tle słyszę ciche łkanie Daisy. A potem kulę się w kąciку na kanapie, wciąż tylko w ręczniku, i czekam. Trzeźwa, przytomna, z suchymi oczami. Czekam. Czekam.

Bo przecież wszystkie musiałyśmy się nauczyć, że tak się właśnie dowiadujemy, że mąż czy dziecko w drodze do domu zginęli w zamachu terrorystycznym. Nie ma tu żadnych oczywistości, nic się nie da powiedzieć jasno, że jest tak lub tak. Mówisz sobie, że ktoś, kogo kochasz, ma większą szansę wpaść pod autobus, niż wylecieć w powietrze wskutek wybuchu bomby, ale strach narasta, jak tak siedzisz i czekasz na sygnał telefonu, a prerażenie ścina ci żołądek; tak, sieci nie działają, tak, pewnie utknął gdzieś w korku, ale mija godzina za godziną, zaczyna budzić się nowy dzień, a on wciąż nie dzwoni, a przecież gdzieś tam dla dwustu rodzin to najgorsze już się stało, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedzą. Strach rozrasta ci się w środku jak atomowy grzyb, a ty chwytasz się rozpaczliwie strzępka nadziei, tak jakby od tego zależało twoje psychiczne zdrowie. I zależy.

Za piętnaście siódma następnego dnia mój telefon w końcu dzwoni.

- Mał? To ja - słyszę głos Nicholasa.

Dziękuję dziękuję dziękuję dziękuję dziękuję...

- Mal, jesteś tam? Szlag by to, telefony...
- Jestem - szepczę. Kręci mi się w głowie.
- Oczywiście wiesz, co się stało. Ze mną wszystko dobrze, trochę jestem wstrząśnięty, jak się domyślasz, ale mieliśmy szczęście, w kancelarii wyleciało parę szyb, ale największe szkody są po drugiej stronie Holborn. - Mówi bezbarwnym, wypranym z emocji głosem. Szok, to jasne. - Nie jest aż tak źle, jak to wygląda w telewizji, ale i nie najlepiej.

Dwanaście godzin nocnego koszmaru wylewa się ze mnie z całym powstrzymywanym dotąd potokiem słów.

- Na pewno nic ci nie jest? Gdzie byłeś, jak to się stało? Co robiłeś? Gdzie się podziewałeś cały czas, próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale...

- Jestem cały i zdrowy - powtarza. - Słuchaj, przykro mi, że się martwiłaś, ale... poczekaj chwilę.

Słychać dziwny odgłos, jakby płynącej wody, a po chwili lekki trzask, gdy znowu bierze telefon do ręki. Głos ma stłumiony, tak jakby wszedł do szafy.

- Mal, to była koszmarna noc - mówi ze znużeniem. - Wiem, że szalejesz z niepokoju, ale wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Postaram się wrócić do domu jak najszybciej, ale możesz sobie wyobrazić, jak to w tej chwili wygląda. Nie wiem nawet, czy pociągi znowu kursują.

- Waterloo jest już otwarte, słyszałam w wiadomościach. Gdzie teraz jesteś?

- W biurze. Spędziłem tu noc. Słuchaj, Mal, kończmy, dobrze? Wróć, jak tylko się da. Jak dziewczynki?

Najwyraźniej nie mówi wszystkiego. Mam wrażenie, że twarda pięść ścisną mi wnętrzności. Bóg jeden wie, co przeżył, jakie okropności widział. Jak mało brakowało, żebyśmy go straciła.

- Z dziewczynkami wszystko dobrze - mówię. - Są u Kita...
- Oczywiście.
- Nicholas, proszę. On tak się o ciebie bał... tak jak my wszyscy.
- Przepraszam.
- Kocham cię - nie wytrzymuję nagle. - Kocham cię, Nicholas.

Słyszę wahanie i uśmiecham się przez łzy. Krępuje się powiedziec to na głos przy kolegach z pracy, nawet teraz. Jakie to podobne do Nicholasa.

- Ja ciebie też - mamrocze wreszcie.

Dopiero kiedy wyłącza telefon, zdaję sobie sprawę, że nie zapytałam, czy rozmawiał z rodzicami. Próbuję zadzwonić do niego do biura, ale słyszę sygnał braku łączności; najwyraźniej sieć telefoniczna wciąż działa z przerwami, Nicholas miał szczęście. Dzwonię więc do teściów, a potem idę powoli do kuchni. Czuję się dziwnie, jak w gorączce.

Mam wrażenie, że przez ostatnie dwanaście godzin wstrzymywałam oddech. Jestem zarazem zmęczona, szczęśliwa, przygnębiona i zła. Nigdy więcej nie chcę przeżyć takiej nocy. To okropne, że trzeba zaliczyć taki koszmar, aby sobie uświadomić, ile mamy do stracenia.

Nagle czuję się bardzo małatka i wstyd mi za siebie. Niemal cały wczorajszy dzień wściekałam się w duchu na Nicholasa tylko dlatego, że on wychodzi do pracy, a ja jak niewolnica muszę tkwić w domu przy desce do prasowania i wybieraniu króliczych gówieńek z miski z owocami. Ale on o mało co nie przypłacił swojej pracy życiem. Cóż znaczy trochę nudy czy oparzenie parą z żelazka w porównaniu z tym?

Przenika mnie dreszcz czystego szczęścia. Nicholas żyje, jest bezpieczny. Nie mogę się oprzeć i przez chwilę tańczę w uniesieniu koło kuchennego pieca.

I właśnie dlatego, kiedy Trace Pitt otwiera górną połowę drzwi i widzi mnie po raz pierwszy od czasu, gdy straciłam nasze dziecko, stoję przy piecu goła jak mnie Pan Bóg stworzył, z połyskującym w owłosieniu łonowym złotym proszkiem.

Nicholas

Wstanie z miejsca było piramidalnym błędem. Nie dość, że mój namiot w spodniach jest teraz widoczny dla każdego, czyj wzrok zabłąka się w te rejony, to jeszcze mam dokładnie w polu widzenia jedwabną malinową bluzkę Sary - Boże Wszechmogący, ona jest bez stanika... - co dodatkowo rozjątrza problem, z którym borykam się od początku.

Biorę ze stołu konferencyjnego skoroszyt z aktami sprawy i chowam się za nim - dosłownie i w przenośni.

- Rozmawialiśmy z pani mężem, pani Stockbridge - zwracam się do klientki - i wystąpił z całkiem rozsądną propozycją co do samego rozwodu; pozostaje nam tylko sprecyzować pani roszczenia finansowe. Mążzonek ponownie wyraził gotowość określenia świadczenia w razie jego śmierci na rzecz syna, a ponadto wyznaczył panią...

Sara lekko unosi brwi. Zauważyłem, że jej brwi zyskują szczególną mobilność, gdy używam słów w rodzaju „aczkolwiek” czy „ponadto”. Niezwykła z niej prawniczka, doprawdy.

- ...wyznaczył panią - ciągnę pośpiesznie - jako osobę upoważnioną do wypłacenia wszelkich należności z jego polisy w ramach ubezpieczenia na życie. Od jego adwokata uzyskaliśmy wiadomość, że kwota ta wyniesie dwieście tysięcy funtów. Przyjmujemy to za status quo w oczekiwaniu na ugodę lub rozszerzenie przez panią zakresu roszczeń...

- Czyli on ma wszystko z głowy i może wziąć ślub z tą swoją pin-dą? - przerywa pani Stockbridge.

Patrzę na klientkę, zbity z tropu jej nieoczekiwanym odejściem od prawnych detali. Flegmatyczna, upudrowana, starannie ubrana, ma w sobie ten zbutwiałych ryb zapach, typowy dla kobiety w trakcie Zmiany. Pani Stockbridge nie jest kobietą, którą miałbym ochotę pocałować. Nie potrafię sobie wyobrazić, że wsuwa mi język do ust i wtula się we mnie, że ogarnia nas pożądanie...

Boże. To ta cholerna piosenka, którą przysłała mi Sara. Nie mogę pozbyć się jej z pamięci.

Po przeciwnej stronie stołu Sara poprawia się na krześle. Niczym nieujarzmione różowe brodawki wypychają cienką jedwabną tkaninę. Nie wierzę, żeby jakikolwiek facet mógł pozostać na to obojętny.

- Zdaję sobie sprawę, pani Stockbridge, że sytuacja jest dla pani nieprzyjemna...

- Nieprzyjemna!

Podniesiony głos i łzy: dla mnie to dziesiąty krąg piekła Dantego. Kiedy ktoś przy mnie płacze, wszystko może się zdarzyć. Taka reakcja jest w pełni naturalna. Nie mogę, jak utrzymuje Malinche, pamiętać kłótni moich rodziców, miałem wtedy zaledwie sześć miesięcy; to po prostu typowa angielska uczciwość. Bez dwóch zdań.

Obchodzę stół i ostrożnie zbliżam się do rozbitej emocjonalnie klientki, zastanawiając się, jak sobie z nią poradzić. Może filiżanka herbaty...

Sara lekko kręci głową, odrzucając moją asystę przy tacy z herbatą.

- Wiem, że odczuwa to pani jako wielką niesprawiedliwość - mówi cicho. - Po trzydziestu trzech latach małżeństwa on odchodzi z dziewczyną, której nie było jeszcze na świecie, kiedy zakładaliście swoją firmę. Teraz musi pani sprzedać firmę i wasz piękny dom i przenieść się do niewielkiego mieszkania, a on tymczasem odejdzie w siną dal i nie oglądając się wstecz, zacznie nowe życie u boku innej. Doskonale panią rozumiem, proszę mi wierzyć.

Dzięki Bogu. Czasem kobiece podejście jest niezastąpione. Nie można oczekiwać od mężczyzny, że poradzi sobie z emocjonalnymi wybuchami i potokami łez.

- Była opiekunką naszej wnuczki - łąka pani Stockbridge. - Myślałam, że on chodzi co wieczór do naszej Sandry, żeby popatrzeć na małą.

- Tego już nie możemy zmienić - mówi ze współczuciem Sara. - Ale pomożemy pani jak najlepiej wykorzystać tę sytuację. Mąż dostanie

rozwód, tego się nie da uniknąć, ale postaramy się, żeby droga za to zapłacił. Poza tym - dodaje przenikliwie - zdarza się, że jeśli człowiek nie może czegoś czy kogoś mieć, pragnie tego tym bardziej.

I pani Stockbridge, i ja poddajemy tę myśl krótkiej refleksji. Nasza klientka bez wątpienia uświadamia sobie, że ta atrakcyjna młoda prawniczka o blond czuprynce ma całkiem rozumną głowę na karku. Rzeczywiście, Sara trafiła w sedno. Pomagałem się rozstać wielu małżeństwom, których ślub został niejako wymuszony przez przedłużający się rozwód jednego z partnerów z poprzednim współmałżonkiem. To, co zaczęło się jako błaha przygoda, nieoczekiwanie nabrało wagi, na jaką nie zasługiwało, pod ciężarem chaosu, jaki ta przygoda za sobą pociągnęła.

Ja zaś myślę, jak bardzo chciałbym z tą atrakcyjną prawniczką o blond czuprynce znaleźć się w łóżku. I jakie to szczęście, że nasza firma nie prowadzi akurat żadnych spraw poza Londynem.

- Pani Stockbridge - wracam do tematu - propozycja jest uczciwa, w każdym razie pod względem finansowym, sugeruję więc, aby ją pani przyjęła. Jedyne fakt, że mąż jeszcze nie zagwarantował pani bezpieczeństwa finansowego, stwarza nam szansę sprzeciwu wobec złożenia przez niego wniosku o ostateczne rozwiązanie małżeństwa, co pozwoliłoby mu na zawarcie ponownego związku.

- Nie pozwól, żeby zobaczył, jak bardzo cię to boli, Joan - nalega Sara. - Odejdź z podniesioną głową. I pamiętaj, że to jeszcze nie koniec. Kiedy zostanie orzeczony rozwód, będzie musiał postać nową żonę do pracy, żeby mieć na alimenty dla ciebie.

Nie czuję się całkiem swobodnie wobec tej pełnej pasji stroniczości Sary, ale wygląda na to, że kobiety rozumieją się lepiej: jej argumentacja najwyraźniej trafia pani Stockbridge do przekonania. W końcu udaje nam się namówić klientkę, aby postąpiła zgodnie z naszą radą - za którą przyzwociła zapłaciła - i pani Stockbridge, podpisawszy stosowne dokumenty, opuszcza salę. Bardzo mi jej żal. Co za niefortunny zbieg okoliczności, że przyłapała męża z opiekunką wnuczki in flagranti. Gdyby nie to, młodej kobiecie nigdy by się nie udało skłonić podstarzałego kochanka do porzucenia trzech posiłków dziennie i starannie wyprasowanych koszul dla jej niewątpliwych, lecz ulotnych wdzięków. Gdyby pozostawić sprawę własnemu biegowi, na pewno szybko by się wypaliła. Ale cóż, stało się. Zamiast wygodnej emerytury za niespełna trzy lata,

wkrótce znowu będzie potykał się w nocy o klocki Lego, co do tego nie ma wątpliwości.

Pukanie. Emma, moja sekretarka, uchyla drzwi.

- Panie Lyon, dostałam formularz statusu finansowego Wilsona, poświadczony notarialnie. Czy mam go wysłać jutro rano do Cowana i Fincha?

- Sprawa Wilsonów za pasem - mówię i rzucam okiem na zegarek. - Już prawie szósta. Podrzucę go do Cowana po drodze na stację, zaoszczędzimy w ten sposób parę dni. Czy może pani przed wyjściem zadzwonić i uprzedzić o mojej wizycie?

Emma kiwa głową i wycofuje się. Zbieram akta sprawy Stockbridge'ów i wychodzę z sali konferencyjnej, a tuż za mną Sara. Milczę, bo nie przychodzi mi do głowy nic, co można by bez ryzyka powiedzieć.

Piosenka, którą wysłała mi w sylwestra, zmieniła wszystko. Zdradziła, że Manchester nie był jakąś aberracją, efektem zbyt dużej ilości alkoholu czy pokusą zrodzoną przez samą tylko przestrzenną bliskość. Że nie wymyśliłem sobie podtekstu kryjącego się w zaproszeniu na szybkiego drinka na dobranoc. Sara doskonale wiedziała, co robi, kiedy użyła piosenki, by zaproponować żonatemu mężczyźnie, aby sobie wyobraził dalszy ciąg, gdyby doszło między nami do pocałunku.

Nie chcę tego. Kocham moją żonę.

Chcę tego. Chcę kochać się z tą kobietą, ale nie zamierzam tego zrobić. Jestem człowiekiem, nie bestią. Mam rozum i sumienie, nie tylko hormony.

Wymieniam akta Stockbridge'ów na pokazny plik dokumentów dla Cowana i Fincha, narzucam płaszcz i sięgam po nesaser.

- Daj, wezmę trochę - mówi Sara, wyciągając zgięte ręce.

Waham się, ale odmowa byłaby grubiaństwem. Kiwnąwszy głową, podaję jej akta Wilsonów. Owiewa mnie woń Allure - i czegoś jeszcze, co z wewnętrznym oporem rozpoznaję jako słodycz właściwą tylko jej, Sarze.

Wychodzimy z budynku i ruszamy w kierunku Holborn. Kiedy przekraczamy wąską uliczkę nieopodal stacji metra, obcas Sary utyka w szparze chodnika. Przystaje, żeby uwolnić pantofel, i ze śmiechem balansuje na jednej nodze, starając się nie upuścić akt. Zatrzymuję się i ja. I dlatego jesteśmy osłonięci z obu stron dwoma potężnymi biurwcami, gdy ułamek sekundy później dzielnicą High Holborn wstrząsa potężny wybuch.

Gdyby nie pantofel Sary, byłibyśmy już pięć metrów dalej, na głównej ulicy. Dokładnie tam, gdzie lecą teraz ostre jak gilotyna kawały rozbitych szyb, z których każdy mógłby nas zabić.

To niezwykle, jak szybko włącza się u człowieka instykt samozachowawczy. Momentalnie rzucam się całym ciałem na Sarę i kryję wraz z nią we framudze drzwi sklepowych. Wybuch wysłał powietrze i pozbawił nasze płuca tlenu. Kucamy, wsparci o ścianę, i osłaniamy się przed duszącym pyłem wzniesionym nad głowami płaszczem. Łapiemy powietrze niczym ryby, z oczu płyną nam potoki łez.

Nagle włączają się tysiące samochodowych alarmów. W ciągu paru minut przestrzeń wypełniają przeraźliwe sygnały wozów strażackich i karetok pogotowia. Mam wrażenie, że słyszę jęk okaleczonego miasta. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to zbiorowy krzyk rannych, umierających i schwytych w pułapkę.

Patrzemy na siebie z Sarą. Twarze, włosy i ubrania mamy pokryte grubą warstwą szarego pyłu. W jej srebrzystych oczach nie widzę strachu, tylko ciekawość, ulgę... i błysk adrenalinowej ekscytacji.

- Jak myślisz, czy już po wszystkim? - pyta.

Jej spokojny ton w obliczu takiego zagrożenia zaskakuje mnie. Mogę sobie wyobrazić panikę Mał w podobnej sytuacji... choć bałaby się raczej o dzieci niż o siebie. Emocjonalna samokontrola Sary przypomina samokontrolę mężczyzny; jest to dla mnie zarówno odświeżające, jak i niebezpiecznie atrakcyjne.

Podskakujemy, gdy o ziemię uderzają kolejne zwały gruzów i tafle szkła.

- Raczej tak, chyba że zainstalowali w pobliżu kolejne bomby, które będą wybuchać w czasie akcji ratunkowej - odpowiadam, dziwiąc się, jak błyskawicznie nauczyliśmy się wszyscy taktyki terroryzmu.

Kolejne crescendo roztrzaskanych szyb, tym razem dosłownie pół metra od nas.

- Nie powinniśmy tu tkwić - rzucam. - Bóg jeden wie, na ile ten wybuch naruszył okoliczne budynki.

Sara wstaje i otrzepuje z ubrania ceglany pył.

- Mieszkam przy Theobald Road - mówi - dziesięć minut stąd.

Otarcie się o śmierć ma zbawienny efekt. Człowiek uprzytamnia sobie własną śmiertelność, krótkotrwałość i kruchość życia.

Carpe diem. Chwytaj dzień.

Krótki rzut oka w głąb ulicy pozwala stwierdzić, że oprócz paru wbitych szyb nasz biurowiec przetrwał w stanie względnie nienaruszonym. W pierwszym odruchu chcę biec ku głównej scenie zdarzenia — gdzie bez wątpienia byłbym raczej zaważą niż pomocą - ale jezdnię barykaduje policyjny samochód. Tak więc nic mnie nie uratuje przed samym sobą.

W mojej komórce nie ma sygnału- standardowe postępowanie w tych czasach: zablokować połączenia telefoniczne, żeby zapobiec kolejnym zdalnie sterowanym wybuchom - ale i tak ją wyłączam.

Trzymając się za ręce, biegniemy z Sarą ku High Holborn, zgięci w instyktownym - nawet jeśli absurdalnym - półprzysiadzie. Gdy docieramy do głównej ulicy, stajemy jak wryci, porażeni stopniem destrukcji. Całkiem jakbyśmy znaleźli się na ulicach zburzonego Bagdadu, a nie w stolicy Zjednoczonego Królestwa. Przewrócone kołami do góry samochody, obrócone w stopy gruzów domy, pogieęte żelastwo ulicznych lamp; a nad tym wszystkim ciężka, dusząca zawiesina dymu i pyłu. Jestem zaskoczony szybkością reakcji służb ratunkowych, które już otoczyły kordonem miejsce zdarzenia; ale cóż, mają za sobą ponury, gruntowny trening.

Mijamy Holborn, brnąc przez zgrzytające pod nogami kupy rozbitego szkła, i biegniemy wzdłuż Hatton Garden, nie zważając na porozwalane fronty sklepów w dzielnicy diamentów. Ledwie rejestrujemy niesamowitą ciszę zalegającą nieuszkodzone boczne ulice, totalny brak przechodniów i ulicznego ruchu. Mijamy porzucone w panice na środku jezdni samochody, zbyt zajęci - ja rozpinaniem w biegu jej bluzki, ona manipulowaniem przy mojej klamrze od paska - by zwracać na nie uwagę.

Wpadamy przez frontowe drzwi do budynku, gdzie znajduje się jej mieszkanie, i ciskam ją na niechlujne schody komunalnego bloku. Zadzieram jej spódnicę, ściągam jednym ruchem majtki i zdzierając z siebie spodnie, kolanem rozpycham jej uda. I już jestem w niej, krew wali we mnie, ryczy, grzmi, dochodzę.

Chwilę później wycofuję się i łapię za poręcz, żeby wstać. Dysząc, pakuję z powrotem obwisłego ptaka w spodnie.

- Cóż, tobie to może wystarczy - mówi sucho Sara - ale dla mnie to tyle co nic.

- Przepraszam. Nie mogłem wytrzymać.
- To fatalnie, kurna.
- To fatalnie, kurna - przyznaję. - Ale spokojnie, poprawię się.
- A spróbuj nie - mówi wesoło.

- Tu?
- Tak...
- Tu?
- Jezu, tak...

- A tak? — Kłęcz między moimi udami, czerwone jak truskawki koniuszki jej piersi połyskują od potu. - Musisz mi powiedzieć, co lubisz, Nick. Jak mam się inaczej dowiedzieć?

Nigdy dotąd żadna kobieta nie zadawała mi takich pytań.

- Lubię to, co robiłaś... paznokciami... po moim... - udaje mi się wykrztusić.

- Tak? - mruczy.
- Tak - wyrzucam z siebie bez tchu.

Sara rozmawia podczas miłosnego aktu. Nie jest to bezsensowny świergot ani nazistowskie komendy, ani świństwa z filmów porno: ona mówi do mnie.

Lubisz to? A to? Szybciej? Wolniej? A tak lepiej? Podnieca cię to? Och, uwielbiam, jak to robisz... Możesz zrobić to samo ustami? Cudownie, och, cudownie... A chciałbyś spróbować tego? Albo tego? Zobaczmy, czy nam wyjdzie. Chyba wyjdzie. O Boże, robię się mokra w środku... A tak możesz? Spróbujmy. Och, tak, tak... Fantastycznie...

Nic jej nie peszy. Chichocze, kiedy nasze śliskie od potu ciała wydadzą odgłos przypominający pierdnięcie. Wybuchą śmiechem, gdy spleceni w jakiejś niewiarygodnej gimnastycznej pozycji musimy uwalniać kolejno poszczególne kończyny, całkiem jakby to była gra w twistera. Z szafki obok łóżka wyciąga prezerwatywę - „Na szczęście za dwa dni mam okres, inaczej to pieprzenie na schodach mogłoby się okazać fatalne w skutkach” - i z niewinną rzeczowością pyta: Cytryna z limonką czy zwykła?

Później, już po, przetacza się na swoją połowę łóżka i zapala papierosa. Patrzę na nią, bardziej zszokowany tym faktem niż wielkim (czarnym) sztucznym penisem, który znalazłem pod łóżkiem, kiedy macałem w poszukiwaniu chusteczek higienicznych.

- Nie wiedziałem, że palisz!
- Nie palę. Tylko po seksie. - Otwiera pudełko. - O, już tylko jeden. To głupie trzymać całą paczkę z jednym papierosem w środku.
- Tak?
- Tak, Nick. - Znowu sięga do mojego ptaka.

Dopiero kiedy światło dnia przesącza się przez szczelnie zasłonięte okno, pozwalam sobie pomyśleć o Mal. Mojej żonie. Kobiecie, którą właśnie zdradziłem; cztery razy, mówiąc ściśle. Choć, rzecz jasna, nie ma się czym chełpić.

Omywa mnie piekąca fala wstydu. Boże Wszzechmogący, co ja zrobiłem?

Ostrożnie, by nie zbudzić Sary, wstaję z łóżka, macam w kieszeni marynarki i wyciągam komórkę. Odsłuchuję czternaście nagrań w poczcie głosowej - wszystkie oprócz jednego od mojej żony - i w miarę jak rośnie panika w głosie Mal, czuję się coraz bardziej chory ze wstydu i poczucia winy. Jezu, nie powinienem był wyłączać telefonu. Co ona musiała przeżyć tej nocy?

Jeszcze raz zerknąwszy w stronę łóżka, idę na palcach do salonu - to nadzwyczajne, jak ta dziewczyna łączy w sobie minimalizm i bałaganiarstwo - i dzwonię do Mal.

Odbiera po pierwszym sygnale.

- Mal? To ja.

Cisza. Bateria mi się rozładowała czy co? Rzucam okiem na wyświetlacz.

- Mal, jesteś tam? Szlag by to, telefony...

- Jestem - szepcze, jakby na wpół przebudzona.

- Oczywiście wiesz, co się stało - mówię, starając się, żeby mój głos brzmiał normalnie. Ale czy cokolwiek może być normalne, kiedy człowiek dopiero co złamał wszelkie obietnice, jakie kiedykolwiek składał? - Ze mną wszystko dobrze, trochę jestem wstrząśnięty, jak się domyślasz, ale mieliśmy szczęście, w kancelarii wyleciało parę szyb, ale największe szkody są po drugiej stronie Holborn. Nie jest aż tak źle, jak to wygląda w telewizji, ale i nie najlepiej.

- Na pewno nic ci nie jest? Gdzie byłeś, jak to się stało? Co robiłeś? Gdzie się podziewałeś cały czas, próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale...

Czuję przypływ podszytej skruchą niecierpliwości. Czy ona musi robić z tego taki dramat?

I zaraz przerażenie i potworne wyrzuty sumienia: ona przez całą noc umierała z niepokoju o mnie. A ja...

- Jestem cały i zdrowy. Słuchaj, przykro mi, że się martwiłaś, ale... poczekaj chwilę.

Sara wstaje i idzie do łazienki, zostawiając otwarte na oścież drzwi. Nie chcę, aby wiedziała, że dzwonię do żony - nie ma po co rozjątrzać rany - ale co ważniejsze, nie chcę, aby Mal usłyszała odgłosy ablucji innej kobiety. Przechodzę do miniaturowego przedpokoju i zamykam drzwi.

- Mal, to była koszmarna noc - mówię cicho, osłaniając słuchawkę dłonią. - Wiem, że szalejesz z niepokoju, ale wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Postaram się wrócić do domu jak najszybciej, ale możesz sobie wyobrazić, jak to w tej chwili wygląda. Nie wiem nawet, czy pociągi znowu kursują.

- Waterloo jest już otwarte, słyszałam w wiadomościach. Gdzie teraz jesteś?

Wybuch paniki. Tłumię ją siłą woli. Ona nie ma nic szczególnego na myśli, to całkiem normalne pytanie.

- W biurze. Spędziłem tu noc. - Jak łatwo umysł podsuwa stosowne kłamstwo, myślę z przerażeniem. - Słuchaj, Mal, kończmy, dobrze? Wróć, jak tylko się da. Jak dziewczynki?

- Z dziewczynkami wszystko dobrze. Są u Kita...

Jakżeby inaczej, cholera jasna.

- Oczywiście.

- Nicholas, proszę. On tak się o ciebie bał... tak jak my wszyscy.

- Przepraszam.

- Kocham cię - mówi i słyszę, że płacze. - Kocham cię, Nicholas.

Nigdy w życiu nie czułem się taki podły. Piekło, piekło... Jak ja mogę spać z inną kobietą i nadal kochać moją żonę? Jak mogę powiedzieć żonie, że ją kocham, gdy służ i pot innej kobiety jeszcze nie obeschły na mojej skórze?

Odwracam się na pięcie, bo Sara otwiera drzwi do przedpokoju: wspaniale, przepysznie naga.

- Ja ciebie też - mówię cicho i wyłączam telefon.

Sara nie pyta, z kim rozmawiałem, i ja też nie wyjaśniam. Czuję, że mój wacek znów się porusza, kiedy idę za nią do sypialni, i zastanawiam się, jak jej powiedzieć, że za chwilę zostawię ją samą. To była bez wątpienia najbardziej satysfakcjonująca fizycznie noc w moim życiu, ale nie podlega też najmniejszej wątpliwości, że niepowtarzalna. Ja wiem najlepiej, dokąd ta droga może zaprowadzić, gdybyśmy szli nią dalej. Do bólu i rozpacz wszystkich zaangażowanych. Lepiej zakończyć to od razu. Ona jest kobietą; prędzej czy później zacznie przypisywać tej sprawie znaczenie. Poweźmie do mnie jakieś uczucia. Muszę ją delikatnie odstawić, póki czas, inaczej będzie cierpiała.

Idę po spodnie do salonu. Podnoszę je z podłogi i niezręcznie mocuję się z nogawkami, gdy Sara wychodzi z sypialni, zawiązując pasek szkarłatnego, poplamionego kawą kimona.

- Słuchaj, Nick - mówi, sięgając do kolczyka - ta noc była fantastyczna, rewelacyjna... ale to była tylko jedna noc, okej? To znaczy, byłeś świetny, ale biurowy romans to nie dla mnie.

Nieruchomieję z jedną nogą w nogawce spodni. Źle jej było ze mną? Mnie było dobrze. Wręcz nieprawdopodobnie. Więc o co...

- Nie chodzi o ciebie - ciągnie, przysiadając na poręczu sofy. - Było świetnie, naprawdę. Ale musisz przyznać, że cała ta sprawa z bombą... no wiesz, w pewnym sensie normalne zasady uległy zawieszeniu. Wykorzystaliśmy to najlepiej, jak się dało, i nie mam z tym żadnego problemu. Ale będziemy nadal razem pracować i nie chcę, żeby dzisiejsza noc nam w tym przeszkodziła, więc myślę, że powinnam... no wiesz, być z tobą szczerą w tych sprawach.

Powinienem czuć ulgę. Wyręczyła mnie.

- Tak będzie w porządku? - pytam.

- O, tak. Naprawdę. Nie martw się o mnie.

W jej głosie nie ma śladu żalu.

- No to dobrze. To jest... tak, to dobrze.

- To będzie nasz mały sekret - dodaje.

- Bez względu na to.

- W takim razie... - wstaje - zrobię sobie teraz kawę, a potem chyba wrócę do łóżka. Do pracy raczej dziś nie pójdziemy. A ty się napijesz?

- Nie, ja... Hm... chyba pójdę... muszę iść... na pociąg. Ale dziękuję za propozycję.

- Okej. Sprawdź na dole, czy na pewno zamknąłeś za sobą drzwi, jak będziesz wychodził. W tym roku już dwa razy musieliśmy wzywać policję, żeby usunęła bezdomnych.

- Jasne - podchwytną jej rzeczowy ton. - Skontaktuję się z Emma i powiem, żeby powiadomiła wszystkich mailem, kiedy kancelaria znów zacznie działać. Im wcześniej, tym lepiej. Choćby jutro, nawet gdybyśmy mieli posiedzieć dzień czy dwa bez okien.

Sięga po pilota.

- Dzięki, Nick. Póki co, mogę tu popracować nad sprawą Yatesów. W ostatni weekend zabrałam wszystkie papiery do domu. Przy okazji - dodaje, nie odrywając oczu od ekranu, na którym leci na żywo relacja z akcji porządkowania Trafalgar Square - fajnie wyglądasz z tymi włosami. Ujmują ci z dziesięć lat. Mówiłam, że w dłuższych będzie ci do twarzy.

- Och, Nicholas! Jak ty okropnie wyglądasz!

- Dziękuję - mówię sucho. - Czuję się o wiele lepiej.

Mal gwałtownie zagarnia mnie w objęcia i kryje twarz na moim ramieniu, a ja sztywnieję, przerażony. Powiniennem być wziąć prysznic u Sary. Zmyć z siebie ciepłą, miodową woń jej ciała, opalonego na odciętą toffi; do tej pory czuję na sobie lepkość jej wydzieliny... nigdy dotąd nie kochałem się z kobietą, która ma wytrysk, to było najbardziej podniecające erotyczne przeżycie, jakie mi się kiedykolwiek przydarzyło. Mal na pewno wyczuje, na pewno...

Płacząc z ulgi, żona wypuszcza mnie z objęć i wchodzi za nią w rozgrzany zaduch kuchni. Wszystkie dostępne powierzchnie zastawione są garnkami i rondlami pełnymi świeżo przyrządzonych potraw, jeszcze ciepłych po wyjęciu z pieca: blacha piernika, polenta z sera pleśniowego, kozie tymbałki z czosnkiem, glazurowane gęsie wątróbki z morelami, ciasto brzoskwińowe z szampanem, chleb oliwkowy, grillowane przepiórki. Można by nakarmić całą armię epikurejczyków. To typowa reakcja Mal na emocjonalny kryzys. Mam nadzieję, że powoli wygaśnie.

Chowa do lodówki dzbanek pełen świeżo ukręconych lodów.

- Przepraszam, kochanie, nie miałam na myśli, że wyglądasz okropnie, tylko że po prostu jesteś taki zmięty i rozchełstany... słowo daję, czuję na tobie zapach bomby, jakie to straszne, to całkiem jak noc Guy Fawkesa, tylko oczywiście o wiele, wiele gorzej. A ile masz kurzu we

włosach! Strasznie ci odrosły, spójrz tylko, muszę ci zamówić wizytę u fryzjera, może...

- Malinche - przerywam. - Przeżyłem atak terrorystyczny, od czterdziestu ośmiu godzin praktycznie nie spałem (to akurat prawda), straciłem cały dzień, żeby dotrzeć do domu, a ty się przejmujesz zmiętą marynarką i długością moich włosów?

Wygląda, jakbym ją uderzył.

- Ja się po prostu tak strasznie o ciebie martwiłam, nie możesz sobie nawet wyobrazić... i przecież wiem, że przeżyłeś straszne rzeczy...

- Inni mieli gorzej - zauważam trzeźwo.

- To prawda. Och, Nicholas...

- Tak czy inaczej - mówię szybko, zanim znowu podejmie lament - moje włosy mi się podobają. Odejmują mi z dziesięć lat. Gdzie są dziewczynki?

- Metheny w łóżeczku, nie mogła już dłużej czekać, ale Sophie i Evie są w jadalni, odrabiają lekcje. Może zrobisz ci filiżankę...

- Wystarczy mi kieliszek szkockiej. Nie przejmuj się, sam sobie naleję.

Rejestruję zraniony i oszołomiony wyraz twarzy Mał, ale z rozmysłem unikam jej spojrzenia i wychodzę z kuchni. Nie sądziłem, że to będzie takie trudne.

Sophie rzuca się na mnie melodramatycznym ruchem; tatuś chrzestny może być z niej dumny. Za to Evie nie podnosi oczu znad zeszytu: dalej pisze coś w skupieniu, wystawiając koniuszek języka. Dokładnie to samo robi Mał, kiedy pracuje nad swoimi książkami kucharskimi.

- Cześć, Sophs - mówię, wichrząc włosy najstarszej córce. Zaglądam Evie przez ramię. - Co tam robisz, kochanie?

- Lekcje - odpowiada lakonicznie.

- A co konkretnie?

- Pisze o Bogu i matkach. - Sophie marszczy pogardliwie brwi. - Myśmy to przerabiali już parę lat temu.

- Parę lat temu miałaś tyle lat co Evie - zauważam rozsądnie.

- Kto jest szefem u nas w domu? - pyta Evie, podnosząc wzrok.

- Mama jest tak miła, że pozwala piastować to stanowisko mnie - odpowiadam sucho.

- Mama jest szefem, to jasne - stwierdza Sophie. - Kto sprawdza porządek w pokoju? To ona widzi wszystko pod łóżkiem.

Nie mam ochoty służyć o wszystkim widzącym oku Mal. Biorę do ręki zeszyt Evie i przeglądam jej zaskakujące odpowiedzi, napisane jaskrawoczerwonym długopisem: naturalnie uważa, że szkolny przepis, aby prace domowe pisać nudnym ołówkiem HB, nie ma w jej przypadku zastosowania.

„Zdaje mi się że Karol Darwin był naturystą (to nie jest ładne słowo) który napisał *Organy i gatunki* gdzie podobno powiedział że Bóg potrzebował na stworzenie świata więcej niż 24 godziny ale przecież nie było zegarków więc dokładnie nie wiadomo”.

Evie przygląda mi się zmrużonymi oczami, a ja ledwo powstrzymuję się od śmiechu. Nie mam pojęcia, co za nowomodne metody nauczania podsunęły nauczycielce pomysł, żeby zadać przekornym sześciolatkom pytanie, z czego Bóg stworzył matki, ale odpowiedź mojej córki - „najpierw wziął kości mężczyzny, a potem dużo sznurka” - świadczy, że ma znacznie więcej wyobraźni niż ona.

Mimo woli parskam śmiechem, czytając odpowiedź Evie na kolejne dziwne pytanie: „Czego brakuje Twojej mamie do ideału?” „Diety. Ja też będę stosować dietę, może błękitną”. Nagle mój śmiech milknie, a Evie przestaje marszczyć brwi i przygląda mi się ze zdziwieniem. To są te chwile, które stracisz, jeśli stracisz Mal, poraża mnie nagła myśl.

Rozwód zmienia dzieci w coś w rodzaju kupionego do spółki domku letniskowego, w którym pomieszkują to jeden, to drugi rodzic; tyle że ten dom czuje i myśli. Pobyt stały u jednego z rodziców, co drugi weekend i środa wieczorem spędzane z drugim. Wigilia u taty jednego roku, bożonarodzeniowy obiad następnego. Można przybrać krzywdę w piękne piórka i nazwać to wspólnym sprawowaniem opieki, ale twarda prawda jest taka, że dziecko ma tylko jeden dom; wszędzie indziej jedynie bywa z wizytą.

Nie mogę uwierzyć, że byłem taki głupi. Boże, jeśli Mal kiedykolwiek się o tym dowie...

Kładę Evie spać i udaje mi się wykpić od czterech rozdziałów SpongeBoba Kancianostoportego - dziwaczny pomysł, zwłaszcza z tą wodną wieiórką; gdzie się podział stary dobry Kubuś Puchatek? - za pomocą torebki drażetek Smarties; Mal dostałaby szału, gdyby się dowiedziała, ale nie mam dziś rezerw emocjonalnych ani głosowych, żeby wcielić się w trudną rolę pana Kraba, Tadeusza Kałamarka i całej reszty.

Sophie sadowi się radośnie na wytartej kuchennej kanapie z *Opo-wieściami z Narnii* na kolanach. Udając, że nie słyszę prośby Mal, żebym

została i pogadała z nią, zanim skończy kolację, wymykam się do mojego gabinetu.

Zapadam w skórzany fotel i wpatruję się ponuro w kieliszek ze szkodką. Wszystko wydaje się takie normalne. Z jedną różnicą: po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, nie mogę powiedzieć Mal, co mnie gnębi. Nasza relacja zawsze była taka uczciwa; tak dobrze znaliśmy się nawzajem. Jak mogłem to wystawić na podobne ryzyko?

To był jeden jedyny raz. Te bomby i... cóż, siła wyższa, jak powiadają ludzie od ubezpieczeń. Jasne, mogłem się oprzeć, ale kiedy zdarza się coś nietypowego, niezwykłego... Pewne jest natomiast, niepodważalnie pewne, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Nie mogę...

- Tatuusiuuu!

- Mal! - krzyczę przez otwarte drzwi gabinetu.

Słyszę brzęk garnków, ale Mal nie odpowiada.

- Tatuusiuuu!

- Mal! Evie czegoś chce!

Chłód przeciągu wiejący od kuchni świadczy, że Mal jest w zmywalni. Tłumiąc irytację, odstawiam drinka i idę na górę.

- Tak, Evie?

- Pić mi się chce. Mogę się napić wody?

- Nie, na picie był czas wcześniej. Dość marudzenia, dobranoc.

Ledwie zdążyłem wziąć do ręki kieliszek, znowu słyszę:

- Taaatooo!

- O co chodzi?

- Kiedy naprawdę chce mi się pić. Mogę się napić wody? Proszę!

Gdzie jest Mal, do diabła?

- Powiedziałem ci już, nie! A teraz kładź się i śpij, jutro idziesz do szkoły. Jak jeszcze raz mnie zawołasz, dostaniesz klapsa.

Tym razem udaje mi się donieść kieliszek do ust.

- Tatuusiuuuu!

- Co?

- A jak zejdziesz dać mi klapsa, możesz mi przynieść szklanekę wody?

Opowiadam tę wymianę zdań Mal, kiedy trochę później myjemy razem zęby w łazience. Wymieniamy porozumiewawcze rodzicielskie uśmiechy - „Więc jednak dostała swoją szklanekę wody, tak?” „Tak, tyle, ile udało

mi się nie rozlać ze śmiechu, jak szedłem po schodach" - i mówię sobie: widzisz, wszystko będzie dobrze, wszystko wróci do normy. Wczorajsza noc była pomyłką, niewybaczalną pomyłką, ale stało się. Trzeba to zostawić za sobą. Zapomnieć. To się nigdy więcej nie powtórzy.

Ale gdy się kładziemy i Mal delikatnie przesuwając dłonią po mojej piersi, naciągam kołdrę aż po szyję i odwracam się tyłem.

Nazajutrz rano wstaję po cichu, żeby nie obudzić Mal. W okamgnieniu wyprawiam dziewczynki do szkoły - nie rozumiem, dlaczego dla Mal poranki to takie wyzwanie, zwłaszcza że Evie wygadała się, że mama daje im co dzień na śniadanie cukrowe pianki - pakuję w samochód i odwożę. Kryzys pod hasłem „tato-zapomniałeś-zapakować-nam-drugie-śniadanie” (głową bym dał, że płacę za obiady w szkole) zostaje zażegnany za pomocą dziesięciofuntowego banknotu, który bez wątpienia zostanie wydany na chipsy w szkolnym sklepiku. Zaczynam sobie uświadamiać, że główną konsekwencją mojej niewierności będą popsute zęby i dziecięca otyłość.

Naładowany energią i optymizmem, właściwymi mojemu obecnemu stanowi umysłu, zatrzymuję się w drodze do domu przed kwaciarnią Margot Flowers i proszę o najbardziej efektowny bukiet, jaki znajdzie się w sklepie.

- Dla żony - dodaję bez potrzeby.

Dziewczyna grzebie się z nożycami i rafią. Ledwie się powstrzymuję przed uwagą, żeby się pospieszyła.

- Urodziny czy rocznica ślubu?

- Ani to, ani to.

Uśmiecha się frywolnie.

- W takim razie coś pan zmalował, tak? Co?

- Nic nie zmalowałem - mówię sztywno.

- Nieważne. - Puszczam oko. - Zarobi pan w ten sposób parę punktów, na pewno.

Mal patrzy ze zdumieniem, kiedy wkraczam do kuchni z bukietem o rozmiarach i wadze małego dziecka. Zawija pasek zniszczonego frotowego szlafroka i dopiero wtedy otwiera ramiona na przyjęcie kwiatów.

- Czym sobie na to zasłużyłam?

- Czy muszę mieć specjalny powód, żeby kupić kwiaty mojej żonie? - odpowiadam z nagłym ukłuciem wstydu.

Waha się.

- To przez to, co się stało w Londynie, tak?

Boże, dzięki, że stoi do mnie plecami, bo sięga po wazon. Z pewnością dostrzegłaby szok na mojej twarzy. Wie... Jak to możliwe, że wie?

- Hm... w Londynie?

Rozcina celofan i zanurza twarz w kwiatach.

- Och, jakie wspaniałe! No, te bomby, Nicholas. Stres powypadkowy czy jak tam to się nazywa. Otarłeś się o śmierć i nagle zacząłeś doceniać to, co mogłeś stracić, to tak jakbyś się na nowo narodził, jest artykuł na ten temat w „Daily Mail”.

Moja ulga jest tak wielka, że przez chwilę nie mogę mówić.

- Tak - wydobywam z siebie wreszcie. - W pewnym sensie.

- To okropne z tymi ludźmi... do tej pory zidentyfikowali sto siedemdziesiąt dziewięć ofiar, a na pewno będzie więcej, strach pomyśleć... ale my mieliśmy szczęście, naszą rodzinę ominęło to najgorsze. Nie możemy pozwolić, żeby terroryści byli górą, nie możemy się poddać.

Uśmiecham się niezręcznie i sięgam po leżący za nią na kuchennym stole plik porannej poczty. Mał odwraca się do bukietu i z pomrukiem zadowolenia poprawia jedną z gałązek.

- Mogę cię podrzucić na stację po drodze do Salisbury - mówi, dźwigając wazon, żeby przenieść go do salonu. - Pewnie będziesz potrzebny w kancelarii, żeby przywrócić wszystko do ładu. - Waha się chwilę na kuchennym progu. - Nicholas... Chciałam ci powiedzieć, że widziałam się wczoraj z Trace'em Pittem, wpadł, żeby... no, żeby zaproponować mi pracę.

Przerzucam koperty i wyciągam z jednej formularz przedłużenia prenumeraty „Lawyera”. Muszę dopilnować, żeby Emma nie zapomniała się tym zająć.

- Hm?

- Pracę w... ściśle biorąc, stanowisko menedżera... w jego nowej restauracji.

Emma mailowała do wszystkich członków zespołu, żeby stawili się dziś w pracy; poza wybitymi szybami, których wstawienie zdażyła już załatwić - „Znam świetnego fachowca z Epping, panie Lyon, będzie

trochę kosztowało, ale załatwi sprawę od ręki" - nasza kancelaria ucierpiała niewiele. Czuję zarazem strach i tłumioną ekscytację na myśl, że zobaczę się z Sarą.

- Bardzo mu na tym zależy - proponuje mi niezłe pieniądze, naprawdę... i obiecuje, że nie będzie żadnego siedzenia do późna w nocy, ma mnóstwo osób na zastępstwo w razie czego, ale rzecz jasna, chciałam najpierw zapytać ciebie...

- Zapytać? O co?

- Czy powinnam to zrobić.

- Aha. Tak, oczywiście. Jasne, że powinnaś.

- Tak? - Sprawia wrażenie zaskoczonej. - Naprawdę?

- Bezwzględnie - mówię, myślami gdzie indziej. - Naprawdę muszę już lecieć, Mal.

- Przepraszam, och, przepraszam, tylko skoczę się ubrać. - Ociera się, przechodząc, o korkową tablicę koło kuchennego pieca; kilka żółtych karteczek spada na podłogę, Mal podnosi je i irytująco powoli przytwierdza na powrót. - A prawda... W przyszłym tygodniu dziewczynki mają imprezę w ramach Open House, musisz być tego dnia wcześniej, Nicholas, nie możemy się spóźnić, tak jak wtedy na jasełka.

Nie trzeba mi przypominać o tamtej wpadce.

- W porządku, będę na pewno. Kiedy?

- W piątek, dziewiętnastego. Początek o siódmej. I proszę, nie spóźnij się, Nicholas. Nie wiem, czy wytrzymam, jeśli Evie znowu w ramach protestu będzie przez miesiąc chodziła spać w kaloszach.

- W piątek dziewiętnastego?

Sara krzywi się.

- Wiem, że to bardzo krótki termin, ale z biletami dla prasy zawsze tak jest. Michele nie może iść, ma służbowy wyjazd do Paryża, ale wie, że strasznie lubię operę, i spytała, czy bym nie poszła. Wprawdzie *Tristan i Izolda* to ciężkawa muzyka...

- Ależ skąd, uwielbiam Wagnera! To mój ulubiony kompozytor. A *Tristana* nie oglądałem już całe lata.

- Naprawdę? Zabawne, mój też.

Chryste, jak ona wygląda w tej śliwkowej bluzce. Tak dekadenccko... i seksownie. Kropelki potu lśnią w zagłębieniu między piersiami.

Wzdycham.

- Tylko że...

- Przepraszam, Nick, pewnie jesteś zajęty. Nie powinnam była ci proponować.

- Każdego innego dnia nie oparłbym się pokusie - mówię zgodnie z prawdą. - Ale dziewiętnasty jest wykluczony, moje córki mają imprezę w szkole, muszę na niej być...

Wzrusza ramionami.

- Co robić. Może to i dobrze - dodaje, patrząc mi w oczy - bo nie ma pewności, czy zdążyłbyś na ostatni pociąg do domu.

Brzmi to jak stwierdzenie.

Oboje wiemy, że jest to pytanie.

RS

Sara

Kurczę blade, jak ja nie cierpię opery. Nie wiem, co mi się stało, żeby coś takiego zaproponować; chyba upadłam na głowę. I jeszcze Wagner, na litość boską! Ponury jak cholera, chodząca depresja. Nie żebym preferowała MTV, ale jakiś przyjemny kawałek z Mozarta dałoby się przynajmniej wytrzymać. Może *Wesele Figara*? Prawie to lubię. Wagner strasznie kumplował się z Nietzschem; to dużo mówi o nich obu. Nic dziwnego, że biedny Nietzsche stał się nihilistą, skoro bez przerwy musiał słuchać takiej pogrzebowej muzyki.

Zerkam ukradkiem w bok. Nick, lekko wychylony do przodu, siedzi w aksamitnym fotelu i wpatruje się w scenę jak zakłęty. Na zdrowie.

Tłumię ziewnięcie, zasłaniając się programem. Czegóż nie robi się dla miłości. Weźmy choćby taką księżnę Dianę: wlokła się w zielonych gumowcach do Balmoral, żeby przekonać księcia Karola, że nie ma dla niej miłszego zajęcia, niż stać cały dzień na deszczu, podczas gdy cuchnący końmi mężczyźni i kobiety wyglądające dokładnie tak jak oni robią pif-paf do nieszczęsnych bażantów.

No cóż, nie da się zaprzeczyć, że mam do Nicka niejaką słabość. Inaczej by mnie tu nie było. Jezu, jaką aferę zrobił mi o bilety! Jak zobaczył, że mamy najlepsze miejsca na całej sali, normalnie się wściekł. Zaczął wrzeszczeć, że to nic dziwnego, że BBC jest w opałach, skończył się tak, że wszyscy zapłacimy za te prasowe rozrywki kulturalne, a to przecież pieniądze podatników, czy ja sobie wyobrażam, ile kosztuje miejsce w pierwszym rzędzie naprzeciwko orkiestry?

Tak się składa, że nie muszę sobie wyobrazać. Prawie czterysta funciaków. Mogłabym sobie kupić ten fantastyczny szyfonowy gorset w La Petite Salopę; nawet mieli mój rozmiar.

(Uwaga: kiedy następnym razem będę wymyślać jakieś darmowe bilety od wymagowanej przyjaciółki z mediów, żeby beczelnie - jeszcze raz - uwieść szefa, nie wolno mi zapomnieć, że muszą być tanie).

Słowo daję, postarzałam się chyba o dziesięć lat, zanim wreszcie zapalają się światła i publika — przeciętna wieku dziewięćdziesiąt pięć i trzy czwarte - podnosi się z artretycznym trzaskiem stawów i staje na pokrytych odciskami stopach, żeby oklaskiwać artystów. Gruba baba z sąsiedniego krzesła, cała w różowej taśmie, o mało nie zwała mnie z nóg, z takim zapałem wymachuje sflaczałymi ramionami. Wolałabym się zabić, niż kiedykolwiek wyglądać tak jak ona. Całkiem jak skrzydła nietoperza: jeszcze jeden ruch i odleci.

Co za szczęście, że nie jesteśmy z Nickiem małżeństwem. Musiałabym znosić takie katusze co miesiąc...

A potem Nick się odwraca i uśmiecha do mnie z takim chłopięcym zadowoleniem, że serce podskakuje mi w piersi i zamienia się miejscami z żołądkiem.

- Podobało ci się, prawda? - mówi, kiedy wlecemy się za tłumem ku wyjściu. - Miałem wrażenie, że się kompletnie zatraciłaś w muzyce.

Dla ciebie wytrzymałabym jeszcze gorszą nasiadowę...

- Yhm.

- Rzadko można spotkać kobietę, która potrafi docenić Wagnera. Wagner przemawia do bardziej wyrafinowanego muzycznego gustu. To jak czerwony kalifornijski Zinfandel. Mal... Hm... większość kobiet woli coś lżejszego, na przykład Mozarta. O ile w ogóle lubią operę. - Lekko dotykając moich pleców, steruje mną przez zatłoczone foyer. - Nie, żeby można było zlekceważyć Mozarta, ale według mnie nie ma porównania między *Czarodziejskim fletem* a solidnym geniuszem *Der Ring*.

Zmieniam kolejne ziewnięcie w kaszel. Wiem, Nick, po co ta operowa gadka: żeby zagłuszyć erotyczną wibrację. I niech ci się nie zdaje, że przeoczyłam tę freudowską pomyłkę. Auu...

Nie, to nie znaczy, że dźwięk jej imienia wywołuje we mnie poczucie winy czy coś w tym stylu. To, co się dzieje między Nickiem a jego żoną, to nie mój interes. Prawdę mówiąc, żal mi ich obojga. Ona najwyraźniej nie

potrafi dotrzymać mu kroku, biedactwo. Musi się czuć kompletnie wyobcowana, kiedy od czasu do czasu wchodzi w jego świat. Jakie to musi być frustrujące dla tak bystrego, wyrafinowanego faceta - tkwić u boku kury domowej z przedmieścia... O czym oni ze sobą rozmawiają? Pewnie tylko o dzieciach i o tym, jakie mięcho podać na niedzielny obiad. Ale on musi być znudzony... Nic dziwnego, że szuka czegoś na boku.

W gruncie rzeczy chyba robię przysługę im obojgu. To, że Nick może ze mną porozmawiać, na pewno trochę łagodzi jego napięcie, nawet jeśli sobie tego nie uświadamia. Założę się, że wraca do domu w o wiele lepszym nastroju, jeśli może rozładować stres z kobietą, która go naprawdę rozumie. I przecież nie mam zamiaru doprowadzić do ich rozstania. W życiu.

Dzięki Bogu, w weekend zmusiłam się, żeby poczytać coś niecoś na temat tej choleralnej opery. Muszę być zawsze krok do przodu, jeśli chcę zostać panią *Simpatico*.

- Oczywiście nie można ignorować faktu, że *Tristan i Izolda* zmieniła bieg historii muzyki — podejmuję. - Nieskonsumowana namiętność do Mathilde, żony jednego z jego mecenasów, sprawiła, że Wagner sięgnął po ikonę cudzołożnych kochanków z literatury średniowiecza i podbudował ją quasi-orientalną filozofią Schopenhauera...

- ...i w rezultacie napisał na nowo podręcznik muzycznej harmonii! Bezwzględnie! To się nazywa kobieta piękna i bystra. A powiedz mi...

Kurczę, nie zadawaj mi więcej pytań, wykułam na pamięć tylko jeden akapit z *Opery dla laików*.

Ale piękna i bystra - o tak, to mi się podoba. A najbardziej podoba mi się to, że jemu się to podoba.

Co to jest, że kobieta z głową zwykle szuka inteligentnego mężczyzny, ale większości inteligentnych mężczyzn wystarcza malowana lala o kurzym mózdzku? Czyżby biologiczny imperatyw - zgodnie z którym potrzebny jest nam myśliwy-zbieracz, zdolny zapewnić byt rodzinie/sprężysta macica na dwóch nogach (niepotrzebne skreślić) - był naprawdę aż tak silny?

Nick Lyon jest mężczyzną niezwykłym. Mam nadzieję, że jego głupiutka żona to docenia.

Odwracam się na moich dziesięciocentymetrowych obcasach - jutro za to zapłacę: już teraz mam na piętach pęcherze jak balony - i pozwalam,

by przepychający się ku wyjściu tłum przyparł mnie do piersi Nicka. Wytaczamy się wraz ze wszystkimi na rozległą przestrzeń Covent Garden.

- Wiesz co, Nick, strasznie zgłodniałam z tych wrażeń - mówię. - Znam taki spoko sushi bar za rogiem, Yuzo's, zawsze jest otwarty do późna. Sashimi mają nieziemskie, ale jeśli nie lubisz sushi...

Czuję na udzie stalowy pręt skryty pod prażkowaną tkaniną spodni.

- Skądże znowu - zaprzecza zdławionym głosem Nick, oblewając się rumieńcem. - Nadzwyczaj trafny wybór, naprawdę; w gruncie rzeczy to moja ulubiona restauracja. Co za niezwykły zbieg okoliczności...

Nie taki znów niezwykły. Google to świetna wyszukiwarka. Można w niej znaleźć rozmaite użyteczne informacje, jeśli się wrzuci nazwisko danej osoby. Na przykład wywiady dla prawniczego periodyku sprzed paru lat, w których osoba ta wymienia różne ulubione rzeczy, w stylu „co byś zabrał na bezludną wyspę”. Myślisz, że wzięłam tego upiornego niemieckiego malkontenta z sufitu?

Choć sushi było pewnym zaskoczeniem, muszę przyznać. Podsumowałam Nicka jako faceta typu zapiekanka z wołowiny i nerek i pudding z czarnej porzeczki z sosem waniliowo-jajecznym. A jednak. Nigdy nic nie wiadomo.

W brzuchu mi burczy, jakbym nie jadła cały dzień (faktycznie nie jadłam: to jedyny sposób, żeby dopiąć zamek tej atłasowej koktajlowej sukienki od Amy), i teraz nadchodzi moja kolej, żeby się zaczerwienić ze wstydu. Głośno działający przewód pokarmowy, to dopiero atrakcja. Faceci nie lubią kobiet, które jedzą, nawet jeśli przyjmowanie pokarmu jest niezbędne, aby utrzymać się przy życiu. No, ale przynajmniej surowa ryba to minimalistyczna wersja pożywienia (w przeciwieństwie do potraw włoskich, które można jeść tylko w towarzystwie osoby, z którą nie zamierzamy uprawiać seksu). Mój entuzjazm dla opery to totalna bzdura, ale sushi lubię naprawdę. Na szczęście, bo chyba nawet księżna Diana nie przełknęłaby surowego węgorza wyłącznie z miłości. Choć z drugiej strony, mogłaby potem zwrócić i spokój.

Kiedy dochodzimy do przeciwległego końca placu, z ogólnego gwaru rozmów gdzieś w tle wyodrębnia się pojedynczy (piskliwy, kobiecy) wrzask, a chwilę później prawie zwala mnie z nóg chuda blondynka w czekoladowych zamszowych szortach i nieco jaśniejszych seksownych kozakach na szpilce, która wypada z pobliskiego sklepu.

Nie zadając sobie trudu, żeby rzucić „przepraszam”, odbija się ode mnie, jakbym była nadmuchana, i rzuca się ku (fantastycznej urody) facetowi, który właśnie wyszedł w ślad za nią z komórką przy uchu.

- Ty draniu! - drze się na przystojniaka. — Do niej dzwonisz, tak? Jak śmiesz, skurwysynu!

Krzywię się odruchowo, kiedy wali go na odlew w twarz, aż echo niesie po placu.

- Proszę bardzo, dzwoni! Pieprzcie się! Myślisz, kurwa, że ona odejdzie od męża? Nie odejdzie, i dobrze o tym wiesz! Jeszcze pożałujesz, jak on się o wszystkim dowie!

Całkiem jak scena z teatru ulicznego. Wokół momentalnie gromadzi się tłum; dwie czy trzy osoby rzucają jakieś monety, najwyraźniej przekonane, że to zaaranżowany spektakl. Facet wygląda dziwnie znajomo, nie wiem dlaczego. Boże, ależ ona ma maciupci tyłek... Dziwne, że nie przebijają sobie pośladek na wylot, kiedy siada.

Oddała się jak burza, a tłum rozstępuje się przed nią na boki. Facet tylko wzrusza markotnie ramionami i wraca do sklepu z serami, zamykając za sobą drzwi.

Ludzie zaczynają się rozchodzić, a ja zbliżam się do witryny. Ten miękki ser w pleśniowej skórce wygląda zabójczo. Przyciskam nos do szyby, żeby przeczytać napis na mikroskopijnej etykiecie. Brie de Meaux! Jezus, jak ja go lubię. I Brillat-Savarin, i jakiś smakowicie wyglądający Fourme d'Ambert... Normalnie guzik bym o tym wszystkim wiedziała, ale były zdjęcia w tej książce, którą dostałam na Nowy Rok, i z niej oraz z tych cholernych wykładów mojej matki na temat sera...

- Jasny gwint, to był Trace Pitt! - wykrzykuję. - Wiedziałam, że skądś go znam!

- Hm?

- Ten gość, który dostał w twarz. Przecież musiałeś go rozpoznać...

- Specjalnie mu się nie przyglądałem - mówi obojętnie, zerkając mi przez ramię na sery. - Moja żona była z nim kiedyś zaręczona. Ładnych parę lat temu... Nawet nie pamiętam, kto zerwał, ona czy on.

Ta wariatka była zaręczona z najseksowniejszym mężczyzną na tej planecie?

- Żartujesz!

Wzrusza ramionami.

- To było tak dawno.

Boże... Przemyka mi przez głowę, że może w pani Lyon jest coś więcej, niż widać gołym okiem.

Nick uśmiecha się i ściska mnie za ramię. Kiedy ruszamy niespiesznie w kierunku Yuzo's, biorę go pod rękę. Nie wzdryga się, na szczęście, choć jesteśmy w miejscu publicznym i Ktoś Może Zobaczyć. A może jest tak pogrążony w myślach o tym, jak to będzie, kiedy znajdziemy się sam na sam, że nawet tego nie zauważył?

Seks z Nickiem był genialny. Czułam, że pójdziemy na całość, jak już do tego dojdzie, ale nawet ja byłam zaskoczona, kiedy pchnął mnie na schody na inauguracyjny numer. Litości, panie Lyon, ale pan jest silny! Co innego może zrobić biedna, bezradna dziewczyna, niż ulec?

Cztery razy w ciągu jednej nocy. Nieźle jak na każdego faceta, a co dopiero w jego wieku. Pękał z dumy, słowo daję; choć raczej dałby sobie poderznąć gardło, niż się do tego przyznał.

Bałam się jak cholera, kiedy wybuchła ta bomba. Wiem, że Nick myślał, że jestem spokojna i wyluzowana, ale tak właśnie się zachowuję, kiedy trzęsę się ze strachu. Zupełnie jakby mózg mi się wyłączał, dopóki nie minie kryzys. Szok przychodzi później: trzy dni po ataku miałam taki atak dreszczy, że moja poranna cafe latte o mało co nie zmieniła się w jogurt.

Kiedy Nick zaślonił mnie wtedy własnym ciałem, kliknęło mi w środku coś nieoczekiwane. Zrobił to instynktownie, nawet o tym nie myśląc. Miło byłoby myśleć, że chodziło mu o mnie, ale przypuszczam, że zareagowałby tak samo, gdyby obok przechodził Osama bin Laden; to po prostu ten typ człowieka. Pewnie na swoich bokserkach Fruit of the Loom ma dyskretną etykietkę „Superman”.

No i mam teraz zgryz. Co do uczuć wobec Nicka.

Szkoda, że rola Lois Lane jest już obsadzona. Nic nie mogę porządzić, że teraz lubię go naprawdę. I nie chodzi tylko o świetny seks czy dreszcz ekscytacji, jaki towarzyszy polowaniu. (Choć muszę przyznać, że byłam wrednie podekscytowana, kiedy nieoczekiwanie wykreślił się od uczestnictwa w szkolnej imprezie córki, żeby pójść ze mną do opery, nawet jeśli to oznaczało, że jedyne bilety, jakie można było dostać w ostatniej chwili, kosztowały mnie oszczędności całego życia i weksel

na rzecz przyszłego pierworodnego dziecka. Ale córka pewnie nawet nie zauważyła. Dzieci nie przywiązują wagi do takich rzeczy).

Wyciąga rękę, żeby otworzyć drzwi, i przepuszcza mnie przodem, słodki chłopczyk o staroświeckich manierach. Kiedy go mijam, muska mi kark leciutkim pocałunkiem, a pode mną dosłownie kolana się uginają z pożądania i tęsknoty.

Nawet się nie domyśla, jakie to było trudne udawać chłodną obojętność po tej pierwszej nocy; zachowywać się, jakby interesował mnie wyłącznie przelotny seks i nic poza tym. Ale tylko w ten sposób mogłam utrzymać go na haczyku. Musiałam dać mu kosza, zanim on zdążył dać kosza mnie. Inaczej uciekłyby, gdzie pieprz rośnie.

Wiem, że Nick nie jest mój. Wiem, że go tylko wypożyczam i że nie powinnam robić nawet tego. Jestem bardzo, bardzo niegrzeczną dziewczynką i umrę jako stara panna w towarzystwie czterestu kotów, a potem pójdę do piekła.

Ale świadomość, że coś jest niedozwolone, sprawia, że staje się tym bardziej pociągające erotycznie. A poza tym... okej, może i jestem załosna, ale fakt, że tyle zaryzykował, by spędzić ze mną noc, podbudowuje moją samoocenę. Mógł stracić żonę, na której mu prawdopodobnie - w pewnym sensie - zależy, i wylądować w jakimś niechlujnym wynajętym pokoju, bez dzieci, które ewidentnie uwielbia; życie nas wszystkich mogło się zmienić w jeden wielki syf. A jednak jest tutaj. Ze mną.

Choć nadal mam zamiar go oddać. Słowo daję.

Nick pomaga mi zdjąć płaszcz i nagle zamiera bez ruchu, z dłońmi jak bryły lodu na moich ramionach. Odwracam głowę: twarz ma szarą. Przez upiorny ułamek sekundy mam wrażenie, że dostał ataku serca.

Podążam za jego spojrzeniem. Tęga kobieta w średnim wieku i totalnie wieśniackiej sukience w kwiatki idzie w naszą stronę, a za nią drepcze mężczyzna w tweedach i - nie, ja chyba śnię... - czerwonym krawacie w ciapki. Z przerażonego spojrzenia Nicka typu „Jezu-upuściłem-na-główkę-moje-nowonarodzone-dziecko” domyślam się, że go znają. Chyba że czuje to samo co ja w związku z krawatem.

Jak oparzony odrywa rękę od moich ramion.

- Nicholas! Co za miła niespodzianka! Giles, zobacz, kto tu jest! Do głowy by nam nie przyszło, że cię tu spotkamy!

O ja piernicę. Już myślałam, że celowo zaaranżował to małe rendez-vous między znajomymi żony a kochanką.

- Miałem spotkanie służbowe - wydobywa z siebie wreszcie. - Z klientami. Trochę się przedłużyło.

- Biedaku - współczuje mu kobieta. - Przecież Evie ma dziś Open House, prawda? Biedna Evie, na pewno jest strasznie rozczarowana, że nie mogłeś przyjść...

Cholera, jednak czuję się winna. Naprawdę.

- Na takie rzeczy nie ma rady, Liz - beszta ją łagodnie Giles.

- Przynajmniej masz miłe towarzystwo - dodaje Liz, ewidentnie bez żadnych podtekstów. - To zmienia postać rzeczy, prawda?

Uśmiecha się do mnie, najwyraźniej czekając, że Nick nas sobie przedstawi. On jednak wydaje się zafascynowany uchwytym neserka, więc z lekkim niesmakiem, że wplątuje tych ludzi w nasz pieprznik, wyciągając ku niej rękę, modląc się w duchu, żeby naprawdę była tak niedomyślna, jak wyglądała.

- Sara Kaplan. Jestem młodszą współpracowniczką w firmie Nicka. Jeden z tych okropnych przypadków, co to wloką się i wloką, wie pani...

- O, tak! To znaczy nie wiem, skąd... nie mam pojęcia, jak wy to robicie, mam na myśli kobiety robiące karierę zawodową... że sobie radzicie ze wszystkim. Ja jestem zwykłą kurą domową. Na pewno wydaję się pani okropnie nudna...

- Nie, skądże znowu.

- Ojej, Nicholas! Przepraszam, pani Saro... ale popatrz, która godzina! Spóźnisz się na ostatni pociąg, jeśli się nie pospieszysz! Albo nie, spokojnie, przecież możemy poczekać, aż coś przegryziecie, i podrzucić cię do domu, prawda, Giles? Jak to dobrze, że Giles wziął dzisiaj rangę rovera, musieliśmy przewieźć z Sotheby's komódkę jego ciotki, nie poszła na aukcji...

- Nie ma dziś zapotrzebowania na takie rzeczy - mówi ze smutkiem Giles.

- Pociągami nie dalibyśmy rady przewieźć. W samochodzie będzie trochę ciasno, prawdę mówiąc, ale jest jeszcze odrobinę miejsca z tyłu, więc załatwione - uśmiecha się Liz. - O ile nie będzie ci przeszkadzała uprząż Chloe. Świetnie się składa, żeśmy na siebie wpadli, prawda?

- Świetnie się składa - powtarza jak echo Nick.

- A gdzie panią podrzucić, kochanie? - zwraca się do mnie Liz.

- Dziękuję, dam sobie radę. Parę przystanków metrem i jestem w domu.

- O tej porze? Jest pani pewna, że to bezpiecznie? A może powinna pani wziąć taksówkę?

- Dam sobie radę - powtarzam, nagle rozpaczliwie pragnąc tylko jednego: ucieczki. Ona jest taka uczciwa, taka szczerza... - Zawsze tak jeżdżę. Pójdę już, właściwie to niespecjalnie chce mi się jeść. Miło mi było państwa poznać. Do poniedziałku, Nick.

Zbiegam po schodach do stacji metra, jakby mnie goniło stado wściekłych psów. Tak mało brakowało... Dzięki Bogu, że skoro już musieliśmy na kogoś wpaść, to na Polyannę i Farmera Gilesa. Ale żeby w dziesięciomilionowym mieście, gdzie jest tyle różnych sushi barów, trafić akurat na nasz... Przecież szansa była bliska zeru!

Nick będzie mnie od tej pory omijał szerokim łukiem. Po czymś takim... I słowo daję, nie wiem, czy będę mu miała za złe. Wszystko to robi się nagle zbyt skomplikowane jak na mój gust. Zaczynam się czuć jak świnia, prawdę mówiąc. Nie jak bogini seksu, za jaką się miałam, lecz raczej jak zwykła dziwka.

Szlag, szlag, szlag.

- La Perla? - szepcze z nabożnym szacunkiem Amy.

- La Perla - potwierdzam, starając się, żeby w moim głosie nie było przechwałki.

- Terry nigdy mi nic nie kupił nawet u Marksa i Spencera - mówi ze smutkiem, biorąc w palce skrawek cieniutkiego, wykończonego koronką jedwabiu w odcieniu kawy. - Jak to jest, że on kupił ci La Perłę? Przecież zrobiliście to tylko raz.

- Oni kupują La Perłę właśnie wtedy, kiedy zrobiło się to tylko raz - zauważam.

- Więc czemu, na litość boską, chcesz to zakończyć?

- Co mam ci powiedzieć? - wzdycham, wpychając jedwabny komplecik do wypakowanej torby, którą noszę na siłownię. - Niektóre z nas urodziły się z sumieniem, inne wyrobiły je sobie z czasem, a jeszcze innym wepchnięto sumienie przemocą do gardła. Ja należę do ostatniej kategorii. Nie masz pojęcia, jak fatalnie się czuję.

- Głupia jesteś. Następnym razem to będzie coś od Tiffany'ego, idę o zakład. Może zasugerujesz mu delikatnie coś z ich kolekcji z 1837 roku...

- Dobry pomysł. W ramach transakcji da im w zamian... nie wiem... może ślubną obrączkę.

- Co się wściekasz? Tak tylko mówię. - Amy pociąga nosem. - Po prostu nie rozumiem, czemu robisz z siebie męczennicę, i tyle. To nie ma nic wspólnego z tobą, że on jest niewierny. Zdarza się, że małżeństwo kończy się w naturalny sposób, i nikt nic nie może na to poradzić. Spójrz na mnie i na Terry'ego...

Prawda jest taka, że sama nie wiem, czemu robię z siebie męczennicę. Może chodzi nie tyle o poczucie winy, ile o narastający strach, że wpadłam po szyję. Muszę dać sobie z tym spokój, dopóki jeszcze potrafię.

- Ej, wy dwie tam z tyłu - rozlega się ostry głos. - Zamierzacie do nas dołączyć czy przyszyście tylko się pogapić?

Podskakujemy ze skruchą. Roj, nasz instruktor-sadysta od pilatesa, balansuje na wielkiej gumowej piłce niczym foka w cyrku. Reszta grupy patrzy na nas z naganą. Ulubienice pana profesora.

Biegniemy na wyznaczone nam miejsca: na samym przodzie, gdzie można się migać i trzymać tyłek - sorry, kość ogonową - na podłodze, jak nie patrzy.

Przyjmujemy wszystkie pozycję na wpeł zdechłego karalucha: plecy płasko, stopy oparte na piłce, biodra uniesione dwadzieścia centymetrów nad matą. Mogę w tej pozycji wytrzymać jakieś dziesięć sekund, i to tylko wtedy, gdy mężczyzna sprawia, że mi się ten wysiłek opłaca, manipulując w okolicy linii bikini (zarośniętej).

Opadam. Roj rzuca się na mnie.

- Au! - wrzeszczę.

- Biodra w górę! To dla twojego dobra! Proszę bardzo, dwie minuty, wszystkie!

- On mnie uderzył - syczę do Amy. - Tą swoją trzcinką.

- To mu się zdarza - szepcze. - Wolno mu, sprawdzałam. To jest w tym papierze, który podpisujemy na początku, jak dołączamy do jego grupy.

Jasna cholera. Co ja tu robię? Nie wygląda na to, żeby w najbliższym czasie miały mi być potrzebne napięte uda i jędrne pośladki. Skoro Nick znika z pola widzenia, znów będę się delektować Wielką Seksualną Susezą, tak jak to było przed nim. A znalezienie żaby, którą warto pocałować, będzie dwa razy trudniejsze niż dotąd, skoro wiem już, co tracę. Może i jestem zepsuta, ale *X-Men: The Director's Cut* i pizza z dostawą

do domu nie ma już dla mnie takiego samego powabu jak kolacja we dwoje w Yuzo's i wieczór w operze.

Okej, zły przykład. Ale wiadomo, o co chodzi.

Po piątkowej katastrofie w sushi barze przesiedziałam cały weekend w domu. Zatrzaśnięta na cztery spusty, obejrzałam na DVD calusieńką piątą część serialu *24 godziny* - bierze mnie Kiefer Sutherland, co na to poradzę? - obżerając się przy tym lodami Ben and Jerry. Nie wiem, czy to z braku snu, czy dlatego że zaangażowałam się emocjonalnie w historię z Nickiem odrobinę bardziej, niż myślałam, ale kiedy znalazłam pod łóżkiem jego czerwone szelki, nie wytrzymałam i dwie godziny ryczałam jak bóbr. Przypomniałam sobie, do czego nam posłużyły ostatnim razem, a za tym poszły inne obrazy: jak wspaniale dopasowały się nasze biodra, kiedy mnie przytulił, i jak się uśmiechał przez sen, kiedy słoneczny blask przefiltrował się przez żaluzje i rzucił mu pasiasty cień na twarz...

Jak mogę tak za nim tęsknić, skoro to ledwie się zaczęło? Przecież nie zakochałam się w nim. To tylko krótka przygoda. Chodzi wyłącznie o seks. I naprawdę zamierzam go zwrócić.

Ale jeszcze nie teraz.

Dwie śmiesznie małe stopy zatrzymują się niebezpiecznie blisko mojego lewego ucha. (Czy on je sobie bandażuje, czy co?)

- Panno Kaplan. Jeśli pani sama nie raczy ścisnąć własnego tyłka, to jak pani myśli, czy ktoś inny będzie miał ochotę to zrobić?

Och, odwał się. Wracaj do słonecznej Kalifornii.

- Wyżej. Wyżej! No, teraz lepiej. Proszę bardzo, wszyscy razem, ściskamy ostro, dynamicznie! I wytrzymujemy.

Byłam pewna, że Nick będzie mnie odtąd traktował jak zaawansowany przypadek ptasiej grypy, i (niemal) pogodziłam się z myślą, że tamta noc nigdy więcej się nie powtórzy. Że to była fantastyczna randka na jedną noc.

Naprawdę fantastyczna. Ale jednorazowa.

Kwiaty w poniedziałek trochę zbiły mnie z tropu. Miły gest z jego strony, nawet jeśli cokolwiek wytarty, ale że nie załączył bileciku, nie miałam pojęcia, co oznacza. Przeprosiny, odprawę?

Komplet Wagnera na CD we wtorek był niezwykle romantyczny (na szczęście bez trudu udało mi się go wymienić na Arctic Monkeys). W środę - tym razem był tomik wierszy z czasów I wojny światowej;

co za zapobiegliwość, musiał przeczesać moje półki, żeby zobaczyć, co lubię - zaczęło mi świtać; a wczorajsza La Perla to była kropka nad i. Nie mam zamiaru dać się w to wciągnąć z powrotem, decyzja podjęta: koniec, to zbyt trudne, skomplikowane i niebezpieczne, a co ważniejsze, matka by mnie zabiła, jakby się dowiedziała. A jednak jestem ciekawa, co zaplanował na dziś; nic na to nie poradzę.

- Nie chodzi o ilość, chodzi o jakość - opiernicza mnie Roj, gdy pozoruję parę szybkich skurczy.

- Mowa o mięśniach czy o facetach? - syczę szeptem do Amy.

Te jedwabne majtki od Nicka są jak karta elektroniczna do drzwi w hotelu Claridge's: seksowne, dyskretne i absolutnie zakazane. Nigdy nie byłam w Claridge's. Strasznie bym chciała pójść do ich salonu spa, podobno jest kapitalny. Co nie znaczy, że zmienię decyzję, rzecz jasna.

Nie do wiary, że ten sam mężczyzna ledwie parę tygodni temu był gotów schować się w sejfie na dokumenty, ilekroć wchodziłam do jego pokoju. Teraz zachowuje się jak Casanova. Trochę to deprymujące, szczerze mówiąc. Nie wiadomo do końca, co w nim siedzi.

Chyba że - i ta myśl sprawia, że oblewam się rumieńcem, jakiego nigdy nie wywołały najtrudniejsze nawet ćwiczenia pilates - obudziłam drzemiącego w nim szalonego romantyka.

Amy jest dokładnie taką przyjaciółką, jakiej kobieta potrzebuje, kiedy ma atak wyrzutów sumienia.

- Na namiętność nic nie można poradzić - powtarza po raz dziewiąty. - Przecież wcale nie chciałaś, żeby się to zdarzyło, prawda?

Nie do końca; przypominam sobie tę powalającą sukienkę od Donny Karan, którą miałam na sobie w Manchesterze. Ale nie dzielimy włosów na czworo.

Komputer robi „ping”. Przekładam telefon do lewego ucha, żeby mieć dostęp do skrzynki mailowej bez przerywania rozmowy.

- Znowu mi przysłał maila. Nie mogę uwierzyć, że robi to w pracy. Gdyby ktoś zobaczył...

- A co pisze?

- Czekaj, niech otworzę... Jezu, coś po łacinie, on tak zawsze.

Amans, sicut fax, agitando ardescit magis.

- Powtórz, powtórz?

- *Amans, sicuffcac, agitando...*
- Kochanek, jak pochodnia, płonie jaśniej, gdy się nim potrząśnie. Niegłupie. Szok po tym, co się zdarzyło w sushi barze, sprawił...
- Tak, tak, łapię. A skąd ty wiesz, co to znaczy?
- Klasyczne wykształcenie - wyjaśnia Amy. - Wszystko przez moich rodziców.
- To ty powinnaś mieć z nim romans - mówię. - Masz do tego zdrowie, nie wspominając o językach...
- Ale to tobie kupił bransoletkę od Tiffany'ego - ripostuje ze złością Amy.

Kiedy wróciłam z siłowni, piątkowy prezent już czekał na podkładce pod myszkę, w firmowym błękitnym pudełeczku przewiązany białą aksamitną wstążką. Z zachwytem poruszam lewym nadgarstkiem. Marzyłam o tej srebrnej bransoletce - z kolekcji 1837, a jakże - niemal przez całe życie; moja matka twierdzi, że biżuterię kupuje kobiecie tylko kochanek. Może ma rację, ale to nie znaczy, żeby ta bransoletka miała coś zmienić, jeśli chodzi o moją decyzję zakończenia historii z Nickiem.

Amy okazała godną pochwały powściągliwość i nie powiedziała „a nie mówiłam”, kiedy ją poinformowałam o moim ostatnim miłosnym żetonie; choć nie zdołała się powstrzymać przed przystaniem mi linku do pojedynczych egzemplarzy biżuterii u Tiffany'ego.

- Ale on jest żonaty - powtarzam po raz kolejny, bez wielkiego przekonania.

- I powiedziałaś, że odpowiada ci taki stan rzeczy.
- Ta-a-ak...
- To co złego może się stać, jak się z nim spotkasz? Spójrzmy prawdzie w oczy: jeśli się rozstaną z twojego powodu, to znaczy, że nie był to zbyt mocny związek, no nie? On jest dorosły, odpowiada za siebie. I sam podjął tę decyzję. Gdyby nie było ciebie, byłaby inna - dodaje cynicznie. - Jak facet zaczął zdradzać, to prędko nie przestanie.

Mam wrażenie, że Amy trochę za bardzo się podoba, że i ja dostałam za swoje. Szczerze mówiąc, nie mogę mieć jej tego za złe, skoro tak się mądrzyłam na temat romansów z żonatymi. Ale to nie znaczy, że mam ochotę uznać z pokorą swój błąd.

I nie zamierzam zmieniać decyzji. Bynajmniej.

- Czyli uważasz, że powinnam się z nim spotkać?

- Och, do jasnej Anielki - wybucha, wpadając nieopatrznie w ton, jaki ja przybierałam w poprzednim życiu - przecież masz zamiar to zrobić, i dobrze o tym wiesz. Zerwanie, akurat... Przestałabyś pieprzyć. Czego ty ode mnie oczekujesz? Że cię namówię na powrót, żebyś potem miała na kogo zwalić?

No, właściwie tak.

- Okej. Słuchaj uważnie. - Wzdycha. - Jeśli on naprawdę ci się podoba i chcesz, żeby wszystko grało, posłuchaj rady doświadczonej kobiety, która już kupiła cały komplet, i T-shirt, i pareo z takim samym nadrukiem...

- Ale o co chodzi? Nigdy nie wspominać o żonie? Nie zapraszać go, żeby został na noc?

- Nigdy nie zapomnieć się wydepilować.

Amy jest profesjonalną kochanką (nie chodzi mi o to, że ma w piwnicy gabinet sado-maso czy coś, tylko że po prostu robi to od czterech lat, więc pewnie wie, co mówi), wobec tego traktuję jej słowa serio. Skoro radzi: depilować, ja tylko pytam: jak wysoko?

Rzucam okiem na zegar. Za godzinę mam się spotkać z Nickiem w Claridge's. Cholera. Miło by było, gdyby mnie poinformował o naszej tak długo odwlekanej randce choć z niewielkim wyprzedzeniem. No, ale raczej nie mógł wiedzieć, że nowa klientka nieoczekiwanie zrezygnuje z wizyty i w ten sposób w jego rozkładzie dnia pojawi się przyjemne okienko. Czegoś takiego żona nawet nie zauważy.

Otwieram szafkę łazienkową, grzebię w niej i w końcu trafiam na zestaw do woskowania na zimno, który Amy podarowała mi na Gwiazdkę dwa lata temu. (Nawiasem mówiąc, trochę dziwny to prezent). Linii bikini na pewno nie wywoskuję sobie na gorąco, dzięki serdeczne. A tak to tylko rozgrzewa się w dłoniach dwa plastry, rozdziela je i przykleja do wewnętrznej strony ud. Prosto, łatwo i przyjemnie. Nigdy dotąd nie robiłam tego sama, zawsze chodziłam do salonu, ale nie święci garnki lepia.

Wracam do sypialni i zamiast rozgrzewać paski w dłoniach, używam suszarki, żeby było szybciej. Czy ta nowa jedwabna sukienka w odcieniu fukcji będzie odpowiednia? Jest troszkę za obcisła, ale za to mój przedziałek wygląda w niej rewelacyjnie. I zawsze mogę ją stonować, wkładając pantofle na kaczuszcze zamiast moich zwykłych niebotycznych szpilek.

Wracam do łazienki, rozbieram się i opieram stopę na muszli klozetowej. Jeszcze raz rzucam okiem na instrukcję, po czym przyklejam pasek wosku po właściwej stronie linii bikini, aż do uda. Uzbrajam się wewnętrznie: będzie bolało. Jezu, jaki ten pasek długi...

O kurwa kurwa kurwa mać! O rany! Nie wytrzymam... Ślepnę z bólu.

Powoli świat przestaje wirować wokół mnie i znowu odzyskuję wzrok. Rzucam okiem w dół i zdaję sobie sprawę, że oderwałam na razie tylko połowę paska. Kolejny głęboki oddech i znowu łazienka znika w powodzi wirujących gwiazd.

Kiedy wraca mi świadomość, patrzę na pasek wosku w poszukiwaniu dowodów mojego bohaterstwa. Jest czyściutki jak pamiętnik nowo narodzonego dziecka.

Spoglądam w dół. Najwrażliwsza część mego ciała jest pokryta sklejonymi stygnącym woskiem włosami. Och, do jasnej Anielki. Załatwię to maszynką do golenia. Podrażnienia od żyletki zmieszają się z podrażnieniami od jego zarostu, o ile tylko rozegram sprawę jak należy.

Zdejmuję nogę z sedesu, stawiam na ziemi i momentalnie uprzytamniam sobie moją pomyłkę.

Jestem teraz - trudno oddać to w sposób bardziej wyrafinowany - zapieczętowana. Za pomocą wosku.

Chodzę jak pingwin po łazience, usiłując coś wymyślić. Kurwa, kurwa, kurwa... Woda! Gorąca woda rozpuści wosk. Potem ogolić się, ubrać i biegiem. Wejść do najgorętszej wody, jaką będę w stanie znieść, wosk zmięknie i zmyję go gąbką. Proste.

Włazę do wanny, siadam i puszczam wodę tak gorącą, że można by wysterylizować igły. Nie, czerwona sukienka odpada, decyduję. Nick nie będzie w stanie odróżnić, gdzie kończy się sukienka, a zaczynam ja.

I w tym momencie odkrywam, że jest coś jeszcze gorszego, niż mieć dolne partie zapieczętowane za pomocą wosku: to mieć dolne partie zapieczętowane woskiem, a następnie przyklejone do dna wanny pełnej wrzątku (który, nawiasem mówiąc, parzy, ale wosku nie rozpuszcza). Jestem załatwiona.

Kiedy dzwonię do Amy z komórki - dzięki Bogu, wzięłam ją do łazienki na wypadek, gdyby zadzwonił Nick - dostaje ataku śmiechu i dopiero po dwu minutach udaje jej się złapać oddech.

- Może spróbuj zadzwonić na linię pomocy dla klientów? Numer masz na pudełku - mówi w końcu.

- Świetny pomysł, Amy - odpowiadam, przechylona przez krawędź wanny, starając się nie wykitować z gorąca. Wokół unoszą się kłęby pary, o mało co nie upuszczam telefonu do wody. - Cały Londyn opowiadałby kawały na mój temat.

- A gdybyś tak spuściła wodę z wanny i spróbowała się oderwać na siłę?

Pięć minut później wciąż jestem przyklejona do dna pustej i gwałtownie stygnącej wanny. Zaczynam się trząść. Tylko mnie mogło się zdarzyć coś takiego. Zapomnieć zdjęć kaptcie to w porównaniu z tym szczyt elegancji.

- Dobra. Następny genialny pomysł?

- Czy jest tam lotion w pudełku? - pyta Amy. - Zwykle dają coś takiego, żeby usunąć nadmiar wosku. Możesz spróbować go wetrzeć...

Manewrowanie szczotką do pleców zabiera mi chwilę, ale w końcu przysuwam butelkę z lotionem na tyle blisko, że mogę sięgnąć jej ręką. Odkręcam i wącham: fuj, co za odór. Wcieram ostrożnie płyn w dolne części, wciąż jeszcze mając nadzieję, że nie pogrzebałam na zawsze moich szans na wielokrotny orgazm.

- Działa! Działa! Och, dzięki Bogu... Amy, jesteś aniołem. A jak piśniesz komu choćby słówko na ten temat, zabiję jak psa, pamiętaj.

- Jakie to ciekawe - mówi Nick godzinę później, unosząc głowę spomiędzy moich ud. - Nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek będę... jak wy to nazywacie, dziewczyni?

Stosowny termin techniczny brzmi: bzykanie-gigant.

- To się nazywa depilacja brazylijska za pomocą wosku.

- Ach tak. Czy to nie boli?

- Jak się człowiek przyklei do dna wanny, boli jeszcze bardziej - wzdycham. - Nieważne. To długa historia.

Nick uśmiecha się i zanurza głowę tam, gdzie poprzednio.

- No cóż, to bardzo wrażliwe miejsce. Takie biedne... Trzeba się nim czule zająć. O, tu. I może tu...

- Chyba coś przeoczyłeś - mówię, wyginając się w łuk.

- Możesz tu zostać, jeśli masz ochotę - proponuje Nick, tak jak za każdym razem podczas naszych pięciu poprzednich wizyt w hotelu. Wyciera włosy, po czym beztrzesko upuszcza ręcznik na podłogę. - Nie musisz ze mną wychodzić. Zapłaciłem za całą noc.

- Mówiłam ci już, że możemy po prostu chodzić do mnie. Ten hotel musi cię kosztować fortunę.

- O to się nie martw. - Siada nagi na krawędzi łóżka, ujmując moją dłoń i nie podnosząc wzroku, wodzi po niej kciukiem. - A tak jest bezpieczniejsze, Sara. Bardziej anonimowo. W hotelowej restauracji mogę się spotkać z dowolną liczbą klientów, zwłaszcza w dzień. Gdyby ktoś jeszcze raz zobaczył, jak wychodzę od ciebie, znacznie trudniej byłoby mi to wytłumaczyć.

Parę tygodni temu znowu o mało co nie doszło do wpadki, kiedy Joan, ta firmowa siekiera, wpadła na Nicka, kiedy wychodził ode mnie któregoś wieczoru. Wymyślił naprędce wymówkę, że podrzucał mi jakieś papiery, ale nie wiem, czy mu uwierzyła. Ostatnio dziwnie podejrzliwie na mnie patrzy, zwłaszcza gdy pracuję z Nickiem sam na sam.

Nie do wiary, jakie to trudne mieć romans. Myślałam, że cały ten problem cudzołóstwa dotyczy moralności, a nie logistyki. Jak to możliwe, że niektóre kobiety potrafią się zadawać z mieszkającym po sąsiedzku szwagrem i nikt ich nie przyłapie? Nie jestem w stanie pojąć. Homeland Security czy MI 5, czy jak tam oni się teraz nazywają, mieliby niezłą robotę, gdyby przyszło im szukać podwójnych agentów po przedmieściach.

Parę razy, kiedy odwołano sprawę w sądzie ze względu na niesta-
wiennictwo jednej ze stron, wpadliśmy do Claridge's po południu na szczególnie odlotowe bara-bara; nawet wolę takie improwizowane schadzki niż starannie planowane wieczorne rendez-vous. Zawsze czuję się trochę zdołowana, gdy Nick musi wyjść, żeby złapać ostatni pociąg do domu.

Bierze zegarek z nocnego stolika i zapina skórzany pasek wokół nadgarstka. Kiedy wstaje, podciągam się po zmiętym, wilgotnym prześcieradle i przyciągając go ku sobie za pośladki, chwytam jego półtwardy członek w usta. Przez chwilę opiera się, ale wreszcie kapituluje: drży i ściska mnie za ramiona tak mocno, że chyba będę miała siniaki.

Już czuję słony smak zbliżającego się wytrysku, gdy wyrывa się i popycha mnie z powrotem na łóżko. Przez moment mam wrażenie, że

chce odejść... ale nie, rzuca się obok mnie, zaczyna całować moje piersi, brzuch, zanurza język w zagłębieniu pępka - „Chryste, co to jest? - zawołał, kiedy zobaczył po raz pierwszy mój piercing. - Czy to nie boli?” - i powoli schodzi niżej, ale nie na długo. Znowu muska mi pocałunkami powieki, nos, policzki, usta, szyję... Jego twardy tors miażdży moje piersi. Pachnie słodko i ciepło, jak cynamon w grzonym winie, jak goździki wbite w pomarańczę, jak płonące sosnowe szyszki...

Potraktowane tak umiejętnie, całe moje ciało staje się jedną wielką strefą erogenną. Jego opanowanie, talent, z jakim trzyma się na wodzy i nie ulega mojemu pragnieniu, by mieć go już, natychmiast, doprowadza mnie do kompletnego szaleństwa.

Już mam wrzasnąć na cały głos, tak że usłyszy mnie cały hotel, gdy nurkuje głową między moje uda i zaczyna pieścić językiem łechtaczkę. Moje ciało faluje spazmatycznie, gorączkowo oplatom mu kark nogami. Wsuwa mi do środka dwa palce i porusza nimi gwałtownie, nie przestając stymulować językiem łechtaczki. *Czegoś* takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam, to jak erotyczna kolejka górską, mknąca w górę, w górę... Gwiazdy eksplodują pod moimi zamkniętymi powiekami, piorun uderza we wszystkie zakończenia nerwowe. Dochodzę szybciej i potężniej niż kiedykolwiek dotąd, moje ciało uderza rykoszetem o łóżko, gdy przetacza się po mnie fala za falą, i jeszcze jedna, i jeszcze.

W końcu Nick unosi głowę, podciąga się w górę i kładzie mi policzek na brzuchu. *Wciąż drzę po przeżytej przed chwilą rozkoszy.*

- Kocham leżeć tu z tobą - mówi cicho. - Czuję się tak bezpiecznie... Jak nigdy dotąd.

Czy on... czy on o mało co nie powiedział tego słowa na M?

Stacza się ze mnie i kładzie obok na plecach. Po paru minutach nakrywam go sobą i zaczynam delikatnie całować po twarzy. Schodzę niżej, na pierś, rozkoszując się jego słonym i słodkim zarazem smakiem. Szczypię wargami brodawkę, sse, a on jęczy aprobująco. I już czuję na nowo pulsowanie między nogami, biorę w usta jego męskość, twardą jak stal i delikatną jak aksamit...

Odzywa się jego komórka. Nie muszę pytać, kto dzwoni.

Rozciagam się leniwie, próbując sprawiać wrażenie, że w ogóle nie przejmuję się tym, że pofatygował się odebrać. Zmysłowa, wyluzowana kochanka, a nie sfrustrowana i wymagająca przyjaciółka.

Nick rzuca mi zakłopotany półuśmiech i przytrzymując telefon ramięm, zaczyna niezgrabnie wciągać na siebie ciuchy.

- Właśnie się zbieram. Już skończyłem. Tak, wiem, przepraszam, ale...

Podaję mu buty. Unika mojego wzroku, twarz ma poważną, surową. Z telefonu dobiega niewyraźny skrzek; nie wydaje mi się przyjemny. Biedny Nick. Akurat tego mu trzeba - żony-Ksantypy, która robi mu scenę po całym dniu ciężkiej harówki. A przecież zasuwa właśnie po to, kurna, żeby jej zapewnić jedwabne życie... Gdybym to ja była jego żoną, nigdy bym mu tak nie dowalała; wiem przecież z własnego doświadczenia, jaki stres przeżywa codziennie w pracy. Ona tego chyba nie rozumie.

- Nie wiem, na którą. Może będę musiał popracować. Tak, zdaję sobie sprawę, ale nic na to nie poradzę. Słuchaj... słuchaj, Malinche. Powiedziałem już, że mi przykro, ale dla sądu czternasty lutego to taki sam dzień jak każdy inny, tyle że wypada pomiędzy trzynastym a piętnastym. - Ze znużeniem przeciera twarz. - Wiem. Wiem, że czekałaś, ale...

Kolejna seria trudnych do rozróżnienia dźwięków. Nick podchodzi do lustra, wygładza dłonią fryzurę, a potem testuje marynarkę na obecność blond włosów. To dobrze, że jest ostrożny. Cieszę mnie to. A w każdym razie mi nie przeszkadza.

- Słuchaj, pogadamy o tym, jak wrócę.

- Jesteś pewien, że jutrzejszy wieczór nadal jest aktualny? - pytam, zawiązując pasek szlafroka. - Możemy przełożyć to na kiedy indziej. Nie będę ci miała za złe, naprawdę.

- Oczywiście że będziesz miała - odpowiada Nick z nieoczekiwaną przenikliwością. - Obiecałem, że zabiorę cię gdzieś na walentynki, i dotrzymam słowa. A teraz - głos mu mięknie - podaj mi teczkę i zamknij się w łazience, ty kusicielko, bo inaczej może się okazać, że nie potrafię stąd wyjść.

Czuję się rozedrgana w środku, tak jakby to była nasza pierwsza randka. I w pewnym sensie jest - to nasza pierwsza randka z okazji jakiegoś specjalnego dnia. W zeszłym roku spędziłam walentynki z Amy w Andorze, licząc na to, że tam przynajmniej nie będzie całego tego miłostnego jarmarku. Nie wiedzieliśmy, że jakaś internetowa agencja randkowa wynajęła nasz hotel na obchody ich corocznego Święta Miłości.

Czterdzieści dwie zakochane pary, nieustannie trzymające się za ręce i patrzące sobie w oczy... Dostałam migreny.

Popijając koktajl, przeglądam jeszcze raz kartę dań, w nadziei że Nicka tylko patrzeć. Cały dzień byłam służbowo w Birmingham, więc nie widziałam się z nim od wczorajszego wieczoru. Już się nie mogę doczekać, żeby dać mu prezent. Czy raczej włożyć go dla niego.

Odrywam spojrzenie od sushi i sashimi - Nick znowu wybrał Yuzo's; miejmy nadzieję, że niefart zostanie przełamany - i popatruję po sałatkach, do wyboru: z ogórka lub z wodorostów, Może lepiej poczekam, aż przyjdzie Nick i sam zdecyduje, na co ma ochotę. Właściwie to jeszcze nigdy nie byliśmy razem na kolacji, chyba że wliczymy Manchester wtedy za pierwszym razem. Miło będzie tak sobie posiedzieć i porozmawiać jak normalna para, zanim pójdziemy do łóżka.

Kwadrans po ósmej. Piętnaście minut spóźnienia. No, przyjdźże wreszcie, Nick, nie znoszę tak czekać sama przy stole. Jak długo można gmerać w menu i udawać wyluzowaną i pewną siebie?

Kelner dyskretnie nachyla się nad moim ramieniem.

- Czy już pani coś wybrała?
- Nie, czekam na kogoś. Przyszłam trochę za wcześnie... za chwilę powinien być. - Spoglądam z nadzieją na drzwi, które się właśnie otwierają, i zalewa mnie ulga. - O, właśnie przyszedł, proszę popatrzeć!
- W takim razie, jak tylko będą państwo gotowi...

Dzięki Bogu. Przez chwilę już myślałam...

Powitalny uśmiech gaśnie na mojej twarzy. Nick zmierza w stronę mojego stolika, ale tuż za nim idzie jego żona.

Malinche

Kobieta zawsze wie, prawda? To kwestia intuicji. Nicholas nie wierzy w intuicję; mówi, że to po prostu podświadomość odbiera pewne subtelne sygnały, których świadomość nie rejestruje, a potem dodaje dwa do dwóch i nagle pyk! - wyskakuje ci w głowie cztery. A kiedy się okazuje, że cztery to prawdziwa odpowiedź, myślisz sobie: niesamowite, to musi być intuicja!

Możliwe więc, że to nie żaden szósty zmysł, tylko zwykła podświadomość szturchała mnie wtedy mentalnym łokciem w żebra: patrz, nosi dzinsy, a przecież wcześniej ich nie cierpiał, sam się pakuje, jadąc w podróż służbową, a przecież zawsze zostawiał to tobie, nowa woda po gołeniu, nowa koszula, czy on zawsze zamykał na klucz tę szufladę, od kiedy to tak przepada za grą w squash?

Gdyby przyjaciółka, siedząc przy kuchennym stole nad nietkniętym kubkiem wystygłej kawy, opowiadała ci o tych kuksańcach, stanowiących dalszy ciąg długiej listy podobnych szturchnięć z ostatnich tygodni i miesięcy - powiedziałałabyś bez wahania: on ma romans. W myśli, rzecz jasna, bo nie powiedziałałabyś czegoś podobnego na głos, dopóki ona sama tego nie zobaczy.

Ale Kit nie bawił się w takie subtelności.

- On ma romans, złotko - powiedział, spokojnie wydmuchując kółeczka dymu. - To oczywiste, tak samo jak to, że masz pełno piegów na tym swoim ślicznym nosku.

- Kit!

Krześło ze stuknięciem opadło z powrotem na wszystkie cztery nogi.

- Sama się zastanów, kochanie. Późno wraca. Nowa fryzura, nowe ciuchy: nie jestem pewien co do czarnych dżinsów, ale mimo wszystko. Nieoczekiwane upodobanie do supermęskich sportów. Albo ma romans, albo - uśmiechnął się szatańsko - dołączył do mojej frakcji i nie potrafi ci o tym powiedzieć.

- Na litość boską, Kit! Trace nie jest gejem!

Rozłożył wypielęgnowane dłonie: fakty mówią same za siebie.

- Ale Kit - szepnęłam, obejmując się ramionami, bo nagle poczułam gęsią skórę - jak on może mieć romans? Jesteś pewien?

- Nie myśl, że mnie to nie rusza, malutka. Zdaję sobie sprawę, że to koszmar, ale w sumie chyba lepiej wiedzieć. - Wstał, żeby zaparzyć świeżą kawę. - Wszystkie oznaki na to wskazują - westchnął. I moje bezpieczne, wspaniałe młode życie zachwiało się na krawędzi po raz ostatni i runęło w przepaść.

Wspomnienie sprzed trzynastu lat uderza mnie w splot słoneczny tak potężnie, że brak mi tchu. Staję przy krzaku zimowej szafwii i wciągam w płuca haust ostrego lutowego powietrza. Kit miał całkowitą rację. Wszystkie oznaki rzeczywiście na to wskazywały. A przecież nie wspomniałam mu nawet o przerywanych nagle telefonicznych rozmowach, o powrocie do palenia, o nagłej gotowości do wielogodzinnych spacerów z psem w każde niedzielne popołudnie... Klasyczne, podręcznikowe objawy. Trace miał romans. To było oczywiste.

Oczywiste.

I nieprawdziwe.

Otwieram furtkę - domek Trace'a, ze słomianym dachem, pnącymi się po ścianach pędami róż i płataniną krętych żwirowych ścieżek jest najpiękniejszy i najbardziej malowniczy w całej wsi; pod tym względem można na nim polegać - i ruszam przed siebie, starając się za wszelką cenę poczuć jak szczęśliwa trzydziestoparoletnia mężatka z trojgiem dzieci, którą jestem obecnie, a nie jak wystraszona dwudziestodwuletnia dziewczyna w ciąży, którą byłam, kiedy ostatni raz stałam pod drzwiami Trace'a.

Robię małymi kroczkami, żeby się nie pośliznąć; mój oddech krzepnie w mroźnym powietrzu w obłoczki pary. Trzeba było włożyć buty na płaskim obcasie, myślę. Szpilki są szykowne i bardzo kobiece z tym swoim

postukiwaniem, ale raczej niestabilne. Mogę złamać nogę, rękę albo nawet skrócić kark.

Kit próbował mnie wtedy odwieść od pomysłu, żeby zapytać Trace'a wprost, ale nie posłuchałam. Zamknęłam go w samochodzie. Wciąż pamiętam, jak walił w okno od strony pasażera, gdy ja podążałam nieustraszenie żwirową ścieżką, zdecydowana - skoro już raz podejrzenie załęgło się w mojej głowie - załatwić sprawę jak najszybciej. Cud, że nie wyłożyłam się wtedy jak długa i nie zmieniłam w mokrą plamę, choć później, w ciągu tych okropnych dni i tygodni nieraz żałowałam, że tak się nie stało. Obym była nie przeżyła tej karkołomnej podróży i nie rzuciła Trace'owi w twarz oskarżeń, ledwie otworzył drzwi, a za jednym zamachem tej wspaniałej wiadomości, którą pieściłam w sobie niczym skarb, a cisnęłam nią w Trace'a jak złotą włócznią. Żeby go zraniła, żeby bolało.

Nie dałam mu szansy, żeby się wytłumaczył, bo przecież wszystkie oznaki wskazywały... Rzuciłam się z powrotem do samochodu, ślepa od łez, i oczywiście nie zauważyłam plamy oleju na jezdni; oleju z mojego własnego auta, którego silnik przeciekał, a Kit od tygodni mnie męczył, żebym go wreszcie oddała do warsztatu. Jak ja kiedykolwiek zdołam to naprawić, jak powiem mojemu biednemu maleństwu: mogłobyś istnieć, gdybym nie była wtedy taka wściekła, gdybym nie słuchała mojej „intuicji”, gdybym naprawiła ten cholerny samochód...

Drzwi wejściowe się otwierają i niemal wpadam w różany krzak.

- Od pięciu minut patrzę, jak nie możesz się zdecydować: iść czy nie iść - mówi Trace, wyginając w uśmiechu kąciki ślicznych ust. - W pewnej chwili już myślałem, że chcesz zawrócić, i byłem gotów wyjść i przemocą wciągnąć cię do środka.

- Daj spokój - odpowiadam. - Nie masz pojęcia, jak tu plotkują.

Szybko przechodzę obok niego, starając się nie zwracać uwagi na to, jak ładnie pachnie, i kieruję się do salonu, w którym Trace zdołał połączyć namiętność do szwedzkiego minimalizmu z typową dla angielskiego wiejskiego domu nadmierną przytulnością. Tudoriańskie belki i miedziane medale z motywami końskimi idealnie komponują się z telewizorem o płaskim ekranie i czarną skórzaną sofą.

Całkiem jak sam Trace, przebiega mi przez myśl: wyłącznie ostre kąty, sprzeczności i wdzięk, tworzące wspaniałą mieszkankę wszystkiego, czego można by pragnąć...

- Muszę zauważyć, pani Lyon, że w ubraniu też wygląda pani ślicznie - mówi Trace, a ja podskakuję na tę uwagę jak szczur w pułapce. - Co nie znaczy, że nie doceniam wysiłku, z jakim zadbała pani o prezentację ostatnim razem; idea programu „*Nagi Szef*” zyskała w ten sposób całkiem nowe znaczenie.

- Obiecałeś - jęczę. Policzki mi płoną.

- Luzik. Mam pieczęć na wargach. Chociaż złoty proszek to był naprawdę milutki pomysł.

- Trace!

Podnosi w górę ręce.

- Dobrze już, dobrze. Nigdy więcej o tym nie wspomnę, obiecuję. No a teraz do kuchni. Zgodnie z poleceniem, zaszalałem tam, pani Lyon... choć nie było to łatwe. Cholera wie, kto wymyślił tę cholerną Agę, może być włączona albo wyłączona, nic pomiędzy. Jestem ciekaw, co sądzisz o moim risotto z białej cebuli z parmezanem i espresso...

- Spróbowałeś! - wołam w zachwycie.

- Kazałaś mi - mówi melancholijnie.

Idę za smugą zapachu. Co za rozkoszna woń... Nie zdawałam sobie sprawy, jaką jestem głodna; ale nic dziwnego, nic dziś nie jadłam, ani na śniadanie, ani na lunch. Głupie to, naprawdę, przecież nie zamierzamy z Trace'em... No, oczywiście nie widziałam się z nim całe wieki (nie licząc tamtego upokarzającego incydentu ze złotym proszkiem) od czasu, gdy byliśmy parą, i prawdę mówiąc, zapomniałam, jaki jest atrakcyjny na żywo...

Wściekła, koncentruję się na kuchni. Przedmiot utyskiwań Trace'a, francuski czterokomorowy piec Aga, zajmuje honorowe miejsce, ale cała reszta wygląda jak żywcem przeniesiona ze stron „*Bon Appetit*” - wyjątkownie nieskazitelnie lśniąca stal; jakie to stylowe, cudownie stylowe... chociaż, jak sobie człowiek wyobrazi tłuste odciski palców - więc rozglądam się w zachwycie niczym dziecko w sklepie ze słodyczami, nie wiedząc, na co spojrzeć najpierw: rondle z nierdzewnej stali, wielofunkcyjny robot, komplet noży marki Global, błyszczący szybkowar i... o rany, cudowna starożytna żelazna patelnia-gigant! Chyba musiał spędzić pół nocy na e-Bayu, żeby dopaść coś takiego.

Trace podnosi pokrywkę rondla mrugającego na małym ogniu i zanurza w nim drewnianą łyżkę.

- No chodź, spróbuj.

Posłusznie otwieram usta. Trace nachyla się, osłaniając dłonią łyżkę, żeby nie kapało; wiem, że karmienie to upiornie wytarta klisza, okropnie nadużywana w kinie, a jednak - co tu gadać - niesamowicie, grzesznie erotyczna.

Przynajmniej w teorii.

- Pychota - mamrocę z ustami pełnymi nieba.

- Wbrew wszelkim rozumnym oczekiwaniom - godzi się Trace.

Ludzie zapominają, że gotowanie to nie tylko sztuka, ale i nauka; wystarczy pomyśleć choćby o tajemnicy majonezu. Ten sos składa się głównie z oliwy, stanowiącej osiemdziesiąt procent jego zawartości. A przecież można zmienić jej stan skupienia z ciekłego na niemal stały, dodając ją po troszeczkę do żółtek z solą: sól sprawia, że żółtko rozpada się na cząstki składowe, i proszę, nic się nie warzy. Czysta nauka.

Kuchnia molekularna jest absolutnie fascynująca. To największa rewolucja kulinarna od czasu... no, powiedzmy, Escoffiera. Słowo daję. Jak wytłumaczyłam Trace'owi - i mogłabym dać mu buziaka za to, że się na to zgodził - kuchnia molekularna polega na tym, że stworzenie oryginalnych, nietypowych przepisów wymaga analizy budowy molekularnej poszczególnych składników za pomocą rezonansu magnetycznego i spektrometru - każdy specjalista od chemii czy fizyki syntetyków ma takie urządzenia i - wskutek takiej analizy często okazuje się, że produkty o podobnej budowie dobrze się komponują smakowo, nawet jeśli wydawałoby się, że nie powinny; to mniej więcej tak, jak Elizabeth Taylor i Richard Burton, wiadomo o co chodzi, prawda? Heston Blumenthal jest w tym po prostu rewelacyjny: jego przepisy są genialne, trudno to określić inaczej. I w ten sposób...

- Lody z jajeczniczy na bekonie? - pyta Trace, kiedy po tygodniu pokazuję mu szkic jadłospisu. - Sorbet z sardynek na grzance i beza gotowana w ciekłym azocie?

- To znacznie bardziej podniecające niż płonące naleśniki, nie uważasz? - odpowiadam z entuzjazmem.

Trace bierze listę i czyta na głos:

- Filety z kałamarnicy nadziewane masłem kokosowym i imbirowym, wątroba rekina z ziarenkami pomidorów, *consomme* z suszonych na zimno *foi gras*, termozupa z zielonego groszku z miętą...

- Ma być gorąca z wierzchu, a zimna na spodzie - uzupełniam.
- Jasne. Dalej: pierś kaczki z rusztu z oliwą i cukierkami czekoladowymi, a na deser figi i czarne oliwki z lodami z sera brie. Jakżeby inaczej.

- Rzecz w tym, że to mają być wyłącznie naturalne aromaty, żadnej chemii - wybucham, niezdolna panować dłużej nad podnieceniem. - Chodzi o stworzenie takiej kombinacji aromatu i konsystencji, która przeniesie nasze kubki smakowe do lepszego świata.

- Cała mamusia - Trace szczerzy zęby w uśmiechu. - Chociaż nie jestem pewien, co by powiedziała na płatki ze ślimaków. Biedne ślimaki...

- Muszę wymyślić jakieś danie-logo - myślę na głos, skracając włosy w kok i spinając ołówkiem, żeby mi nie przeszkadzały. - Pino Mafeo jest sławny dzięki swojemu obsmażanemu *foi gras* z dwudziestoczekaratowym złotym jajkiem... bierze małą owalną bezę i obtacza w lekko ubitej śmietance, a potem zanurza w ciepłym azocie — prawie dwieście stopni poniżej zera, wyobraź sobie! - który momentalnie zamraża śmietankę, tworząc w efekcie coś w rodzaju skorupki jajka. A potem za pomocą strzykawki nasącza bezę sosem z mango i owija całość listkiem z dwudziestoczekaratowego złota. Jak się rozbije skorupkę, ze środka wycieka, niczym żółtko, sos z mango...

- Chyba mi odbiło - mruczy pod nosem Trace - że się na to wszystko zgodziłem... Wygląda tu jak w laboratorium Frankensteina, a nie jak w normalnej kuchni.

- Właśnie - podchwytnię. - Muszę sobie załatwić niektóre z tych gadżetów. Nicholas ma teraz tyle pracy... Odkąd Will Fisher przeszedł na emeryturę, prawie mieszka w biurze, słowo daję... często wraca w środku nocy. O wiele łatwiej by było wypróbować te przepisy w domu, jak dzieci pójda spać, a nie jeździć tu i za każdym razem zamawiać opiekę.

Wszystko to prawda (biedny Nicholas, nawet w weekendy odbiera służbowe telefony), ale chyba nie cała.

Trace jest wciąż niebezpiecznie interesujący i dziko seksowny, więc naprawdę nie jestem pewna, czy przebywanie z nim dzień w dzień w tym przytulnym wiejskim domu i wspólne przyrządzanie dań - a przecież, jak wiadomo, kuchnia zawiera większy ładunek erotyzmu niż Moulin Rouge — to naprawdę dobry pomysł. Oczywiście uwielbiam Nicholas

i nie ma mowy, żeby miało do czegoś dojść; niemniej faktem jest, że Trace to niezakończona sprawa, a lepiej by było, gdyby problem jej zakończenia nigdy się nie pojawił. Dla wszystkich zainteresowanych.

Trace nie robił mi żadnych wyrzutów, kiedy straciłam nasze dziecko. Nie musiał; załatwiłam to we własnym zakresie. Teraz wydaje mi się to takie głupie, niepotrzebne... Powinnam była porozmawiać z matką, a co ważniejsze, powinnam była porozmawiać z Trace'em. Ale miałam wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata, byłam niedoświadczona i rozpaczliwie naiwna. Potrafiłam zrobić z zamkniętymi oczami lekki jak piórko sufler, lecz o miłości nie wiedziałam nic. Ani o tym, jak bywa silna.

Z trudem znosiłam widok własnej twarzy w lustrze. Myśl, że mogłabym zobaczyć w oczach Trace'a nienawiść i wstręt, jakie widziałam każdego dnia we własnych, była po prostu nie do udźwignięcia.

Nie przyjmowałam więc jego wizyt w szpitalu, nie odbierałam telefonów, a po powrocie do domu nie otwierałam mu drzwi, głucha na wszelkie argumenty, prośby, a nawet na krzyk, żebym wreszcie wyszła i stanęła z nim twarzą w twarz. Nie mogłam stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, którego dziecko straciłam przez własną głupotę i brak zaufania. Trace nie miał żadnego romansu; jak się okazało, wziął dodatkową pracę (w czasie recesji połowy lat dziewięćdziesiątych raczkujący sklep z sarami stwarzał wiele problemów), żeby mieć czym zapłacić za pierścienek zaręczynowy. Pewien agent - którego poznał, o ironio, za pośrednictwem Kita - zaproponował mu gigantyczną sumę za to, że stał się twarzą (to właściwe słowo) nowej odlotowej marki dżinsów: stąd nowe ciuchy, nagła potrzeba zadbania o sprawność i prezencję, tajemnicze rozmowy telefoniczne. Trace zaczął się uśmiechać z billboardów i okładek kolorowych tygodników i zdołał wsączyć w całkiem zwykłe dżinsy tyle erotycznych skojarzeń, że znikwały z półek w rekordowym tempie.

W takim tempie, że Trace'owi wystarczyło pieniędzy nie tylko na połyskujące półtora karata, ale i na mieszkanie tuż obok King's Road, przez którego próg miał mnie przenieść, gdy tylko powiem „tak”.

Co oczywiście bym zrobiła. Ale zanim się dowiedziałam, co naprawdę zamierza Trace, było już za późno.

Kit próbował wszystko naprawić, skłonić mnie, bym na powrót wkomponowała Trace'a w swoje życie. Nie rozumiał - żaden z nich nie rozumiał - że nie miałam wyboru. Kochałam Trace'a nawet bardziej niż

przedtem, ale wiedziałam - albo zdawało mi się, że wiem - że nasze biedne maleństwo zawsze będzie tkwiło między nami niczym cień, że jego utrata zamknie nas oboje w szarym kokonie smutku i udręki, aż wreszcie z żadnego z nas nie pozostanie nic, co można by kochać. Nie mogłam tego zrobić Trace'owi. Po tym wszystkim, co już mu zrobiłam?

Pięć miesięcy później poznałam Nicholasa.

- To nie jest odpowiednia pora, Trace.
- Ale przecież jeszcze nie spałaś, prawda?
- Nie o to chodzi.
- A ja myślę, że o to. Może nie?

Odkładałam na chwilę słuchawkę i zamykam drzwi gabinetu Nicholasa, żeby nie obudzić dziewczynek.

- Jest wpół do jedenastej, Trace. A ja mam na górze troje małych dzieci, nie mówiąc już o psychotycznym króliku, kocie i czterech chomikach.

- Czterech chomikach?

- Moja matka podarowała dziewczynkom na chiński Nowy Rok cztery chomiki, po jednym dla każdej plus jeden na wszelki wypadek. Jak dotąd koezystują zgodnie w homoseksualnej błogości. - Wzdycham. - Ale nie był to przemyślany prezent, chomiki wałą kupy jak... cóż, chyba po prostu jak chomiki. Choć muszę przyznać, że miewała gorsze pomysły, jak chociażby klaksony rowerowe. - Musiała je wsadzić do pończoch, jak poszliśmy na pasterkę, a ona została z dziećmi, myślałam, że ją uduszę w Boże Narodzenie o wpół do szóstej rano... ale to nieważne, naprawdę nie możesz dzwonić do mnie tak późno. A jakby tak Nicholas odebrał?

- Nudziłem się - rzuca lekko Trace, a ja wbrew woli myślę: nic dziwnego, że Kit go kochał, tacy są do siebie podobni. - Chciałem się trochę rozerwać. Poza tym muszę z tobą porozmawiać o zaopatrzeniu.

- Nie możemy poczekać z tym do rana?
- Jeśli zamierzasz ze mną pojechać, to nie możemy.
- Pojechać? Dokąd?

- Właśnie znalazłem fantastycznego dostawcę z Normandii, robi rewelacyjne sery. Mówię ci, niebo w gębie, będziesz zachwycona. Jeśli złapiemy pierwszy pociąg przez kanał, to...

Wybucham śmiechem.

- Trace, oprzytomnij. Jutro sobota, Sophie ma Pony Club, choć wydaje mi się, że zaczyna wyrastać z tej fazy, dzięki Bogu, nie masz pojęcia, ile to kosztuje... Po południu urządzą przyjęcie urodzinowe Evie, a Metheny złapała przeziębienie, nie, to naprawdę niemożliwe.

- A Nicholas nie może się nimi zająć?

Nicholas jest dobrym ojcem i mężem, ale pomyśl, że miałyby przez cały dzień użerać się z trzema małymi dziewczynkami, podczas gdy ja skoczę sobie do Francji, żeby szukać serów... Oczywiście Trace nigdy tak naprawdę nie poznał Nicholasas...

- Nawet jeszcze nie wrócił z pracy, Trace, nie mogę wymagać, żeby mężczyź się jutro z dziećmi. Musi odpocząć, on tak ciężko pracuje.

- Ty też - mówi Trace. -A nawet ciężiej. Mogę sobie wyobrazić.

Przez chwilę myślę historycznie o praniu: pojemnik na brudy wypakowany po brzegi, rzeczy do prasowania nie mieszczą się już w koszyku, warstwy bliżej dna nabierają powoli wartości archeologicznej. O zmywarce, od wczoraj pełnej nieumytych naczyń - nie miałam ani jednej wolnej chwili, żeby zajrzeć do środka i oczyścić filtr, zaklejony resztkami spaghetti. O kuchennym koszu na śmieci, tak szczelnie wypchanym odpadkami, że nie da się wyciągnąć plastikowego worka. O pustej spiżarni - „Mamo! Te cheerios to nie żadne cheerios, tylko pył, niedługo umrzemy z głodu, Evie mówi, że zadzwoni do opieki społecznej”. O niezafatwionym ubezpieczeniu samochodu, o odkładanej z dnia na dzień wyprawie do pralni chemicznej, o nienapisanych urodzinowych kartkach, o niezwróconych w terminie bibliotecznych książkach. O przepalonej żarówce w lodówce, którą wciąż mam zamiar wymienić, o brudnej pościeli, którą w końcu muszę zdjąć, zanim sama spełźnie z łóżka, o bożonarodzeniowych kartkach z podziękowaniami, o etykietkach z nazwiskami, które powinnam przyszyć do ciuszków, o projekcie prezentacji przyrodniczej Sophie, o maszynopisie, który wciąż powinnam dostarczyć, o Boże, o Boże...

- Swoją drogą, gdzie się podziewa twój mąż? - pyta Trace. - Mówiłaś, zdaje się, że Evie miała dziś w szkole jakąś imprezę?

Nieczęsto bywam wściekła - to taka kolosalna strata czasu i energii, nie starcza mi ich nawet na irytację - ale dziś wieczorem z rozkoszą zamordowałabym Nicholasas. Wybrałam go właśnie dlatego, że sprawiał wrażenie mężczyzny, który nigdy nie zawodzi.

- Musiał zostać w pracy, ma do omówienia jakąś ugodę - mówię przez zaciśnięte zęby. - Biedna Evie, była taka rozczarowana... Robili jakiś specjalny projekt na temat Stonehenge, strasznie się do tego przykładała. W pokazie brały udział wszystkie dziewczynki z klasy i oczywiście wszyscy ojcowie przyszli popatrzeć, tylko jej nie. Myślałam, że mi serce pęknie.

- Weź ją jutro ze sobą - proponuje Trace. - Naprawdę, czemu nie? Z dwiema Nicholas na pewno da sobie radę, a Evie trochę by pocieszyła wycieczka do Francji.

Kiedy przedstawia to w ten sposób, sprawa zaczyna wyglądać całkiem realnie. Dla niego zawsze wszystko jest łatwe i nieskomplikowane. Ma w sobie tyle energii, tyle pasji i determinacji: dosyć, żeby przekonać człowieka, nawet jeśli w głębi serca wiemy, że nie wszystko jest takie proste. A Nicholas...

Nie, nie będę ich ze sobą porównywać. Inaczej naprawdę mogę mieć kłopoty.

Kitowi chyba się wydaje, że wciąż mam dwadzieścia dwa lata i jestem naiwna jak dziecko. Dobrze wiem, dlaczego tyle wysiłku włożył w nakłonienie mnie, żebym podjęła pracę u Trace'a; nie ma to nic wspólnego z możliwością fantastycznej kariery, ze spełnieniem marzeń, choć oczywiście obie te rzeczy są prawdą. Kit nigdy do końca nie wybaczył Nicholasowi, że wtargnął w moje życie, zamykając za Trace'em drzwi, a tym samym odcinając mu szansę na to, by mógł naprawić to, co nieświadomie sprowokował. Kiedy powiedziałam, że zamierzam wyjść za Nicholasa, Kit uparcie twierdził, że to za wcześnie, że nie wyleczyłam się jeszcze z Trace'a, że pragnę Nicholasa wyłącznie z niewłaściwych powodów. Tymczasem tak naprawdę chodziło o to, że to on nie miał ochoty żyć z poczuciem winy.

- Zgódź się, Mal - przymila się Trace. - Skoczmy razem do Normandii.

- Przyjemnie by było raz wszystko rzucić - mówię tęsknie.

- I przecież chodzi o pracę. Wrócimy tego samego dnia. Zobaczysz, jak będzie fajnie, Evie może robić za przyzwoitkę... o cholera. Słuchaj, muszę kończyć...

Poprzez odległy szum ulicznego ruchu przebija piskliwy głos jakiejś kobiety; nie mogę rozróżnić słów, ale jej emocje są oczywiste. Uśmiecham

się. Ciekawe, w co się Trace tym razem wpakował. Przez wszystkie te lata widywałam od czasu do czasu jego fotografie na kolumnach plotkarskich - zdaje się, że jest jedną z najlepszych partii w Londynie... co nie znaczy, żebym była zazdrosna, broń Boże - zwykle w towarzystwie jednej z tych chudych jak chart dziewczyn z żebrami wyposzczonego pustelnika. Myślę, że go to kiedyś przerośnie, to tylko kwestia czasu.

- Do zobaczenia jutro - rzuca Trace i się rozłącza.

- Zobaczymy - mówię do nikogo (ulubiony rodzicielski eufemizm, gdy trzeba powiedzieć: „Nie, ale jestem za bardzo zmęczona, żeby się dalej spierać”) i uśmiechając się mimo woli, odkładałam słuchawkę.

Zawsze potrafił to ze mną zrobić. Wywołać uśmiech na twarzy, sprawić, że każdy pomysł, jaki mu przyszedł do głowy, choćby najbardziej szalony - napisać książkę, poprowadzić restaurację, ożenić się ze mną - wydawał się jedynie słuszny. Właśnie dlatego nie odważyłam się z nim spotkać przez trzynaście lat, dopóki nie poczułam się w pełni - naprawdę w pełni - bezpieczna.

Długo siedzę w pokoju Nicholasa, patrząc na oprawione w ramkę nasze ślubne zdjęcie na jego biurku. Wyglądamy tak młodo, tak beztroško.

Kit nie do końca się mylił w swojej ocenie. Byłam trochę podłamana, kiedy poznałam Nicholasa, i nic dziwnego, po tym, co przeszłam w związku z Trace'em. Nie miałam jednak żadnych wątpliwości, że to odpowiedni kandydat na męża. Nie tak olśniewający jak Trace, niedziałający tak zabójczo, że wystarczy spojrzeć, żeby mieć mokro w majtkach, a wnętrzności skręcają się w rozkosznym skurczu; ale przecież nie można przeżyć całego życia na wysokim C, prawda? O ile Trace był idealnym kochankiem, to - od razu wiedziałam - Nicholas był idealnym materiałem na męża. Mężczyźni są jak pantofle: albo seksowne, albo wygodne, nie można mieć jednego i drugiego naraz.

Nie żeby Nicholas nie był seksowny, skąd. Były w nim ciemne głębie, podskórny zmysłowy nurt, z którego sam chyba sobie nie zdawał sprawy. Potrzebował jedynie właściwej kobiety, żeby go wydobyła na powierzchnię. Byłam pewna, że tą kobietą jestem ja.

- Nie wspomniałeś, że Liz podrzuciła cię wczoraj do domu - mówię nazajutrz, ściągając Metheny zabłocone kaloszki, gdy Nicholas parę minut po dziesiątej schodzi z góry. - Powiedziała, że było już dobrze po

północy, jak wróciliście. Prawdę mówiąc, powinna była dać sobie dziś spokój z odwożeniem Chloe do Pony Club, wyglądała na skonaną...

- Kiedy miałem ci o tym powiedzieć? Przecież dopiero co się obudziłem.

Patrzę na niego zaskoczona.

- Ale nie musisz mi od razu odgryzać głowy.

- O Chryste. Ledwie zszedłem na dół, a ty z miejsca robisz mi przesłuchanie. Nie wiedziałem, że jestem na posterunku policji. Co to, cholera jasna, Guantanamo czy co?

- Auu! Mamo, boo-liii!

- Przepraszam, najdroższa. No, już. - Patrzę, jak Metheny drepcze radośnie do salonu, po czym, zdejmując po drodze szal i wełniane rękawiczki, idę za Nicholasem do kuchni. W ciepłe natychmiast zaczyna mi ciec z nosa. - O co chodzi, Nicholas?

Ignoruje mnie, otwierając na chybił trafił drzwiczki szafek.

- Raczej mi nie grozi, że znajdę w tym domu jakąś przyzwoitą kawę, prawda?

- Jest cały słoik, w ostatniej szafce, stoi za kakao. Nicholas, czy w pracy...

- Nie neska, do cholery! Miałem na myśli prawdziwą kawę! Czy to naprawdę tak dużo po całym tygodniu ciężkiej pracy chcesz raz się napić porządnej kawy? Żeby we własnym domu...

Patrzę zdumiona, jak miota się po kuchni, trzaskając drzwiczkami. Nicholas zawsze był smakoszem herbaty; i to dosyć wyrafinowanym i wymagającym, z tych, co przestrzegają całego rytuału - rozgrzać czajniczek, mleko najpierw, napar z Kashmiri Chai potem - i dla których tetley z torebki to koniec świata. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek dotąd miał ochotę na kawę.

W poprzednim życiu przyszłoby mi może do głowy, że Nicholas... Ale nie; jeśli czegoś mnie nauczyła katastrofa z Trace'em, to z pewnością tego, jak ważne jest zaufanie.

Słychać pukanie w szybę. Za oknem macha ku nam powitalnie facet od mycia okien. Wzdycham w duchu. Na śmierć zapomniałam, że ma dzisiaj przyjść - i tylko weźmie kasę. W tym miesiącu mamy trochę napięty budżet: musieliśmy wydać na święta więcej, niż mi się wydawało. To ten piorunsko drogi kozuszek od Josepha, no jasne... Nie mogę

się doczekać na okazję, żeby go włożyć. No i Nicholas bierze ostatnio z konta trochę więcej niż zwykle. Wydatki, jak sędzę; kiedyś się zwróca, ale póki co... Mam nadzieję, że zdołamy przetrwać do lutego bez konieczności sięgania do pieniędzy na dom...

- Nicholas, masz przy sobie jakieś pieniądze?

- Chyba tak. Zawsze mało, cholera... W portfelu, powinien być na moim biurku. Idę wziąć prysznic, bo za chwilę z tego domu zrobi się Piccadilly Circus.

Łapie z kuchennego blatu komórkę i rusza zdecydowanym krokiem po schodach. Sztywno wyprostowane plecy w piżamie w ciapki wprost emanują złością. Wycieram mokry nos w kawałek papierowego ręcznika. Nie wiem, o co ta złość. To przecież nie on wstał do dzieci o szóstej rano.

Jego wytarty skórzany portfel rzeczywiście leży na biurku. Wymuję kilka dwudziestofuntowych banknotów, a przy okazji wypada parę kwitów kasowych i zdjęcie dzieci. Podnoszę je i moja irytacja słabnie. Uwielbiam to zdjęcie. Zostało zrobione zaledwie parę tygodni temu; Evie ma wielką fioletową śliwkę na czole, na samym środku, tak że grzywka dzieli jej się na dwie części, niczym płytki strumień opływający głaz. Ścigały się z Chloe i Sophie; Evie tak bardzo chciała wygrać, że wpadła z rozpędu na stodołę i walnęła głową o kant. Nie było mowy o płaczu, rzecz jasna. Dwa tygodnie minęły, zanim śliwka znikła... I Sophie, właśnie zaczynająca lubić obiektyw aparatu: lekko przechyliwszy głowę, zerka spod tych swoich ciemnych rzęs... jejku, jeszcze moment, a zaczniesz łamać serca chłopaków, słowo daję. I Metheny, siedząca w kucki pośrodku. Mój cukiereczek, moje słodkie dziecko ostatniej szansy. Pulchna, pogodna, patrzy na mnie promiennie wielkimi, szeroko otwartymi oczami o długich rzęsach. Zdjęcie jest trochę nieostre, a poza tym dziewczynki mogły się najpierw umyć i przyczesać; ale uchwycona została ich istota. Tak, takie właśnie są.

Sądząc po rysach na powierzchni, Nicholas też je lubi. Widzę ślady paznokcia, gdy gładził czule kciukiem twarz dziewczynek, tak samo jak teraz ja.

Z któregoś pokoju dobiega nagle dziecięcy krzyk, a potem słychać trzask i tupot nóg. Chowam zdjęcie do portfela i zbieram kwity rozsypane na biurku Nicholasa.

Mój wzrok pada na nazwę wybitą na jednym z nich. La Perla? Nawet nie wiedziałam, że on w ogóle słyszał o takim sklepie. Sama bym nie słyszała, gdyby Kit stale nie aktualizował mojej wiedzy w tym zakresie. I wydał... Patrzę, nie wierząc własnym oczom. Ile?!

O Boże... Jaki to miły gest z jego strony, jaki hojny i romantyczny. Kochany... Między nami jest ostatnio - cóż, zastój, jeśli chodzi o sypialnię. Po erotycznej uczcie wtedy na urlopie nastał czas postu. Najwyraźniej ma to być sposób na to, żeby sprawy wróciły do normy.

Uśmiechając się w duchu, porządkuję paragony i wkładam na miejsce. Nicholas nie może wiedzieć, że je widziałam. Zepsułabym mu walentynkową niespodziankę.

Dwa dni mi zajęło znalezienie sukni, która byłaby warta ekstrawaganckiej bielizny z La Perla. Dawniej lubiłam zakupy, ale ostatnio stale towarzyszy mi myśl, ile to wszystko kosztuje. Patrzę na sandały od Giny i różową torbę od Chloe, które po prostu musiałam mieć tamtego lata, kiedy poznałam Nicholasa, teraz zepchnięte w głąb szafy. W przegródkach torby walają się stare monety, które pewnie już wyszły z obiegu. Jak długo jej nie nosiłam... A kosztowała tyle, że mogłabym kupić za te pieniądze szkolne mundurki dla obu córek. Jak mogłam być taka szalona, co ja sobie wtedy myślałam?

Ale i Nicholas najwyraźniej chwilowo oszalał. Przeszukałam więc całe Salisbury pod kątem czegoś wyjątkowego, co skutecznie ukryłoby fakt, że choć technicznie rzecz biorąc, wciąż noszę ten sam rozmiar co przed urodzeniem trójki dzieci, wszystko przesunęło się odrobinę... no, powiedzmy na południe. Ciekawe, w jakim wieku człowiek mówi pas, jeśli chodzi o wygląd. Sześćdziesiątka, siedemdziesiątka? Kiedy mówi: dość tego, żadnego tuszu więcej, żadnego podkładu, diet, będę gruba, sflaczała, siwa, pomarszczona - i szczęśliwa?

Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będę stara. To wiek średni sprawia, że życie przepływa obok mnie.

Wreszcie znajduję to, czego szukam, w jednym z tych potwornie drogich butików, gdzie ekspedientki wyglądają jak paryskie modelki i trzeba zadzwonić, zanim się wejdzie do środka. Nigdy bym się na to nie odważyła, gdybym nie była tak zdesperowana. Ale sukienka jest naprawdę śliczna, myślę, stojąc pośrodku sklepu i walcząc z własnym

sumieniem. Leży na mnie doskonale. Może i droga, ale co za jakość, będę ją nosić całe lata. I jest na wyprzedazy: tylko dziesięć procent zniżki, ale dziesięć procent to zawsze dziesięć procent. Wprawdzie nie miałam zamiaru znowu kupować czarnej, ale ta jest całkiem inna niż moje pozostałe czarne sukienki: żadna nie odsłania nóg tak wysoko powyżej kolan, a zresztą czerni jest ponadczasowa, nigdy nie wyjdzie z mody, a przy tym jak wyszczupła! I nie będę musiała kupować nowych pantofli, moje stare czarne będą doskonale pasowały, uniknę więc kolejnego wydatku. To by była fałszywa oszczędność nie kupić jej.

Po chwili przy kasie, kiedy jedna karta kredytowa po drugiej zostają odrzucone i wyciągam ostatnią, awaryjną, trzymaną na wypadek jakiegoś kataklizmu, tylko po to, by stwierdzić, że i na niej limit został przekroczony - choć jako że od niepamiętnych czasów nie oglądałam wyciągu, nie mam pojęcia, o ile - zastanawiam się gorączkowo, jak przekonać Nicholasa, żeby oddał ekstrawagancką bieliznę La Perla, i zarazem go nie obrazić.

Purpurowa ze wstydu, odwracam się do wyjścia. Czuję się jak przestępczyni. Ta ekspedientka pewnie myśli, że jestem bankrutką, jedną z tych zakupoholiczek, o których piszą w gazetach, albo jeszcze gorzej - że ukradłam te karty...

- Tak myślałam, że to ty - mówi Trace, zastępując mi drogę.

Nie wiem, dlaczego Nicholas zrobił się taki dziwny. Najpierw wczoraj, kiedy zadzwoniłam, żeby go zapytać, na którą umówić Kita do dzieci na jutrzejsze walentynki...

- Nie wiem, na którą - rzucił szorstko. - Możliwe, że będę musiała popracować.

- Ale już wszystko załatwione! Zamówiłam stolik w Lemon Tree! - wykrzyknęłam.

- Tak, zdaję sobie sprawę, ale nic na to nie poradzę.

- Nicholas, to są walentynki - rozczarowanie zaostriżyło mój ton. - Od tygodni prawie cię nie widuję, pracujesz w najdziwniejszych godzinach, odkąd zostałeś współnikiem, a właściwie odkąd Will Fisher odszedł na emeryturę, i przykro mi, że dzwonię do ciebie na komórkę, kiedy najwyraźniej jesteś w trakcie ważnego spotkania, ale powiedz mi, co ja właściwie mam zrobić? Nie bywasz na szkolnych imprezach dzieci, w weekendy siedzisz zamknięty w gabinecie, czasami wracasz tak póź-

no, że ledwie zdążysz się położyć, a już znowu trzeba wstawać do pracy. .. gdyby nie zmięta pościel w drugim pokoju, nawet bym nie wiedziała, że w ogóle jesteś. Chociaż tyle mogą chyba od ciebie oczekiwać: żebyś spędził ten jeden dzień, walentynki, z własną żoną.

- Słuchaj...

- Czy to naprawdę aż tak wygórowane oczekiwanie?

- Słuchaj, Malinche. Powiedziałem już, że mi przykro, ale dla sądu czternasty lutego to taki sam dzień jak każdy inny, tyle że wypada pomiędzy trzynastym a piętnastym.

To raczej jego ton bolał, a nie słowa, które wypowiedział. Tak jakbym była naprzykrzającym się dzieckiem, zrzędliwą żoną-jędzą; jakie to niesprawiedliwe, przecież ja taka nie jestem, nigdy nie byłam...

- Tak czekałam na ten dzień - powiedziałam cicho.

- Wiem. Wiem, że czekałaś, ale...

- Nicholas, bądź tak dobry i nie wdychaj - przerwałam, teraz już naprawdę zraniona i zła. - Jeśli uważasz, że praca jest ważniejsza niż...

- Słuchaj, pogadamy o tym, jak wrócę.

- Kiedy? - spytałam z naciskiem. - Kiedy dokładnie, Nicholas? Bo słowo daję, nie wiem, jak zamierzasz nas wpasować w swój ściśle wypełniony grafik...

Kiedy przerwał połączenie, przez chwilę nie mogłam w to uwierzyć. Odkąd jesteśmy małżeństwem, nigdy się nie zdarzyło, żeby się rozłączył, nie czekając, aż skończę. Zawsze szczerze o wszystkim rozmawialiśmy, choćby sprawa była nie wiem jak trudna i bolesna - a przecież jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat, zdarzały się trudne i bolesne sprawy.

A kiedy dziś rano, nazajutrz po tej okropnej kłótni, zadzwoniłam do kancelarii, Emma powiedziała, że wieczorem Nicholas nie pracuje, w każdym razie nic nie ma w jego grafiku. Pomyślałam więc, że zrobię mu niespodziankę: przyjadę do Londynu i zabiorę go do jego ulubionej knajpki sushi na Covent Garden (zabawne, że Nicholas uwielbia sushi; ludzie, którzy go nie znają, zawsze są skłonni brać go za człowieka, którego ulubione danie to pudding z melasą). Nie byliśmy tam całe wieki.

W moim zamierzeniu miała to być gałązka oliwna, sposób, żeby powiedzieć: przepraszam za wczorajszą kłótnię. Ale jakoś wszystko idzie nie tak, jak miałam nadzieję.

Pomarańczowe światło ulicznej latarni rzuca dziwne cienie na twarz mojego męża, gdy odchyła głowę na siedzenie taksówki. Wygląda z tym nieoczekiwanie staro - i sprawia wrażenie bardzo zmęczonego.

Zimna pięść zaciska się na moim żołądku. Był taki zszokowany, kiedy pół godziny temu weszłam do kancelarii - całkiem jakby stał za mną duch Banka. I wciąż wygląda... o Boże, może on jest chory? Chory - i nie chce mi o tym powiedzieć? Może to rak?

- Czy coś jest nie tak? - pytam z niepokojem, kiedy wysiadamy z taksówki na Covent Garden. - Jesteś pewien, że dobrze się...

- Znakomicie. Nie pytaj, proszę.

Wchodzę za nim do Yuzo's. Ciekawe, czy zauważy moją nową sukienkę, przemyka mi przez myśl, kiedy zdejmuję płaszcz. Jakie to miłe ze strony Trace'a - zupełnie niepotrzebne, oczywiście, jestem pewna, że nie zamierzał kupić całemu personelowi restauracji czarnych strojów marki Max Mara... ale skoro już wszedł do sklepu, ratując w ten sposób sytuację, czy mogłam powiedzieć „nie” na propozycję wyprawy do Włoch w poszukiwaniu dostawców? Po tym, jak odmówiłam wypadu do Francji? Zwłaszcza kiedy wyjaśnił, że Córa i Ben, jego wspólnicy, też się wybierają; nie będzie wyglądało, że jedziemy tylko we dwoje, ale nie wiem, czy i Nicholas będzie to widział w ten sposób...

- Czy to czasem nie Sara?! - wykrzykuje.

- Nie wiem. Naprawdę?

- Ależ tak, kochanie. - Szturcham go w łokieć. - Nie możemy jej tak po prostu zignorować. Chodź, przywitaj się z biedną dziewczyną. Wygląda na to, że się ciebie okropnie boi.

Dziwne, swoją drogą; wydawało mi się, że są ze sobą na raczej przyjaznej stopie.

- Na pewno nie ma ochoty nam przerywać...

Mężczyźni... Są czasem tacy gruboskórni.

- Jak miło panią widzieć! - mówię przyjaźnie, żeby zatrzeć wrażenie ząsepionej twarzy Nicholasa. - Co za zabawny zbieg okoliczności! Czekam pani na kogoś, tak? No jasne, przecież to walentynki, głupie pytanie. Jestem pewna, że dostała pani mnóstwo walentynkowych kartek, to musi być szalenie przyjemne, być singielką, i w dodatku taką młodą, prawda?

Rumieni się dosyć miło.

- Właściwie to niespecjalnie...

- Malinche, chodź, usiądziemy.

Ale ja pamiętam, jakie to okropne - siedzieć samotnie przy stoliku i czekać, mając wrażenie, że wszyscy na ciebie patrzą, i zastanawiając się, czyby nie wstać i nie uciec gdzie pieprz rośnie.

- Jaka śliczna bransoletka, Saro. Tiffany, prawda? Och, pani to dobrze. Zawsze chciałam mieć coś takiego.

- Malinche...

- Nicholas, przestań. Czy to pani pierwsze wspólne walentynki z tym kimś? A może nie powinnam pytać? Ale to takie romantyczne, kiedy...

Telefon Sary robi bip-bip; dziewczyna sprawdza listę wiadomości i nagle zrywa się i łapie płaszcz.

- O Boże, co za idiotka ze mnie, on jest w barze sushi po przeciwnej stronie placu, musiałam coś pomylić. Miło było znów panią zobaczyć, pani Lyon, przyjemnego wieczoru. Do zobaczenia jutro, Nick, cześć.

Niezupełnie rozumiem, skąd to uczucie ulgi. Sara jest niezwykle atrakcyjną dziewczyną- nawet kochany, lojalny Nicholas musiał zauważyć, że emanuje zmysłowością, na której widok żaden mężczyzna z krwi i kości nie może pozostać obojętny; ale najwyraźniej jest zajęta, poza zasięgiem. Co za szczęście... dla niej oczywiście.

- Chyba bardzo jej zależy - uśmiecham się. - Jakie to miłe.

- Możemy już coś zamówić, Mal? - mówi Nicholas ze znużeniem.

Jestem pewna, że źle się czuje. Ostatnim razem, kiedy się tak zachowywał, wyładował na cztery dni w łóżku z temperaturą trzydzięci dziewięć. Jest taki rozkojarzony, że z trudem podtrzymuje rozmowę podczas kolacji i o mały nie zapomina dać mi błyszczącej papierowej torebki, którą wkładał do neseserka, kiedy weszłam do jego pokoju. Dopiero gdy mu o tym żartobliwie przypominam, wręcza mi ją ze słabym uśmiechem.

- Przepraszam. Ja... hm... nie dałem ci walentynkowej kartki- mówię, unikając mojego spojrzenia.

- Och, Nicholas... Tak jakby to miało jakieś znaczenie. - Otwieram torebkę i rozwijam bladą różową szeleszczącą bibułę; na kolana padają mi cudownie delikatne jedwabne figi i biustonosz w odcieniu śliwkowym. Ostrożnie, żeby nie dotknąć talerza z resztkami jedzenia, podnoszę wiotkie szmatki i przykładam do piersi. - Och, jakie śliczne... Podobają ci się?

- Oczywiście. Inaczej bym ich nie kupił.

Zerkam na metkę i śmieję się.

- Widać, że się śpieszyłeś. O dwa numery za duże, będę musiała pójść do sklepu i wymienić. Masz paragon, prawda? - Milknę, bo nagle zauważam na dnie torebki małe błękitne jajko. - Och, Nicholas... Chyba nie...

Zapiera mi dech, kiedy w otwartym pudełeczku ukazują się długie srebrne kolczyki.

- Nicholas... Są cudowne. Nie wiem, co powiedzieć.

Przez chwilę oboje milczymy. Mam dziwne wrażenie, jakbym balansowała na krawędzi urwiska, niepewna, czy utrzymam równowagę, czy spadnę w przepaść.

- Najlepsze życzenia z okazji walentynek - mówi wreszcie cicho Nicholas.

I uśmiecha się do mnie, a ja mam wrażenie, że ciepła karaibska bryła wionęła nad naszym stolikiem.

Całuję go w policzek.

- Nie wiem, czym sobie na to wszystko zasłużyłam, ale dziękuję. Naprawdę jesteś najbardziej romantycznym mężczyzną, jakiego znam... i przepraszam, że byłam taka przykra wczoraj wieczorem, nie miałam zamiaru...

- To ja przepraszam - przerywa mi. — Przepraszam za wszystko.

- Za co ty mnie możesz przepraszać?

- Za to, że nie doceniam cię tak, jak powinienem. Za to, że nie cenię jak należy tego, co mam. Że zbyt rzadko mówię ci, że cię kocham. Bo kocham cię, Mal, naprawdę. - Twarz mu się nagle zmienia. - Kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić. Nie chciałbym cię nigdy stracić.

- Nie zanosz się, żebyś miał mnie stracić...

- Nie śmiej się. Mówię serio, Mal. Różnie bywa między ludźmi... czasami popełniamy błędy... i zdajemy sobie z tego sprawę dopiero kiedy jest za późno.

Fioletowe szmatki leżą nieruchomo na moich kolanach.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Nicholas?

- Nic. Po prostu... ty i dziewczynki jesteście na pierwszym miejscu. Wiesz o tym, prawda?

- Oczywiście że wiem - mówię niepewnie.

Przeszywa mnie nagły lęk. W głowie otwierają mi się jakieś drzwi, prowadzące tam, gdzie nie mam ochoty iść. Zamykam je zdecydowanie.

- A może byśmy gdzieś wyjechali? - proponuje nagle Nicholas. - Tylko we dwoje. Moglibyśmy zostawić dzieci z moimi rodzicami albo z Louise. Na przykład nad jeziora albo do Paryża, zawsze tak lubiłaś Paryż. Czy nawet do Kornwalii... Moglibyśmy znowu pojechać do Rock. Wiem, że sporo się zmieniło od czasów naszego miodowego miesiąca, ale moglibyśmy spróbować wynająć ten sam domek co wtedy, usiąść przed kominkiem, pogadać... Co ty na to?

Oczy mnie pieką. Może Nicholas nie jest chory, ale z pewnością jest zestresowany i zmęczony. Jak długo już się tak przepracowuje, a ja nawet tego nie zauważyłam? Zajęta dziećmi, przepisami, terminami oddania książki... i Trace'em.

Od miesiąca czy dwóch prawie nie dostrzegam, jak Nicholas wraca i znów wychodzi, tak pochłaniają mnie własne sprawy. W tym rozterki na temat związku, który zakończył się trzynaście lat temu. Jeśli nieoczekiwanie pojawił się dystans między mną a Nicholasem, czy nie jest to w równym stopniu moja wina, co jego?

- Chodźmy do domu - szepczę.

Tej nocy kochamy się tak czule, jak chyba nigdy dotąd, a w każdym razie od bardzo dawna. Trzy razy doprowadza mnie do orgazmu, po czym zasypia, wtulony we mnie jak ufne dziecko. Leżę, wpatrując się w ciemność. Jak nieprawdopodobnie mam szczęście, że jestem z tym mężczyzną, myślę. Trace oferuje mi rozmaite ekscytujące możliwości, ale Nicholas daje mi to, co realne. To, co się liczy najbardziej. Szczęście, miłość, pewność, oparcie.

Uśmiecham się do siebie. Nawet jeśli zapomniał, że nie mam przekłutych uszu.

Nicholas

Dawno temu, kiedy miałem zaledwie dziewiętnaście lat, pojawiła się w moim życiu pewna Australijka. To były oksfordzkie letnie wakacje; bez grosza przy duszy, świeżo porzucony przez dziewczynę, której imienia teraz nawet nie pamiętam, spędzałem lato z rodzicami w Alpach Francuskich, w maleńkiej wiosce La Palud, pół godziny na północny wschód od Grenoble.

Któregoś ranka po przebudzeniu stwierdziłem, że rodzice wybrali się na wycieczkę, zostawiając mnie w towarzystwie podręczników prawa (których obwoluty wciąż były nierozcięte; wszechwidzące oko mojej matki prawdopodobnie odnotowało ten stan rzeczy). W tej krainie *Jeanne de Florette* - pełzająca waśń o wioskową studnię zaledwie parę tygodni przed naszym przyjazdem doprowadziła do walki na kosy - jeśli człowiek chciał odświeżyć się kąpielą, zanim weźmie się do odkładanej od dawna nauki, musiał pokonać niewielki dystans, jaki dzielił naszą położoną na uboczu górską chatę od pobliskiego jeziora, nieprawdopodobnie wprost malowniczego.

I tak się zaczęło dziesięć najbardziej szalonych dni w moim życiu.

Piętno, jakie odcisnęła we mnie Kristene, gdy wyłoniła się naga z połyskliwych wód - syrena naszych dni - jest tak trwałe, że nawet teraz, dwadzieścia pięć lat później, twardziej na samo wspomnienie. Jej skóra lśniła w porannym słońcu niczym skapana w syropie. Patrzyłem, jak wygiąwszy się do tyłu, odgarnia z twarzy mokre włosy, prezentując niebu kształtne, wysoko osadzone piersi o malinowych koniuszkach. Między

długimi, nieprawdopodobnie długimi nogami kłębił się gąszcz orzechowego owłosienia.

Kiedy zobaczyła, jak stoję z otwartymi ustami, niezdolny się porużyć, uśmiechnęła się tylko, mrugnęła i z gracją zanurzyła się z powrotem.

Miała dwadzieścia dziewięć lat i była równie chętna jak jej ciepłe, giętkie ciało. Ciężaru dziewictwa pozbyłem się, mając siedemnaście lat, z dziewczyną w tym samym wieku i o doświadczeniu niewiele większym niż moje; dwa lata później wciąż znacznie więcej wiedziałem o mechanizmie działania silnika odrzutowego niż o tym, jak funkcjonuje kobieta. Kristine naprawiła ten żałosny stan rzeczy. Śmiało, pewnie, bezwstydnie prowadziła moje ręce, mój język i mojego ptaka, dając rozkosz i czerpiąc ją zarazem dla siebie.

Od początku było jasne, że nasza relacja, funkcjonująca wyłącznie w fizycznym wymiarze, nie może istnieć poza tym szczególnym czasem i przestrzenią. Z powodów, których nie znałem i nie zamierzałem dociekać, zostałem wpuszczony do zmysłowego raju; wkrótce furka zamknie się z powrotem. Dopóki więc mogłem, syciłem swój głód bez opamiętania. Wracałem nad jezioro dzień po dniu, zdecydowany wycisnąć każdą rozkosz z jej ciała, w nadziei że wspomnienia wystarczą, gdy już jej nie będzie. •

Nie wystarczyły. Bo przez całe lata, ilekroć szedłem z jakąś kobietą do łóżka, seks z nią wydawał mi się czerstwy jak tygodniowy biszkopt, gdy skosztowało się już nektaru.

Moje ciało zapomniało, co czuło w związku z Kristene, dopóki nie spotkałem Sary. Pamięta się smak truskawki; ale nawet najwyższe wspomnienie jest tylko bladym faksymile w porównaniu z rozkoszą wgrzyzania się w prawdziwy owoc.

Noc z Sarą na nowo obudziła we mnie zmysłową wrażliwość, jakiej nie przeżywałem od tamtego niezwykłego lata nad jeziorem, gdy byłem dziewiętnastoletnim żółtodziobem. Jak opisać to, co nie poddaje się opisowi? Zatrącenie się w jej dojrzałym, bujnym ciele - to było tak, jakbym cały stał się penisem, każdy miesiąc i ścięgnę w moim ciele pulsowały jej zarem. Jej słodką wilgoć czułem w sobie aż do koniuszków palców. Po raz pierwszy w życiu doszczętnie się zatrąciłem, będąc w kobiecie; nawet Kristene się to nie udało. Nie pamiętałem o niczym, świadomy

byłem tylko jednego: pragnienia, by ją posiadać i być przez nią posiadanym.

Pragnienia całkowicie sprzecznego z faktem, że mimo wszystko nadal kocham moją żonę.

- Trudno to pochwalić, no nie, stary? - mówi Giles. - Pomimo najlepszej woli. Nie żebym cię krytykował, skąd, widziałem przecież tę dziewczynę na własne oczy; trudno się oprzeć, faktycznie. Ale Mal jest świetną kobietą, Nicholas. Trzeba być idiotą, żeby ją stracić z powodu jakiegś ładnej buzi.

Patrzę posępnie we własny kufel.

- Jest wspaniałą kobietą. Nie zasługuję na nią.

- No to o co tu chodzi? - pyta uprzejmie Giles. - To niepodobne do ciebie. Zawsze byłeś taki rozsądny...

- Wygląda, że nie aż taki.

Kiwa głową w kierunku właściciela.

- Jeszcze po jednym, dobrze? Słuchaj, Nicholas, wszyscy popełniamy błędy. Facet musiałby być święty... te dzisiejsze dziewczyny! O wiele śmielsze niż dawniej. Prawdę mówiąc, sam otarłem się o niebezpieczeństwo parę miesięcy temu. Mniej więcej dziewiętnastka, zawsze wsiada do pierwszego wagonu za lokomotywą, tak samo jak ja. Uroczą dziewczyna. Pracuje w reklamie. Po jakimś czasie zaczęliśmy rozmawiać. Podróż stała się o wiele przyjemniejsza, jeśli mam być szczery. No i, co było do przewidzenia, któregoś dnia zaprosiła mnie na otwarcie galerii.

- I co ty na to? - pytam.

- Odmówiłem, rzecz jasna - odpowiada Giles. - Słuchaj, stary... Nie sądzę, że jestem kompletnym tetrykiem, ale jak już otworzysz te drzwi, nie wiesz, dokąd cię zaprowadzą. Zdaję sobie sprawę, że nie każdej dziewczynie się podobam, nigdy nie byłem śliczny jak obrazek... ale wiesz, Liz jest taka wrażliwa... Złamałbym jej serce, gdyby się dowiedziała o jakichś skokach w bok. A wam z Mal tak dobrze się układa... No i trzeba pamiętać o dziewczynkach. Po co ci takie ryzyko?

Zadawałem sobie to pytanie tysiące razy. To, że przespałem się z Sarą po zamachu, prawie potrafię wytłumaczyć: w obliczu niebezpieczeństwa wszyscy zachowujemy się trochę inaczej niż normalnie. I może na tym by się skończyło, gdyby Sara nie załatwiła tych biletów do opery - to

fantastyczne, że ona też uwielbia Wagnera! - i nie dała przy tym do zrozumienia, że interesuje ją powtórka z rozrywki. Gdybyśmy nie wpadli na Liz i Gilesa, wylądowałbym z nią w łóżku. I tym razem byłoby to niebezpieczeństwo wyłącznie mojego własnego autorstwa.

- Wiesz, Giles, Liz powiedziała Mal o wczorajszym. Że wpadliście na mnie w Londynie i podzuciliście do domu.

- Ale ty masz szczęście, Nicholas... Cholerne szczęście. Gdyby trafiło na kogoś innego, całkiem inaczej by wyszło. Ale Liz to dobry człowiek. Nigdy nic nie podejrzewa. Możesz się nie obawiać.

Wysączam resztę piwa i odstawiam kufel. Giles ma absolutną rację. Gdyby *to* się zdarzyło pięć minut wcześniej, najlepsza przyjaciółka Mal zobaczyłaby, jak Sara wisi na mnie niczym tani garnitur. Nie powinienem był pozwolić, żeby mnie dotykała w miejscu publicznym. Co za lekomyślność! W ogóle powinienem nigdy więcej z nią wychodzić.

Amare et sapere vix deo conceditur. Kochać i zachować rozsądek nawet bogom nie jest dane.

Rzecz w tym, że ta jedna noc z Sarą nie wystarczyła.

Wiem, że to się musi skończyć, i to szybko; stawka jest zbyt wysoka. Mogę stracić wszystko, na czym mi zależy. Boże Wszechmogący, przecież dosłownie każdego dnia mam do czynienia z katastrofami małżeńskiego pociągu. Raptem w zeszły piątek miałem klienta, który był żonaty dwa lata i dziewięć miesięcy. Żona przeszła kilka poronień - i ten dureń wylądował w łóżku ze swoją sekretarką. Teraz będzie musiał oddać żonie dom i dorobek paru kolejnych lat; a jest to scenariusz optymistyczny, zakładający, że uda nam się trafić na przychylnego sędziego. Sekretarce tymczasem wystarczył jeden rzut oka na decyzję materialnego zabezpieczenia na czas procesu, by związała, gdzie pieprz rośnie.

Muszę usunąć Sarę ze swego życia raz na zawsze. Ale wygląda na to, że zakaz tylko zwiększa gorączkę. Może jeśli przestanie być zakazanym owocem, jeśli pozwolę, by sprawy potoczyły się naturalnym biegiem, wszystko samo się wypali. Tak, na pewno.

Walentynki... Za niespełna miesiąc. Dam sobie czas do walentynek - dnia, który na całym świecie kojarzy się z miłością i romansem - a potem kończę z tym. To będzie nasza ostatnia namiętna randka, po czym pożegnamy się przyjaźnie i życzliwie, choć z zalem.

Określenie limitu czasowego łagodzi moje dojmujące poczucie winy. Przysięgę już złamałem; wszystko, co złe, już się stało. Parę tygodni nie robi wielkiej różnicy.

Nie, nie zwodzę Sary. Jest młodą dziewczyną i wszystko jeszcze przed nią. Przecież z góry było wiadomo, że ten romans nie potrwa długo. Sara zdaje sobie sprawę, że nie może planować ze mną przyszłości. A zresztą mając tyle lat, ile ma, pewnie w ogóle nie myśli o przyszłości. Cieszy ją to, co jest istotą naszej relacji tu i teraz: rozrywka, miła rozmowa i rewelacyjny seks.

W poniedziałek, w charakterze przeprosin za zamarnowany wieczór, posyłam jej pół kwaciarni; a następnego dnia komplet Wagnera, którego tak uwielbia. Od lat nie zdarzały mi się podobnie romantyczne gesty. W środę zaskakuję sam siebie, poszukując tomiku wierszy, którego nakład dawno został wyczerpany - to było niezłe odkrycie, kiedy zobaczyłem u niej na półce zaczytaną serię poezji z I wojny światowej... oczekiwałbym raczej kieszonkowców z lotniska, w typie tych, które preferuje Mał — no a pomysł prezentu czwartkowego podsuwa mi komentarz jednej z klientek.

- La Perla! - z tymi słowy wpada jak burza do mojego gabinetu, wymachując czymś, co okazuje się wyciągiem z karty American Express. - Dwadzieścia siedem lat jesteśmy małżeństwem, a nigdy mi nie kupił La Perli, skurwysyn!

Dzięki Google ustalę, co to za szczególna odmiana świętego Graala w wydaniu żeńskim; niestety, kiedy dochodzi do sytuacji zakupu, jestem zdany tylko na siebie. Nie mam pojęcia, jaki rozmiar nosi Sara; próba przybliżenia tematu za pomocą odpowiednio ułożonych dłoni wywołuje raczej wesołość, niż pomaga. Koniec końców, udaje się ustalić stosowne parametry metodą porównywania biustów poszczególnych ekspedientek; wkrótce pozostaje mi już tylko wybór między komplecikiem w kolorze kawy ze śmietanką, z samej tylko koronki, a śliwkowym, tak cienkim i delikatnym, że wygląda, jakby z trudem miał przetrwać pięciominutowe interludium między wyjęciem a schowaniem na powrót pudełka.

Kupuję oba: jeden na już, drugi na walentynki. To będzie mój pożegnalny prezent, pamiątka ostatniej spędzonej razem wspaniałej nocy.

Między fałdy kawowego jedwabiu wsuwam kartę elektroniczną do Claridge's. I to właśnie w Claridge's nasza relacja zmienia bieg, dzień po

tym, jak dałem jej ostatni prezent: srebrną bransoletkę od Tiffany'ego, o której wiem, że marzyła.

Przez kolejne parę tygodni, w miarę jak zbliżają się walentynki, spotykamy się w hotelu. Nie odważam się wracać późno w nocy częściej niż raz, dwa razy w tygodniu, ale zdarzają się schadzki ad hoc, kiedy jakiś klient odwoła wizytę; z racji spontaniczności nawet bardziej namiętne. Kosztuje mnie to majątek (moje karty kredytowe są bliskie limitu; na szczęście zysk z udziałów pod koniec roku finansowego, w kwietniu, powinien to wyrównać, zanim Mał się zorientuje), ale z dziwną bez troską, która charakteryzuje cały nasz romans, odkrywam, że nie dbam o to. Wkrótce będzie po wszystkim. Kiedy wyczerpie się kredyt, będę płacił gotówką i już.

Nie mogę powiedzieć Sarze, że zamierzam zakończyć nasz romans, to by było nieładnie; ale bardzo uważam, żeby nie oferować jej więcej, niż mogę dać. Oprócz rozkoszy, jaką czerpię z naszych spotkań, lubię ją, i to bardzo. Za nic w świecie nie chciałbym jej zranić.

A jednak przychodzi moment, w przeddzień walentynek, kiedy o mało co się nie zapominam.

Spędziwszy z Sarą kolejny wspaniały wieczór, już mam wychodzić, żeby zdążyć na ostatni pociąg, kiedy nieoczekiwanie - fantastycznie, jak to ona - zaczyna mi obciążać laskę. Powinienem iść - już i tak jestem spóźniony - ale, o Boże, to całkiem tak, jakby miała tuzin języków i wszystkie sprzysięły się, żebym zapomniał o bożym świecie. Rozkłady jazdy, niespokojne żony, wszystko to przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. Obietnice, kłamstwa, miłość, prawda - nic się nie liczy, tylko ta kłęcząca przede mną kobieta. Roznamiętniona, gorąca, wilgotna...

Pozwalam, żeby doprowadziła mnie do samej krawędzi, po czym wyszarpuję się z jej ust. Bardziej niż czegokolwiek pragnę sprawić, żeby i ona straciła nad sobą wszelką kontrolę; żeby wiała się na łóżku, żebrząc o mój dotyk. Smakuję jej słony, gorący pot, kiedy błędzę ustami po jej ciele: piersi, pępek, dziwnie nagi wzgórek łonowy... Skręca się przede mną konwulsyjnie, całkiem jakby całe jej ciało było jedną wielką strefą erogenną. Powstrzymuję się, kontroluję tempo, celowo nie ulegam jej zdyszanyim jękom, które poganiają mnie, żeby szybciej, szybciej...

Wreszcie, kiedy doprowadzam ją prawie do szczytu, wchodzę językiem tam, gdzie marzy, żebym wszedł.

Gdy kończy, podciągam się i opieram głowę na jej brzuchu, delektując się jego miękkością. Jej serce bije, już nieco wolniej, odrobinę powyżej mego ucha; przenika mnie spokój i ciepło. Słowa, nieproszone, same wypływają na powierzchnię.

- Kocham...

Mam ochotę odgryźć sobie język. O Boże, napływ krwi do wacka musiał kompletnie opróżnić mi z niej mózg.

Tu i teraz kocham ją, to pewne. Ale kobieta odczytuje w tych dwóch nadużywanych słowach o wiele więcej, niż niejeden mężczyzna chciałby, aby odczytała.

- Kocham leżeć tu z tobą - uzupełniam pośpiesznie. - Czuję się tak bezpiecznie... Jak nigdy dotąd.

Momentalnie ukrywa przede mną, co czuje; ale nie dość szybko. Widzę w jej oczach błysk nadziei i przetaczam się na plecy, by nie dostrzegła w moich współczucia i narastającej klaustrofobii. Myślałem, że jest mądrzejsza...

Chwilę potem siedzi na mnie i kieruje ku sobie mego ptaka, a ja się zastanawiam, czy czasem sobie wszystkiego nie wyobraziłem. I w tym momencie dzwoni mój telefon.

- Emmo, połącz mnie, proszę, z Simonem Jailerem. Muszę omówić z nim parę punktów przed piątkową sprawą Wassersteinów, a wiem, że jutro cały dzień spędzi w sądzie.

Wracam do gabinetu i sięgam po aktówkę, zerkając przy tym na zegarek. Już prawie siódma; gdy tylko skończę rozmowę, muszę iść. Nie chcę, żeby Sara siedziała sama w Yuzo's; kiedy jak kiedy, ale dzisiaj...

Jutro o tej porze będzie po wszystkim. Wiem, że sam tak zdecydowałem, ale wygląda na to, że pożegnanie będzie trudniejsze, niż mogłem się spodziewać.

Wyjmuję z szuflady mój pożegnalny prezent dla Sary i otwieram aktówkę. Kiedy wsuwam błyszczącą papierową torebkę między teczki z aktami, nie mogąc powstrzymać erotycznego dreszczu oczekiwania, drzwi się otwierają. Szybko zatrząskuję neseserek; nie chcę, żeby Emma widziała.

Ale to nie Emma stoi w drzwiach.

Powiedzieć „nie” na zaproszenie żony - taka opcja nie istniała. Jej nieoczekiwane jak grom z jasnego nieba pojawienie się w biurze wyträciło mnie z równowagi do tego stopnia, że ledwie byłem w stanie wykrztusić jej imię, a cóż dopiero wymyślić wiarygodną wymówkę; na dodatek poczucie winy, które w ciągu ostatnich paru tygodni stopniowo udało mi się usunąć poza obręb świadomości, teraz wraca z tysiącrotnie większą siłą.

Nie mam pojęcia, co się stanie za dwadzieścia minut, i nie mam na to żadnego wpływu. W pewnym sensie ta wymuszona abdykacja z odpowiedzialności stanowi niemal ulgę. Możliwe, że Sara mnie wyda: niechcący albo celowo, skoro poczuje się osaczona. Możliwe, że Mal sama się domyśli, gdy zobaczy moją koleżankę z pracy siedzącą przy stoliku w mojej ulubionej restauracji, która ostatnio nabrała pewnych - tych najmniej przyjemnych - cech Piccadilly Circus. A jeśli będę miał szczęście, to pod tą hałaśliwą taksówką rozstąpi się ziemia i pochłonie ją wraz ze mną.

Zlany zimnym potem, bliski mdłości ze strachu, próbuję sobie wyobrazić życie bez żony i córeczek, i ponoszę całkowite fiasko.

Nie jestem w stanie spojrzeć Sarze w oczy, kiedy moja żona rusza naprzód, żeby się z nią przywitać - Jezu Chryste, czy ona musi komentować tę cholerną bransoletkę? - i tylko ściskam poręcz najbliższego krzesła, gdy Mal papple niezmordowanie.

Wygląda na to, że Sara ma więcej przytomności umysłu, niż mogłem się spodziewać. Po chwili wymyśla jakiś pretekst i znika.

- Chyba bardzo jej zależy - mówi Mal, rozkładając na kolanach serwetkę. - Jakie to miłe.

Znowu podchodzi mi do gardła fala mdłości.

- Możemy już coś zamówić? - proponuję desperacko.

Ledwie udaje mi się skupić na tym, co mówi, gdy brniemy przez posiłek. Boże święty, jak ja się wywikłam z tego potwornego zapętlenia? Nie mogę wprost uwierzyć, że kto jak kto, ale właśnie ja wmanewrowałem się w tak kretyńską, melodramatyczną sytuację. Szlag by to trafił, przecież zamierzałem jutro z tym skończyć! Mal wygląda na pogrążoną w błogiej nieświadomości; wciąż jednak istnieje ryzyko, że Sara poczuje się dotknięta tym, co w jej oczach musi wyglądać jak zdrada, i szukając zemsty, powie wszystko mojej żonie. Myśl, jak zrani to Mal, jest wprost

nie do zniesienia. I moje dziewczynki. Jak ją zdołam spojrzeć im w oczy, jeśli dowiedzą się, co zrobiłem? Byłem idiotą, skończonym osłem, że jak szczeniak dałem się prowadzić własnym genitaliom. Boże, pozwól mi wydostać się z tego bez szwanku, a przysięgam, nigdy więcej...

- No, nie każ mi dłużej czekać.

Wstrząsam się.

- Słucham?

- Ojej, Nicholas, nie bądź wredny. Przecież widziałam, że coś wkładałeś do teczki - droczy się Mal. - Nie mogę już dłużej wytrzymać, strasznie jestem ciekawa, co to za prezent... czy nie mógłbyś dać mi go już teraz? Proszę!

Ta bynajmniej nieumoralniająca, haniebna farsa najwyraźniej musi zostać odegrana aż do gorzkiego finału. Sięgam pod stół po teczkę.

- Przepraszam. Ja... hm... nie dałem ci walentynkowej kartki.

- Och, Nicholas... Tak jakby to miało jakieś znaczenie.

Otwiera torebkę i rozpakuje komplet bielizny, który kupiłem dla innej kobiety. Z całą nieświadomością bierze w ręce wiotkie jedwabne gałganki, a ja czuję się chory ze wstydu.

- Och, jakie śliczne... Podobają ci się?

- Oczywiście - mamroczę. - Inaczej bym ich nie kupił.

- Widać, że się śpieszyłeś - śmieje się, sprawdzając metkę. - O dwa numery za duże, będę musiała pójść do sklepu i wymienić. Masz paragon, prawda? - Zagląda do torebki i wstrzymuje dech. - Och, Nicholas... Chyba nie...

Proszę, nie skojarz, że te kolczyki pasują do bransoletki, którą miała na ręce Sara, proszę, bądź jak zawsze miła, ufna i niewinna...

- Nicholas - mówi ledwie dostykalnie, wpatrując się w kolczyki. - Są cudowne. Nie wiem, co powiedzieć.

I nagle, w jednej chwili, mgła się rozwiewa. *Non pote non sapere qui se stultum intellegit*; potrzeba trochę mądrości, żeby wiedzieć, że jest się głupcem.

Kocham Mal; zawsze ją kochałem. Od pierwszej chwili kiedy ją poznałem, wiedziałem, że to Ta. Jest moją najbliższą przyjaciółką, moją ukochaną, matką moich dzieci. Ma w sobie słodycz i czystość serca, jakiej nigdy u nikogo innego nie spotkałem. I kocha mnie; o wiele bardziej niż jestem wart. Wiem, że nigdy by mnie nie zdradziła; jej wierność i lo-

jalność są absolutne. Jak ja mogłem ryzykować to wszystko dla czegoś, co przecież jest niczym więcej niż przewalanką w stogu siana?

- Najlepsze życzenia z okazji walentynek - mówię do żony; i mówię to szczerze.

Później, w nocy, po tym jak kochamy się z Mal po raz pierwszy, odkąd śpiam z Sarą - nie jest to erotyczna kolejka górską jak z nią, ale jest w tym czułość i uczucie, które zawsze potrafiłem odnaleźć wyłącznie z żoną - planujemy wspólnie romantyczny wypad do Komwalii, gdzie spędziliśmy nasz miodowy miesiąc; budujemy zamki na lodzie i artykułujemy marzenia co do naszych dzieci i co do nas samych. Zaspiałem z głową w zgięciu jej ramienia, z mocnym postanowieniem poziętym w głębi duszy, że odtąd wszystko będzie zupełnie inaczej.

Od czterech dni Sara unika zostawiania ze mną choćby przez moment sam na sam z taką samą wprawą, z jaką ja kiedyś unikałem jej.

Szybko wchodzi i wychodzi z mego pokoju z naręczem dokumentów, pilnie zważając, aby za każdym razem Emma była w zasięgu słuchu. Bóg jeden wie, jak jej pęcherz to wytrzymuje, bo choć wciąż się kręcę w okolicy damskiej toalety, nie udało mi się ani razu zauważyć choćby jej śladu. Wprawdzie sam też najchętniej schowałbym głowę w piasek, ale przecież taki stan rzeczy nie może trwać wiecznie; muszę zakończyć ten romans jednoznacznie, a zarazem możliwie bezboleśnie. Muszę jej wszystko wyjaśnić, dla mego własnego spokoju; i muszę jakoś znaleźć stosowny moment, żeby z nią porozmawiać o doskonałej posadzie dla młodej, ambitnej prawniczki, zdecydowanej zostać współniczką przed ukończeniem trzydziestu lat, która właśnie pojawiła się w kancelarii Falkners Penn.

Muszę się też upewnić, że nie zamierza mnie zdradzić przed żoną.

Szansa pojawia się w piątek, kiedy nieoczekiwanie przyjeżdża z Worcester siostra Emmy i ta błaga o wolne popołudnie.

Joan i David są poza kancelarią; pożegnalne przyjęcie jednej z sekretarek zdziesiątkowało resztę zespołu. Jedynej zatrudnionej czasowo też dają z tej okazji wolne i dziewczyna wybiega radośnie, by dołączyć do koleżanek i kolegów w lokalu naprzeciwko.

Sara patrzy zaskoczona, jak wchodzi do sali konferencyjnej, i natychmiast podrywa się z miejsca.

- Właśnie miałam dać Emmie te akta...
 - Emmy nie ma. Dostała wolne popołudnie, żeby mogła pójść z siostrą na zakupy.
 - To może któraś inna z dziewczyn...
 - Wszystkie poszły do Milagro's na pożegnalne przyjęcie Jenny.
- Sara - wyciągam rękę, żeby ją powstrzymać - muszę ci to wyjaśnić.

Sztynnieje.

- Nie sądzę, żeby to było potrzebne.
- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale ja nie miałem pojęcia, że ona zamierza przyjść, dopóki nie zobaczyłem jej w progu mojego gabinetu. Przysięgam. Nigdy bym ci tego nie zrobił... przecież musisz to wiedzieć. Nie miałem szansy, żeby do ciebie zadzwonić, była przy mnie przez cały czas, i uparła się, żeby iść do Yuzo's... Chryste, jakie było prawdopodobieństwo, że...

- Całkiem spore, skoro obwieściłeś w „Lawyerze” swoje upodobania całemu światu - mówi zjadliwie Sara.

- Ale naprawdę nie miałem pojęcia, że ona...
- Nicholas, proszę. Oboje dobrze wiemy, jaka jest sytuacja. Jesteś żonaty; wiedziałam o tym od początku. Naprawdę nie ma potrzeby tego rozgrzebywać. Było miło, ale oboje wiedzieliśmy, że prędzej czy później to się musi skończyć. W ten sposób przynajmniej nikt nie będzie zraniony.

Oczy błyszczą jej podejrzenie. Wyciągam rękę i dotykam kciukiem jej policzków.

- Naprawdę nikt?

Moje intencje są jak najuczciwsze. Naprawdę planuję, że to będzie zakończenie sprawy.

Ale ten leciutki dotyk wystarczył. Pomiedzy nami przeskakuje iskra; mój ptak momentalnie twardnieje, a Sara trzepocze powiekami i czuję woń jej podniecenia. Ujmuję w dłonie jej twarz i zgniatam jej wargi moimi. Czuję metaliczny smak krwi i nie wiem, czyja to krew: moja czy jej.

Wyszarpuje mi koszulę ze spodni, a ja popycham ją w kierunku mahoniowego stołu konferencyjnego i zadzieram jej spódnice do bioder. Ona manipuluje gorączkowo przy moim pasku od spodni. Guziki pryskają po stole, kiedy jednym szarpnięciem zdzieram z niej bluzkę. Błyskawicznym ruchem ściagam jej majtki. I już jestem w niej, szalony, nie-

przytomny z pożądania. Nachyliłam się ku cyminowemu brodawkom obciągniętym cieniutką dzianiną stanika i gryzę je brutalnie. Stos akt z trzaskiem wali się na podłogę.

Oplątuje mnie nogami i wchodzę w nią głębiej. Zsuwa mi koszulę z ramion, a ja rozpinam jej stanik; elastyczna tkanina z sykiem uderza o naszą skórę. Pachnie wanilią, potem, miętą i seksem. Jej bujne piersi rozlewają się na boki i wibrują przy każdym gwałtownym pchnięciu. Odrzuca głowę do tyłu; gardłowy pomruk wydobywa się jej z krtańni, ostrymi białymi zębami przygryza obrzmiałą dolną wargę. Jej paznokcie wbijają mi się w łopatki wstrząsam się a potem o Boże o Boże o Boże...

Ona dochodzi chwilę później, tak mocno, że rzuca się i wali plecami o stół. Czuję, jak jej soki opływają nas oboje i to niemal wystarcza, że-bym był gotów na nowo.

- O Chryste, zsiusiałam się...

- Nie. Tylko doszłaś. No wiesz... Miałaś wytrysk.

Śmieje się z niedowierzaniem.

- Pieprzysz.

Wychodzę z niej i podciągam spodnie.

- Zdarzało ci się to już wcześniej. Niewiele kobiet tak ma, ale te, co mają... Jezu. Nie masz pojęcia, jakie to podniecające.

- Jaja sobie ze mnie robisz?

- Jak mógłbym żartować z czegoś takiego?

- No, nieźle. - Siada i obciąga spódnice. - Szlag by to, oberwałeś mi połowę guzików od bluzki. Nie mogłeś poczekać jeszcze chwilę i porozpinać?

- A ty mogłaś?

Oczy jej ciemnieją.

- Nie.

- To nie koniec, prawda? - szepczę i obejmuję jedną dłońią jej pierś, a drugą przyciągam ją do siebie za pośladki. - Między nami.

Momentalnie twardeją jej brodawki. Mój ptak też jest prawie gotowy. Klękam, rozwieram jej nogi i zanurzam twarz w jej wilgotnym kroczu.

- Jeszcześmy nawet nie zaczęli - jęczy.

Moja matka ma takie powiedzenie: nikomu nie brak kawałka nadkrojonego ciasta. Co oznacza, że zauważamy tylko pierwszy kawałek; dostrzec każdy następny jest dużo trudniej.

Kiedy przespałem się z Sarą po raz pierwszy, dręczyło mnie straszne poczucie winy. Każde następne spotkanie powiększało zdradę; a jednak, choć wtedy sparzyło mnie do żywego poczucie winy, teraz zaledwie uwiera, tak jak niewygodny but.

Prawdę mówię, jedyne, o co dbam w tej chwili, to żeby nie został przyłapany.

- Nie możesz mnie znowu podrapać - szepczę, gładząc gołe ramię Sary, gdy leżymy w ciemności w jej sypialni, oboje wyczerpani. Nie mogę sobie dłuższej pozwolić na Claridge's; nie mamy więc innego wyboru, niż korzystać z jej mieszkania, bez względu na ryzyko. - Po tamtym w sali konferencyjnej musiałem przez tydzień wstawać pół godziny wcześniej, żeby wrócić spod prysznica, zanim Mał się obudzi.

- Przepraszam. Nie zrobiłam tego celowo.

- Wiem. Ale musimy być ostrożni...

- Dość - ucina Sara. Przechyla się przeze mnie, żeby wziąć papierosa z nocnego stolika. - Chcesz, żebym nosiła rękawiczki chirurgiczne czy jak?

- Chciałbym, żebyś dała sobie z tym spokój. Z paleniem. Normalnie przecież nie palisz; nie lubię, jak robisz to w łóżku.

- W takim razie kochajmy się wyłącznie w miejscach publicznych.

- Mówisz jak przekorne dziecko.

- To przestań mnie traktować jak dziecko!

Jednym ruchem przerzuca nogi na podłogę i wstaje. Idzie naga do okna, odchyła jednym palcem żaluzje i głęboko zaciąga się papierosem.

- Potąd mam tego, że jestem jakąś wstawką między lunchem a konferencją. Przychodzisz, Kochamy się, wychodzisz... Niezbyt to romantyczne, chyba przyznasz?

- Jedliśmy razem kolację... byliśmy w operze...

- Pieprzony Wagner!

- Myślałem, że lubisz Wagnera. *Tristan i Izolda* to był twój pomysł...

Ciska papierosa do kubka z resztkami wystygłej kawy i siada z powrotem na łóżku obok mnie.

- Lubię, Nick. Przepraszam. Nie chciałam ci dokuczyć. Po prostu lubię być z tobą, to wszystko. To okropne, że musi być tak, jak jest...

- A jak może być inaczej, Sara? Czego się spodziewałaś?

- Ja cię o nic nie proszę - odpowiada szybko. - Nie to miałam na myśli...

- Zostaję tu najdłużej, jak się da - mówię ze znużeniem. - W zeszłym tygodniu spóźniłem się na ostatni pociąg i musiałem brać taksówkę z Londynu aż do samego Wiltshire; masz pojęcie, ile to kosztuje? Przykro mi, że nie mogę być z tobą częściej, i przykro mi, że nie mogę zostać na całą noc; ale przecież wiedziałas, że tak będzie.

Wydaje mi to śmieszek, ni to westchnienie.

- Mógłbyś dzwonić do mnie trochę częściej w weekendy.

- To nie takie łatwe. Nie mogę do ciebie dzwonić ze stacjonarnego; to zbyt ryzykowne. Mal może mnie podsłuchać albo dzieci coś skojarzyć. - Wkładam sobie poduszkę pod głowę. - A moja komórka nie działa w domu, jesteśmy poza zasięgiem. Musiałbym jechać pół drogi do Salisbury, żeby zadzwonić, a liczba pretekstów, pod którymi mogę to zrobić, jest ograniczona. Przykro mi.

- Nick, ja wiem, jak jest. Nie chcę żadnych zobowiązań, naprawdę. - Odwraca wzrok. - Po prostu chciałabym raz na jakiś czas obudzić się przy tobie, zjeść razem śniadanie, przeczytać gazety, tego typu rzeczy.

O nie, mam chęć powiedzieć, tego typu rzeczy robi się z żoną, a żonę już mam.

Patrzę, jak niespokojnie wyskubuje nitkę z prześcieradła, ze współczuciem i rozdrażnieniem zarazem. Za głęboko w to weszła. Zaczyna coś do mnie czuć, a ja będę musiał ją zranić. Bo przecież muszę z tym skończyć. Muszę.

Ale ostrożnie. Łagodnie. Nie mogę ryzykować, że polecę potem do Mal. Może jeśli ją gdzieś zabiorę, wytłumaczę wszystko, lżej znieś rozstanie.

- Słuchaj - mówię. - Mal wspominała, że wybiera się koło Wielkanocy do Włoch... jakaś wyprawa w poszukiwaniu dostawców do nowej restauracji, nie słucałem zbyt uważnie. Nie będzie jej parę dni, dziewczynki zostaną z jej matką. Może uda mi się wtedy coś zorganizować.

Jej naga pierś sterczy zapraszająco pięć centymetrów od mego ramienia. Jezu. Mój wacek się porusza, wyciągam rękę; ale ona odsuwa się i przygryzając wargę, przygląda się swoim paznokciom.

- Nick...

Chryste, co znowu?

- Nick, czy ty i Mał... czy nadal... no wiesz?

- Czy nadal co?

- Boże, naprawdę muszę mówić to na głos? — Oblewa się rumieńcem. - Czy nadal uprawiacie seks?

Nie istnieje prawidłowa odpowiedź na to pytanie. Jestem żonaty, chcę jej powiedzieć, to jasne, że uprawiamy z żoną seks; nie tak często jak dawniej, nasza sypialnia to nie francuski burdel, ale owszem, uprawiamy seks, i owszem, bywa całkiem przyjemnie, a czasami nawet bardziej niż przyjemnie. To całkiem co innego niż seks z tobą, te dwie rzeczy mają się do siebie mniej więcej tak, jak podróż kosmiczna do wycieczki do Bournemouth; ale jestem mężczyzną, a to oznacza, że czasem mam ochotę skoczyć do Bournemouth, a czasem włożyć kosmiczny kombinezon.

Ale to nie jest to, co chciałaby usłyszeć Sara. A ja chciałbym, żeby była szczęśliwa; dla jej dobra, bo naprawdę lubię ją i szanuję, i dla mojego własnego.

- Ona się już nie interesuje seksem tak jak kiedyś - mówię, wzdrygając się wewnętrznie na tę nową zdradę. - Tyle ma roboty przy dzieciach i w ogóle... właściwie to nigdy nie jest w nastroju. A odkąd poznałem ciebie - tym razem Sara się nie odsuwa, kiedy wyciągam rękę - odkąd poznałem ciebie, ja też nie jestem w nastroju.

Siada na mnie okrakiem, zadowolona.

- Naprawdę? - mówi, przyjmując mnie w siebie. - Jeśli o mnie chodzi, to nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek zauważyła taki problem.

Trzy tygodnie później schodzę na bosaka po wąskich schodach naszego wynajętego domku w Rock. Mał już krząta się w kuchni: smaży na patelni coś niezbyt pachnącego. Nachylam się i zaglądam jej przez ramię.

Na moment odbiera mi mowę, gdy widzę obtoczoną jak należy w tartej bułce moją czarną wełnianą skarpetkę.

- Mał, co ty robisz, na Boga?

- To, o co prosiłeś mnie w nocy - odpowiada, przewracając skarpetkę na drugą stronę za pomocą łopatki - kiedy wszedłeś do łóżka kompletnie zalany.

- Nie przypominam sobie, żebym cię prosił o usmażenie moich skarpetek.

Uśmiecha się szeroko, w oczach ma złośliwe ogniki. Zaskakuję.

- Ale śmieszne - mówię, łapiąc z patelni spaloną skarpetkę, i dmucham na palce. - Długo czekałaś, żeby mnie złapać w ten sposób za słowo?

- Mniej więcej od ósmej rano — chichocze Mal.

Czasem moja żona wydaje się niewiele starsza od naszych dzieci. Właśnie w takich chwilach uświadamiam sobie, skąd się wzięło u Evie to oryginalne poczucie humoru i nieortodoksyjna postawa wobec życia.

Zorganizowałem ten długi weekend, bo obiecałem to Mal; pakowałem się jednak z ciężkim sercem i głębokim poczuciem, że popełniam błąd. Cztery dni razem w niewielkim pomieszczeniu, bez dzieci i pracy, które mogłyby oderwać na jakiś czas uwagę, bez żmudnych domowych obowiązków, nawet bez telewizora, który rozcieńczyłby intymność, od jakiej już odwykliśmy... Uroczy scenariusz dla świeżo poślubionej pary; wyzwanie dla małżonków najbardziej nawet oddanych, ale mających za sobą wieloletni staż. A o ile większe dla męża tkwiącego w samym środku cudzołożnego romansu?

Przewidywałem, że będzie niezręcznie, a nawet trudno, z długimi okresami milczenia i wysiloną konwersacją. Myślałem, że dystans między nami będzie boleśnie oczywisty dla obojga.

Nie przewidziałem natomiast, że znowu zakocham się we własnej żonie.

Długo nie kładłem się wczoraj w nocy, usiłując rozwikłać ten chaos w moim sercu i głowie. Choć oszołomiony Sarą, nie jestem aż takim durniem, żeby pomylić to uczucie z miłością... czy choćby czymś bliskim miłości. Moja zdrada ma charakter wyłącznie seksualny; nie ma mowy o jakimkolwiek zaangażowaniu emocjonalnym. Nie jestem pewien, czy to lepiej czy gorzej.

Seks z Mal jest przyjemny. Czuły. Dla Sary nigdy nie mam takiej czułości. No, ale seks z nią jest niezrównany. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Mogę ją poprosić dosłownie o wszystko. Nie ma obawy, że będę osądzany i zostanę uznany za zboczeńca czy egoistę. Ona nie popatrzy na mnie, kiedy ścinam dziewczynkom czubki jajek na miękko przy śniadaniu, i nie będzie wspominać, co z nią robiłem w nocy.

Wyrzec się na zawsze tej seksualnej wolności, zrezygnować z niej? To jakby obudzić się ślepym i wiedzieć, że już nigdy więcej nie zobaczy się wschodu słońca.

Kędy Mal wyjedzie, przypominam sobie. Kiedy Mal wyjedzie, muszę powiedzieć Sarze, że to koniec. Jeśli tego nie zrobię, to prędzej czy później Mal się dowie i stracę ją. A ja kocham Mal. Bardziej niż pragnę Sary. Więc powinno być łatwo.

Nie będzie łatwo, rzecz jasna.

Obejmuję żonę i całuję ją w czubek głowy.

- *Mea culpa*. Chyba wypilem wczoraj o wiele więcej, niż przypuszczałem, jak się położyłaś...

- Nie, to moja wina. Powinna być z tobą, żeby cię pilnować. Ale nie wygląda na to, żeby zakończenie *Casablanki* miało się kiedykolwiek zmienić, no i byłam taka zmęczona po wczorajszym...

Rumieni się, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu. Moja żona i matka trojga moich dzieci czerwieni się jak nastolatka, wspominając o przyjemnym popołudniu, które spędziliśmy wczoraj w łóżku.

- Mam na myśli to schodzenie po skałach do zatoczki, Nicholas.

- Ach tak. Zrobimy to dziś jeszcze raz?

- Chyba nie chcemy chodzić wciąż tymi samymi szlakami, prawda? Szybko by się nam znudziło.

- Znudziłoby się nam?

- Tak. - Wyciąga z pieca świeżo upieczone ciasto - nawet na urlopie jest kucharką ta moja żona - i odsuwa moją rękę. - Poczekaj. Oczekiwanie na przyjemność tylko ją zwiększa. To na lunch. Pomyślałam, że piknik na świeżym powietrzu może być fajny, a po południu będzie chyba dosyć ciepło jak na marzec; możemy się opatulić w kocie i posiedzieć na plaży.

- Pasuje mi pomysł ze świeżym powietrzem.

Znowu chichocze.

- Nicholas...

Moja komórka świergocze. Leży na parapecie obok Mal; Mal już wyciąga rękę, ale udaje mi się pierwszemu złapać telefon. O Boże...

- To może być klientka - mówię szybko. - Musiałem dać mój numer pani Wasserstein; tylko w ten sposób mogłem mieć wolne w piątek i w poniedziałek.

Mal wygląda na zaskoczoną.

- Nie rób tego za często, inaczej nigdy nie będziesz miał spokoju. - Przykrywa ciasto lnianą ściereczką. - Muszę wyjąć z bagażnika tenisówki, jeśli mamy iść na spacer... nie wiesz, gdzie są kluczyki?

- W kieszeni kurtki, na wieszaku.

W szlafroku i kapciach wychodzę do tylnego ogrodu, drżąc z zimna.

- Sara, co ty robisz, do diabła? Dlaczego dzwoniisz do mnie do domu?

Sprawia wrażenie wystraszonej.

- Jezu, Nick, przepraszam. Wcale nie zamierałam do ciebie dzwonić... musiałam wybrać twój numer przez pomyłkę. Boże, mam nadzieję, że nie spowodowałam jakichś kłopotów? Strasznie mi przykro, naprawdę.

Wzdycham.

- Nie ma sprawy. Mnie też się to zdarza. - Przerażają mnie te rozmaite możliwości mojego telefonu: wiadomości tekstowe, historia połączeń... Zacząłem go ładować w pracy, żeby przypadkiem Mał nie zobaczyła czegoś, czego nie powinna. - Wszystko w porządku?

- Chyba tak. Jestem u rodziców. Nie masz pojęcia, co za nudy. Chca, żebym przyjechała na Wielkanoc na jakieś tutejsze wyścigi jajek czy coś... A jak tam w Wiltshire?

- Co? A, w Wiltshire. Fajnie, fajnie. Słuchaj, muszę kończyć. Zobaczymy się we wtorek...

- Wpadniesz do mnie po pracy?

- Być może. - Zerkam na Mał, która ukazuje się w drzwiach do ogrodu. - Słuchaj, naprawdę muszę kończyć.

Wyłączam telefon. Zawsze wiedziałem, że romans pociąga za sobą oszustwo; ale o tym, że będę oszukiwał nie jedną kobietę, lecz dwie, nie miałem zielonego pojęcia.

Mał czeka, aż podejde, i dopiero wtedy, nie spuszczac ze mnie wzroku, wyciaga rozpostarta dłoń.

- Nicholas - pyta beznamiętnie - czyja to szminka?

Sara

Och, Nick... Ty skurwysynu - szepczę.

Postukuję palcem w przesyłkę z napisem „pilne”, którą Emma zostawiła na biurku dla kuriera z DHL, żeby zawiózł Nickowi do podpisu. Czyli on wcale nie jest u siebie w Wiltshire z tą swoją stukniętą żoną i rozkosznymi, ślicznymi jak z obrazka dziećmiaczkami. Ten cholerny łgarz oddaje się, kurna, małżeńskiej rozpuście pośród skalistych plaż Kornwalii.

No cóż, pojętny jesteś, draniu. Piorunem nauczyłeś się kłamać jak z nut. Profesjonalista całą gębą. Szacunek.

Robię to co zawsze, kiedy Niedobry Dorosły Świat staje się nie do wytrzymania: uciekam na weekend do rodziców.

Znowu spać w moim wąskim jednoosobowym łóżku, w pościeli wzorek z lalkami Barbie - jest w tym coś dziwnie kojącego. Stara przytulanka, pluszowy miś (od Harrodsa, a jakże) czeka na mnie na poduszce, ubrany w dziurawy sweterek, który mu udzięgałam, kiedy miałam dziesięć lat, na świeżo otrzymanej na Gwiazdkę automatycznej maszynie dziewiarskiej (miałam używać: trzysta sześćdziesiąt cztery dni; używałam: czterdzieści siedem minut). Nie miałabym nic przeciwko dorosłemu życiu, gdyby polegało na tym, że można do północy oglądać kreskówki i jeść lody czekoladowe na obiad, jak to sobie człowiek wyobraża, kiedy ma siedem lat. Nie chcę skończyć tak jak moja matka - między toną marchwi do oskrobania a koszykiem do prasowania o rozmiarach Everestu. Co w tym ciekawego?

Kiedy w sobotę schodzę na dół, jest już po jedenastej. Matka jest w Sainsbury's. (Planowanie posiłków: kolejny powód, żeby nie doraść. Wolę wpaść na kwadrans przed kolacją do osiedlowego spożywczaka. Nick o mało nie dostał zawału, gdy otworzył lodówkę, żeby sobie zrobić postkoitalną kanapkę dla pokrzepienia sił, i zobaczył zawartość: dwa przeterminowane kubki jogurtu naturalnego z żywymi kulturami bakterii, które zostały po ostatniej przerwanej diecie, trzy puszki red bulla oraz do połowy opróżniona butelka wódki w zamrażalniku). Moja matka tak naprawdę chciałaby robić zakupy w Waitrose, ale nie może się przełamać, skoro w Sainsbury's można dostać to samo za połowę kasy. Pocięsza się, że przynajmniej nie upadła tak nisko, żeby kupować w Asda.

Tato za to jest jak najbardziej na miejscu: stoi wsparty o blat, a obok niego ta cholerna Libby Newcombe.

- Mężczyźni dają miłość w zamian za seks - wyrokuje, kiedy wchodzi. - Kobiety dają seks w zamian za miłość. Oto twoja walka płci w piątce.

- Ale Vinny, on powiedział, że ja jestem tą jedną jedyną! - jęczy Libby.

- Oni wszyscy tak mówią. Przed. Cześć, kochanie - wita mnie, kiedy, słaniając się, zmierzam w kierunku czajnika. - Libby i młody Martin zerwali ze sobą - wyjaśnia. - Poderwał jakąś laseczkę w Duke's Head. Libby trochę się tym przejmuję, byli ze sobą od sylwestra.

- Powinna się cieszyć - mamrocze pod nosem.

- Rzecz w tym, Libby, że powinnaś była się trochę pocertować - mówi tato, irytująco gładko wchodząc w rolę doktora Phila. - Facet nie będzie płacił za krowę, skoro może napić się mleka za darmo, prawda?

Nie wiem, czy jestem gotowa na wgląd w dynamikę małżeństwa moich rodziców o tak wczesnej porze. Wczesnej jak na sobotę, rzecz jasna.

Biorę herbatę i w chwili gdy tato przypomina sobie o manierach i wstaje, żeby mi ją przygotować, wychodzę i wlokę się do siebie.

Tak mija mi cały dzień. Włączę się bez celu po domu, od czasu do czasu zamieniając tę gorączkową aktywność na wałęsanie się i łożenie z kąta w kąt. Chwilami padam bezwładnie na krzesło i siedzę jak nieżywa, ot tak, dla odmiany.

Tak często sprawdzam, czy nie było jakiegoś sms-a, że aż się dziwię, że moja komórka nie warczy „odwal się!” i nie chowa się za kanapę, kiedy wchodzi do pokoju.

W niedzielę dzwonię do Amy.

- Co jest? - pyta.
- Dzięki, Amy. Ja też cię kocham.
- Czekam na telefon - rzuca niecierpliwie.
- Od kogo?

Milczy chwilę.

- Od Terry'ego, skoro już musisz wiedzieć - odpowiada wreszcie.
- Pewnie jesteście u rodziców, co?
- Skąd wiesz?

Wzdycham.

- Znikąd. Po prostu zgadłam. Terry obiecał, że do ciebie zadzwoni?
- Nie, ale może zadzwonić.
- A zwykle dzwoni do ciebie w weekendy?
- A Nick dzwoni do ciebie?

Przez chwilę milczymy, myśląc każda o swoim kochanku. Nie po raz pierwszy uderza mnie nasza skłonność do samookłamywania się i masochizmu. Jest wielu mężczyzn, którzy romansują z mężatkami, ale oni nie tłuką się po rodzicielskim domu, czekając na telefon i obgryzając ze zdenerwowania paznokcie. Idę o zakład, że świetnie się bawią. Siedzą z kumplami w pubie, sączą kufel za kuflem i czekają, aż zrobi się na tyle późno, żeby można było skoczyć do nocnego klubu i wyjść stamtąd z jakąś małolatą, którą następnie przelecą, ot tak, żeby nie wyjść z wprawy. To jasne, że nie tkwią beczynnie na ławce rezerwowych na londyńskich przedmieściach.

- Wybierasz się na kolację do Towarzystwa Prawników w przyszłym miesiącu? - pyta nagle Amy.

- Nie myślałam jeszcze o tym. Pewnie tak. A czemu pytasz?
- No wiesz... Tam się idzie ze współmałżonkiem.

Czyli Nick przyprowadzi tę wariatkę.

- Może wystąpimy we trójkę. Raz ona przy jego boku, raz ja - sugeruję.

- Za cztery lata nie będziesz taka nonszalancka - gasi mnie Amy. - Słuchaj, muszę kończyć. Może Terry próbuje się właśnie dodzwonić. Zadryndam do ciebie w poniedziałek.

Wlokę się niepokieszona do kuchni, gdzie matka obiera warzywa na niedzielny lunch. Za cztery lata miałyby być tak samo jak teraz? Jezus, nie wyobrażam sobie, że mogłabym wytrzymać nawet cztery miesiące. Nie zamierzam tak jak Amy tracić życia na czekanie na faceta, któremu ani w głowie się rozwieść. A w takim razie nie powinnam była się angażować. To miała być tylko odrobina rozrywki: ciekawa rozmowa i odłotowy seks. Wcale nie chciałam się w tym draniu zakochać.

- Nie stój tak nade mną, Sara, to rozprasza - mówi matka.
- Przepraszam.

Podaje mi nóż i wskazuje pojemnik z warzywami.

- Możesz pomóc, skoro już tu jesteś.

Przez jakieś dziesięć minut obieramy i kroimy w milczeniu. Nie mogę go nazwać przyjaznym; moja relacja z matką to w najlepszym wypadku ostrożne zawieszenie broni. W najgorszym - konflikt blisko-wschodni do kwadratu.

- Kłopoty z mężczyzną, tak? - węszy matka.
- Co?

Wyciąga rękę i wkłada obrany kartofel do stojącego za mną garnka z zimną wodą.

- Przez cały weekend snujesz się po domu z taką miną, jakby ci ktoś umarł. Ani na chwilę nie rozstajes się z komórką. Tak samo było kiedyś z Martinem.

- Wcale tak nie było!
- Niech ci będzie.

Kroję marchew na plasterki z niepotrzebnym wigorem.

- Nie jest zainteresowany, co? - pyta matka po chwili.
- Kto?

Kolejny kartofel łąduje z pluskiem w garnku.

- Ten mężczyzna, o którym bez przerwy myślisz.
- Owszem, jest zainteresowany, jak najbardziej — mówię dotknięta.
- W takim razie żonaty?
- Przestań, mamo! Patrz, do czego doprowadziłaś!
- Zakrwawisz marchew, moja droga. - Podaje mi kawałek papierowego ręcznika; ignoruję to i wysysam skałeczony palec. - Dziewczyna w twoim wieku nie przyjeżdża na weekend do rodziców, chyba że on jest albo niezainteresowany, albo żonaty.

Powala mnie zarówno trafność jej słów, jak i fakt, że w ogóle je wypowiedziała. Między nami nie ma bliskości ani gotowości do zwierzeń. Ona mówi mi, że mnie kocha, za pomocą apaszek i plecaczków od Prądy; ja jej mówię to samo, nosząc je.

Zawsze zazdrościłam Amy bliskiej relacji z matką. Kiedyś mi opowiedziała, że jak przyjechała na weekend do rodziców i poszła się kąpać, to matka usiadła na kiblu i paplały przez cały czas jak najęte; z zazdrości nie odzywałam się do niej przez tydzień. Ten obraz intymnej zażyłości między matką a córką był nie do zniesienia.

Mnie matka nigdy nie pyta o życie uczuciowe; pewnie dlatego, że ma nieszczególne wyobrażenie o jego charakterze. Ja zresztą odpłacam jej pięknym za nadobne

- Romans z żonatym to nie jest uczciwa gra, moja panno - mówię ostro.

- Mamo, wiem...

- To, że się ma na kogoś ochotę, to nie powód, żeby zniszczyć małżeństwo innej kobiecie. Miłość też nie jest usprawiedliwieniem. Podaj mi solniczkę. - Bierze sól w palce i wrzuca do garnka, szybkimi, gniewnymi ruchami. - Mężczyźni to durnie, nietrudno ich skusić. Dlatego my, kobiety, powinnyśmy się trzymać razem i nie krzywdzić nawzajem.

Nie mam pojęcia, skąd to wrażenie, że ona mówi z własnego doświadczenia. Przecież tata jej nie zdradza. Sam mówił.

- Poza tym oni nie odchodzą od żon - dodaje chłodno. - Choćby nie wiem co obiecywali, żeby cię zaciągnąć do łóżka. Pamiętaj o tym.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzucam. - Jest tu gdzieś otwarte wino?

Wskazuje głową lodówkę. Nalewam sobie dużo więcej, niż mam ochotę, tylko po to, żeby ją zdenerwować, i wychodzę do tylnego ogródka. Jest wyjątkowo ciepło jak na marzec. Siadam na kamiennej ławce koło szklarni i sążąc wino - całkiem znośne, biorąc pod uwagę, że jest z kartonika, a nie z butelki - wystawiam twarz ku blademu słońcu. Tato skopał już grządki pod fasolę; wokół unosi się woń ziemi i kompostu. Może pomogę mu sadzić fasolę w tym roku? Bardzo lubiłam to robić jako dziecko. Kucałam obok ojca w czerwonych kaloszkach i wpychałam kciukiem ziarna w świeżo skopaną ziemię, a potem nie mogłam się doczekać, kiedy zaczną kiełkować. Co wieczór wykradałam się do ogro-

du, żeby sprawdzić, czy już weszły, dopóki za którymś razem nie stanęłam bosą stopą na dżdżownicę i nie wrzasnęłam na cały głos, tak że pobudziłam sąsiadów. Matka ma ojcu za złe, że sam hoduje warzywa; mówi, że to jego „działkowy bzik”. Boi się, że sąsiedzi pomyślą, że nas nie stać, aby kupić je w supermarkecie, opakowane w plastik i genetycznie zmodyfikowane. Biedny tato. Nie wiem, jak on z nią wytrzymuje.

Dopijam wino i odstawiam kieliszek na ławkę. Komórka wypala mi dziurę w kieszeni. Ta wyprawa do Rock mogła być kwestią ostatniej chwili. Może Nick nawet o tym nie wiedział; może to wszystko jej pomysł... Tak jak wtedy w walentynki. No i właściwie nie powiedział, że zamierza spędzić weekend w Wiltshire. Sama to z góry założyłam.

Z początku nie zdarzało się, żebym myślała o Nicku i jego żonie jako parze. Teraz robię to ciągle.

Pewnie dlatego, że zobaczyłam ich wtedy w Yuzo's. Powinłam była natychmiast złapać taksówkę i wrócić do domu, i zjeść cały pojemnik lodów Cherry Garcia, oglądając w telewizorze *Tacy byliśmy* z Barbarą Streisand. A co robiłam? Przez dwie godziny krążyłam wokół Yuzo's, użalając się nad sobą i obmyślając plan wykastrowania drania za pomocą struny od fortepianu. Widziałam, jak wychodzą, jak obejmuje opiekuńczo jej chlerawe ramiona... Na ulicy przystanęli na moment i pocałowali się. Przelotnie, ale z uczuciem. A potem on pogłaskał ją po policzku. Nie tak zachowuje się mężczyzna, który ma romans z koleżanką z pracy. Nie tak zachowuje się mężczyzna, który nie sypia z żoną.

Patrząc na nich, czułam się koszmarnie. Rozboleła mnie głowa. Jak on mógł tak ze mną postąpić... jak mógł mnie tak okłamać? Sprawić, że myślałam...

Że myślałam - co?

Przecież nigdy nie powiedział, że zostawi żonę. Czegoś ty się spodziewała, głupia zakochana pindo? Że on też się w tobie zakocha i otdąd wszystko będzie zupełnie inaczej?

Nie powinnam była pozwolić, żeby to się zaczęło od nowa. Wszystko szło świetnie aż do tamtego popołudnia w sali konferencyjnej, nawet jeśli czasem pęcherz mi o mało nie pękł, bo nie chodziłam siusiu, żeby mnie nie przyłapał koło toalety. No, świetnie to może przesada, ale w każdym razie udało mi się uniknąć przebywania z nim sam na sam. I nie podcięłam sobie żył.

A potem mnie dotknął i wszelkie rozsądne myśli diabli wzięli.

Niektórzy faceci nigdy cię nie słuchają w łóżku i w końcu przestajesz mówić, na czym ci zależy. To tak jak wtedy, gdy się nie dosłyszysz czyjegoś nazwiska i trzeba prosić o powtórzenie; za trzecim razem zaczyna to być kłopotliwe. Tacy faceci uważają, że wiedzą, czego chcesz, lepiej od ciebie. Bywa, że jesteś tuż-tuż, jeszcze moment i osiągniesz orgazm, i jęczysz: tak, tak, nie przerywaj! - a on myśli sobie: lubi to, w takim razie lubi też tamto; no i przerywa, i robi coś całkiem innego. Mam pomysł, żeby zamówić w gazecie ogłoszenie na całą stronę: „Kiedy mówię: tak, tak, nie przerywaj, to mam na myśli dokładnie to: Tak, tak, nie przerywaj!”

Z Nickiem seks jest za każdym razem coraz bardziej odlatowy. Nigdy nie czułam się z kimś tak związana; całkiem jakby siedział mi bez przerwy w głowie. Teraz do erotycznego apetytu dołączyły inne pragnienia. Nie chcę go oddawać z powrotem. Wszystko się zmieniło, splątało. I nie wiem, co mam z tym właściwie zrobić.

Rozpaczliwie pragnę usłyszeć jego głos. Chcę się dowiedzieć, że on też za mną tęskni. Łamię więc moją kardynalną zasadę: kiedy piję, nie dzwonię.

Sygnał rozbrzmiewa dwadzieścia cztery razy, zanim Nick wreszcie odbiera. A wtedy...

- Sara, co ty robisz, do diabła? Dlaczego dzwonicz do mnie do domu?

To się nazywa test na rzeczywistość. On jest naprawdę zirytowany. Jasny gwint... Co ja sobie, kurna, myślałam? Że niby co?

- Jezu, Nick, przepraszam - mówię szybko. - Wcale nie zamierałam do ciebie dzwonić... musiałam przez pomyłkę wybrać ponowne dzwonicie. Mam nadzieję, że nie spowodowałam jakichś kłopotów? Strasznie mi przykro, naprawdę.

- Nie ma sprawy. Mnie też się to zdarza. Wszystko w porządku?

Co za ulga... Wyraźnie kupił ten kit.

- Chyba tak. Jestem u rodziców. Nie masz pojęcia, co za nudy. Chcą, żebym przyjechała na Wielkanoc na jakieś tutejsze wyścigi jajek czy coś... - Urywam na moment i zbieram się w sobie, żeby zadać to pytanie. Nie okłamuj mnie, proszę, nie okłamuj... - A jak tam w Wiltshire?

- Co? A, w Wiltshire. Fajnie, fajnie. Słuchaj, muszę kończyć. Zobaczymy się we wtorek...

- Wpadniesz do mnie po pracy?

Walę pięścią w kamienną ławkę. Nie cierpię tej słabości i desperacji w moim głosie... Co się ze mną stało? Powinam mu wydrapać oczy, a nie żebrać o kolejnego kopniaka.

- Być może. Słuchaj, naprawdę muszę kończyć.

Skurwiel. Skurwiel, skurwiel, skurwiel!

Głupio jest być z facetem, który okłamuje inną. Ale być z facetem, który okłamuje nas obie, to już szczyt głupoty.

Może i mówił prawdę co do walentynek; może ona faktycznie bez uprzedzenia pojawiła się w kancelarii. Albo jest wredną, podejrzliwą małpą, albo ich związek to nie taka znów zimna wojna, jak zapewniał. Ale tak czy owak, okłamał mnie. Nie powiedział, że spędza długi weekend sam na sam z nią w Kornwalii.

A ja nie mam zamiaru mu tego wytykać.

Niepostrzeżenie przekroczyłam granicę. Nie mogę z niego teraz zrezygnować. Chcę go mieć dla siebie. Chcę, żeby zostawił żonę i dzieci i wprowadził się do mnie. Chcę nosić obrączkę, którą mi nałoży, i chcę nosić jego nazwisko. Nawet jeśli wiem, że to egoistyczne i że zniszczę w ten sposób życie nie tylko jego żonie, ale i trojgu niewinnym dzieciom, których zdjęcia nosi w portfelu i dotyka ich czule za każdym razem, ilekroć go otwiera.

Nie żeby mnie to w ogóle nie obchodziło. Przywykłam myśleć o sobie jako o istocie uczciwej; zanim poznałam Nicka, najgorszą rzeczą, jaką miałam na sumieniu, było walnięcie przy cofaniu w przód białego vana na wielopiętrowym parkingu i niezostawienie karteczki z adresem.

Ale na to, w kim się człowiek zakocha, nie mamy wpływu. Wiem, że źle postępuję, ale nic na to nie poradzę. I wcale nie niszczę ich małżeństwa; udanego związku zniszczyć się nie da, prawda? Gdyby on był z żoną szczęśliwy, to nie spotykałby się ze mną. A ona nie może żądać, żeby z nią został wyłącznie z poczucia winy. Żadna kobieta nie powinna żądać czegoś takiego. Co to byłoby za związek - z drugiej ręki? Lepiej będzie dla nich obojga, jeśli on odejdzie i da jej szansę, żeby też sobie kogoś znalazła. Jeśli go naprawdę kocha, to chyba jej zależy, żeby był szczęśliwy.

Ja mogę dać mu szczęście. Ja go rozumiem. I kocham; a on, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, kocha mnie. Przecież prawie to wyznał.

I czy byłby możliwy między nami tak fantastyczny seks, gdybyśmy się nie kochali? Nie sądzę.

We wtorek wkładam czarny kostium w stylu lat pięćdziesiątych, o którym wiem, że Nick go lubi, i bieliznę w kolorze jabłkowej zieleni, tak na wszelki wypadek. Minęły zaledwie cztery dni, odkąd się widzieliśmy, ale jestem zdenerwowana jak przed pierwszą randką. Przychodzę nawet do pracy pół godziny wcześniej niż zwykle i siadam przy biurku. Udaję, że pracuję, a w rzeczywistości czekam na niego. Nie powiem mu, że wiem o Kornwalii. Nie wspomnę nawet...

- O co tu chodzi, do diabła?

Wpada jak burza do mojego pokoju, zatrząskuje za sobą drzwi i rzuca mi coś na biurko; chcę spojrzeć, co to jest, ale nie mogę oderwać oczu od jego twarzy. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby był choć lekko rozczłuszczony, a co dopiero to. Jego szare oczy są zimne jak granit, a szczęki zaciśnięte, tak jakby ze wszystkich sił starał się utrzymać furię na wodzy.

Wzdrygam się, kiedy opiera rozpostarte dłonie o blat i zbliża twarz do mojej.

- Czekam - rzuca z wściekłością przez zęby.

- Nick... jeszcze ktoś usłyszy.

- Trochę za późno na strach!

Opuszczam wzrok. Po blacie toczy się moja szminka Estee Lauder w złotej oprawie i z zatrzymuje się przy podkładce na mysz.

Kiedy miałam dziewięć lat, stłukłam bezcenną porcelanową figurynkę mojej babci, z manufaktury Royal Worcester. Wzięłam ją z kominka w jadalni pomimo wielokrotnych surowych pouczeń, żebym pod żadnym pozorem nie odważyła się jej dotykać. Wpatrywałam się z przerażeniem w rozprysnięte po podłodze okruchy porcelany, tak jakbym mogła siłą woli cofnąć czas; mocą wyobraźni sprawiałam, że taśma odwijają się do tyłu i odłamki - myk! - łączyły się z powrotem w całość, jak na kreskówce. Moje pragnienie, by tak się stało, było tak silne, że niemal widziałam, jak odłamki się poruszają.

Co mnie opętało, żeby wkładać szminkę do kieszeni jego kurtki? Jak mogłam?

Przenika mnie fala gorąca, a po chwili oblewa zimny pot. Z całej siły skupiam się na tym, żeby nie oblizywać suchych warg, niezdolna odebrać oczu od małej złotej rolki leżącej na biurku.

- Myślę, że to wystarczająca odpowiedź - cedzi Nick.

Odwraca się na pięcie. Patrzę, jak idzie do drzwi, i wiem, że jeśli pozwolę mu teraz wyjść, już na pewno nigdy nie będę miała następnej szansy.

- Gdzieś ty ją znalazł? - udaje mi się jakoś wcisnąć nutkę zdumienia we własny głos.

Nieruchomieje.

- Gdzie ją znalazłem?

- To moja ulubiona, wszędzie jej szukałam. - Podnoszę szminkę; ręka mi drży, kładę ją z powrotem. - Myślałam, że zostawiłam ją w hotelu ostatnim razem... nie pamiętam, żebym ją od tamtej pory widziała.

Przez długą chwilę stoi bez ruchu. Wstrzymuję oddech. W końcu się odwraca. W oczach ma podejrzliwość.

- Ciagle mi się staczała z tego marmurowego stolika w łazience - mówię - więc... no tak! położyłam ją na tacy koło telewizora, tam gdzie zawsze kładziesz swoje klucze i portfel. Musiałeś ją niechcący zgarnąć, kiedy spieszyles się na ostatni pociąg.

- Ja ją musiałem zgarnąć?

Wzruszam ramionami.

- Pewnie tak. Gdzie ją znalazłeś?

- To nie ja ją znalazłem - mówi Nick, patrząc mi w oczy - tylko moja żona. W kieszeni kurtki, kiedy poszła po klucze od samochodu.

Nie muszę się wysilać, żeby udawać przerażenie. Wystarczy, że pomyślę, co będzie, jak mi nie uwierzy.

- I co powiedziała? - szepczę.

- Jest moją żoną i znalazła w mojej kieszeni szminkę innej kobiety. Jak myślisz, co mogła powiedzieć?

- Czy... czy ty...

- Czy powiedziałem jej o nas? Nie. Na szczęście moja żona jest bardzo ufna. Nakłamałem jej bezczelnie, jak to rzekomo znalazłem jakąś szminkę w holu, a ona mi uwierzyła.

Kiwam głową. Czuję ulgę; och, jeszcze jaką. Znowu przenika mnie fala wstydu. Nigdy bym nie pomyślała, że jestem zdolna do takiej manipulacji... Nie miałam pojęcia, jak bardzo go kocham, dopóki sobie nie uświadomiłam, co jestem zdolna zrobić - i co gotowa znieść - żeby go przy sobie zatrzymać. Ale jeśli przez chwilę naiwnie sądziłam, że

umieszczenie szminki tam, gdzie może ją znaleźć jego żona, skłoni go, żeby wybrał mnie, teraz pozbyłam się zrudzeń. On jej nie zostawi. To jasne, że nie ma takiego zamiaru. Oni nigdy nie zostawiają żon.

- Nick? - pytam ostrożnie. - Czy z nami wszystko okej?

Waha się. Pojawia się szczelina; i tylko tyle jest mi w tej chwili potrzebne. Wychodzę zza biurka, świadoma, że w tym uwydatniającym figurę kostiumie wyglądam dokładnie tak jak trzeba, żeby budzić zdrożne myśli. Górny guziczek bluzki mam rozpięty i nie zawracam sobie głowy, żeby go zapiąć. Zerkam na jego krocze - przelotnie, ale wystarczająco długo, żeby skojarzył, co trzeba. Jestem na tyle blisko, że czuje zapach moich perfum i ciepło mego ciała, ale zostawiam mu odrobinę przestrzeni. Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to żeby poczuł się osaczony.

- Przepraszam - wzdycha, z trudem odrywając wzrok od mojego przedziałka. - Myślałem... nie wiem, co myślałem. To był trudny weekend.

- Zobaczymy się później?

- Nie dziś. Nie dlatego, że nie chcę; nie mogę - dodaje szybko. - Moi rodzice przychodzą na kolację. Ale jutro tak. I zostaną aż do...

Odwracam oczy, żeby nie widział w nich niechęci.

- Do ostatniego pociągu. Tak, wiem.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy Nick naprawdę robi się coraz chłodniejszy wobec mnie? Wydaje mi się, że nie ma już w nim takiego głodu jak kiedyś. Nie chodzi o to, co robi - lub czego nie robi - w łóżku. To raczej wrażenie, że im bliżej ja się do niego przysuwam, tym bardziej on się odsuwa.

Opieram się na łokciu. Nick wstaje z łóżka i sięga po spodnie.

- Już wychodzisz? Jeszcze nawet nie ma ósmej!

- Nie mogę ciągle wracać do domu o północy, Sara.

Patrzę w milczeniu, jak zapina koszulę. Niezauważalnie, ale niewątpliwie układ sił w naszej relacji się zmienił. Parę miesięcy temu to on obsypywał mnie prezentami i otaczał nieustanną atencją. Teraz seks jest równie ostry i satysfakcjonujący jak zawsze, ale Nick, ledwie zdążył sięgnąć prezerwatywę, już gna do drzwi.

Narzuca marynarkę i bierze do ręki teczkę.

- Zobaczymy się jutro w pracy.

Kiwam wolno głową. Wzdycha, po czym podchodzi i siada na łóżku. Podciągam kolana i opieram na nich brodę, a on głaszcze mnie po gołych plecach, tak jakbym była dzieckiem.

- Sara, przykro mi. Nie zdziwię się, jeśli zechcesz to zakończyć. Nie będę miał ci za złe. Nie mogę ci zaferować przyszłości ani niczego obiecać. Zaslługujesz na coś lepszego niż ja.

Przenika mnie lodowaty dreszcz. Faceci zawsze tak mówią, kiedy nie mają odwagi sami cię rzucić.

- Mnie jest dobrze tak, jak jest - udaje mi się powiedzieć. - Żadnych zobowiązań. Właśnie tak lubię.

- Posłuchaj. Za dwa tygodnie Mal wyjeżdża na poszukiwanie tych swoich cholernych dostawców- mówi łagodnie, zwracając ku sobie moją twarz. - Dziewczynki zostaną z jej matką. Zamówiłem dla nas pokój w wiejskim pensjonacie w Kent. Łóże z baldachimem, hydromasaż, ogień na kominku, te rzeczy. W Wielkanoc kancelaria jest zamknięta, będziemy mogli spędzić razem całe pięć dni i nocy. Co ty na to?

- Cudownie - śmieję się z ulgą, staczając się w jego ramiona.

Nie, on wcale się nie robi chłodniejszy, skąd. To tylko moja paranoja. Nie zorganizowałyby romantycznej schadzki *a deux*, gdyby chciał to zakończyć.

Całuje mnie w czubek głowy.

- Będziemy mieli czas, żeby porozmawiać. Spróbujemy ustalić, gdzie jesteśmy. - Waha się. -I dokąd zmierzamy.

- Ty chyba żartujesz?!

- Chryste, Sara! To co ja mam według ciebie zrobić? Powiedzieć: nie, kochanie, przykro mi, ale nie możesz wrócić wcześniej, bo mam zaplanowany upojny weekend z kochanką?

- Do jasnej cholery, Nick! - Wyszarpuję słuchawkę z gniazda i miotam się jak burza po sypialni. - Właśnie skończyłam się pakować, tak-sówka czeka przed domem! Co ja, do kurwy nędzy, mam robić przez te pięć dni? Jak możesz mnie tak traktować? Tego się po prostu nie robi!

- Masz rację - przyznaje. - Najwyraźniej tylko cię unieszczęśliwiam. Więc czemu nie powiemy sobie „do widzenia” i nie skończymy z tym?

- No właśnie. Czemu?

Bo nie potrafimy.

Nikt nie wie, jakie to bolesne - kochać mężczyznę, który co wieczór jedzie do żony i dzieci, o ile sam tego nie przeżył. Łatwo taką kobietę osądzać, przedstawiać jako ladacznicę, burzycielkę rodzin, krzywdzicielkę niewinnych istot. Łatwo też zapomnieć, że krzywdzi przede wszystkim samą siebie.

Myślę o nim dzień i noc. Pędzę w emocjonalnej kolejce górskiej: wzbijam się na szczyt w ciągu dnia, kiedy pracuję razem z nim, i wieczorem, kiedy prowadzę go ukradkiem do siebie; po czym spadam na dno rozpacz, gdy on wychodzi, a ja szlocham samotnie w poduszkę.

- Nie chcę, żeby twoje szczęście zależało ode mnie - wzdycha ktoś tegoś dnia, kiedy zaczynam płakać jeszcze przed jego wyjściem. - Nie zdołam udźwignąć takiej odpowiedzialności.

Rozpacz okrywa mnie niczym płaszcz. Czy to oznacza, że on w ogóle nie chce ze mną być? Czy próbuje mi powiedzieć, że z nami koniec?

Nazajutrz otwieram drzwi wejściowe i natykam się na stojące w progu ogromne kartonowe pudło z moim nazwiskiem na wierzchu. Otwieram - i śliczna szylkretowa kotka wskakuje mi na kolana i zaczyna się udeptywać, tak jakby spędziła tu całe życie.

„Teraz odpowiedzialność dzieli się na pół” - głosi karteczka przyczepiona do obróżki.

Biorę kotkę na ręce i niosę na górę. Miałam rację: umrę jako samotna stara panna w towarzystwie czternastu kotów. Przynajmniej moja matka będzie miała satysfakcję, że jej przepowiednia się sprawdziła.

Cztery miesiące temu byłam przekonana, że kochanki dzielą się na dwie grupy: te, które - jak ja - z rozmysłem wybrały swoją rolę i delektują się rozkoszami nielegalnego seksu; i naiwne ofiary, jak Amy, które tkwią w beznadziejnym układzie, marząc o małżeństwie.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że granica między tymi dwiema kategoriami jest płynna.

Rozkoszny deszcz towarzyszący moim potajnym schadzkom dawno przeminął. Ulotnił się pewnego popołudnia, kiedy wymeldowaliśmy się z Claridge's, dwie godziny po zameldowaniu się, rzecz jasna. Nick płacił rachunek, a ja kręciłam się z tyłu, udając, że poprawiam makijaż, trochę skrępowana w obcisłej sukience i na niebotycznych obcasach. Gdy Nick wyszedł przywołać taksówkę, zatrzymałam

się chwilę w holu, żeby nikt nie zobaczył nas wychodzących razem. Już miałam iść, kiedy nieoczekiwanie zmaterializowała się obok mnie recepcjonistka.

- Mam dla pani dobrą radę, moja droga: niech pani powie swoim klientom, żeby nie używali karty kredytowej - mruknęła. - Zbyt łatwo wysledzić, co i jak.

Nick zrobił ze mnie kłamczuchę i oszustkę; zmienił mnie w osobę, której sama nie poznaję. Którą można pomylić z cichodajką.

A ja i tak nie potrafię z niego zrezygnować.

- Czy gdyby nie twoja żona... gdybyś nie był żonaty... jak myślisz, byłibyśmy razem? - pytam go od niechcenia któregoś dnia.

Waha się.

- Tak, oczywiście. Ale ja mam żonę - dodaje z naciskiem na „mam”. -I troje dzieci.

Więc jednak chce być ze mną. W takim razie musiał się zastanawiać nad możliwością odejścia.

A to przecież tylko krok, jeden mały kroczek do tego, żeby zrobić to naprawdę, tak czy nie?

- Powiedziałem, żebyś nie przychodziła - syczy Nick.

- A ja powiedziałam, że przyjdę i tak - syczę w odpowiedzi. - Jak to miło, że znów się widzimy, pani Lyon - mówię z ożywieniem, bo żona Nicka przerywa właśnie ploteczki z pańciową małżonką Willa Fishera i podchodzi do nas. - Jaka śliczna sukienka!

Patrzy po sobie z powątpiewaniem.

- Nie sądzi pani, że jest trochę zanadto... no, pomarańczowa? Byłam niedawno w Rzymie... Włoszki noszą takie śmiałe kolory, ale cóż, światło jest tam zupełnie inne, jakby lśniące... tutaj to wygląda całkiem inaczej. Wyglądam w niej jak nasturcja-gigant. - Nerwowo wygładza spódnicę dłońmi. - Rzym to fantastyczne miasto, ale niech pani nigdy nie jedzie tam na Wielkanoc; po prostu pęka od turystów, nie mam pojęcia, co ja sobie właściwie myślałam...

Ach tak. Mój pięciodniowy romantyczny pobyt we dwoje, skończony, zanim się zaczął, w chwili gdy miałam wskoczyć do taksówki. Nieoczekiwany powrót małżonki, co za pech.

- Nicholas podarował mi w zeszłym tygodniu na urodziny ten naszyjnik. Szkło weneckie - dodaje, dotykając delikatnych paciorków na szyi. - To antyk... szalenie ekstrawagancki gest z jego strony. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam, ale najwyraźniej będę musiała robić to nadal, nie mam wyjścia.

Rzucam Nickowi jadowite spojrzenie. Identyczny naszyjnik podarował mnie, w ramach przeprosin po naszej ostatniej kłótni. Trafił na jakąś wyprzedź starzyzny czy co?

- Bardzo lubię te coroczne przyjęcia w Towarzystwie Prawniczym, a pani? - paple żona. - To takie fajne spotkać się ze wszystkimi. O, patrz, Nicholas, Will Fisher rozmawia z jakąś ślicznotką w błękitach; co za niezwykła sukienka, dosłownie zaprzecza prawu powszechnego ciężenia, aż dziw, że nie uleciała. Ale z niego szelma, biedna ta jego żona... Idziemy, kochanie, musimy go uratować przed nim samym, zanim wpełźnie dziewczynie do przedziałka. Przepadłby na parę tygodni.

- Gdyby spojrzenie mogło zabijać... - mruczy Amy za moimi plecami, kiedy Nick się oddala, uprowadzony przez małżonkę.

- Odwal się - mówię, sięgając po kieliszek szampana, bo właśnie mijają nas kelnerka z tacą.

- Że też odważyłaś się dzisiaj przyjść - zauważa, idąc w moje ślady. - Ja dotąd nawet nie widziałam żony Terry'ego, a co dopiero żeby miała plotkować z nią przy kanapkach... Nie czujesz się dziwnie, jak z nią rozmawiasz?

„Dziwnie” nawet w przybliżeniu nie oddaje stanu mego ducha. Jestem wprost chora z zazdrości; zazdrość ściska mnie żelaznymi kleszczami za pierś, dławi w gardle. Jednym haustem wypijam cały kieliszek, żeby spłukać tę gulę goryczy. Nie powinnam była tu przychodzić. Wiedziałam, że tak będzie; a jednak nie mogłam się powstrzymać. Jakiś chory impuls popycha mnie do tej kobiety, której zaczynam nienawidzić, jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Dlaczego? Skąd ta obsesja na jej punkcie? Co mi kazało wrzucić do Google jej nazwisko i zamówić wszystkie jej wykręcone książki kucharskie? Albo wykraść jej zdjęcie z portfela Nicka, a potem wpatrywać się w nie po nocach i zastanawiać, co on w niej widzi? Przecież ona znaczy dla mnie tyle co nic. Ot, kamyk na drodze pomiędzy mną a Nickiem.

Przyglądam się jej przymrużonymi oczami.

- Paskudna ta sukienka. Zdecydowanie nie jej kolor. Wygląda w niej jeszcze bardziej mdło niż zwykle. Jak zdechłak.

- A jednak dałabym się pociąć, żeby mieć taką figurę jak ona - wzdycha Amy.

- Popatrz tylko na nią. Przyczepiła się do tego Fishera i truje mu coś... tak jakby go obchodziło, co ona myśli. Przecież nie jest jedną z nas, no nie? Zwykła żona i tyle.

Amy wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

- Okropna się zrobiłaś, Sara. Dawniej nie byłaś taką małą. Rozumiem, co czujesz w związku z Nickiem - nikt tego nie rozumie lepiej ode mnie - ale to nie jej wina, że wyszła za niego pierwsza. Nie wiem, jak tam do tego doszło, ale jej współczuję. Biedactwo... Ona go nie rozumie.

Przygryzam wargę. Amy ma rację: dawniej taka nie byłam. Zmieniam się w zazdrosną, złośliwą jędzę. Ale to wojna. Nie mogę sobie pozwolić na współczucie dla żony Nicka.

- Więc powinna ustąpić miejsca komuś, kto go rozumie - rzucam ostro. - Czemu się go uczepliła jak rzep i unieszczęśliwia i jego, i siebie? Czemu nie pogodzi się z tym, że on zrobił krok naprzód, i nie pozwoli mu odejść?

- Może go wciąż kocha.

- Ale on nie kocha jej - ripostuję zajadle.

- Powiedział ci to? - pyta Amy, zdziwiona.

- Nie dosłownie. Ale przecież nie byłby ze mną, gdyby ją nadal kochał, prawda?

- Witaj w klubie cudzołożników - mówi Amy i stuka się ze mną kieliszkiem. - Gdzie na każdym kroku pełno kłamców, oszustów i skurwiel. Co my byśmy bez nich zrobili?

Z tyłu za nami kaszle jakiś mężczyzna.

- Przepraszam... Panna Yorke, prawda? - zwraca się do Amy. - Tom Stewart. Reprezentowałem stronę przeciwną w sprawie Brennánów, jakiś miesiąc czy dwa temu.

- Ach tak - mówi Amy bez szczególnego zainteresowania.

- Moglibyśmy zamienić parę słów? Chodzi mi o mój artykuł, który ma się ukazać w najbliższym numerze „Lawyera”, na temat nowego

podejścia do problematyki rozwodu — współpracy stron w rozwiązaniu problemu...

Nowe podejście do problematyki rozwodu, he he. Wpadła mu w oko, to jasne jak słońce. I jest wolny! Oddalam się dyskretnie, żeby dać mu swobodę działania. Już czas, żeby Amy miała jakiegoś uczciwego faceta, który byłby osiągalny.

- No i? - pytam czterdzieści minut później w toalecie, gdzie zajął się na krótką odprawę przed oficjalną kolacją. - Zaproponował ci randkę?

- Zaprosił mnie na konferencję do Paryża.

- Do Paryża? Co masz na myśli?

- A jak ci się zdaje? Paryż to takie miasto po drugiej stronie kanału, z wysoką wieżą w samym środku, gdzie faceci jeżdżą na rowerach w pasiastych szortach, z wiankami cebuli na szyi...

- Cha cha cha, zaśmiała się księżniczka. I co mu powiedziałaś?

- Odmówiłam, rzecz jasna.

- Jaja sobie robisz? Czemu?! Jest przystojny, ustawiony, wolny...

- Nie mogę tego zrobić Terry'emu - mówi Amy, oburzona.

Mam ochotę walnąć głową w lustro.

- Amy, jesteś beznadziejna. Obie jesteście beznadziejne. Tracimy czas na żonatych facetów, którzy nas okłamują i zwodzą, a przywoitych, wolnych chłopaków porywają dziewczyny, które mają na tyle oleju w głowie, żeby rozpoznać sensownego partnera, kiedy się pojawia na ich drodze.

- Terry nie jest taki...

- Oczywiście, kurna, że jest. Oni wszyscy tacy są. - Wyłączam suszarkę do rąk. - Ja po prostu nie mogę pojąć, dlaczego Nick nie zostawi tej swojej. Widziałaś, jaka jest stara? Musi mieć pod czterdziestkę, co najmniej. Co on w niej widzi, skoro może być ze mną? Na pewno chodzi o dzieci. Jestem pewna, że gdyby nie one, toby ją zostawił. Właściwie prawie mi to powiedział.

Amy starannie nakłada szminkę i przyciska wargi, żeby się wymieszalo.

- A ja myślę, że Terry niedługo zostawi swoją. Obiecał mi, że do końca lata...

- Może powinnam postawić Nickowi ultimatum? - zastanawiam się na głos.

- Wykluczone. Poczuję się osaczony i wybierze ją, bo tak będzie bezpieczniej. Musisz poczekać, aż będzie gotowy, żeby wykonać ruch.

- Ale jak długo? To się może ciągnąć latami - wzdycham. - Jakiś czas temu włożyłam mu szminkę do kieszeni kurtki. Myślałam... bo ja wiem... że może to trochę przyspieszy bieg spraw. Ona ją znalazła, a mimo to nadal są razem: udało mu się jakoś wykręcić.

- Najwyraźniej nie wie o tobie. Widziałaś, jaka była dla ciebie miła?

Z kabiny dla niepełnosprawnych dochodzi jakiś szmer. Podskakujemy: żadna z nas nie zdawała sobie sprawy, że ktoś tam jest. Jasny gwint, mam nadzieję, że ten ktoś nie słyszał, co mówiłyśmy? Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to żeby powtórzono to jego żonie. Nick by się wściekł.

W tym momencie drzwi się otwierają i do łazienki wtyka głowę Emma.

- Chodźcie szybko - mówi drżącym głosem. - Był wypadek na schodach. Pan Lyon.

Malinche

Patrzemy na siebie z Trace'em z przeciwległych stron misternie rzeźbionego podwójnego łoża. Kręci mi się w głowie; nie wiem, czy to od znakomitego wina, które wypiliśmy przy kolacji pod naszą *polenta pasticciata eon le acciughe* - strasznie lubię anchois, choć nie jadam ich zbyt często - czy od czegoś zupełnie innego.

- Cora i Ben nie przyjechali, prawda? - pytam.

Uśmiecha się z zakłopotaniem i wzrusza ramionami.

- I nie mieli zamiaru przyjeżdżać?

- Zaszli się w łóżku w Bath i mają w nosie cały świat - przyznaje Trace bez mrugnięcia okiem.

Padam na adamaszkową narzutę.

- Och, Trace... Coś ty sobie właściwie myślał?

- Znasz odpowiedź - mówi, obchodząc łóżko dookoła. - Mal, nie udawajmy... Nie powiesz mi, że ty też tego nie czujesz. Za każdym razem, kiedy znajdę się półtora metra od ciebie, czuję się, jakbym znowu miał dwadzieścia dwa lata. Całkiem jakby złote rybki stepowały mi w żyłach... Dla mnie nic się nie zmieniło. Możesz mi spojrzeć w oczy i powiedzieć, że nie czujesz tego samego?

Nie ośmielam się w ogóle na niego spojrzeć. Tak się boję siebie samej, że ledwie odważam się oddychać.

Wiedziałam, że tak się to skończy, od chwili kiedy Córa i Ben nie pokazali się dziś rano na lotnisku - „Jakiś kryzys w knajpie - powiedział beztrzęsio Trace - dołączą do nas jutro” - a ja lekkomyślnie zdecydowa-

łam się mimo to lecieć. A może wiedziałam już wtedy, kiedy zapłacił za moją miniowe od Max Mary; to takie intymne kupować kobiecie szmatki. I znowu dziś na Via Condotti, ta śliczna suknia w kolorze palonej umbry w witrynie u Armaniego... Przystanąłam, żeby popatrzeć, jestem kobietą, to był zwykły odruch; absolutnie nie chodziło mi o to, żeby Trace mi ją kupił!

Później usiedliśmy przy chromowanym stoliku w bistro przy placu Hiszpańskim i zamówiliśmy półmisek smakowitych *antipasti vegetale*. Potwornie droga sukienka w dyskretnej kremowej torbie spoczywała obok na krześle.

- Będziesz ją musiał odnieść - powiedziałam, wbijając widelec w kawałek *carciofi alla provenzale*. - Mmm... próbowałeś tego?

Trace otworzył lśniącą torebkę i wyjął paragon. Przedał go na pół, potem na czworo i skrawki papieru spływały, wirując, na bruk.

- Teraz już nie mogę jej zwrócić. Będziesz musiała ją nosić, wyglądając ołsniewająco i myśleć przy tym o mnie.

- To właśnie cały problem - westchnęłam.

- Nie rozumiem, dlaczego.

Wybrałam pomiędzy jarzyn kawałeczek *prosciutto*.

- Trace, jesteś czasem po prostu niemożliwy. Jestem mężatką, nie mogę nosić rzeczy, które kupił mi inny mężczyzna. To... to...

- Niewłaściwe? Niestosowne? Nie na miejscu?

- Tak - powiedziałam, na poły ubawiona, na poły zła. - Właśnie tak.

- Jezu! - wykrzyknął Trace. - Te kobiety... Dlaczego wy wszystko tak komplikujecie, do cholery? Widzisz sukienkę, która ci się podoba, uważasz, że nie możesz sobie na nią pozwolić, i faktycznie nie kupujesz, jasny gwint; czy Nicholas wie, że jesteś pod tym względem absolutnym wyjątkiem? No więc ja ci ją kupuję, bo chcę i mogę. Dlaczego nie możesz tego traktować właśnie tak, po prostu?

Zirytowany, przecesał dłonią gęstą czarną czuprynę, a T-shirt uniół się przy tym, odsłaniając parę centymetrów twardego, opalonego brzucha. Serca wszystkich kobiet na placyku zatrzymały się na moment, włącznie z moim.

Kelner wymienił przerzedzony półmisek grillowanych bakłażanów, papryki i szparagów na miszkę *fagiolini alparmigiano*. Wzięłam łyżkę do ust - niebo w gębie! - i czekałam.

- To tak jak z kolorami - powiedział Trace, wbijając widelec w *crochette di cavolfwre*. - Mężczyźni widzą tylko szesnaście kolorów, tak jak ustawienia domyślne w Windowsie. Brzoskwinia to dla faceta owoc, nie kolor. Pistacja to orzech. Bakłażan to warzywo. Większość z nas nie ma pojęcia, co to jest kolor lawendowy. - Schrugał surową różyczkę kalafiora i przywodził następną. - Wy wszystkie mówicie innym językiem. Nigdy, psiakrew, nie odpowiecie wprost na pytanie. Pytamy, czy coś jest nie tak, a wy odpowiadacie: nie, skąd; no więc, wybacz nam tę bezmyślność, uznajemy, że wszystko jest okej, i w ten sposób psujemy cały wieczór.

- Próbowałeś tych koktajlowych pomidorków? - spytałam niewinnie. Trace nie pozwolił się zbić z tropu.

- To, co się powiedziało pół roku temu, powinno być niedopuszczalne jako argument w sporze. Każdy komentarz powinien się automatycznie dezaktualizować po siedmiu dniach.

- W takim razie czekam tydzień i zwracam sukienkę - odparłam stanowczo. - A teraz, Trace, jeśli skończyłeś... Co z Córą i Benem? Kiedy...

- Kiedy ktoś cię kocha - przerwał mi i odłożywszy widelec, powiódł palcem po moich wargach - wymawia twoje imię inaczej. Wiedziałaś o tym?

I w jednej chwili swobodna przyjacielska relacja, którą tak starannie pielęgnowaliśmy przez ostatnich parę miesięcy, zniknęła jak zdmuchnięta.

Jeśli dwoje ludzi kochało się tak jak my z Trace'em i to uczucie zostało nagle przerwane we wczesnym stadium, jeśli nigdy nie miało szansy, żeby dojrzeć i zmienić się w inny rodzaj miłości, łagodniejszy, mniej skondensowany, jaki odnajdujemy w małżeństwie, stonowany przez codzienną bliskość i upływ czasu... jeśli więc dwoje ludzi kochało się w ten sposób, to czy można spotkać się po latach i czuć do siebie coś innego niż właśnie to?

Po lunchu włączyliśmy się po Wiecznym Mieście, tak jakbyśmy byli parą beztroskich turystów, niczym więcej. Podziwialiśmy ulicznych artystów na Piazza Navona, wrzucaliśmy monety do fontanny di Trevi i gapiliśmy się w zachwycie na cuda Forum Romanum. Jedliśmy gorące kasztany z ulicznego stoiska, kupiliśmy małe skórzane torebki dla dziewczynek, popiliśmy wykwintną kolację butelką odświeżającej grap-

py i rozmawialiśmy o wszystkim z wyjątkiem tego jednego, o czym oboje myśleliśmy bez przerwy: co będzie dalej?

Misternie rzeźbione łóżko skrzypi. Wstaję, odwracam się i wyglądam zmiętą narzutę. Muszę znaleźć dla nas bezpieczną ścieżkę przez to pole minowe nostalgii i niedokończonych spraw. Muszę zachować trzeźwą głowę, choć podniecenie skręca mi wnętrzności, bo młodzieńcza miłość jest jak trucizna, uzależnia niczym narkotyki; a to jest właśnie stadium, w jakim byliśmy, w jakim nadal jesteśmy, ogień pomiędzy nami przetrwał te wszystkie lata jak mucha uwięziona w bursztynie. Ale to nie jest prawdziwe. Muszę wciąż to sobie powtarzać. Nic z tego nie jest prawdziwe. Choćby nie wiem jak żywe i oszałamiające się wydawało.

Trace zapomina, że nie jesteśmy już parą nieodpowiedzialnych nastolatków. Decyzje, jakie podejmujemy, błędy, jakie popełniamy, mają wpływ na życie innych osób. A więc...

- Wstawaj, głuptasie - rzucam żartobliwie, celowo unikając traktowania go serio. - Za późno już przykłękać na kolano.

Twarz mu mierzchnie.

- A gdybym cię poprosił, żebyś za mnie wyszła, zanim... no wiesz, dawniej?

- Nie, Trace - odpowiadam cicho. - To nie było to.

Wstaje i otwiera drzwi do ogrodu na dachu. Wychodzę za nim na taras. Stoimy obok siebie, nie dotykając się nawzajem, i wpatrujemy się w rozgwieżdżone niebo nad dachami Rzymu. Jak inaczej pachnie tu powietrze: wielkim miastem, owszem, ale gdzieś na dnie snują się mocne nuty pieczonych kasztanów, cytryn, mimozy, bugenwilli i damskich perfum. Łatwo się zapomnieć o północy na tarasie, w obcym kraju, z mężczyzną, który wciąż potrafi sprawić, że twoja dusza śpiewa.

- Postawiłeś mnie w niezręcznej sytuacji, wiesz o tym - mówię. - Nie mogę zostać z tobą w Rzymie sam na sam. A tym bardziej w jednym pokoju.

- Możesz.

Oddycham głęboko.

- Tak, mogę. Ale oboje wiemy, że to by był wielki błąd. To, co się zdarzyło trzynaście lat temu... to już przeszłość, Trace. Nie możemy do niej wrócić. Zbyt wielu ludzi by to zraniło; ludzi, na których mi bardzo zależy. Nie możemy budować szczęścia na cudzym nieszczęściu.

Odwraca się w moją stronę.

- A ja? Ja mogę być nieszczęśliwy? - rzuca gorączkowo. - Powiedz mi, że mnie już nie kochasz, a nigdy więcej o tym nie wspomnę. Będę najlepszym, najbardziej lojalnym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała zamężna kobieta. Powiedz to, Malinche, a przysięgam, nigdy więcej o nic cię nie poproszę.

- Kocham Nicholasa - mówię.

- Bardziej niż mnie?

Jest naprawdę szalenie przystojny. Wysoki, szczupły, po prostu nieodparty w tych wyblakłych dżinsach, T-shircie, na bosaka - słowo daję, powinien śmigać na desce w górach Colorado... I ta smoliście czarna czupryna, odgarnięta z czoła i ujawniająca zatoczkę w kształcie litery V; i jeszcze te niesamowite orzechowe oczy, ozdobione rzęsami, jakich nie ma prawa mieć mężczyzna.

- Kocham Nicholasa - szepczę.

Podchodzi bliżej.

- W takim razie czemu płaczesz? — pyta cicho.

Nasze spojrzenia spotykają się i połączone zawisają w powietrzu, jak kropla rosy na żdźble trawy. Jego zapach - cedru, rumu z cynamonem i świeżo wypranej bielizny - owiewa mnie niczym wonny dym z jeziennego ogniska.

Drzę. A w następnym momencie Trace ujmuję moją twarz w dłonie i zbliża usta do moich. Jego pocałunek jest tak dobrze znany, a zarazem taki inny. Smakuje chłodem i miętą, jest słodki jak miód. Czuję na brodzie jego szorstki zarost, a na policzkach stwardniałą skórę jego kciuków. Dłoń sama obejmuje go za kark i wplątuje mu się we włosy, a on bierze mnie na ręce i nie przerywając pocałunku, który przemawia do każdej komórki mego ciała, niesie z powrotem do sypialni i kładzie delikatnie na adamaszkowej narzucie, i zaczyna mi rozpinać sukienkę, a ja czuję, że lata bez niego to była zdrada i że to, co dzieje się teraz, jest jedynie słuszne, że tak właśnie miało być...

Teraz już nie mogę zostać w Rzymie. Dzwonię więc do Nicholasa i tłumaczę, że nie wzięliśmy z Trace'em pod uwagę faktu, że w Wielkanoc ten katolicki kraj jest zamknięty na cztery spusty, z wyjątkiem, rzecz jasna, tych jego fragmentów, które zajmują się oskubywaniem z pienię-

dzy hord wygłodniałych turystów. Mówię, że wracam jutro po południu, co Nicholas przyjmuje do wiadomości bez komentarza; prawdopodobnie zdziwiło by mnie to, gdybym nie była tak pochłonięta własnym potwornym poczuciem winy.

Które jeszcze wzrasta, gdy tydzień później Nicholas - po raz pierwszy, odkąd jesteśmy małżeństwem - organizuje dla mnie przyjęcie urodzinowe. I nawet zaprasza Kita, co musiało być dla niego dość bolesne.

Urodziny dorosłych nigdy nie były uroczyste obchodzone w naszym domu, Nicholas bowiem należy do tej części populacji (przeważnie płci męskiej), która uważa, że to wiele hałasu o nic. Co stanowi pewne rozczarowanie dla drugiej połowy (przeważnie płci żeńskiej), która uważa, że faks czy nowy odkurzacz nie jest właściwą formą uczczenia faktu, że człowiekowi o krok bliżej do czterdziestki.

Kiedy zasiadamy wszyscy do kolacji - którą, o dziwo, zabronił mi przygotowywać - wręcza mi płaskie kartonowe pudełko.

- Och, Nicholas! - wykrzykuje, wyjmując sznur ślicznych, ręcznie robionych paciorków z weneckiego szkła. - To najpiękniejszy prezent, jaki od ciebie kiedykolwiek dostałam!

Zapinając zameczek naszyjnika, delikatnie całuje mnie w policzek. Nie, naprawdę nie mogę się uskarżać, że mnie zaniedbywał. Od czasów miesiąca miodowego nie był dla mnie tak czuły.

Co tylko potęguje moje poczucie winy.

- No, Evie - szepczę, gdy Nicholas podchodzi do stołu, żeby pokroić pieczeń. - Dziś twoja kolej odmówić modlitwę przed jedzeniem.

- Kiedy ja nie wiem, co powiedzieć - szepce Evie.

- Phi! - prycha Sophie. - Przecież w każdą niedzielę jest to samo.

- Powiedz to, co ja zawsze mówię, kochanie - zachęcam.

Evie pochyla głowę.

- Boże - intonuje z powagą - po co ja, do jasnej Anielki, zaprosiłam tych wszystkich cholernych gości na kolację?

- To wcale nie było śmieszne - mówię do Kita jakiś czas później, kiedy pomaga mi zmywać; Nicholas pojechał z rodzicami na stację, skąd złapią pociąg do Esher. - Wiem, że ty i Louise świetnie się ubawiliście, ale rodzice Nicholasa na pewno nie przyjmą zaproszenia przez najbliższe pięć lat.

- Mogę sobie wyobrazić...

- Csss! Dzieci usłyszą.

Kit jest potwornie niedyskretny; dreszcz mnie przechodzi, gdy pomyślę, co dziewczynki mogą podsłuchać, gdy on jest w pobliżu.

- Mamo? - pyta Sophie. - Kiedy jest właściwa pora na wyjście za męża?

Jestem zadowolona ze zmiany tematu. Wkładam mosiężny rondel do pełnej bąbelków wody.

- Nie wiem, kochanie. A czemu pytasz?

- Bo Evie mówi, że ona w ogóle nie zamierza wyjść za męża. Mówi, że jak się jest mężatką, to trzeba się całować z chłopakami. Mamo, a kiedy można się całować z chłopakiem?

Kiedy mąż nie widzi, przemyka mi przez myśl.

- Kiedy jest bogaty i przystojny jak diabli - odpowiada Kit, zerkając na mnie znad zlewu.

- Musisz najpierw z tym chłopcem pochodzić przez jakiś czas na randki, Sophie - wyjaśniam, wymierzając Kitowi szturchańca w żebro. - Randki są po to, żeby się zabawić i żeby ludzie mogli się lepiej poznać.

- Na pierwszej randce ludzie opowiadają sobie różne kłamstwa i dzięki temu interesują się sobą na tyle, żeby przyjść na drugą - wyrokuje Evie. - Nawet chłopcy mają coś ciekawego do powiedzenia, jeśli się wystarczająco długo słucha.

Usiłuję zachować powagę.

- Niekoniecznie kłamstwa, Evie...

- A tatuś wolałby nie być żonaty - rzuca Sophie, zbierając resztki kremu z talerza po urodzinowym torcie. - Słyszałam, jak rozmawiał wczoraj przez telefon; powiedział, że wszystko by było inaczej, gdyby nie był żonaty.

Czuję ucisk w piersi. Na pewno rozmawiał z Gilesem: typowe męskie pogaduszki, biedni chłopcy skarżą się na żony, te rzeczy. A jednak nie wiadomo dlaczego w głowie pojawia mi się obraz szminki w złotej oprawce, którą znalazłam w kieszeni Nicholasa miesiąc temu. Podniósł ją w pracy na korytarzu, tak mi powiedział. A ja mu oczywiście wierzę. Ten okropny ucisk w piersi to przez to, co ja zrobiłam, nie on.

- Nie rozumiem, skąd to twoje poczucie winy - zrzędzi Kit, gdy zagoniwszy dziewczynki na górę do łóżek, stoimy w progu kuchennych drzwi i rozkoszujemy się szybkim dymkiem. - Przecież nie zrobiłaś nic takiego.

- Jak to? Przecież całowałam się z innym mężczyzną! A co gorsza, podobało mi się to... i to bardzo, jeśli już chcesz znać prawdę.

- Gdyby to miało być kryterium zdrady, nie ostałoby się ani jedno małżeństwo. W każdym razie niewiele. Czuć pokusę to nie przestępstwo. - Patrzy, jak gaszę niedopałek, i starannie zawija go w kawałek aluminiowej folii. - Mój ty słodki romantyczny dzieciaku, czy ty naprawdę sądziłaś, że dotrwasz do złotych godów bez paru małych skoków w bok?

- Nicholas nie robi skoków w bok - mówię.

- Głuptasie - karci mnie dobrotliwie - przecież nie poszłaś z facetem do łóżka, prawda? Koniec końców powiedziałaś nie, jak przystało na grzeczną małą dziewczynkę, którą jesteś, i nikomu nic złego się nie stało. Chociaż, skoro masz zamiar dalej tak to przeżywać, to lepiej było zapomnieć o skrupułach i się z nim bzyknąć. Przynajmniej miałabyś powód, żeby się zadreć.

- I o mało co tego nie zrobiłam - przyznaję. - Och, Kit, nawet sobie nie wyobrażasz, jaką miałam ochotę...

- Co ty powiesz - parska.

- Całowaliśmy się i całowali, i to było takie wspaniałe, a potem w ostatniej chwili on przestał i spytał, czy jestem pewna, a ja oczywiście nie byłam, i on był strasznie miły, powiedział, że nie ma sprawy, że rozumie, że nie chce mnie wciągać w nic, czego sama naprawdę nie chcę...

Kit wypuszcza ze świstem powietrze.

- Dobry jest.

- O tak, był bardzo dobry - mówię, udając, że zrozumiałam go inaczej. - Spał na sofie... było za późno, żeby zamawiać drugi pokój... A potem odwiedził mnie rano na lotnisko i... i...

Nagle miarka się przebiera. Wbiegam do kuchni, rzucam się na sofę i szlocham jak dziecko, kryjąc twarz w dłoniach.

Kit siada obok mnie i głaszcze mnie po plecach.

- Nie płacz, najdroższa. Przecież nic się nie stało. To tylko głupi pocałunek, wszystko będzie dobrze, zobaczysz...

Podnoszę głowę.

- Ale ja miałam ochotę z nim przespać, Kit, czy ty naprawdę nie rozumiesz? To przecież nieważne, czy to zrobiłam, czy nie. Chciałam pójść z Tracem do łóżka i to jest tak samo zle, jakbym to zrobiła. Nie,

nawet gorsze... Bo gdyby to była przygoda bez znaczenia, o której rano byśmy zapomnieli, byłoby to tylko fizyczne, a ja zdradziłam Nicholasa uczuciowo. Popełniłam cudzołóstwo, bo miałam zamiar je popełnić. To, czy się naprawdę kochaliśmy, czy nie, jest bez znaczenia.

- Bzdura - mówi Kit. - Jeśli naprawdę wierzysz w to, co mówisz, to dlaczego się z nim jednak nie bzyknęłaś?

W odpowiedzi tylko głośno pociągam nosem. Kit podaje mi chusteczkę.

- Nie wsadza się ludzi do więzienia za to, że myślą o obrabowaniu banku. Właśnie takie bezsensowne samobiczowanie się powoduje, że ten cholerny Kościół wciąż sprawuje rząd dusz. Nie zdradziłaś męża. Myślałaś o tym, całowałaś się z Trace'em, ale potem się wycofałaś.

- Ale...

- Malinche, daj już sobie spokój. Gorsze rzeczy się zdarzają. Postaraj się tylko nie nazywać męża w łóżku Trace; mógłby się okazać nie tak wyrozumiały jak ty w podobnej sytuacji...

W tym momencie do kuchni wchodzi Nicholas we własnej osobie.

- Chyba udało mi się pokazać im zabawną stronę tego wszystkiego po drodze na stację - mówi, zrzucając kurtkę. - Nie jestem pewien, czy matka nam wybaczyła, ale jeśli obiecamy... - urywa z jedną ręką w rękawie i wpatruje się w moją zaczerwienioną twarz ze śladami łez. - Malinche... O co chodzi? Coś się stało?

- Małe spięcie z Louise - mówi pogodnie Kit. - Do rana na pewno im przejdzie.

Nicholas marszczy brwi.

- Wszystko było w porządku, jak wyjeżdżałem.

Czuję się okropnie. Och, co za splątana sieć tkamy... Nienawidzę go okłamywać; jednak kłamstwa narastają, wymykają się spod kontroli, każde rozrasta się i wypuszcza dwa kolejne, jak mityczna hydra.

- Mal?

- Nic takiego - zapewniam. - Do rana będzie po wszystkim.

- Mam nadzieję - mówi Nicholas, wieszając kurtkę. - W przyszłym tygodniu jest przyjęcie w Towarzystwie Prawniczym. Louise obiecała, że zostanie z dziećmi, skoro Kit ma być w Nowym Jorku. Głupio by było, gdybyś się nie pokazała, Will Fisher specjalnie o ciebie pytał. A po tym całym zamieszaniu z kupowaniem jego udziałów wolałbym, żebyś przyszła.

- Jest pani jedną z niewielu kobiet, którym mogę zaufać, kiedy znajdą się w promieniu trzech metrów od mojego męża - mówi do mnie Meg Fisher. - Proszę tylko na niego spojrzeć. Pszczoła przy garnku z miodem.

Obie patrzymy, jak Will o mało co nie wpełźnie do przedziałka dziewczynie w błękitnej sukni z dekoltem odsłaniającym połowę biustu. Strasznie współczuję Meg. Czy ten Will nie ma wstydu? Żeby tak traktować, i to na oczach wszystkich, lojalną żonę, z którą żyje od dwudziestu pięciu lat? A jednak pod każdym innym względem da się lubić, naprawdę.

- To tylko taka sztuka dla sztuki, bez znaczenia - mówię pocieszająco.

Meg wzdycha.

- Pani to ma szczęście z Nicholasem.

Zerkam na mojego męża, który rozmawia z Sarą o jakichś nudnych służbowych sprawach. Wiem, że Nicholas chce dziś dopaść Willa i obgadać z nim sprawę *jego* dalszego udziału w *interesach firmy*; to znakomita okazja, żeby odciągnąć starego łobuza od ponętnej towarzyski.

- Jak to miło, że znów się widzimy, pani Lyon - mówi z ożywieniem Sara, kiedy do nich podchodzę. - Jaka śliczna sukienka!

Żar uderza mi na policzki. Kit powiedział, że głupio byłoby nie nosić tej sukni tylko dlatego, że kupił ją Trace, skoro tak mi w niej do twarzy; ale ja czuję się, jakbym miała na niej wyhaftowane wielkie czerwone Z, od Zdrada.

- Nie sądzi pani, że jest trochę zanadto... no, pomarańczowa? - odpowiadam. - Byłam niedawno w Rzymie... Włoszki noszą takie śmiałe kolory, ale cóż, światło jest tam zupełnie inne, jakby lśniące... tutaj to wygląda całkiem inaczej. - Wyglądam spódnicę dłońmi. - Wyglądam w niej jak nasturcja-gigant. Rzym *to* fantastyczne miasto, ale niech pani nigdy nie jedzie tam na Wielkanoc; po prostu pęka od turystów, nie mam pojęcia, co ja sobie właściwie myślałam...

Oszło mi na twarzy Sary zdradza, co ona sobie myśli, i nie mogę mieć jej tego za złe. Dostałam słówotoku. Nawet Nicholas patrzy na mnie dziwnie.

- Nicholas podarował mi w zeszłym tygodniu na urodziny ten naszyjnik - ciągnę w desperackim dążeniu, żeby zejść z tematu sukienki od Trace'a. - Szkło weneckie. To antyk... szalenie ekstrawagancki gest

z jego strony. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam, ale najwyraźniej będę musiała robić to nadal, nie mam wyjścia.

O Boże... Nicholas nie cierpi, kiedy rozmawiam na tematy osobiste, a i Sara wydaje się zakłopotana moją paplaniną.

Czuję ostry dyskomfort, tak jakbym przez pomyłkę trafiła do innej klasy. Od lat chodzę z Nicholasem na te przyjęcia, znam tu prawie wszystkich. Mimo to ogarnia mnie wrażenie, że nie jestem stąd, że to nie moje miejsce, całkiem jakbym była wyjęta z wody rybą. Co za okropne uczucie...

Paplam dalej, żeby zagadać ciszę.

- Bardzo lubię te coroczne przyjęcia w Towarzystwie Prawniczym, a pani? To takie fajne, spotkać się ze wszystkimi. O, patrz, Nicholas, Will Fisher rozmawia z jakąś ślicznotką w błękitach; co za niezwykła sukienka, dosłownie zaprzecza prawu powszechnego ciężenia, aż dziw, że nie uleciała. Ale z niego szelma, biedna ta jego żona... - Biorę go pod rękę, udając, że nie zauważam, jak sztywnieje. - Idziemy, kochanie, musimy go uratować przed nim samym, zanim wpełźnie dziewczynie do przedziałka. Przepadłby na parę tygodni.

Will Fisher posłusznie przestaje obmacywać młodą damę; w zamian za to próbuje ustalić, czy nie udałoby się dojrzeć moich brodawek przez cienką tkaninę sukni.

Nicholas rozmawia z nim na temat udziałów, a on kładzie pulchną dłoń na mojej pupie. Powstrzymuję odruch, żeby w odwecie złapać go za kutaska.

Wiem już od Meg, że Will nie planuje powrotu do pracy, czego obawia się Nicholas; jedynym powodem, dla którego nie przekazał jeszcze formalnie swoich udziałów, jest fakt, że wówczas nie mógłby uczestniczyć w takich przyjęciach jak dzisiejsze. Jeśli wspólnicy zaproponują mu jakąś synekurę, dzięki której zachowa przywileje towarzyskie, przekaże je bez mrugnięcia okiem.

- Chwała Bogu - mówi Nicholas, kiedy wyjaśniam mu to później. - Myślałem, że stary drań nigdy nie przestanie ścisnąć nas za jaja.

- On po prostu nie chce, żeby mu odcięto dostęp do piaskownicy i foremek. Jak porozmawiasz z Davidem i Joan, na pewno... o cholera! Jak ja nie cierpię biustonoszy bez ramiączek... Muszę wpaść do kibelka

i poprawić stanik, bo inaczej biust mi wypadnie i Will Fisher będzie miał używanie.

- Dobra, tylko szybko. Za chwilę zaczyna się kolacja.

Biegnę do toalety. Zwykłe kabiny są za ciasne, żebym mogła swobodnie zdjąć sukienkę i poprawić stanik, więc wślizguję się do kabiny dla niepełnosprawnych- czy wolno jeszcze używać określenia „niepełnosprawni”? Czy nie powinno być raczej napisane „dla sprawnych inaczej” albo „dla tych, co muszą stawić czoło dodatkowym wyzwaniom”? — i modłę się w duchu, żeby przez pięć minut nie pojawił się ktoś na wózku inwalidzkim.

Gdy zwijam się w precel, usiłując odpiąć stanik, do toalety wchodzi dwie dziewczyny i zaczynają paplać. Z początku nie słyszę, co mówią, bo zagłusza je plusk płynącej z kranu wody, a potem szum suszarki do rąk. Ale po chwili suszarka się wyłącza i poznaję głos Sary.

Która mówi o moim mężu.

Wypadek Nicholasa uratował nasze małżeństwo; przynajmniej na razie. Choć rozpaczliwie usiłuję się nie udławić tym, co podsłuchałam - „Ja po prostu nie mogę pojąć, dlaczego Nick nie zostawi tej swojej” - wiadomość, że mój mąż jest ranny, momentalnie bierze górę nad całą resztą.

Szamoczę się niezdarnie z zamkiem kabiny - „Co on w niej widzi, skoro może być ze mną? Na pewno chodzi o dzieci” - i wybiegam z toalety tuż za Sarą i jej koleżanką. Setki obrazów przelatują mi przez głowę: Nicholas zmiażdżony przez kandelabr; Nicholas skulony na podłodze, trzymający się za serce; Nicholas dławiący się kęsem kanapki.

Nicholas całujący Sarę w te pełne wargi, jego długie nogi splecione z jej opalonymi, jego dłoń na jej bujnej piersi, jego penis...

Na szczycie marmurowych schodów zgromadził się niewielki tłum. Nicholasa - „Jestem pewna, że gdyby nie dzieci, toby ją zostawił. Właściwie prawie mi to powiedział” - dźwiga dwóch mięśniaków w wieczorowych garniturach, którzy zrobili mu siodełko z rąk. Jest błądy, ale śmieje się smętnie z położenia, w jakim się znalazł.

Mój puls zwalnia. A więc nie jest tak źle. Żyje. Nie jest śmiertelnie ranny.

- Skręcone kolano, nic więcej - mówi jeden z mężczyzn, gdy ostrożnie sadzają Nicholasa w fotelu, który ktoś przytasczył z sali sądowej. - Pośliznął się na schodach. Za chwilę będzie bolało jak diabli, ale nie jest tak źle, jak wygląda.

- Już boli, skoro o tym mowa - mówi z wysiłkiem Nicholas.

- Ale co to było? - pyta ktoś. - Skórka od banana? Sprzątaczką zostawiła mopa na schodach?

Przez tłum przebiega szmer śmiechu.

- Niezły dzień sobie wybrali, żeby ich pozwać, co? Przyjęcie w Towarzystwie Prawniczym, psiakrew!

- Wezwać ci taksówkę, stary? - pyta Will Fisher.

- Ależ ja wcale nie wychodzę - mówi Nicholas z nietypową dla siebie jowialnością. - Porządny prawnik nie poddaje się z powodu takiego głupstwa jak skręcone kolano. Dopilnujcie tylko, żeby mi przynieśli kieliszek porto, o nic więcej nie proszę!

Dwaj mężczyźni znów podnoszą Nicholasa wraz z fotelem i niosą do głównej sali. Wygląda to, jakby wierna załoga, dowcipkując, śmiejąc się i pokpiwając, dźwigała na ramionach rannego herosa.

Kit miał rację. Chcieć się z kimś przespać to całkiem co innego niż przespać się naprawdę. Teraz to widzę.

Udaje mi się zachować pogodę ducha aż do końca przyjęcia. Podczas pierwszego dania rozmawiam z mężczyzną po lewej stronie, podczas drugiego - z tym po prawej. Przyjmuję komplementy, jakie mi mówią, i odwzajemniam je. Śmieję się ze wszystkimi, kiedy znoszą Nicholasa niczym cesarza na dół i ostrożnie umieszczają w taksówce. Nie rzucam się na Sarę i nie wydrapuję jej oczu, gdy nachyla się ku niemu i życzy mu zdrowia, chociaż mam na to straszną ochotę.

Moment konfrontacji z Nicholasem minął, gdy padły słowa „był wypadek na schodach”. I choć uraz okazał się niegroźny, znacznie bliższy niż Nicholas zasługiwał, stworzył dystans czasowy, który wystarczył, żeby rozjaśniło mi się w głowie. Nie powiedziałam więc mojemu niewiernemu mężowi ani słowa; a teraz muszę się zastanowić, co chcę mu powiedzieć i czy w ogóle chcę.

Zdaję sobie sprawę, że wkrótce zaleje mnie ból i gniew, ale na razie jestem jak człowiek, któremu amputowano nogę: wpatruje się w kikut

i nie czuje nic, chociaż wie, że powinno boleć, i to tak, jak nigdy dotąd w całym jego życiu.

Nicholas nie dostrzega mojego niezwykłego spokoju, kiedy jedziemy pociągiem do domu. Dlaczego miałyby dostrzegać? W głowie ma obraz swojej ponętnej młodej kochanki, jej sprężystego, niezniszczonego przez ciążę i karmienie ciała, jej mocnych ramion, nieobarczonych ciężarem wychowywania dzieci i prowadzenia domu.

A ja byłam dla niej taka miła, próbowałam ją ośmielić... Jak mogła patrzeć mi w oczy i prowadzić uprzejmą towarzyską konwersację, gdy cały czas...

W milczeniu pomagam Nicholasowi dobrnąć do domu; choć z dala od znajomych i przyjaciół radzi sobie całkiem nieźle, kuśtyka ścieżką ogrodową z zaskakującą energią. W milczeniu robimy sobie dylemat, czy uchylić się od pocałunku na dobranoc, gdyż on wcale się do niego nie kwapi. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że już od jakiegoś czasu Nicholas nie całuje mnie na dobranoc, chociaż zwykł to robić przez całe dziesięć lat naszego małżeństwa. Dziwne, że nie zauważyłam tego wcześniej. Czy właśnie wtedy, gdy zaczął się jego romans, ustały wieczorne pocałunki?

Nicholas kładzie się po swojej stronie łóżka plecami do mnie i po chwili zasypia. Ja leżę z szeroko otwartymi oczami i przewijam w pamięci taśmę z naszych dziesięciu lat wspólnego życia, szukając sygnałów tego romansu. Oddzielam dobre wspomnienia od złych, za od przeciw. Wyraz jego oczu, kiedy wziął w ramiona Sophie, jeszcze śliska od śluzu i krwi. Pieszą wędrowkę po Oksfordshire pięć lat temu, kiedy rozwścieczony łabędź zapędził nas, ryczących ze śmiechu, do rzeki. Siłę, z jaką ścisnął mnie za ramiona, kiedy na tydzień przed drugimi urodzinami Evie czekaliśmy w szpitalu na badanie, bo podejrzewano u niej zapalenie opon mózgowych. Dwudziestopięcioletnią dziewczynę, z którą poszedł do łóżka i której składał Bóg wie jakie obietnice, a potem wracał do mnie.

Kiedy to się zaczęło? Jakie jest nasze ostatnie prawdziwe wspomnienie, zanim zaczęły się kłamstwa? Czy były jakieś inne przygody, jeszcze przed nią? Czy on mnie nadal kocha?

Czy zamierza ze mną zostać?

Gdy świt wkrada się do sypialni, mam przed sobą dwa stosy wspomnień: powody, żeby zostać z Nicholasem, i powody, żeby odejść.

Pierwszy stos góruje nad drugim, bo pośród innych faktów zawiera ten, wobec którego bledną i nikną pozostałe: mimo wszystko nadal go Kocham.

Dni sączą się powoli jak krew z rany, długie, męczące. Wieczorem kładę się bez sił, czytam coś przez chwilę, po czym zapadam w ciężką, płytką drzemkę albo rzucam się bezsenne przez pół nocy i budzę na długo przed świtem. I wciąż nic nie mówię.

Błogosławione odrętwienie nie może trwać wiecznie. Kiedy przychodzi ból, jest tak upiorny, że najchętniej przestałabym istnieć. Potem oślepia mnie wściekłość. Na Nicholasa, że okazał się taki słaby, i na siebie samą, że do tego dopuściłam.

Jak mogłam nic nie zauważyć? Wprawdzie mawia się, że żona zawsze dowiaduje się ostatnia, ale mimo wszystko. Jaką ja byłam idiotką... Ta cholerna szminka na przykład. Gdyby Nicholas zainstalował w ogrodzie neonowy billboard z napisem „mam romans”, nie mogłby powiedzieć tego bardziej przejrzyście.

Albo walentynki. Jak oni musieli wyśmiewać się ze mnie później w łóżku... Z głupiej żony, która uwierzyła w opowieści o „zbiegu okoliczności”. Ślepej na kłamstwa, bo nie chciała widzieć...

A tamta seksowna bielizna z La Perla i kolczyki do przekłutych uszu? Od początku były nie dla mnie!

Płacząc, ciskam je do kosza; najpierw jedwabny biustonosz i majtki, potem srebrne kolczyki, które grzechoczą jak łyżeczka w szklance. Zatykam uszy. Dlaczego mu wierzyłam, skoro wszystkie oznaki wskazywały...

Bo byłam już w takiej sytuacji. Wtedy też wszystkie oznaki zdawały się jednoznaczne.

Nie mogę widywać się z Trace'em, kiedy jestem taka obolała. Mówię mu, że dziewczynki są chore i w związku z tym nie potrafię nawet myśleć o pracy. Chciałabym pobiec do niego i wypłakać się w jego ramionach, ale powstrzymuję to pragnienie. Przecież wtedy uciekłam do słownie w ostatniej chwili.

Kitowi też nie mogę powiedzieć, co się stało, bo na pewno nie zgodziłby się, żebym biernie czekała; a ja wiem, że biernie czekanie jest tym, co powinnam teraz zrobić.

Nicholas jest specjalistą od rozwodów. Miał do czynienia z setkami rozbitych małżeństw i wie, jak postępować w obliczu kryzysu.

- Kobiety popełniają błąd, reagując przesadnie - powiedział na jakimś przyjęciu, gdzie grał rolę duszy towarzystwa. - Większość mężczyzn wcale nie chce opuszczać żon, dopóki nie zostaną do tego popchnięci. Połowa uroku, jaki ma kochanka, polega na tym, że jest tylko fantazją, niczym więcej. Mężczyźni wcale nie zależy, żeby została jego żoną. Kazać mężowi wybierać - dodał, oglądając pod światło kieliszek porto - to najgorsza rzecz, jaką kobieta może zrobić... zakładając, że chce go zatrzymać, rzecz jasna.

A ja, choć z radością wykastrowałabym mojego męża tępymi nożycami - ledwie mogę na niego patrzeć w tej chwili - chcę go zatrzymać.

Nie jest doskonały; może nie jest nawet mężczyzną, którego kochałabym najbardziej na świecie. Ale jest moim mężem i wierzę, że nasze dzieci powinny dorastać w obecności ojca. Nie rzuciłam go nawet dla Trace'a; i nie zamierzam zrobić tego teraz, tylko dlatego, że jakiejś głupiej dziewczynie Nicholas wpadł w oko.

Ironia sytuacji polega na tym, że aby skutecznie o niego walczyć, nie wolno mi robić nic.

- To wcale nie słabość, Malinche - mówi Louise, zastając mnie kogoś popołudnia we łzach nad mrożoną lazanią.

- Więc nie sądzisz, że powinnam od niego odejść?

- Tego nie powiedziałam - odpowiada - chociaż uważam, że romans wcale nie musi zniszczyć małżeństwa. Seks to tylko seks, zwłaszcza dla mężczyzny. Zostać to nie jest słabość. Ale płaci się za to wysoką cenę. Jak dawno udało ci się przespać całą noc?

- Prawdę mówiąc, nie pamiętam.

- Myślałaś o tym, żeby porozmawiać z tą dziewczyną?

Gapię się na nią osłupiała.

- Nie mogłabym! Co, na Boga, miałabym jej powiedzieć?

- Jak to co? — odbija piłeczkę Louise. - Że twoje małżeństwo nie jest zakończone, więc niech uprzejmie zwróci ci męża.

- Louise, on nie jest piłą, którą dzieci niechący wrzuciły do ogrodu sąsiada! A jeśli pójde i z nią porozmawiam, ona powtórzy wszystko Nicholasowi i wtedy nie będzie odwrotu. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to zmuszać go do wyboru.

- Mógłby wybrać ciebie - zauważa Louise. - Mężczyźni to na ogół tchórze, jak przychodzi co do czego.

- A gdyby nie wybrał mnie? - Udręczona, wybucham płaczem. - Może się w niej zakochał i nie potrafili by zdecydować co dalej? A jakby wybrał ją?

Wiem, że nie odważę się podjąć ryzyka. Muszę czekać i mieć nadzieję, że tamto samo się wypali. Choć boli, boli tak, że ledwie mogę wytrzymać. Ilekroć Nicholas wraca późno z pracy, wiem, że był z nią. Ilekroć odbiera telefon w gabinecie, starannie zamykając za sobą drzwi, wiem, że dzwoni ona.

W ciągu dnia marzę o nadejściu nocy, żeby móc zdjąć z twarzy maskę dzielności; a w bezsenne noce marzę o świecie i uldze codziennej krzątaniny, jaką przyniesie dzień.

Tylko dzięki dzieciom jeszcze nie zwariowałam, robię co mogę, żeby wszystko szło zwykłym trybem, ale to takie trudne... Drobiazgi, na które normalnie nie zwróciłabym uwagi - że Evie zapomniała podlać zioła w skrzynce na oknie, że Sophie wzięła się do prasowania nowej szkolnej bluzki i ją spaliła - doprowadzają mnie do szału. Drę się na córki, a potem do moich licznych braków muszę dodać jeszcze poczucie winy.

Pewnego dnia, kiedy wróciliśmy ze szkoły, Metheny wpada na drzwiczki pieca właśnie w chwili, gdy wyjmuję rondel z zapiekanką, i nasz obiad ląduje na podłodze.

Upewniam się, że Metheny nic się nie stało, po czym wrzeszczę na nią tak strasznie, że przerażona zanosi się od płaczu. Evie i Sophie wpadają do kuchni prosto w stygnącą mieszaninę ziemniaków, mięsa i cebuli. Kiedy krzyczę, żeby się stąd zabierały, uciekają z powrotem do salonu, zostawiając na drogim wełnianym dywanie tłuste ślady stóp.

Padam na krzesło i kryjąc twarz w dłoniach, wybucham łkaniem. Louise miała rację. Nie mogę tak trwać w nieskończoność. To mnie zabija.

Kiedy dzwoni telefon, ignoruję go. Sygnał rozbrzmiewa chyba z tuzin razy, milknie na pół minuty i zaczyna od nowa.

Ze znużeniem - obowiązek wzywa - podnoszę się w końcu i odbieram.

Dzwonią z ostrego dyżuru ze szpitala w Esher. Edward Lyon miał rozległy zawał, a w jego wieku - osiemdziesiąt trzy lata - rokowania nie są dobre. Żona jest przy nim, ale syn powinien też przyjechać jak naj-

szybciej. Pielęgniarka jest na tyle taktowna, że nie dodaje: zanim będzie za późno.

Biedna Daisy. Jak ona sobie poradzi bez Edwarda? Czterdzieści siedem lat razem. Całe życie.

Dzwonię do Nicholasa, ale jest już po piątej i włącza się biurowa sekretarka; najwyraźniej wszyscy już wyszli. Próbuję zadzwonić na komórkę; włącza się poczta głosowa. Czekam dziesięć minut, znowu łączę się z pocztą głosową, po czym dzwonię do Liz.

Gdy tylko przyjeżdża, żeby zabrać dzieci na noc do siebie, łapię pierwsze lepsze buty i jak szalona jadę na stację. Nie mogę karać Nicholasa, odbierając mu szansę na pożegnanie się z ojcem. Bez względu na to, jak mnie zranił, na to nie zasługuje.

Jest za dwadzieścia ósma, kiedy taksówka zatrzymuje się pod jej domem. Daję kierowcy dwadzieścia funtów i proszę, żeby poczekał.

Drzwi klatki schodowej nie są zamknięte, więc idę prosto do jej mieszkania na pierwszym piętrze. Otwiera mi, zawiązując pasek taniego czerwonego szlafroka, i zamiera, a ja mijam ją i idę do sypialni, gdzie mój mąż, nagi do pasa, siedzi na krawędzi rozgrzebanego łóżka. Gdyby nie poważne okoliczności, roześmiałabym się na widok jego ośupiącej twarzy. W pokoju pachnie seksem i dymem, a ja uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie miałam takiej ochoty na papierosa jak w tej chwili.

- Twój ojciec - mówię do Nicholasa - miał rozległy zawał. Na dole czeka taksówka, która cię zawiezie do szpitala. Powiedz Daisy, że przyjadę, jeśli będę jej do czegoś potrzebna. Na tylnym siedzeniu jest torba z twoimi rzeczami. Jeśli będziesz potrzebował czegoś więcej, umówimy się w weekend. Na razie nic nie powiedziałam dzieciom.

Idę chwiejnym krokiem do salonu. I kiedy fala mdłości podchodzi mi do gardła, nie szukam łazienki, tylko w drobnym, ale jakże satysfakcjonującym akcie zemsty pozwalam sobie zwymiotować na wytworną białą sofę jego kochanki.

Nicholas

Otwieram drzwi lodówki i staję oko w oko z dokładnie tą samą rozkładającą się żywnością, którą widziałem rano przed wyjściem.

- Jezu Chryste, Sara! Wydawało mi się, że masz zamiar wybrać się na zakupy!

- Cały dzień byłam w sądzie, mówiłam ci. Kiedy miałam iść na zakupy?

Wyjmuję dwa nadpsute pomidory i coś, co kiedyś było kawałkiem sera, teraz jednak jest wyłącznie hołdem złożonym pamięci Aleksandra Fleminga, i rozglądam się rozpaczliwie za koszem na śmieci. Na próżno, rzecz jasna, bo zamiast tradycyjnego pojemnika Sara woli używać plastikowych toreb z supermarketu, zawieszonych na uchwycie którejś z szafek; wkurza mnie to, zwłaszcza gdy torba jest dziurawa — co często się zdarza - i wszystko wycieka na podłogę. Dziś rano, kiedy sypałem kawę do ekspresu, wdepnąłem w półpłynne resztki chińskiego dania na wynos z wczorajszego wieczora.

Zanim udaje mi się zlokalizować torbę, zgniły pomidor przecieka mi przez palce. Klnę pod nosem i płuczę ręce nad zlewem. Boże święty... Owszem, zdarzyło mi się mieszkać w ten sposób, ale byłem wówczas ubogim studentem Oksfordu!

Sara przykuca w ciasnej przestrzeni między dwoma rzędami szafek.

- Nie musiałeś wyrzucać tego sera, Nick! Zeskrobałabym pleśń.

- I otrułabyś nas oboje.
- Ser to spleśniałe mleko, wszyscy o tym wiedzą. A nie truje.
- Świetnie. - Otwieram na oścież drzwi szafki. - Dałem ci we wtorek dwieście funtów, żebyś poszła do Waitrose, a jedyna rzecz, jaką widzę w tej cholemej szafce, to butelka sosu tabasco i cztery puszki anchois. Co się stało, do diabła?

- Wydałam je - mruczy pod nosem.
- Na co, do pioruna? Na trufle?
- Zostawiłam w domu moją kartę kredytową, a zobaczyłam po drodze te pantofle. Miałam ci zwrócić... - dodaje, kiedy ruszam jak burza do salonu, o mało co nie przewracając się o przekłętą kota. Po co ja jej kupiłem tego zwierzaka, w całym mieszkaniu śmierdzi teraz sikami! Sara bierze nieszczęsną kotkę na ręce i idzie za mną. - Ale nie poszłam jeszcze do bankomatu.

- Cholera jasna, nie chodzi o pieniądze. Po prostu przyjemnie było wrócić do domu i znaleźć coś do jedzenia...

- Nie jestem twoją służącą - rzuca.
- Sara, ja dziś pochowałem ojca!

Wystraszony kot wyrывa się z jej ramion i skacze na podłogę. Sara wiotczeje jak przekłuty balon, a ja po raz kolejny uświadamiam sobie, jak bardzo jest młoda.

Wprowadzenie się do niej to był błąd. Wiedziałem to już w chwili, kiedy rozpakowywałem torbę z rzeczami, którą zostawiła mi w tak-sówce Mal - wszystkie koszule starannie złożone, żeby się nie pognioty - i wcisnąłem je do przeładowanej szafy Sary, wieszając na tanich drucianych ramiączkach. Nie miałem gdzie pójść, chyba że do hotelu; ale koniec końców strona praktyczna była najmniej ważna. Czułem rozpaczliwą potrzebę, żeby ocalić coś z tej żałosnej katastrofy, i to właśnie sprawiło, że zgodziłem się na propozycję Sary. Żeby cierpienie i ból, które spowodowałem, miały jakiś sens.

Jeśli nad tym popracujemy, na pewno będzie lepiej. To po prostu kwestia przystosowania.

- Myślałam, że będzie coś do jedzenia na stypie - mówi Sara, utkwivszy oczy w podłogę. — Liczyłam, że wrócisz i... no wiesz.

- Co?

Wierci palcem od nogi w dywanie jak małe, zakłopotane dziecko.

- Życie i śmierć to dwie strony medalu, rozumiesz... Amy powiedziała, że jak nam ktoś umiera, to tym bardziej pragniemy, żeby triumfowało życie. Ojajku, Nick, czy ja naprawdę muszę to mówić?

Nagle spostrzegam, że ma na sobie kusą szarą spódniczkę, a włosy związane w dwie kitki, jak dziewczynka. Choć w duchu wzdycham nad jej naiwnością, mój ptak ożywa.

- Mężczyzna nie może żyć samym seksem. Aczkolwiek - dodaję - docenią pomysł.

Kłękam przede mną, rozpinam mi spodnie i uwalnia ze slipek mojego ptaka. Za sobą ma niezastłonięte okno, przez które widzę mieszkania w bloku naprzeciwko. Jakaś kobieta ściąga zieloną wełnianą kurtkę. Spogląda w górę i wieszka kurtkę na drzwiach, a ja uświadamiam sobie, że skoro ja widzę ją, to ma miejsce także odwrotna sytuacja. Jest za daleko, żeby dostrzec wyraz jej twarzy, ale gwałtowny ruch, jakim zaciąga zastłony, mówi sam za siebie.

Właściwie to niespecjalnie jestem w nastroju; jednak myśl, że ktoś widzi, jak Sara na klęczkach robi mi łaskę, działa jak afrodyzjak.

Uprzytamniam sobie, że za chwilę dojdę; za szybko. Chwytam ją za ramiona i podnoszę, a potem rzucam na barek. Ściąga bluzkę przez głowę, nie zadając sobie trudu, żeby ją porozpinać, a ja wyłuskuję z koronkowego stanika jej piersi i obejmuję ustami brodawki. Jęczy i wkłada mi ręce pod koszulę. Gryzę ją i szczypię, ona wpija mi się paznokciami w plecy. Zadzieram jej spódniczkę, ściągam majtki i wsuwam w nią dwa palce. Jest wilgotna i śliska; z półprzymkniętymi oczami leży wsparta na łokciach, z rozchyłoną dla mnie cipką.

Smakuję ją, rozkoszując się jej piżmową słodyczą. A potem podnoszę ją, popycham na sofę i wchodzę w nią od tyłu, w zadek.

Słyszę zszokowane „och!”, ale po chwili wahania zaczyna poruszać biodrami do taktu ze mną. Jej ruchy stają się coraz szybsze, moje pchnięcia coraz gwałtowniejsze; sięgam dłońmi do jej piersi, ściskam w palcach brodawki, bynajmniej nie delikatnie...

Eksploduję. Kiedy opadam bez sił na jej złane potem plecy, znowu zerkam przelotnie w okno. Kobieta z naprzeciwka też patrzy prosto na mnie.

- Jasny gwint - stęka Sara, wykręcając się spode mnie. - Możemy się przenieść do sypialni? Ta sofa wciąż cuchnie pawiem.

Trzy tygodnie minęły, zanim umarł mój ojciec. Przeżył rozległy zawał tylko po to, żeby ulec infekcji, która zaczęła się od wklucia wenflonu w żyłę. Przyczyną śmierci, zgodnie z tym, co napisano na świadectwie zgonu, które wręczono mi przy załatwianiu formalności, było ogólne zakażenie, prowadzące do wielostronnego załamania funkcji organizmu.

Nie wiem, czy mogę powiedzieć, że zdażyłem na czas. Jeszcze żył, kiedy przyjechałem, pędząc na złamanie karku, z Londynu, ale był już nieprzytomny i nie dane nam było się pożegnać. Pozostało mi siedzieć bezradnie przy skorupie człowieka, który był moim ojcem, gładzić go po ręce, a od czasu do czasu po policzku, i próbować z nim rozmawiać, tak jakbym wierzył, że mnie słyszy.

Gwoli ścisłości, Edward Lyon nie był moim ojcem, tylko starszym bratem mojego ojca. Moi biologiczni rodzice dostąpili rzadkiego wyróżnienia: zginęli w tym samym wypadku samochodowym, ale w dwu różnych autach.

Andrew Lyon miał romans z asystentką swojego dentysty. Kiedy moja matka to odkryła - nikt się nigdy nie dowiedział, w jaki sposób - powiedziała mu to, z czego naturalnie wynika awantura. Wsiadła do samochodu i uciekła; on ścigał ją swoim. Nie zdołano ustalić, które z nich straciło panowanie nad kierownicą na ostrym zakręcie i uderzyło w pojazd drugiego. Niewiele zostało z obu aut po pożarze, a ekspertyzy sądowe nie były w latach sześćdziesiątych takie jak dziś.

Edward i jego żona Daisy wzięli mnie na wychowanie; miałem wtedy pół roku. Odtąd byli moimi rodzicami w każdym sensie tego słowa.

Nieraz się zastanawiałem, jak mąż może wdać się w romans, kiedy żona urodziła właśnie ich pierwsze dziecko. Teraz chyba wiem.

Zła krew. Ciekawe, czy istnieje gen niewierności, tak jak ten, który odpowiada za skłonność do łysienia albo duże stopy? Przez całe życie starałem się pokutować za grzechy moich biologicznych rodziców. Ze składania do kupy tego, co zostało po cudzołóstwie, zrobiłem sobie zawód. Chełpliwie wierzyłem, że ze wszystkich mężczyzn, jakich znam, jestem najmniej prawdopodobnym kandydatem do pozamałżeńskiego romansu.

Dziś po południu stałem nad grobem mojego ojca, obejmując matkę, i patrzyłem na zapłakaną żonę. Oczywiście smutno mi z powodu ojca, jego śmierć pozostawiła w moim życiu pustkę, której nic nie jest

w stanie wypełnić; ale od pewnego momentu każde dorosłe dziecko zaczyna się podświadomie przygotowywać na odejście rodziców. Boli nas ich utrata, lecz taka jest kolej rzeczy. Natura czyni nas bezlitośnie odpornymi, kiedy jest to niezbędne.

Utrata ukochanej kobiety z powodu własnej głupoty i słabości to zupełnie inna sprawa. *Stultum est queri de adversis, ubi culpa est tua*; niedorzecznością jest skarżyć się na zły los, skoro sam jesteś jego sprawcą. Natura nie przewidziała ochronnej skorupy w przypadku tego typu nieszczęścia. I słusznie; zasługuję na potępienie, które zewsząd spada na moją głowę.

Tylko nie - o dziwo - ze strony Malinche.

- Nie chciałam, żeby tak wyszło - powiedziała, podchodząc do mnie, gdy pomogłem matce wsiąść do karawanu. - Chciałam przecze-kać. Próbowałam.

Strumień żałobników przepływał po obu stronach karawanu; świeżo skopana ziemia na ich czarnych pantoflach przypominała fusy po kawie. Wypowiadane półgłosem kondolencje - „Tak mi przykro, Nicholas” - dobiegały mnie to z tej, to z tamtej strony. Kwiecień to niewłaściwa pora, żeby chować człowieka. Zielona mgiełka na drzewach, obietnica życia, i radosny ptasi chór... Nagie czarne gałęzie na tle ołowianego nieba byłyby znacznie bardziej na miejscu.

- Od dawna wiedziałas?
- Od przyjęcia w Towarzystwie Prawniczym.
- Jak...
- Nicholas - szepnęła.

Rozejrzałem się. Za nami, na żwirowej ścieżce, przystanąła na pogawędkę grupka żałobników; na moment wzbil się przytłumiony śmiech i zgasł, ten i ów rzucił skruszone spojrzenie w naszą stronę. Tylko przez chwilę potrafimy trwać w smutku i żałobie; potem życie znowu bierze górę, czy tego chcemy, czy nie.

Zaczerpnąłem głęboko tchu.

- Malinche, czy jest jakaś szansa, żeby...
- Nie, Nicholas. Przykro mi.

Moja matka spojrzała na nas z samochodu i szybko odwróciła wzrok.

- Zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmiało... ale to nie ma żadnego znaczenia. Proszę...

- Dla mnie to ma znaczenie - powiedziała ostro. - Nie jesteś jedną osobą, której to dotyczy. Nie możesz decydować, czy to ma znaczenie czy nie.

- Wiem, że jesteś na mnie zła, ale...

- Zła to mało powiedziane, nawet w przybliżeniu.

- To niemożliwe, żebyś naprawdę chciała rozwodu.

Cofnęła się lekko, tak jakbym ją uderzył.

- A czego innego się spodziewałeś?

- Czy możemy przynajmniej porozmawiać? - szepnąłem desperacko. - Co z dziećmi? Czy pomyślałaś, co to dla nich...

- A ty?

Dwóch mężczyzn w niebieskich kombinezonach podeszło do grobu mojego ojca i zaczęli rzucać do dołu szpadle suchej ziemi.

Mal patrzyła przez chwilę, jak ich obserwuję.

- Nicholas, to nie jest miejsce ani czas - powiedziała wreszcie. - Na razie powiedziałam dzieciom, że zajmujesz się babcią. Kiedy przyjdzie pora, powiemy im, że ty... że my...

- Czy mogę się z nimi zobaczyć?

- Oczywiście! - Dotknęła przelotnie mojej dłoni; twarz jej złagodniała. - Zorganizowałabym wam spotkanie wcześniej, ale ty cały czas byłeś albo w pracy, albo w szpitalu. Pomyślałam, że nie trzeba ich w to wszystko wciągać.

Powinienem być od razu ustalić grafik spotkań. Ustanowić precedens, wypracować podstawowe zasady kontaktów. Ileż to razy karciałem klienta, że zawiódł właśnie pod tym względem, umożliwiając w ten sposób drugiej stronie wysunięcie zarzutu braku zainteresowania dziećmi, zaniebywania ich, obojętności... Nawet nie przyszło mi wówczas do głowy, że może po prostu nie potrafi spojrzeć dzieciom w oczy, kiedy jest tak załamany.

Mal przestąpiła z nogi na nogę, dając mi do zrozumienia, że chce skończyć tę rozmowę. Serce mi się ścisnęło. Głowę wypełniło mi tysiąc rzeczy, które chciałybym jej powiedzieć. Że ją kocham, nigdy nie przestałem jej kochać, że byłem totalnym, beznadziejnym idiotą. Że zrobię wszystko, jeśli da mi jeszcze jedną szansę. Że życie bez niej to tylko popiół i zgliszcza. A jednak - jak córka króla Leara — serca dźwignąć nie umiałem ku moim wargom.

- W takim razie chciałbym się z nimi spotkać w ten weekend. Twarz Mal drgnęła, tak jakby spodziewała się, że powiem coś innego.
- Bardzo się ucieszą - rzekła po chwili. - Gdzie?
- Czy mógłbym przyjść...
- Nie - ucieła.
- W MacDonaldzie nie. Ani w parku. Nie zniósłbym tego.
- I nie u...
- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - zapewniłem. - To może u moich rodziców? To znaczy... u mojej matki. Ciekawe, ile czasu nam zajmie, zanim nauczymy się mówić inaczej...
- Twój ojciec był dobrym człowiekiem - powiedziała ciepło.
- Dziękuję, że przyszłaś.
- Ja też go kochałam, Nicholas.

Zauważyłem, że parę metrów od nas przystanął jakiś mężczyzna. Wcześniej nie zwróciłem na niego uwagi; dopiero teraz. Niesłuchanie przystojny, miał w sobie ten rys lekkiego zaniedbania w stylu Steve'a McCjuinna, który nieodmiennie podoba się kobietom. I najwyraźniej czekał na moją żonę. Uśmiechnęła się do mnie smutno, po czym ruszyła w jego stronę. Nie dotknął jej, ale w geście, jakim nachylił się nad nią, było coś, co sugerowało, że mają za sobą przeżycia, z których ja jestem wyłączony.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że ją straciłem.

Widzę go ponownie w sobotę, kiedy Mal przywozi dziewczynki do mojej matki. Siedzi na miejscu obok kierowcy.

Biorę Metheny na ręce i wskazuję głową wołwo.

- Kto to?

Mal zdejmuje z ramienia ciężką pikowaną torbę wypchaną rzeczami Metheny: pieluchy, krem, plastikowy kubek, całpol w syropie, butelka ze smoczką, ubranka, zapasowy koczek.

- Pamiętaj, żeby spała po południu przynajmniej godzinę, ale nie więcej niż dwie, bo wieczorem nie zaśnie do północy. Ostatnio zaczęłam jej dawać do łóżeczka butelkę z sokiem jabłkowym, nie zapomnij go przedtem rozcieńczyć wodą. I postaraj się nie zgubić książeczki o panu Wiggle, w zeszłym tygodniu był ryk na cały dom, gdy nie mogłam jej znaleźć...

- Przecież wiem.
- Przestaje grzebać w torbie.
- Tak, oczywiście.

Sophie i Evie pędzą ku mnie ogrodową ścieżką z rozwianymi włosami.

- Tatusiu! Tatusiu! Mamusia powiedziała, że możemy zostać u babci na noc! Wzięłam moją nową atlasową piżamę, wujek Kit dał mi ją w prezencie na Wielkanoc, powiedział, że to lepsze niż czekolada, wyglądałam w niej jak Veronica Lakę. Kto to jest Veronica Lakę, tatusiu? Naprawdę wyglądałam tak jak ona?

- Wcale nie wyglądasz jak żadna Veronica, wyglądasz jak pudel - mówi ze złością Evie. - Wielki, tłusty pudel.

Sophie uśmiecha się drwiąco i zakłada ręce na piersi. Irytującym, afektowanym głosem śpiewa:

- *I know you are, but what am I?*

- Głowa pudla. Głowa pudla.

- *I know you are, but what am I?*

- Głowa pudla...

- *I know you are, but what...*

- Zobaczmy się jutro po południu - mówi pogodnie Mał, całując dziewczynki. - Bądźcie grzeczne, żeby tatuś nie miał z wami kłopotu. I pamiętajcie, żeby mocno uściskać babcię, ona tego bardzo potrzebuje, bo tęskni za dziadziusem.

Metheny patrzy na matkę, która oddala się ogrodową ścieżką, i jej gładkie czołko zaczyna się marszczyć. Przez dwadzieścia sekund jest spokój, ale gdy Mał wsiada do samochodu i mała uświadamia sobie, że mama nie zamierza wrócić, zaczyna się wrywać i wymachiwać pulchnymi piąstkami. Ruszam z nią zdecydowanym krokiem do domu i zamykam drzwi; mała robi się czerwona z gniewu, potem niebieska. Nie słyszy znajomego kojącego głosu, na który czeka.

- O Boże - wzdycha moja matka. - Co się stało temu dziecku?

- Za chwilę się uspokoi. Sophie, zostaw siostrę w spokoju. Evie, przestań się bawić lampą...

Wszyscy się krzywimy, kiedy w końcu rozlega się wrzask. Przypomina mi się, jak liczy się sekundy między błyskawicą a piorunem, żeby ustalić, jak daleko uderzył.

Przytulam moją najmłodszą córkę do piersi. Wrzask się nasila.

- Metheny, uspokój się, kotku. Tatuś jest przy tobie. Mamusia niedługo wróci. Oddychaj głęboko, kochanie, oddychaj, proszę. Sophie, przestań... Jesteś najstarsza, powinnaś dawać przykład....

Rozlega się brzęk. Evie odskakuje jak oparzona od parapetu.

- Moja lampa z Królikiem Piotrusiem! - zawodzi matka. — Nicholas, miałam ją od czasu, kiedy byłeś maleńki!

Metheny milknie, przerażona nagłym hałasem, i kryje mokrą buzię na moim ramieniu. Przepraszam matkę i z ulgą przekazuję wstrząsaną czkawką małą jej starszej siostrze.

- Weź ją na chwilę do ogrodu, Sophie, a ja posprzątam ten bałagan. Ty też idź, Evie. Pogadamy później o tym, co się stało. Aha... Sops?

Jak ja nie cierpiałem klientów, którzy wykorzystywali dzieci, żeby śledzić swoją połowicę!

- Kto to jest ten pan, który z wami dziś przyjechał? - pytam z wystudiowaną obojętnością. - Jakos go sobie nie przypominam...

- Znajomy mamy! - Wzrusza ramionami, już w drzwiach. - Ten, co z nim zawsze gotuje. - I wypada do ogrodu.

Przetrawiam tę nowinę, zmiatając odłamki porcelany. A więc to jest ten słynny Trace Pitt, niedysiejszy chłopak mojej żony, a obecny szef... Nie zdawałem sobie sprawy, że jest jeszcze taki młody. I atrakcyjny. I że są ze sobą tak blisko.

Ciekawe, czy jego nagłe wszędobylstwo to tylko gotowość do wsparcia w trudnych chwilach ze strony starego przyjaciela (jeśli tak, to czemu nie Kit?), czy też coś więcej.

A jeśli to drugie, to od jak dawna to trwa?

Gdy zamyślony wysypuję zawartość kosza na śmieci na starą gazetę, wbiega Evie w zabłoconych butach i z bukietem kwiatów niemal tak wielkim jak ona sama.

- To dla ciebie, babciu, żeby cię przeprosić za tę starą lampę - mówi rozpromieniona. - Prawda, że śliczne?

Matka wydaje cichy jęk.

- Mój drogocenny lak...

Wycofuje się na górę, żeby się położyć, a ja staram się zaprowadzić porządek w dziecięcym chaosie, nad którym Mal jakoś panuje na co dzień. Daję Metheny na wszelki wypadek łyżeczkę calpolu i w końcu

mała zasypia, ale Sophie i Evie dogryzają sobie przez całe popołudnie. Nie udaje mi się zaprowadzić między nimi czegoś, co by choć w przybliżeniu przypominało siostrzaną harmonię, nawet gdy łamię podstawową zasadę każdego domu, pozwalając im bez ograniczeń oglądać telewizję w słoneczny dzień.

- Ten głupi telewizor jest za mały - mówi Sophie nadszana, bębniąc obcasami o podstawę sofy. -I tu nie ma Cartoon Network.

- Sophie, nie kop w meble, proszę. Evie, jeśli chcesz wytrzeć nos, to użyj chusteczki, a nie rękawa.

Evie szoruje po twarzy wykrochmaloną serwetką z oparcia fotela.

- Ja chcę obejrzeć *Charliego i fabrykę czekolady*. Przywiozłam moją nową płytę DVD...

- Babcia nie ma DVD.

- Ale my mamy w domu - jęczy Evie. - Czemu nie możemy wrócić do domu i obejrzeć? Dlaczego w ogóle musiałyśmy tu przyjeżdżać?

Wzdycham.

- To skomplikowane.

Sophie zrywa się na nogi.

- Bo tatuś już z nami nie mieszka, ty głupia! Nie wróci do domu! Nigdy, nigdy, nigdy! Oni się rozwodzą, czy ty w ogóle nic nie rozumiesz?

- Sophie, nikt nic nie mówił o...

Odwraca się do mnie. W bladej twarzy świecą rozszerzone strachem oczy.

- Rozwiedzicie się! Bo ty chcesz się ożenić z inną, i będziecie mieli dzieci, i ty będziesz je kochał bardziej niż nas, nie będziesz chciał nas więcej widzieć, zapomnisz o nas i będziesz kochał tylko swoje nowe dzieci!

Trzaska drzwiami i wybiega. Poczucie winy skręca mi wnętrzności. A wiem z doświadczenia czerpanego od moich klientów, że to dopiero początek.

Kiedy w porze herbaty dzwoni Sara i proponuje, że w niedzielę przyjedzie i zabierze nas z dziewczynkami do wesołego miasteczka w Chessington, chwytam się tego pomysłu jak ostatniej deski ratunku. Moja matka najwyraźniej nie ma teraz zdrowia do dzieci, zwłaszcza że zachowują się tak, jak się zachowują, a mnie nic lepszego nie przychodzi do głowy. Nigdy dotąd nie musiałem wymyślać zajęć i rozrywek dla

trzech małych dziewczynek, i to przez cały weekend. Weekendy zawsze po prostu były i już. Sprzątało się, kiedy Mal jechała na zakupy do Tesco, wymieniało przepalone żarówki, naprawiało popsute zabawki. Strzygło trawnik. Od czasu do czasu grało się w piłkę, uczyło dziewczynki jeździć na rowerze. Drzemało się po obiedzie nad gazetami, a dziewczynki bawiły się w tym czasie w przebieranki u siebie w pokoju.

Kocham moje córki, to jasne, ale rozmowa z dziećmi w wieku osiemnastu miesięcy, sześciu i prawie dziewięciu lat jest w najlepszym razie ograniczona. Do tej pory albo spędzaliśmy czas aktywnie - grając we francuskiego krykieta, na przykład - albo każde z nas robiło swoje w różnych częściach domu. Dostępni dla siebie, ale nie - jak teraz - na siebie skazani. Zamknięci jak w pułapce w zapchanym meblami żałobnym domu w Esher, gdzie nie ma nawet królika, którego drobne przestępstwa mogłyby choć na chwilę odwrócić uwagę.

Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że prawo widywania się z dziećmi i życie rodzinne nie mają ze sobą nic wspólnego.

Mal przedstawiła dzieciom swojego „znajomego”, więc i ja nie będę miał skrupułów. Sarę mogą naprawdę polubić, a nawet się z nią zaprzyjaźnić. Z czasem, kto wie, może stać się dla nich kimś w rodzaju starszej siostry...

- Nienawidzę jej! - wrzeszczy Sophie, kiedy nazajutrz rano Sara wysiada z samochodu.

- Przecież nawet jej nie znasz - mówię, siląc się na spokój.

Sophie biegnie do latarni przy końcu płotu, siada na brudnym chodniku i obejmuje słup rękami i nogami, tak jakby myślała, że będziemy ją siłą pakować do auta.

- Nie! Ja z nią nie pojedę!

- Sophie, nie bądź śmieszna. Sara jest bardzo miłą...

- Ona rozbiła naszą rodzinę! - krzyczy Sophie. - Ona jest burzycielką domów!

Wpatruję się w nią zszokowany. Nie mogę uwierzyć, że słyszę te określenia rodem z tabloidów z ust mojej ośmioletniej córki.

- Kto ci to powiedział?

- Słyszałam, jak mama rozmawiała z wujkiem Kitem przez telefon! I płakała! Prawdziwymi łzami, tak samo jak wtedy, kiedy dziadzius umarł! I była cała czerwona, tak jak Metheny, i ciekło jej z nosa! I powiedziała do wujka Kita - Sophie dławi się czkawką - że to wszystko przez nią!

Bezwiednie zerkam na Sarę.

- Kochanie, proszę... Odejdź od tej latarni. Cała ulica na ciebie patrzy.

Sophie oplata słup jeszcze ściślej.

- Co mnie to obchodzi!

Opuszczam bezradnie ręce.

- Czemu tak trudno się z tobą porozumieć? Przecież Sara stara się być dla was miła. Chessington to był jej pomysł.

- To co! To głupi pomysł!

Evie włączyła do naszego samochodu i wystawia głowę przez okno.

- Możemy ją wypchnąć z kolejki górskiej - proponuje wesoło. - Rozpłań się na ziemi jak dżem truskawkowy i ludzie z pogotowia będą musieli ją zbierać szpadlami. Będziemy mogły zabrać trochę do słoika i trzymać koło klatki Don Juana...

- Evie, dość!

- Może byś usiadła z przodu koło tatusia? - zwraca się Sara do Sophie. - Bo zaraz ruszamy, i to ostro.

- Porzygasz się od szybkiej jazdy - mówi z satysfakcją Evie.

- Gdybym ja miała się czegoś ucześcić - szepcze Sara do Evie, gdy mała gramoli się na tylne siedzenie jej samochodu - nie byłaby to latarnia. Psy uwielbiają latarnie. Wyobrażasz sobie, na czym ona teraz siedzi?

Sophie natychmiast poddaje się i wstaje. Podciąga różowy podkoszulek z wizerunkiem laleczek Bratz i wyciera ręką moką twarz.

- Nie będę koło niej siedziała, nawet jeśli to ma być ostra jazda. Nie mam zamiaru z nią nawet rozmawiać.

- W porządku - mówię. - Ona pewnie też nie ma ochoty na rozmowę z tobą, zwłaszcza po tym przedstawieniu, które urządziłaś.

- Przeziębienie w tym głupim topie na ramiączkach - ostrzega Sophie, wlokąc się do samochodu. - Na pewno dostanie zapalenia płuc i umrze.

- Pas, Sophie.

Zapina klamrę.

- Ona nie może nam mówić, co mamy robić. Nie jest naszą matką. W ogóle nie jest niczyją matką.

- I chwala Bogu - odpowiada Sara. - Nie lubię dzieci.

Evie wyrywa się zdumione stęknieniem.

- Żadnych? - pyta Sophie, tak zszokowana herezją, jaką usłyszała, że zapomina o swoich ślubach milczenia.

- Żadnych.

- Nawet dzidziusiów?

- Zwłaszcza dzidziusiów.

- Metheny bywa czasem niezdolna - przyznaje Evie, popatrując na siostrę, która śpi błogo w swoim foteliku. - Zwłaszcza kiedy wymiotuje. Ona często wymiotuje.

- A nas też nie lubisz? - pyta Sophie, wykręcając się ku Sarze.

- Jeszcze nie wiem - mówi Sara z namysłem. - Niektórych ludzi lubię, innych nie. Nie ma dla mnie specjalnego znaczenia, w jakim są wieku. Przecież nie powiesz, że kochasz wszystkich, którzy mają rude włosy albo piwne oczy, prawda? To dlaczego ja miałabym lubić kogoś wyłącznie dlatego, że akurat ma cztery lata?

- Albo sześć — wtrąca Evie.

- Albo sześć. Z czasem się przekonam, czy was lubię, czy nie.

- Dziwna jesteś. - Sophie pociąga nosem, ale w jej głosie nie ma już złości.

Zerkam w lusterko wsteczne. Sara się uśmiecha i czuję, że moje ramiona odrobinę się rozluźniają. Najwyraźniej pomyślałam, żeby ją przedstawić jako przyjaciółkę, byłam piramidalnie naiwny; a już na pewno jeśli chodzi o przedwcześnie dojrzałą Sophie. Muszę jak najszybciej spytać Mal, jak dużo jej powiedziała. Ale tak czy inaczej, nie mogę zbyt długo postugiwać się wykrętem, że przyjeżdżają do babci, żeby ją pocieszyć. Może lepiej powiedzieć całą prawdę. Zerwać plaster jednym szarpnięciem, a nie usuwać ostrożnie milimetr po milimetrze, zwiększając tylko ból.

Dzieci są bardzo elastyczne. I wybaczące. Kiedy Sara i Evie omawiają wyniki poszczególnych zawodników startujących w jakimś reality show, świta mi nawet nadzieja, że może dzisiejszy dzień okaże się lepszy, niż wyglądało na początku.

Jednak mój świeży zrodzony optymizm prędko zostaje ugaszony. Zanim docieram do autostrady, Metheny budzi się i zaczyna płakać za mamą, Evie i Sophie rozpoczynają kolejną kłótnię na temat przeglądanych właśnie komiksów, a ja muszę stanąć na poboczu, bo Sara zgodnie z przepowiednią ma objawy choroby lokomocyjnej.

Któregoś lata mieliśmy dziewczynę do dzieci, Chorwatkę; rzygała, ilekroć znalazła się w samochodzie. Nawet dzieci do szkoły nie była w stanie odwieźć. Ale na bagażniku roweru swojego chłopaka czuła się znakomicie.

Kiedy Sara wraca z krzaków, moja najmłodsza córka zaczyna wydawać charakterystyczne dźwięki: pielucha się wypełnia.

Oczywiście zapomniałem zabrać torbę z przyborami do przewijania. No i, rzecz jasna, w pobliżu nie ma żadnych śladów ludzkiego osadnictwa, żebym mógł kupić coś, co naprawiłoby sytuację.

Odpinam Metheny i kładę na tylnym siedzeniu, głowiąc się, co teraz mam zrobić. Ewidentnie nie mogę jej zostawić tak, jak jest: kupa w kolorze musztardy przeciska się przez szwy śpioszków. Zbiera mi się na mdłości. Od jakiegokolwiek cywilizacji dzieli nas co najmniej pół godziny drogi. Boże... Jak to możliwe, żeby tak mała i urocza istota wytwarzała substancję o takiej sile rażenia, że nawet jednostka sił specjalnych SWAT cofnęłaby się o kilometr?

Rzoglądałem się bezradnie. Samochód kołysze się alarmująco, gdy kolejne auta śmigają obok nas z prędkością, która wydaje się niewiarygodna, skoro stoimy w miejscu. To nie jest tak, że nie mam żadnego doświadczenia w przewijaniu; parę razy zmieniałem pieluchy każdej z moich córek. Ale nie w sytuacji, kiedy nie ma pod ręką ani papierowego ręcznika, ani miski, ani ciepłej wody, ani kremu, ani czystych rzeczy do przebrania!

Wrzask Metheny narasta. Nie ma rady, będę musiał wytrzeć ją najlepiej, jak się da, i zawinąć w moją marynarkę. Modłę się w duchu, żebyśmy dotarli do ludzkich siedzib, zanim ulży sobie po raz drugi w moją sztyłą na miarę kreację z Savile Row.

Sophie przygląda się w milczeniu, jak walczę z sytuacją za pomocą paczki ligninowych chusteczek z torebki Sary, na które pluje obficie; wreszcie po dziesięciu minutach oznajmia, że mama zawsze wozi ze sobą zapasowe pampersy, paczkę wilgotnych serwetek i komplet ciuchów do przebrania. W bagażniku pod apteczką.

Zaciskam zęby, świadomy, że śmierdzą teraz jak latryna w obozie dla jeńców wojennych. Mam kupę na rękach, na spodniach, a nawet - Bóg raczy wiedzieć, jak to się stało - na włosach. Mówię sobie w duchu, że dzieci nie są gorsze niż normalnie. Tylko fakt, że tę normalną dziecięcą okropność trzeba znieść samemu, czyni ją o wiele trudniejszą do

wytrzymania. A ja, pomimo fizycznej obecności Sary, czuję się - w tej chwili to do mnie dociera - sam.

Mijają cztery kolejne weekendy i każdy jest coraz gorszy. Z wielu powodów; również tego, że krok Mal stał się dziwnie sprężysty.

- Obciąłaś włosy - zauważam pewnej soboty w połowie maja.

Czerwieni się.

- Kit mnie namówił, żebym poszła do jego stylisty w Londynie. Poda ci się?

- Bardzo - przyznaję niechętnie. - Ostrzygłaś się prawie jak chłopak, ale do twarzy ci z tym. Nie wiem, czy cię w ogóle kiedykolwiek widziałem z takimi krótkimi włosami...

- Nosiłam taką fryzurę, zanim się poznaliśmy. Później nigdy mi nie pozwalałeś obciąć włosów. Upierałeś się, że powinnam mieć długie.

- Naprawdę?

- Upierałeś się przy wielu rzeczach, Nicholas.

Uśmiecha się i wrusza ramionami. Patrzę, jak idzie do samochodu, gdzie znowu czeka na nią Trace. Nie mogę się dłużej oszukiwać, że między nimi nic nie ma. Jest jasne jak słońce, że ten błysk w oczach to z jego powodu - i dla niego.

Zazdrość, ciężka, trująca, sący mi się w duszę.

Coraz wyraźniej widać, że Mal bez trudu pozbywa się małżeńskiej powłoki, niczym starej skóry, z której wyrosła. Jej dotychczasowe „ja” kobiety zamężnej, zamazane i nieostre, zyskuje nagle rozdzielczość HDTV i jest to skutek naszej separacji, którego narcystycznie nigdy nie brałem pod uwagę. A jednak za każdym razem, gdy podrzuca mi dzieci, wygląda coraz młodziej, coraz bliższa jest tamtej nimfy, którą uratowałem na Covent Garden. Łapię się na tym, że po raz pierwszy od dawna, może od lat, zauważam ją. Tę eteryczną kruchość, tak zwodniczą; te żywe, zdające się nie mieć dna oczy. Sposób, w jaki patrzy na człowieka, zagarniając go w siebie spojrzeniem, drgnieniem brwi. Czujesz się wtedy jak król życia.... I całe to niezwykle piękno należało do mnie; trzymałem je w dłoniach. A teraz nie mam nawet prawa wiedzieć, jak spędza dnie; a co bardziej istotne, jak spędza noc.

Relacje między Sarą a dziećmi też nie układają się ani trochę lepiej. Myślałem - czy raczej miałem nadzieję - że kiedy się do niej przyzw-

czają, ich wrogość zmaleje. Ku mojej zgryzocie ma miejsce sytuacja odwrotna. Zwłaszcza Sophie jest niekomunikatywna i bez humoru. Evie jest po prostu nieuprzejma. Metheny, która niewiele rozumie z ponurych zmian, jakie wyróciły do góry nogami jej życie, przejmuje ogólny nastrój i robi się marudna, wymagająca i kapryśna.

Początkowa dobra wola i cierpliwość Sary wkrótce się ulatniają.

- Nie oczekiwałam entuzjastycznych recenzji z ich strony - mówi któregoś dnia, gdy Sophie celowo zostawia mokrą parasolkę na jej nowej zamszowej kurtce, z katastrofalnym, co zrozumiałe, rezultatem - ale czy one muszą dawać mi aż tak jasno do zrozumienia, że mnie nienawidzą?

Odkładam gazetę.

- Jestem pewien, że to przypadek...

- Oczywiście, że nie przypadek, ale nie chodzi tylko o kurtkę. Chodzi o całość. Nie mamy już ani chwili tylko dla siebie. W pracy nie odważamy się być we dwoje w jednym pokoju, żeby nie wyglądało na faworyzowanie... Na Boga, przecież Emma odeszła z mojego powodu. Joan niemal syczy, kiedy przechodzę obok, a Fisher najwyraźniej uważa, że dostał *carte blanche* na obmacywanie mnie za każdym razem, kiedy pojawi się w firmie. Moja opinia jest w strzępach...

- Nie tylko twoja - rzucam ponuro.

- Tak, ale ty już przynajmniej jesteś współnikiem. Nikt cię nie oskarży, że chcesz zrobić karierę przez łóżko. A kiedy mnie się coś uda, każdy powie, że to dlatego, że się pieprzę z tym wspaniałym Nickiem Lyonem. Poza tym - wraca do głównego tematu - w każdy weekend mamy na głowie dzieci przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Częściej się widzieliśmy, kiedy mieszkałeś w domu!

- Tak wygląda życie rodzinne - mówię słabo. - Tak to już jest.

- Ale to nie moja rodzina.

Wlepiam w nią oczy.

- To są moje dzieci.

Podchodzi do okna i wygląda przez rozchylone żaluzje.

- Zaczynam myśleć, że twoja żona celowo to tak zaplanowała - mówi. - Podrzuca nam dzieci w każdy weekend, żeby móc się swobodnie zadawać ze swoim nowym absztyfikantem. Nieźle się urządziła, co? My się męczymy w tym maciupcim mieszkaniu z trójką rozbrykanych dzieciaków...

Czuję się, jakbym dostał cios w żołądek. Myśl, że moja żona... z innym mężczyzną...

- Przynajmniej pozwala im tutaj przychodzić - udaje mi się wykrztusić. - Na pewno nie było to dla niej łatwe.

Sara wykrzywia usta w ironicznym uśmiechu.

- Biedactwo. Ciupcia się z facetem, na widok którego wszystkie dziewczyny mają mokro w majtkach, a my przez cały weekend wycieramy zasmarkane nosy i zmieniamy pieluchy. Serce mi się kraje.

- Brzmi to tak - mówię z wysiłkiem - jakbyś to ty była na jej miejscu.

Zapada milczenie. Sara spuszcza głowę, zawstydzona.

- Nie to chciałam powiedzieć. Po prostu...

- Wiem - wchodzę jej w słowo.

I rzeczywiście wiem. Większość dzieci wcale nie jest zbyt miła; tylko rodzicom takie się wydają, a i to nie zawsze. I nawet nie przez większość czasu. Bo na każdy uroczy moment typu „co ja bym bez nich zrobił/a”, kiedy pulchne rączki obejmują cię za szyję, a dziecięcy uśmiech opromienia życie, przypada kilka mrocznych typu „nigdy bym nie myślał/a” lub „ale ja byłam/am naiwny/a”. Dzieci są wymagające, uparte i marudne. Zmuszają człowieka, żeby się zachowywał nieegoistycznie, a że nie jest to nasz przyrodzony stan, zaspokajanie ich potrzeb rodzi niechęć, natomiast odmowa zaspokajania - poczucie winy.

Nie mogę mieć Sarze za złe, że nie chce mieć koło siebie moich dzieci zbyt często. Szczerze mówiąc, w takich intensywnych, skondensowanych odcinkach czasu - ja też nie chcę. Dotąd wydawało mi się, że rozwój w przypadku mężczyzny oznacza, iż nie będzie mógł widywać się z dziećmi dostatecznie często. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zbyt często to jeszcze gorzej.

- Jest impreza w przyszłą sobotę - mówi Sara, zapalając papierosa. Wygląda na to, że nie jest to już wyłącznie zachowanie postkoitałne. - U koleżanki Amy. Chętnie bym poszła.

- To idź. Ja mogę zostać z dziećmi...

- Chętnie bym poszła z tobą - mówi z naciskiem.

Macham znacząco ręką: dym.

- Daj mi spokój - rzuca Sara. - Jestem u siebie.

Nie mam ochoty iść na imprezę do koleżanki Amy. Z góry wiem, jak będzie: ciemno, hałaśliwie, tłoczno, z okropną muzyką i jeszcze gor-

szym winem. Czuję się tam jak inwigilujący rodzic, a dla nich byłbym dziwowiskiem i obiektem drwin. Sara będzie chciała popalić trawkę na schodach - tak, ja też byłem kiedyś studentem - ale będzie się czuła skrepowana ze względu na mnie.

Ale ona tego potrzebuje. Musi mnie wprowadzić w inne obszary swego życia, jeśli nasz związek ma być prawdziwy. A bez dzieci, kto wie, może uda nam się wrócić do dawnego szalonego seksu, zamiast ukradkowego niby-mażeńskiego - „bo dzieci mogą wejść” - jaki uprawiamy ostatnio.

Dzwonię do Mal i mówię, że nie mogę zabrać dziewczynek w ten weekend. Nie jest zaskoczona ani zmartwiona; wykrzykuje pogodnie, że świetnie się składa, bo właśnie planowali - ona i Trace, myślę gorzko... - skoczyć do Francji w poszukiwaniu dostawców; dzieci też mogą jechać, to żaden problem, nawet miło będzie mieć je tym razem przy sobie; zatem w przyszłym tygodniu, tak?

Widzę oczyma wyobraźni, jak moje córki podskakują na tylnym siedzeniu jego szybkiego samochodu, śpiewając na cały głos *Frere Jacques, frere jacques*. Podekscytowane myślą o tym, że będą jechać tunelem, który biegnie pod dnem morskim, że znajdą się w obcym kraju i będą spać z francuskimi wałkami, a nie angielskimi poduszkami pod głową. Mal na przednim siedzeniu przechyla się, żeby musnąć wargami policzek swojego herosa o kwadratowej szczęce, i uśmiecha się z satysfakcją na wspomnienie jakiegoś szczegółu ich upojnej nocy...

- Nick? Dobrze się czujesz?

Podskakuje, rozlewając wino z plastikowego kubka; dziwne, że nie wypaliło dziury w dywanie.

- Przepraszam. Odpuściłem.

Sara nachyla się ku mnie, żebym mógł ją usłyszeć przez łomot muzyki.

- Jak leci?

Impreza jest dokładnie taka, jak się obawiałem. Jestem *paterfamilias* w tym gronie: dwa razy starszy od przeciętnego uczestnika. W półmroku mającą parę wymieniające nie towarzyskie uprzejmości, lecz ślinę, choć pewnie nie znają nawet swoich imion. Niektóre to nawet nie tradycyjny układ chłopak-dziewczyna... Rozmawiać można tylko w kuchni,

gdzie w ostrym blasku świetlówki widnieją blade, puste twarze naszej prawniczej elity w różnych stadiach odmiennego stanu umysłu. Tylko w jednym się pomyliłem: słodka woń marihuany, którą pamiętam z moich studenckich czasów, jest nieobecna; zastąpiły ją linijki białego proszku na spłuczce WC i na małym ręcznym lusterku, ozdobionym ślubnym zdjęciem księcia Karola i lady Di oraz ohydną kokardką.

Kiedyś, krótko przed zaręczynami, znaleźliśmy się z Mal na podobnej imprezie; na zaproszenie Kita, rzecz jasna. Zmył się, gdy tylko przyszlismy, żeby ściagać jakiegoś korespondenta prasowego, do którego walorów - umysłowych i nie tylko - powziął właśnie słabość. Mal i ja staliśmy jak para zagubionych dzieci, trzymając się za ręce i przepraszając (dziwny brytyjski obyczaj), ilekroć ktoś nam nadepnął na palce albo potracił.

- Jestem na to za stara! - wykrzyknęła Mal, gdy ponętna młódka przypaliła jej niechcący ramię papierosem. - Chodźmy stąd, Nicholas...

Spędziliśmy noc u mnie, w bezpiecznym, nudnym podwójnym łóżku, trochę zawstyżeni, że przedwcześnie zachowaliśmy się jak ludzie w średnim wieku, a zarazem pełni ulgi, że znaleźliśmy ucieczkę w sobie nawzajem, że nie musimy udawać. Oczywiście byliśmy wówczas w tym stadium związku, kiedy nie trzeba obecności innych, żeby się dobrze bawić. Wystarczaliśmy sobie nawzajem.

Gdy obudziłem się następnego ranka i zobaczyłem nogi Mal zaplątane w moją pościel z egipskiej bawełny, jej ciemne włosy rozsypane na kremowej poduszce, jej brązowe brodawki sterzące dumnie nawet we śnie, poczułem z nieodpartą pewnością, że obok tej kobiety chcę się budzić co rano już do końca życia. Za tydzień podarowałem jej pierścionek z opalem - jego perłowy blask symbolizował w moich oczach wszystko to, czym była Mal tamtego decydującego ranka - i poprosiłem, żeby za mnie wyszła.

Ręka Sary władczo pełźnie po moich spodniach - Naprawdę włożysz garnitur? - spytała dziś, kiedy szykowaliśmy się do wyjścia - nie masz jakichś džinsów? - i ujmuje mój stwardniały członek.

- Wygląda na to, że i tu mamy dziś imprezę - mruczy mi do ucha.

Uśmiecham się słabo. Przywiera do mnie węzowym ruchem, zadowolona. Nie wie i nie będzie wiedzieć, że moja erekcja to nie skutek jej młodzieńczej, rozwibrowanej obecności, tylko pochodzącego sprzed dziesięciu lat wspomnienia innej kobiety w moim łóżku.

- Przepraszam...
- Zapomnij. To nieważne. Zdarza się.

Oboje wiemy, że kłamię. Seks nie jest tylko ważnym elementem naszego związku; on stanowi jego istotę. Jeśli sprawy zaczynają iść źle w sypialni - która dotąd była jedynym miejscem, gdzie wszystko szło dobrze - nie jest to drobnostka.

Zakładam ręce pod głowę i wpatruję się w sufit. Oto naga prawda: szaleńczy pociąg, jaki do niej czułem, desperackie, niepohamowane pożądanie - wszystko to zniknęło równie szybko i w równie trudny do wyjaśnienia sposób, jak się pojawiło. Teraz, po tych paru miesiącach lubieżności, czuję, że już jej nie pragnę. Nie żeby zrobiła coś niewłaściwego. Nadal jest tak samo seksowna i atrakcyjna jak w dniu, w którym ją zobaczyłem po raz pierwszy. Tyle że nie dla mnie.

Sara podnosi się, zarzuca na swoje powabne krągłości czerwone ki-mono i otula się nim, tak jakby zmarzła.

- Idę się napić wody - mówi i rusza do kuchni.

Kiwam głową.

To wszystko moja wina. Wiedziałem, że tak będzie. Miłość trwa; namiętność przemija. Czemu to się nie wypaliło, zanim Mal się o nas dowiedziała? Sara była chętną partnerką, może nawet zainicjowała ten romans. Co z tego? Jest taka młoda i taka - mimo światowej fasady i łózkowych umiejętności - niedoświadczona, jeśli chodzi o mężczyzn. Jej uczucia do mnie nie są tak przelotne czy łatwe do przejścia nad nimi do porządku, jak moje, znacznie bardziej cielesne upodobanie. Lubię ją i za nic w świecie nie chciałbym jej skrzywdzić - a tu proszę: zakochała się. Może cielecą miłością, ale przecież nie mniej przez to przemożną.

Nie powinienem był się do niej wprowadzać. Pozwolić jej, żeby uwierzyła, że odtąd będziemy żyli długo i szczęśliwie. To było głupie z mojej strony... a nawet okrutne. Przecież nadal kocham żonę.

Jest trzecia rano; Mal jest we Francji i pewnie śpi przytulona do kochanka w jakiejś uroczej normandzkiej *pension*. A jednak nagle czuję, że to nie może czekać.

Staję przy oknie z telefonem przy uchu i wybieram numer. Po czterech sygnałach włącza się sekretarka. Słyszę głos Mal, która mówi, że

„nie możemy teraz odebrać telefonu” i wyobrażam sobie, jak rozlega się echem w ciemnej kuchni, strasząc biednego królika w zmywalni.

- Mal - mówię desperacko. - Wiem, że byłem idiotą. To, co zrobiłem, jest nie do wybaczenia. Nie zasługuję na jeszcze jedną szansę. A mimo to... proszę, nie odrzucaj mnie. Tak bardzo cię kocham. Wiem, że masz... wiem, że nie jesteś sama. To mnie dobija, ale przysięgam, nie dbam nawet o to. Chcę tylko, żebyś wróciła. Nic innego się nie liczy, tylko żeby być z tobą. - Głos mi się łamie. - Jezu, Mal... niczego na świecie tak nie pragnę, jak tego, żeby można było cofnąć czas. Tak strasznie żałuję, że nie powiedziałem ci, jaki jestem z tobą szczęśliwy, jak to dobrze wracać do ciebie co wieczór i budzić się obok ciebie co rano. Wiem, że popełniłem potworny błąd. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. A jednak proszę, Mal, daj mi jeszcze jedną szansę. Przysięgam, że cię nie zawiodę. Proszę.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Mija długa chwila, w końcu wyłączam telefon. W drzwiach sypialni majaczy sylwetka Sary. Nie wiem, jak długo tak stoi i co zdołała usłyszeć.

Wiem jednak, co mi powie, zanim otwiera usta.

- Jestem w ciąży - słyszę.

Sara

Nie - mówi matka.

- Ale mammo...
- Powiedziałam nie - rzuca ostro.

Pewnie siedzi w kuchni z telefonem przyciśniętym brodą do ramienia i obiera kartofle na kolację.

- On jest naprawdę sympatyczny - próbuję ją przekonać. - Jak go poznasz, na pewno...

- Sympatyczny mężczyzna nie porzuca żony dla pierwszej lepszej cizi - przerywa mi. - I nie jest na tyle bezczelny, żeby potem przychodzić do jej rodziców na herbatę i kanapki. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Czerwienię się.

- Musisz to przedstawiać w taki sposób?

- Biedne dzieci. Nie mówiąc już o tej jego biednej żonie. Nie wiem, jak ty możesz spokojnie spać. Wyobraź sobie, jak byś się czuła, gdyby twój ojciec znalazł sobie jakąś...

- Dziwię się, że tego nie zrobił — rzucam ze złością. - Naprawdę nie wiem, jak on z tobą wytrzymał tyle lat.

Ciskam telefon na sofę. Cholera, nie powinnam była tego mówić. Muszę zadzwonić jeszcze raz, przeprosić matkę, że przerwałam rozmowę, zanim skończyła, i wysłuchać kolejnego kazania na temat Grzechu Nieczystości z Żonatym Mężczyzną.

Nie wiem, skąd to poczucie winy. Przecież od paru miesięcy modliłam się, żeby Nick zostawił żonę. Wprawdzie myśl o trzech małych

dziewczynkach, które płaczą w poduszkę, bo tatuś odszedł, nie poprawia mi samopoczucia, ale nigdy nie sądziłam, że aż tak się będę przejmować. Są noce, kiedy przewracam się z boku na bok całe godziny, podczas gdy Nick śpi koło mnie jak niemowlę. Wygląda na to, że matka zdołała jednak poruszyć moje sumienie.

Kopię mokry ręcznik, który Nick zostawił na środku salonu, i idę do kuchni. Błat upstrzony jest rozsypanymi ziarnkami kawy, a zlew wypełniają brudne kubki i talerzyki z wczorajszego wieczora. Tłukł się, kur-na, jak Marek po piekle o szóstej rano, kiedy usiłowałam pospać trochę dłużej, jak zawsze w sobotę. Można by sądzić, że zdoła przynajmniej załadować zmywarkę, a tu...

Piszczę: zza lodówki wypełza karaluch wielkości małego kota.

Zatrzymuje się w połowie drogi między mną a drzwiami. Wstrętne antenki na głowie poruszają się w tył i w przód. Wstrząsa mną dreszcz. Jestem na bosaka, uświadamiam sobie. Jeśli to coś przebiegnie mi po nodze, to chyba dostanę ataku serca.

Ostrożnie macam wokół w poszukiwaniu czegoś, czym można by cisnąć w karalucha. Jezu, dlaczego tu nie ma mężczyzny, skoro jest właśnie potrzebny? Choć prawdę mówiąc, Nick należy raczej do kategorii tych, co by wskoczyli na stół na widok myszy. Jakoś nie mogę go sobie wyobrazić łapiącego gołymi rękami karalucha.

Ciskam mokrą ściereczką. Karaluch umyka pod zlew. No, w takim razie zmywanie poczeka. Nie zamierzam zbliżyć się do zlewu, dopóki nie będę miała pewności, że toto jest martwe.

Tocząc dokoła okiem, czy nie pokaże się jeszcze jakiś, robię sobie kubek herbaty - „Boże święty - powiedział Nick - żadnych torebek, nie masz jakiegoś sypkiego Earl Greya?” - i sadowię się na sofie, podwijając nogi pod siebie. Poduszki wciąż jeszcze cuchną rzygami. Czyściłam sofę tyle razy, że zaczyna wywieszać białą flagę, kiedy do niej podchodzę, a mimo to nie mogę się pozbyć tego smrodu.

Choć niechętnie, muszę przyznać żonie Nicka, że zwymiotować na niepokalanej bieli sofę Conran, kupioną bynajmniej nie na wyprzedazy, to niezły sposób, żeby dowalić rywalce.

A, chrzanie. Może sobie zabrać tę sofę. Bądź co bądź, ja mam jej faceta.

Przebiega mnie rozkoszny dreszcz. Uśmieciam się w kubek z herbatą. W nosie mam sumienie. On naprawdę zostawił żonę! No dobra, w pew-

nym sensie został do tego zmuszony, ale mimo wszystko. Będą o mnie krążyć legendy: kochanka, która odpływa w walcu ze swym mężczyzną prosto w zachodzące słońce... Nic dziwnego, że Amy tryska jadem.

Nie mogłam uwierzyć, kiedy ona wparowała do mojego mieszkania i podała mi go na talerzu. Dokładnie tak. Nawet nie musiały się wysilać.

Nick mamrotał coś, że poszuka sobie hotelu, ale oczywiście mówił tak tylko dlatego, żebym nie miała wrażenia, że muszę mu zaproponować mieszkanie u mnie. Tak jakbym zamierzała wypuścić z rąk taką okazję! Nie jest to, ściśle biorąc, sposób, w jaki chciałabym, żeby to się wydarzyło - miło by było, gdyby odszedł od żony na skutek własnej decyzji i powiedział, że nie może beze mnie żyć, gdyby mnie błagał, aby móc tu pozostać, a nie wyładował jako efekt walkoweru; ale koniec końców, wychodzi na jedno. Najważniejsze, że jesteśmy razem.

Każdy związek przeżywa na początku jakieś kłopoty. Tego się nie da uniknąć. Trochę tu ciasno, kiedy oboje jesteśmy w domu, no i Nick nie jest nauczony chodzić koło siebie. Tyle lat ktoś go obsługiwał, gotował obiady, prasował koszule... Poza tym trzeba się trochę wysilić, żeby non stop wyglądać seksownie; muszę wstawać wcześniej i wymykać się do łazienki, żeby rzucić na twarz odrobinę tapety, zanim się mu pokażę. Wyglądał na lekko zszokowanego, kiedy któregoś ranka to on był pierwszy i zobaczył mnie *au naturel*. Sam sobie winien: właśnie miałam moment w stylu *Sposobu na blondynkę*, bo w nocy kochaliśmy się dosyć perwersyjnie.

Ale w sumie dla niego to wszystko jest chyba romantyczne, w stylu artystycznej bohemy. Tak jakby znowu był studentem, młodym, wolnym i beztroskim. Jestem pewna, że to dla niego miła odmiana po tych wszystkich rodzinnych obowiązkach.

Biorę telefon i dzwonię.

- Cześć, to ja.

- Jeśli masz zamiar znów nawijać, jak było w nocy, to się rozłączam - ostrzega Amy.

- Spoko, złotko, miesiąc miodowy się skończył. Przecież ci mówiłam, prawda? Rozrzuca brudne rzeczy po podłodze i nie odróżnia deski do prasowania od wibratora.

Amy parska.

- Nic dziwnego, że potrzebne ci jest łóżko-gigant.

- Może byśmy skoczyły dziś na Camden Market? — pytam. - Jak się sprężymy, możemy być jeszcze przed jedenastą. Chcę poszukać jakichś srebrnych kolczyków, chyba zgubiłam te moje hinduskie na siłowni. - Chichoczę. - Pewnie Roj je podkraść dla swojego księcia Alberta.

- Eee tam... Nawet nie skończyłam śniadania.

- To może po ciebie podjadę?

- Bo ja wiem... Miałam zamiar pojechać do rodziców...

- Jejku, Ames, w życiu trzeba trochę pieprzu - przekonuję ją. - Zobacz, jaki piękny dzień. Mogłybyśmy pójść potem na lunch do Dome, nie byłyśmy tam całe wieki.

Czuję, że mięknie na myśl o *bouillabaisse*.

- A co z kochasiem?

- Pojechał zobaczyć się z dziećmi. To pierwszy raz, odkąd się rozstali; żona podrzuca je do jego mamy na weekend. Wróci dopiero jutro wieczorem. Proszę, pięknie proszę... Pożyczę ci mojego nowego Jamesa Blunta...

- Dorzuć sukienkę Oasis na tydzień, a będę za czterdzieści minut.

Kiedy wchodzę do hali targowej, już czeka. Włączymy się jakiś czas, oglądając stragany z różnymi duperelami i wszelkiego rodzaju starzyzną, grzebiąc w szmatach i przerzucając się słonymi kawałami. Nie wiadomo dlaczego, kiczowaty zestaw nocników, wkładanych jeden w drugi - dla niego i dla niej - wywołuje u nas taki atak wesołości, że płaczemy ze śmiechu prawdziwymi łzami. W końcu wybieram dla siebie misterne srebrne kolczyki - „Boże, spójrz tylko na te maciupcie brząkadła - zdumiewa się Amy - wyobrażasz sobie, jakie to musi być stare?” - a ona targuje się o jakąś starożytną grę w bagatelkę, dla Terry’ego na przyszłe urodziny.

- Wiem, że nie jest to zbyt romantyczny prezent - mówi - ale przynajmniej będzie mógł ją zabrać do domu, a żona nie będzie podejrzewała, że to od innej kobiety.

W końcu siadamy do lunchu.

- Muszę przyznać, że wyglądasz olśniewająco - zauważa Amy ze złością. - Szczęśliwe pożycie, co?

- Mniej więcej - wyszczerzam w uśmiechu zęby, przerzucając menu.

- To opowiedz mi mniej - wzdycha. - Na więcej nie mam dziś zdrowia.

- No więc... w zeszłym tygodniu umarł jego ojciec, więc żeby go pocieszyć, przebrałam się za uczennicę i przeleciałam go na sofie na oczach sąsiadki z naprzeciwka - zaczynam.

Amy krztusi się wodą mineralną.

- I- ciągnę szeptem, nachylając się ku niej- wsadził mi... no wiesz... w tyłek, wyobrażasz sobie?

- fajnie sobie robisz? Jak to, nawet nie zapyta?!

- I nawet, kurna, bez żadnego lubrykantu - mówię rozemocjonowana. - Musiałam potem przez trzy dni siadać na jednym półdupku.

- No cóż, on chodził do prywatnej szkoły. Można było się tego spodziewać.

Porzucamy temat seksu analnego, gdy podchodzi kelner, żeby przyjąć zamówienie. Nie mam specjalnej ochoty na wino, choć Amy sugeruje po kieliszku Sancerre. Ale nie jestem w nastroju.

Biorę chlebową pałeczkę.

- Wiesz, Amy, żarty żartami, ale czasem coś mnie zastanawia, naprawdę. Ja wiem, że w naszej historii z Nickiem od początku chodziło o seks. To znaczy, to jest istota każdego pozamałżeńskiego romansu. Ale czasem, zwłaszcza ostatnio, seks z nim wydaje mi się taki nieosobisty. Robimy różne szalone rzeczy w łóżku - i poza łóżkiem, skoro już o tym mowa - i generalnie nie mam nic przeciw jego pomysłom, o ile nie obejmuje to wkładania mi w piczkę zapalonego papierosa czy żywej złotej rybki. - Oblizuję palec i zbieram nim okruchy. - Ale nie ma w tym specjalnej czułości. Rzadko mnie nawet całuje. Po prostu... nie wiem, Ames... - Ze zdziwieniem czuję, że jestem bliska łez. - Po prostu czasem mam uczucie, że on mnie nawet nie widzi.

Zapada cisza. Amy, co zrozumiałe, sprawia wrażenie oszołomionej tempem mojej przemiany ze szczęśliwej parameżatki w O-Żesz-Tak-Dobrze-Żarło-I-Zdechło.

Sama jestem trochę oszołomiona. Nie zdawałam sobie z tego wszystkiego sprawy, dopóki się ze mnie nie wylało, sama nie wiem jak i dlaczego.

- A może chodzi o to - mówi Amy - że teraz, kiedy żyjecie pod jednym dachem, oczekujesz od niego więcej niż poprzednio? - Odsuwa ode mnie koszyk z chlebem. - Romans to co innego. Teraz jesteście w związku. Wszystko się zmieniło. To jasne, że chcesz czegoś więcej niż

solidne bara-bara. Jestem pewna, że będzie dobrze, tylko trzeba trochę czasu, to wszystko. Musicie się dotrzeć.

Szybko wracam do przytomności. Przecież jestem modelową tą trzecią. Chodzącym dowodem, że To Się Może Udać.

- Na pewno masz rację - mówię pogodnie. - Bądź co bądź, to, co się dzieje w sypialni, wiele mówi o reszcie związku, no nie? Dopóki tam sprawy się układają dobrze, wszystko inne też się w końcu ułoży. To po prostu kwestia przywyknięcia do życia pod jednym dachem.

- Wszystko będzie dobrze - powtarza jak echo.

Mrużę oczy.

- O co chodzi? Wyduś z siebie.

Odchyła się na oparcie, bo właśnie kelner stawia przed nią zupe, i zastanawia się nad doborem słów.

- Po prostu... nie jestem pewna, czy pozwoliłabym mu spędzać tyle czasu z żoną i dziećmi. Nie trzeba mu przypominać, co stracił, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Patrzę na nią zdziwiona.

- Słuchaj, Sara - mówi - dzieci to jego słaby punkt. Przypomnij sobie, ile razy twój klient zmieniał decyzję i wracał do żony, kiedy przychodziło do omawiania warunków sprawowania opieki: tydzień na Boże Narodzenie, dwa tygodnie latem.

Uświadamiam sobie, że Amy trafia w czuły punkt.

- Nie twierdzę, że on do niej wróci - mówi krzepiąco - ale po co kusić los? Ona zna go lepiej niż ktokolwiek, pamiętaj. Wie, który guzik nacisnąć. W tej chwili na przykład może siedzi z nim w kuchni z ich uroczym bobasem na kolanach i roztacza przed nim wszystkie uroki rodzinnego życia. - Miesza *bouillabaise*. - Pierwszych parę tygodni po odejściu to trudny czas. A jeszcze stracił ojca. Na twoim miejscu nie spuszczałabym go z oka.

- Nie mogę mu zakazać widywania się z dziećmi... nawet bym tego nie chciała...

- Wcale nie twierdzę, że powinnaś. Po prostu zadbaj, żebyś to ty była częścią kadru, a nie ona. Walka jeszcze nie jest zakończona. Nie dawaj jej szansy, żeby mogła z nim na okrągło rozmawiać. Wiem, że dzieci to nie twój żywioł, ale musisz przez jakiś czas poudawać, że jest inaczej. Zabierz je... bo ja wiem, do Chessington czy gdzieś. W przyszłości, jak sprawy się ułożą, będziesz mogła przestać się starać.

Patrzę na mój talerz kalmarów.

- Jakoś nie jestem głodna, Ames. To chyba ta twoja rybna zupa, od jej zapachu trochę mnie zemdliło.

Amy pogodnie wbija widelec w malutką, smażoną w głębokim tłuszczu ośmiorniczkę.

- Dobrze, że to nie poranne mdłości - mówi z uśmiechem.

Mija dziesięć dni. Nie tak znów wiele, prawda? Jestem pewna, że nie zapomniałam o pigułce. Sprawdziałam. Może być wiele przyczyn, dla których spóźnia mi się okres. Tamta ohydna chińszczyzna na przykład, rzygałam po niej dwa dni. Brak ćwiczeń: odkąd Nick się do mnie wprowadził, prawie nie widuję siłowni. Lubi, żebym była w domu, kiedy wraca z pracy. Nie wspominając już o stresie, cholera jasna. Mieszkanie staje się ciut za ciasne, kiedy mieszka w nim dwoje dorosłych; a jeśli dodać do tego jeszcze trójkę dzieci, jak to ma miejsce od paru tygodni w każdy weekend, robi się totalny chaos.

Rozchyłam żaluzje i wyglądam na ulicę; Kit-Kat ociera mi się o nogi. Chessington to było kompletne fiasko, cały czas mżyło, dzieci mnie nie cierpiały, ale w każdym razie byłam z nim. I chyba powinnam być wdzięczna żonie Nicka, że w ogóle pozwala córkom do mnie przychodzić. Jego matka nie godzi się, żebym pokalała próg jej domu - mogłyby sobie podać rękę z moją, myślę kwaśno - więc inaczej w ogóle nie widywałam Nicka w weekendy.

Patrzę, jak jego żona wyjmuje małą z fotelika i zaczyna wyładowywać z bagażnika torby z rzeczami. Nie wierzyłam własnym oczom, gdy po raz pierwszy zobaczyłam dziecięce kupy w moim maciupkim mieszkaniu. I wszystkie te akcesoria dla jednego małego dziecka! Gdzie się człowiek ruszy, wszędzie potyka się o paczki pampersów, podgrzewacze do butelek, dziecięce wózki... Nie mówiąc już o starej, zjedzonej przez mole owieczce, która nieodmiennie ginie na pięć minut przed położeniem małej spać i trzeba jej szukać przez dwie godziny, by wreszcie znaleźć - gdzie? Oczywiście w mikrofalówce!

- Zobacz, Kit-Kat - mówię, biorąc kotkę na ręce - ten grecki bóg znowu jest z nią.

Przyciskam nos do szyby. Grecki bóg bierze bagaże z rąk żony Nicka, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała, i obejmuje ją ramieniem. Jezuu,

te jędrne pośladki opięte dzinsami na obniżonej talii... Z pewnością nie wyrzuciłabym go z łóżka. Jak jej się to, kurna, udało? Ledwie została sama, a już ma tego apetycznego chłoptasia, żeby ogrzewał jej łóżko. Nic dziwnego, że Nickowi para idzie z uszu.

Ciesz się jej szczęściem, rzeczywiście... Z zazdrości mało nie poobgryza sobie rąk po łokcie. Mnie bynajmniej to nie martwi: chodzi o terytorium, nie o uczucia. Dużi chłopcy tak mają. A przy tym trochę mi ułatwia sprawy. Jestem bezpieczniejsza. Nawet gdyby chciał do niej wrócić - choć nie chce — fakt, że ona bawi się w chowanie kiełbaski z tym rozkosznikiem, praktycznie zamyka mu drogę odwrotu. Żadnego „daj buziaka na zgodę” itepe. Ale się nam świetnie ułożyło: idealny happy end, niczym w Hollywood.

No, prawie idealny.

Sophie spogląda w moje okno i szybko przeciąga palcem po szyi; żadne z rodziców tego nie widzi. Twarda sztuka z tej małej. Marszczę brwi, opierając się pokusie, żeby pokazać jej język. Żona Nicka mogłaby przestać być taka wielkoduszna i godzić się na pobyt dzieci w moim mieszkaniu.

Najmłodsza jest w porządku. Wprawdzie jedyne, co potrafi, to walić kupy i płakać, ale kiedy śpi - co na szczęście zdarza się dosyć często - jest naprawdę słodka. Evie też nie jest zła; nieźle się bawimy, oglądając razem po raz kolejny *The X Factor*, jest od tego serialu uzależniona tak samo jak ja. No, ale Sophie ją buntuje: słyszałam, jak ta mała wiedźma mówiła, że może tatuś wróci do domu i „znowu będzie kochał mamusię”, jeśli uda im się zrobić tak, żeby sobie poszła. Moje poczucie winy wobec niej natychmiast znacznie zmalało.

W zeszły weekend przyłapałam ją na szorowaniu muszli klozetowej moją szczoteczką do zębów. Było to wkrótce po tym, jak klawiatura mojego nowego, drogiego jak diabli laptopa została wysmarowana klejem (Pritt Stickiem, na szczęście, a nie Kropelką, ale i tak zajęło mi parę godzin, żeby się go pozbyć); a jeszcze wcześniej cała butelka lakieru do paznokci Rouge Noir w tajemniczy sposób znalazła się na moich nowych blad różowych pantoflach od L.K. Bennett.

Mogłam powiedzieć Nickowi, rzecz jasna, ale właśnie o to chodzi Sophie. Ja polecę na skargę do tatusia, on je opierniczy i skończy się tak, że będziemy patrzeć na siebie wrogo przy stoliku w Pizza Hut. W końcu

tatuś się zmęczy tą całą przepychanką i uzna, że może lepiej będzie się spotykać z dziećmi beze mnie. A wtedy do widzenia - wróci do niej.

Na samą myśl o tym dostaję mdłości. Rzucam się do łazienki i skręcam w suchych spazmach nad miską klozetową. Dziesięć dni to jeszcze nic takiego. To ta podejrzana wąpliwa kanapka z kurczakiem, na pewno. Nick mówił, żebym jej nie jadła, bo jest tydzień po terminie ważności. Na drugi raz posłucham.

Wycieram usta i idę do salonu, bo Nick i dzieci już wchodzi, tu pięć rozgłośnie, po schodach. Słodka buzia małej rozpromienia się na mój widok; Nick stawia ją na podłodze, a ona, rozkładając dla równowagi pulchne rączki, drepcze ku mnie, bełkocąc coś, co może (lub nie) być moim imieniem. Biorę ją na rękę i serce mi topnieje. Jest rozkoszna. I pachnie tak słodko - dla odmiany.

Wtula się w moją szyję, a ja czuję, że ściska mnie w gardle. Łowię ponad jej główką spojrzenie Nicka: uśmiecha się do mnie, po raz pierwszy od wielu dni ciepło i szczerze. Dla dzieci cała ta historia musi być trudna. Nic dziwnego, że są trochę krnąbrne: ich świat został przewrócony do góry nogami. Musi minąć trochę czasu, zanim...

- Ojejku - mówi Sophie, nie zadając sobie trudu, żeby ukryć złośliwy uśmieszek. Wielka pomarańczowa plama z pozostawionego bez skuwki flamastra rozlewa się po mojej biednej udrepczonej sofie. - Sorry, Sara.

Wszystko ma swoje granice. Sofa jest w strzępach, połowa kubków wytłuczona, ściany pomazane kredkami, brakuje mi tuzina kolczyków, każdego od innej pary, w moim najnowszym thrillerze Grishama brakuje dziesięciu ostatnich stron, bo zostały wyrwane, zanim zdążyłam je przeczytać, cały słoiczek kremu La Prairie za sto funciaków został zmarnowany na pupę dziecka, bo ktoś gdzieś zapodział sudocrem, moja zamiszowa kurtka od Josepha nadaje się tylko do tego, żeby nią wysłać kocia kuwetę, po całym domu poniewierają się śpiwory, poduszki i wywrócone na lewą stronę spodnie od pizam, w łazience śmierdzą pieluchy, a ja od paru tygodni nie wiem, co to przyzwoite bara-bara, nie mówiąc już, kurna, o orgazmie. Która kobieta byłaby w stanie szczytować, gdy za drzwiami śpi - o ile śpi - na sofie troje małych dzieci, mających wybitną skłonność do tego, żeby wpadać bez pukania?

Mówię Nickowi jasno i niedwuznacznie, że chcę mieć w weekend wolne. Koleżanka Amy, też prawniczka, urządza imprezę w Swiss Cottage; choć raz chcę zapomnieć o dzieciach i obowiązkach i wyjść z domu. Taka jestem zmęczona tym chaosem, jaki wytwarzają wokół siebie te cholerne dzieciaki... Jesteśmy jak małżeństwo z wieloletnim stażem, kłócące się z powodu dzieci. Potrzebujemy trochę oddechu, rozrywki.

Ku memu zaskoczeniu Nick się zgadza. Może i on chciałby znowu pobaraszkować w pościeli tak jak dawniej. Parę porządnym numerków to jest to, czego potrzebujemy oboje. Wszystko wróci do normy.

Wydaję pół miesięcznej pensji na fantastyczną sukienkę od Matthew Williamsona i pożyczam od Amy żelazko do prostowania włosów, żeby doprowadzić do ładu fryzurę (na szczęście wyszła już ze stadium, w którym przypominałam lesbę albo aktora z szekspirowskiego teatru grającego rolę kobietą). Prawdę mówiąc, przycięcie dobrze zrobiło moim włosom; znowu mam te fajne złociste loczki wijące się seksownie po gołych ramionach, a przy tym są gęstsze niż poprzednio. Kończę makijaż i przesyłam sobie samej pocałunek w lustrze. Nawet to, że wyskoczył mi pryszczyk, jak zawsze przed imprezą, nie jest w stanie popsuć mi humoru. Wyglądam świetnie.

Nick nawet tego nie zauważa.

W taksówce jest wyjątkowo milczący, nawet jak na niego. Zaczynam się zastanawiać, czy impreza to na pewno był dobry pomysł. Nawet nie zmienił tego cholernego garnituru, jasny gwint... Wygląda jak mój ojciec.

Ale mieszkamy razem już dwa miesiące. Prędzej czy później musi poznać moich przyjaciół, wejść w mój świat; zwłaszcza że z jego świata prawie nikt z nim nie rozmawia. Nawet Giles odłożył słuchawkę, kiedy Nick do niego zadzwonił. Pewnie Liz zagroziła mu cofnięciem przywilejów łóżkowych, jeśli ośmieli się utrzymywać stosunki towarzyskie z tą dziwką (czyli mną, do usług); tak czy owak, Nick to przeżywa.

Poza niezbyt udanym wyjściem do kina raz czy dwa razy (jemu nie podobała się komedia romantyczna z Matthew McConaugheyem, którą zaproponowałam, a ja zasnęłam z nudów na filmie, który wybrał on, jakimś wietnamskim gniocie z napisami) w ogóle nie wychodziliśmy z domu, odkąd umarł jego ojciec. Ubóstwa naszego życia towarzyskiego nie poprawia fakt, że Nick z poczucia winy większość pensji oddaje żonie. Co oznacza, że ja utrzymuję nas oboje. Jeszcze trochę, a będę musiała zastawić bransoletkę od Tiffany'ego, żeby zapłacić rachunek za tele-

fon... Oto nasze rozpasane weekendy w wielogwiazdkowych hotelach nad jeziorami. Romantyczne to nie jest, o nie.

Kiedy przyjeżdżamy, Amy od razu odciąga mnie na bok, żeby mi przedstawić tego nowego faceta, który od niedawna pracuje w jej kancelarii. Jako że minęło pięć lat, odkąd próbowała mi przedstawić kogoś innego niż tego załganego dupka Terry'ego, czuję się w obowiązku choć troszeczkę podsyć płomień romansu. Nick jest na tyle stary (ha!) i brzydki, że wytrzyma pięć minut beze mnie. Dookoła jest pełno prawników, z którymi może sobie pogadać, jak będzie bardzo chciał.

Po chwili wpadam na dziewczynę ze studiów, której nie widziałam od lat, i okazuje się, że jest zaręczona z chłopakiem, z którymś kiedyś chodziłam; czy to nie dziwne? A potem, wracając z kibelka, zatrzymuję się na moment, żeby zamienić parę słów z adwokatem strony przeciwnej w mojej nowej sprawie, i wynika z tego jedna z tych długich rozmów na schodach, kiedy wciąż trzeba to uchylać się, to nurkować, to zaglądać przez ramię, bo co minutę ktoś przechodzi i nas rozdziela. Gdy wreszcie kończymy, muszę zrobić sobie nowego drinka i paplam, zaśmiewając się, ze znajomymi, z moimi młodymi, nieodpowiedzialnymi, wolnymi od obowiązków rodzinnych znajomymi, i wcale nie mam ochoty wracać do Nicka i jego wyniosłej rezerwy spod znaku „cóż, skoro ci to sprawia przyjemność...”, czytelnej, choć niewypowiedzianej na głos. Murowane, że nie cierpi tej muzyki, tego taniego wina, tych plastikowych kubków, tych par śliniących się po kątach... Boże, miej nas w opiece, jeśli odkryje, że te dwa ciała zwarte w uścisku na wytartej welurowej sofie to obaj faceci!

Ktoś proponuje mi linijkę koki, rzucając ostrożne spojrzenie w stronę Nicka. Choć odmawiam, bo nigdy nie brałam twardych dragów, to sztywniacka postawa Nicka, trzymającego się na uboczu, z dala od reszty towarzystwa, irytuje mnie jak diabli.

Małeńki robaczek porusza się gdzieś w głębi mego mózgu: to nie działa.

Co? Tyle bólu i cierpienia spowodowaliśmy, tyleśmy zaryzykowali, żeby być razem, i ma nie działać? Oczywiście, że zadziała! Niepotrzebnie robię z igły widły. To tylko jedna głupia impreza! To nie jest środowisko Nicka i tyle. Powiedzmy sobie szczerze, ta impreza niewiele różni się od studenckiej, a przy najlepszej woli nie da się ukryć, że minęło sporo lat, odkąd Nick był studentem.

Z nami nie ma to nic wspólnego. Kochamy się. Wszystko będzie dobrze i już.

Kręcę odmownie głową, gdy ktoś inny proponuje mi jointa, i przepycham się do Nicka.

- Dobrze się czujesz? - pytam.

Podskakuje, rozlewając wino na podłogę.

- Przepraszam. Odpłynąłem.

Nachylam się odpowiednio nisko, żeby widział co trzeba.

- Jak leci?

Uśmiecha się blado. No, Nick, daj coś z siebie i ty, spotkajmy się w pół drogi...

Wędruję ręką ku jego kroczu i z satysfakcją stwierdzam, że już jest twardy jak skała. Zadziałało piorunem. Muszę pamiętać, żeby wkładać tę sukienkę częściej.

- Wygląda na to, że i tu mamy dziś imprezę - prowokuję żartobliwie.

Kiedy wracamy taksówką do domu, Nick przywiera do mnie i obmacuje przez skąpą suknię z niecierpliwością szaleńca. Wpadamy do mieszkania, zrywając z siebie nawzajem ciuchy. Naga, ale na obcasach, cofam się ku sypialni, pociągając go za sobą. Zrywa z siebie koszulę, zrzuca półbuty. Leżę na łóżku, kiedy zdejmuje spodnie, i czuję, że robię się mokra w środku na widok jego pięknego, wielkiego ptaka. Nigdy nie czułam takiego głodu, żeby mieć go w sobie. Wszystko będzie dobrze...

Pada na łóżko obok mnie. Kolanem rozwiera mi nogi, sięga ręką do cipki i pieszcząc mnie palcem, kładzie się na mnie. Delikatnie wsuwa mi ptaka między uda. Nie wchodząc, samą tylko żołądzia pociera mi łechtaczkę. Cała moja istota jest w tej chwili ześrodkowana na tych paru centymetrach nerwów i tym, co czuję w tym miejscu. Skręcam się z pożądania. Jeszcze, jeszcze...

Nagle Nick odrywa się ode mnie. Choć próbuję go przytrzymać, wsuwa mi poduszkę pod biodra i zsuwa się w dół. Wkłada mi głowę między nogi i zaczyna lekko całować, samymi tylko wargami, tak jakby całował się z kimś na powitanie na przyjęciu. Chwytam go palcami za włosy i przyciskam mocniej, ale on opiera się i nadal drażni mi łechtaczkę wargami, skubie leciutko, kraży językiem wokół szparki...

Płonę z pragnienia. Czuję się, jakbym została przebudzona z długiego, głębokiego snu przez jakiegoś księcia z pornosa rodem. Już prawie zapomniałam, że to może być aż tak...

Unosi moje ciało, całuje brzuch, pępek, piersi. Czuję na wargach własny smak, kiedy sięga ust.

- Chcę cię mieć w środku - jęczę.

Sięgam ręką: jest twardy, ale nie tak jak poprzednio, za długo kazałam mu czekać. Popycham go na poduszkę, zsuwam się i biorę go w usta. Ssę, drażnię, lekkim jak piórko dotykiem głaszczę po udach i jądrach i po paru minutach czuję, że jego ptak wraca do życia.

Siadam na nim okrakiem i przyjmuję w siebie, głębiej, głębiej... Jego pchnięcia są coraz mocniejsze i szybsze, czuję, że zbliża się orgazm. Nick przekręca się wraz ze mną i porusza dalej, teraz już na wierzchu. Nie mam nic przeciw zmianie pozycji - ale nieoczekiwanie on gubi rytm. Pchnięcia ustają, wyslizguje się ze mnie. Sięgam ręką między nasze nogi, żeby znowu mu pomóc...

- Och - wzdycham rozczarowana.
- Przepraszam - mówi cicho Nick.
- Zapomnij. To nieważne. Zdarza się.

Stacza się ze mnie i założywszy ręce pod głowę, wpatruje się w sufit. Oboje wiemy, że kłamię. Czy mi się to podoba, czy nie, seks nie jest tylko ważnym elementem naszego związku: on jest jego istotą. Jeśli zaczyna źle iść w sypialni, oznacza to, że mamy przerąbane.

A raczej, jak widać, nie mamy.

Wstaję i sięgam po moje czerwone kimono. Nagle czuję młodości - i lęk.

- Idę się napić wody.

W łazience odkręcam prysznic i przymknąwszy oczy, opieram głowę o zimne płytki. Dlaczego to tak szybko zaczęło się psuć? A może szło źle od samego początku, tylko ja nie chciałam tego widzieć? Zanadto pochłonięta rozkosznym dreszczem, jaki towarzyszył romansowi, koniecznością utrzymywania go w tajemnicy, ryzykiem, jakie się z nim wiązało, nieosiągalnością Nicka... A prawda jest taka, że nawet jeśli Nicka kocham - a kocham, o Boże, jeszcze jak - to poza rozkoszą, jaką dajemy sobie w łóżku, nie mamy ze sobą nic wspólnego, i kiedy tej rozkoszy zabraknie, nie łączy nas absolutnie nic.

Prawda, ale nie do końca.

Instynktownie obejmuję dłońmi brzuch. Miękki, sprężysty, wyglądający tak samo jak zawsze.

Ale trzy i pół tygodnia nie jest bez znaczenia, choć próbuję to sobie wmówić. Trzy i pół tygodnia coś znaczy. Poranne mdłości, gładka cera, błyszczące włosy, nabrzmiałe, wrażliwe piersi - wszystko to coś znaczy. I nie ma nic wspólnego z wątpliwą jakością chińszczyzną, brakiem ćwiczeń fizycznych czy stresem.

Nie mogę tego zrobić w pojedynkę. Dzwony alarmowe na temat Nicka biją na wszystkie cztery strony świata, ale w pojedynkę nie dam rady.

Gorąca woda robi się coraz chłodniejsza. Wychodzę spod prysznica, wycieram się. Zawiązuję pasek szlafroka i idę boso do sypialni.

Nick mówi szeptem, ale mieszkanie jest małe i panuje w nim kompletna cisza. Na bosaka poruszam się bezszelestnie. I w ten sposób nie chcący słyszę, jak mój kochanek mówi innej kobiecie - swojej żonie - że ją kocha, jak błaga, żeby przyjechała go z powrotem.

Kiedy w końcu wyłącza telefon i podnosi na mnie wzrok, mówię mu.

Znajduję tatę w szklarni na tyłach ogrodu, przesadzającego maleńkie flance do osobnych doniczek. Przysiadam z boku na drewnianej ławce i patrzę, jak ostrożnie uciska palcami ziemię wokół delikatnych łodyżek. Daje znak głową, że mnie zauważył, ale dalej robi swoje.

W końcu taca z flancami zostaje opróżniona. Tato prostuje się i otrzepuje ręce z ziemi. Z zadowoleniem patrzy na równiutki szereg doniczek.

- Powinny być udane w tym roku - mówi. - Ta partia ładnie skiełkowała. No i grządki są dobrze nawiezione, dzięki mamie. Wszystkie obierki szły na kompost.

- Lepiej, żeby się o tym nie dowiedziała, tato. Dostałaby szału, że ma w tym swój udział.

Biorę szmatę i zaczynam czyścić z ziemi mały szpadek. Obok tato zwija w kłębek zielony ogrodniczy szpagat. Gorąco tu i duszno; czuję, jak pot zbiera mi się pod biustem i spływa po plecach. Nieruchome powietrze ma mdłą, słodkawą woń gnijących owoców. Mucha brzęczy, tłukąc się o szybę, i tato otwiera okno, żeby ją wypuścić. Z dworu napływa chłodniejszy powiew, niosący ze sobą zapach świeżo skoszonej trawy i kwitnącego głogu, którego krzak rośnie w kącie ogrodu. Przypominają

mi się te wszystkie letnie dni, kiedy siedziałam w domu i zakuwałam do egzaminów, a świat na zewnątrz wydawał się taki beztrojski.

- Może spróbowałbyś z nią porozmawiać, tato - zacznym.

Wzdycha.

- To nic nie zmieni.

- Wiem, że nie tego dla mnie chciała, ale to moje życie. Kocham Nicka, a on kocha mnie. Czy ona nie może tego po prostu zaakceptować i cieszyć się moim szczęściem?

- Ona się o ciebie martwi, kochanie. Oboje się martwimy. - Wyciąga rękę, żeby powiesić kłębek na haku. - Kiedy sama będziesz miała dzieci, zrozumiesz. Nie chodzi o to, czy my to akceptujemy, czy nie. Po prostu nie chcemy, żebyś cierpiała.

Przełykam wielką gulę poczucia winy dławiącą mnie w gardle. Nie mogę im powiedzieć o dziecku; jeszcze nie teraz. Chryste, oni jeszcze nawet nie poznali Nicka... Co by zrobili, gdyby się dowiedzieli, że już zrobił brzucha ich kochanej małej córeczce?

Starannie składam ścierkę we czworo.

- Jedyna osoba, która może sprawić, że będę cierpiała, to mama, jeśli będzie się upierała przy swoim - mruczę.

Tato patrzy na mnie przez długą chwilę, po czym siada ciężko na ławce. Opiera dłonie na kolanach i przesuwa nimi w górę i w dół po wytartych sztruksowych nogawkach.

- Czy jesteś pewna, kochanie, że przemyślałaś tę sprawę jak należy? Pewnie uważasz, że przemyślałaś, ale to wszystko nie jest takie proste. Ten człowiek, ten Nick... nie chodzi tylko o to, że jest starszy. Chodzi o coś poważniejszego. Małżeństwo, rodzina... Kochanie, całe życie przed tobą. Masz dopiero dwadzieścia sześć lat. Możesz osiągnąć wszystko. Nie chciałbym, żeby ci przycięto skrzydła, zanim zdążysz je rozwinąć.

- On mi się oświadczył - mówię wyzywająco. - Chce, żebyśmy się pobrali, jak tylko dostanie rozwód. A ja się zgodziłam.

Ojciec kiwa powoli głową.

- Ja go kocham, tato - mówię, przykucając przed nim. - Proszę, spróbuj się cieszyć moim szczęściem.

- On jest żonaty, Saro - odpowiada cicho ojciec. - Od tego nie ma ucieczki. Wiązesz się z mężczyzną, który już raz porzucił rodzinę. Skąd wiesz, że nie zrobi tego po raz drugi?

Kiedy Emma złożyła wymówienie — tego samego ranka, gdy nasz romans stał się jawny - Nick zatrudnił nową sekretarkę. Dwadzieścia dwa lata, nogi potąd, wypisz wymaluj Scarlett Johansson. Daleko jej do doświadczenia Emmy; wygląda na to, że przez dłuższy czas będzie potrzebowała nadzoru Nicka. Będą ze sobą blisko, ręka przy ręce, twarz przy twarzy...

- On mi tego nie zrobi, tato. On mnie kocha.

Ojciec wzdycha. Potem poklepuje ławkę obok siebie.

- Usiądź, Saro.

Siadam. Przez dłuższą chwilę oboje milczymy.

- Kiedy miałaś trzy lata- mówi wreszcie tato- przechodziliśmy z mamą trudny okres. W domu panowało napięcie. Mama właśnie podjęła pracę, a ja nie byłem zadowolony, że po powrocie muszę sam robić sobie kolację. Pokłóciłem się z nią parę razy, nie będę ukrywał. - Uśmiecha się krzywo. - Mężczyzna ma pewne oczekiwania. Moją rolą było przynosić do domu pieniądze, a jej - zrobić z nimi co trzeba. Me chciałem, żeby pracowała, i powiedziałem jej to. Ale znasz matkę... I tak znalazła sobie pracę. Została recepcjonistką w jakiejś ekskluzywnej firmie prawniczej w mieście.

Wlepiam w niego oczy, zdumiona.

- Nie miałam pojęcia, że mama kiedykolwiek pracowała!

- Jest wiele rzeczy, których o nas nie wiesz. - Tato pociera dłonią brodę i policzki. - Wiem, że niespecjalnie się zgadzacie i że za wszystko, co jest nie tak, jesteś skłonna obwiniać ją. Tak, czasem trudno z nią wytrzymać, przyznaję. Ale i ona nie miała ze mną lekkiego życia.

Spod półek wyskakuje polna mysz. Patrzymy, jak biegnie na środek szklarni i znika pod przewróconą do góry dnem donicą.

- Wracając do tematu... Zwykle byłem w domu wcześniej niż matka, no i zacząłem wstępować do sąsiadki. Na pogawędkę, czasem na drinka... Ona też była mężatką, ale jej mąż przeważnie do późna był poza domem. Po jakimś czasie byliśmy już przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

Słowa zawisły w powietrzu.

- Miałeś romans! - wyrzucam z siebie.

- Chyba można tak to nazwać. Obojgu nam zawróciło w głowie na jakiś czas. Ja byłem zdecydowany odejść od matki, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że nie mogłaby tego zrobić dziecku, czyli to-

bie. Była lepsza ode mnie, muszę to przyznać. Ja byłem jak otumaniony, nie potrafiłem patrzeć prawidłowo. - Przełyka głośno ślinę. - Ciągnęło się to prawie pół roku. Wciąż miałem zamiar to zakończyć, ale jakoś nigdy nie mogłem znaleźć właściwego momentu... i byłem taki zły na matkę. Cały czas myślałem, jaką krzywdę wam wyrządzam. — Przymyka oczy. - A potem, rzecz jasna, matka się dowiedziała. Przytąpała nas na gorącym uczynku — tu, w tej szklarni. Joan przysła...

- Joan!?! - wykrzykuje. - Pani Newcombe?

Kiwa głową.

- O Chryste! - Chowam twarz w dłonie. - Libby jest młodsza ode mnie o cztery lata. Proszę, nie mów tylko, że...

- Oczywiście, że nie jest moja! Za kogo ty mnie masz?

- Właśnie nie wiem - mówię gorzko. - Nie mogę w to wszystko uwierzyć, tato... To za dużo jak na jeden raz. A co mama powiedziała?

- Dała mi jeszcze jedną szansę. A ja z niej skorzystałem. I nigdy tego nie żałowałem. Dawała mi niezłą szkołę przez jakiś rok czy dwa, i nadal jej się od czasu do czasu zdarza, ale koniec końców przeszliśmy przez to. I jesteśmy teraz silniejsi. Nauczyliśmy się cenić to, co mamy, i dbać o to. Ona zrezygnowała z pracy, nie dlatego, że ją o to prosiłem, tylko dlatego, że chciała coś z siebie dać. - Ujmuje moje ręce. - Mężczyzna popełnia czasem błędy, Saro. Zbacza ze szlaku. Ale że chodzi o dzieci, powinnaś się dwa razy zastanowić, zanim zburzysz ich życie. Wiem, że kochasz tego człowieka, a on myśli, że kocha ciebie. - Wzrusza ramionami. - Może i kocha, nie wiem. Ale czy jesteś pewna, tak na sto procent, że jego małżeństwo jest zakończone? Bo jeśli nie, to rujnujesz życie wielu ludzi, łącznie z własnym... dla niczego.

Zatrzymuję samochód i patrzę na mapę. Stapleford powinno być gdzieś tutaj, a ja jeżdżę po tym odcinku drogi A36 od czterdziestu pięciu minut i nic. Musiałam przeoczyć zjazd.

Zdenerwowana, walę dłońmi w kierownicę i ruszam. Bez poplątania drogi jest to wystarczająco okropne, a tu, kurna, jeszcze i to.

Nick oświadczył mi się wkrótce po tym, jak powiedziałam mu, że jestem w ciąży. I chociaż podsłuchałam tamtą rozmowę, chociaż słyszałam, jak mówił żonie, że nadal ją kocha i pragnie wrócić, pomimo wszystkich wątpliwości i lęków powiedziałam: tak.

Chcę tego dziecka. I chcę mieć dziecko z nim. Może tym razem to będzie chłopiec. Syn, z którym będzie mógł chodzić na ryby, uczyć go grać w krykieta i piłkę nożną. Kiedy urodzę mu dziecko, będę dla niego tak samo ważna jak ona. Nie będę zwykłą kochanką, tylko matką jego dziecka. Będziemy mogli na tym budować, starać się stworzyć prawdziwy związek z tego, co jest między nami obecnie. Dziecko wszystko zmieni. On mnie kocha na swój sposób, jestem tego pewna. Trochę czasu i uwagi, a pokocha bardziej.

Ale co, jeśli wystarczy, że ona kiwnie palcem, a on natychmiast będzie gotów do powrotu? Tak żyć nie mogę. I nie mogę zrobić tego dziecku.

Muszę mieć pewność, że drzwi są zamknięte na dobre.

No, wreszcie. Skręcam na Stapleford i utykam za kontenerem pełnym koni. Pełznięmy pięć kilometrów na godzinę, a ja będę niecierpliwie palcami w kierownicę. Kiedy w końcu stajemy na dobre, bo przez jezdnię przechodzi stado krów, opuszczam daszek przeciwsłoneczny i sprawdzam w lusterku mój wygląd. No, super. Wielki pryszcz dokładnie pośrodku brody. Tylko tego mi było trzeba.

Podnoszę daszek. Nie chodzi mi tylko o to, żeby mieć pewność co do Nicka. Nigdy nie sądziłam, że powiem coś takiego, ale potrzebuję rozgrzeżenia. Inaczej nie będę mogła pójść do przodu. Cofnięcie zegara i naprawienie zła, któreśmy z Nickiem wyrządzili, może się okazać niemożliwe, ale jeśli będę wiedziała, że przynajmniej jego żona jest teraz szczęśliwa, to może będę spokojniej spać w nocy. Wciąż mam w głowie słowa mojej matki: nie można budować szczęścia na cudzym nieszczęściu.

O czym ja mówię? Oczywiście, że jego żona jest szczęśliwa. Ma takiego ślicznego chłopczyka, który ją grzeje w sypialni... Chcę tylko, aby mi obiecała, że będzie się trzymać z daleka od mojego faceta.

Tak. Poczucie humoru mnie nie opuszcza.

Dojeżdżam do rozwidlenia i skręcam w wąską drogę prowadzącą stromo w górę. Dwa razy muszę stawać na poboczu, żeby przepuścić auto jadące z naprzeciwka. Opuszczam szybę i wdycham woń żywopłotów. Ciepły wiatr nagina w moim kierunku zarośla pietruchy; kicham od nagłego uderzenia w nos kwiatowego pyłku. Wiem, że wieś to nie tylko te bukoliczne widoki i pasterskie idylle, oglądałam reportaż z rzeźni, a jednak... Jak tu pięknie! Londyn ze swoim hałasem, pośpiechem i smogiem wydaje się odległą planetą.

Farma Nicka jest jedyną ludzką siedzibą w promieniu paru kilometrów, otoczona z trzech stron przez pola i łąki, a z jednej przez zagajnik. Stary dom wygląda bardzo malowniczo, nawet jeśli - co widać, kiedy podjeżdżam bliżej - jest troszkę niedopieczony i prosi się o nowoczesne oprzyrządowanie. Nic dziwnego, że tak trudno było mu go opuścić.

Brama jest otwarta. Parkuję na obszernej żwirowanej przestrzeni od frontu. Serce mi wali, kiedy wysiadam. Cholera jasna. Nagle nie jestem pewna, czy dam radę przez to przejść.

Nie mogę się zdobyć na to, żeby zadzwonić do drzwi. Mijam ostrożnie kilka budynków gospodarczych, zachodzę od tyłu i zaglądam przez brudną okienną szybę do kuchni. Wnętrze jest mniejsze i bardziej nieporządne, niż się spodziewałam. Po głowie płątały mi się wizje kuchni Niggelli Lawson, które widziałam kiedyś w „Sunday Times” - nieskazitelne blaty, zwisające nad nimi lśniące rondle... Przecież jest kucharską znakomitością, tak czy nie? Tymczasem jedyna rzecz, jaka tu zwisa, to parę zszarżanych staników i majtek w stylu Bridget Jones. Kamienna podłoga jest zasłana gazetami i czymś, co wygląda jak królicze bobki; zlew wypełniają stopy brudnych naczyń. Na parapecie stoi kilka wyszczerbionych doniczek z uschłymi ziołami.

Przy wyszorowanym kuchennym stole widać wątlą figurkę w brudnym, obszarpanym szlafroku. Rozczochrane sprężynki włosów sterczą na wszystkie strony. Siedzi z głową w ramionach, którymi rytmicznie wstrząsa spazm płaczu.

O Boże, nie powinnam była przyjeżdżać. Co za błąd...

Podnosi głowę, a ja doznaję szoku. Ledwie ją rozpoznaję. Oczy ma czerwone i opuchnięte, twarz wymizerowaną. Ciemne kręgi pod oczami mówią o nieprzespanych nocach i długich godzinach oczekiwania na świt, który przerwie mordęgę bezsenności. Jest załamana, przybita, jakby skurczona ze smutku. Z pogodnej flirtiary, która co sobota podrzucała dzieci, by po chwili wskoczyć radośnie do samochodu, gdzie czekał na nią seksowny kochanek, nie pozostało ani śladu.

Przełykam ślinę. To moje dzieło. To ja jej to zrobiłam.

Otwiera drzwi, odwraca się i bez słowa idzie z powrotem do kuchni, zaciskając wokół siebie poły szlafroka. Ostrożnie przestępuję stos zabłoconych dziecięcych kaloszy.

Po czym wyrzucam z siebie pytanie, z którym przyjechałam.

Malinche

Gniew może człowieka zaprowadzić bardzo daleko, odkrywam: daleko od tych, którzy nas kochają i krzywdzą, daleko od tego, co znajome i bliskie, a także - i właśnie to jest dla mnie takie przerażające - daleko od wszystkiego, co wiedzieliśmy o sobie samych.

Zwymiotowawszy na sofę Sary, ocieram usta wierzchem dłoni i nie rzucając nawet okiem na męża, który jak szalony wrzuca na siebie koszulę, marynarkę i buty, ani na jego kochankę, wciąż stojącą jak słupek soli w drzwiach w tanim czerwonym kimonie, wychodzę i ruszam przed siebie.

Idę New Fetter Lane w kierunku Fleet Street. Śmieszne ogrodowe drewniaki, które złapałam ze zmywalni w rozpaczliwym pragnieniu, żeby dotrzeć do Nicholasa, zanim będzie za późno, zaczynają mi obcierać stopy. Ledwie rejestrując ruch uliczny, smród spalin czy wulgarne teksty zakapturzonych nastolatków wystających we framugach drzwi; koncentruję się na tym, żeby stawiać jedną stopę przed drugą, jedną przed drugą, czując, że jeśli przestanę choć na moment, nie będę potrafiła podjąć tej czynności na nowo. Otarcia krwawią, kiedy docieram do drogi w lewo, prowadzącej przez most Waterloo do stacji metra, a stamtąd do domu.

Skrećam jednak w prawo. Aż dotąd nie wiedziałam, dokąd mnie nogi niosą. Nie przerywając marszu, idę wzdłuż Bow Street, po czym, przebrnąwszy płatanińską wąską uliczkę, wychodzę na Covent Garden.

Luksusowy sklep dla smakoszy łatwo odnaleźć, ale w środku jest ciemno i uświadamiam sobie, że już wpół do dziesiątej, zamknięte... Potrącana przez turystów i ludzi wychodzących z teatru, schodzę z placu

i po chwili znajduję się na eleganckiej staroświeckiej ulicy z rzędami wysokich białych kamienic po obu stronach; wyrafinowane, pełne wdzięku budynki zdają się krzywić boleśnie, gdy patrzę na wałające się śmieci, na bezdomnych i na sikających po bramach młodzieńców.

Wchodzę po schodach i myślę, że jeśli go nie zastanę albo jeśli mnie nie wpuści - od Rzymu prawie ze sobą nie rozmawialiśmy - to po prostu zwinę się w kłębek na rogu i będę czekać, aż zdmuchnie mnie wiatr, tak jak resztę zalegających ulicę śmieci.

Ale jest. Otwiera drzwi, a ja stoję w progu, boso, z krwawiącymi stopami, włosami potarganymi przez wiatr i twarzą poznaczoną śladami łez, o których nawet nie wiedziałam, że płyną. Bez słowa bierze mnie na rękę i niesie na górę.

Budzą mnie szmery i zapachy pewnego lata z zamierzchłej przeszłości. Z odległego pokoju dochodzą przytłumione dźwięki *Sugartown* Nancy Sinatra. Pachnie kawą i świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym - kiedy siadam, widzę obok łóżka tacę ze śniadaniem: oprócz napojów są na niej francuskie rogaliki, bułeczki drożdżowe, a nawet biała róża - a z balkonowych drzwi spływają na lakierowane łóżko i ręcznie wykończoną podłogę z desek potoki słonecznego blasku. Jedno skrzydło drzwi jest otwarte; lekki wiatr igra z białą muślinową firanką, wywiewając ją na zewnątrz. Pod sufitem porusza się leniwie tropikalny wentylator w kształcie bananowych liści. Mam wrażenie, że znalazłam się w reklamie płatków śniadaniowych; jedyne, czego tu brak, to jaszczurka na staroświeckim telefonie z tarczą do wykrcania numerów.

Opadam z powrotem na przypominającą cukrową piankę poduszkę i podciągam pod brodę leciutką jak puch kołdrę. Nawet moja kredowa błądź wygląda atrakcyjnie na tle tej oślepiającej bieli.

Bolą mnie mięśnie ud, a między nogami czuję dziwne pulsowanie i lepkość.

Wczoraj wieczorem Trace przygotował mi kąpiel w swojej wannie na pazurzastych łapach. Wyszorował mi plecy, zmył z włosów resztki wymiocin, łzy i uliczny kurz, po czym zaniósł mnie do łóżka; tam zaś pieścił mnie tak czule, z tak powściągliwą, kontrolowaną namietnością, że burza gradowa w moim sercu powoli zaczęła ustępować i osłabi buszujący po moim ciele lodowaty wichur.

Na myśl o tym, jak się kochaliśmy - „Zostawiamy zapalone światło - powiedział Trace - chcę cię widzieć, chcę widzieć, jak dochodzisz” - uświadamiam sobie, że jestem potwornie głodna.

Siadam i przysuwam tacę. Jestem przy trzecim rogaliku z dżemem jeżynowym, kiedy Trace wraca spod prysznic, wycierając ręcznikiem mokre włosy. Biała lniana koszula i chabrowe lniane spodnie na każdym innym wyglądałyby sztucznie, jak z okładki „Men's Vogue”, ale nie na nim. Jest boso. Mimo sycącej gimnastyki, jaką uprawialiśmy w nocy, znów czuję pulsowanie w miejscu, gdzie trzydziestoparoletnia matka dzieciom powinna mieć majtki - gdyby nie wisiały, wywrócone na lewą stronę, na poręczy łóżka jej kochanka.

- Dobrze spałeś? - pyta, przysiadając na krawędzi łóżka.

W ostatniej chwili łapię szklankę z sokiem pomarańczowym, która już miała się przewrócić.

- O tak - mrużę, przeciągając się leniwie. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz...

Podrywam się, o mało nie wyrzucając tacy z zawartością w powietrze.

- Która godzina? - Łapię go za przegub i patrzę na zegarek. - Pół do dwunastej! Trace, jak mogłeś mi pozwolić spać tak długo... Dzieci! Muszę jechać do domu! I Edward, biedny Edward, muszę porozmawiać z Daisy...

- Wszystko załatwione - mówi. - Dzwoniłem do Kita. Ustalił z Liz, że zatrzyma dziewczynki do jutra wieczorem, idą wszyscy razem na jakieś zawody konne czy coś, będą miały uciechę za wszystkie czasy. I sprawdził stan rzeczy w szpitalu: na razie nic nowego, ma zadzwonić, jak tylko czegoś się dowie. A ty tymczasem - dodaje, zabierając tacę i zrywając ze mnie kołdrę - wstawaj. Mam dla ciebie plany na dziś.

Zatrzymuje na mnie spojrzenie. Czerwienię się gwałtownie i naciągam kołdrę z powrotem.

Trace wybucha śmiechem.

- Pozwoliłem sobie polecić Alice - co ja bym bez niej zrobił... - żeby skoczyła do Whistles i wybrała dla ciebie jakieś świeże ciuchy. I nie wracaj sobie głowy prysznicem - dodaje, puszczając oko. - Tam, gdzie idziemy, nie będzie ci potrzebny.

Czekam, aż wyjdzie z pokoju, i dopiero wtedy wstaję (trzyście lat i troje dzieci to trochę za dużo jak na bezlistosne światło dnia), po czym

sięgam po opartą o wytworną szafę z wiśniowego drewna torbę, którą dla mnie pozostawił. Kimkolwiek jest Alicja, ma dobry gust - a także zdrowy rozsądek. Oprócz prostej turkusowej tuniki i luźnych kremowych spodni nad kostkę w torbie znajdują się sandały na płaskim obcasie, idealne dla poobcieranych stóp (co za ulga...), a także przyjemne biało-różowe gatki i takiż biustonosz. Wszystko we właściwym rozmiarze. Gdybym nie wiedziała, że jest inaczej, pomyślałabym, że regularnie załatwia dla Trace'a podobne sprawunki.

Chwileczkę... Oczywiście, że załatwia. Przecież nie żył przez ostatnie dziesięć lat jak mnich, podczas gdy ja byłam mężatką i zdążyłam urodzić troje dzieci... Spinam włosy klipsem, trochę zdezorientowana tempem tego wszystkiego.

- Idziemy. Nie masz pojęcia, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żeby cię zapisać na już, bez wyprzedzenia - ponagla mnie Trace, gdy schodzę na dół. Czule ściera mi z kącika ust ślad po dżemie. - Na szczęście dziewczyna, która zajmuje się rezerwacją, to moja znajoma.

Znowu to ukłucie zazdrości. Daję sobie mentalnego szturchańca. To właśnie ta moja absurdałna paranoja popsuła wszystko ostatnim razem.

Pięć minut później popycha mnie ku szklanym drzwiom Sanktuarium, babskiej oazy rozpieszczania i dopieszczania, gdzie bywałam dotąd wyłącznie w marzeniach. Zawsze mówiłyśmy sobie z Liz, że na czterdzieste urodziny zrobimy sobie prezent i zamówimy wizytę w tym przybytku, a dzieci zostawimy z Gilesem i Nicholasem...

Pięść bólu wali mnie w spłot słoneczny. Biorę głęboki oddech... i znowu otwieram oczy.

Boże święty, co ja tu robię? Włóczę się po Covent Garden w jakichś dziwnych ciuchach, boli mnie w dziwnych miejscach, bo kochałam się w nocy z mężczyzną, który nie jest moim mężem, tymczasem moje dzieci robią Bóg wie co na bezdrożach Wiltshire. A Nicholas... Nicholas...

- No, wchodź, wchodź - nagli Trace. - Ja nie mogę wejść z tobą. Masz przed sobą cały dzień, wszystko zapłacone: masaż, aromaterapia, pedikiur, czyszczenie pępka i tak dalej...

- Czyszczenie pępka?!

- No, ja przecież nie wiem, na czym to polega, skąd mam wiedzieć? Czekam na ciebie o piątej. Będziesz innym człowiekiem. - Uśmiecha się

szatańsko. - Nie, żeby coś było nie tak z twoim dotychczasowym wciele-
niem, sądząc z dzisiejszej nocy...

Całuje mnie w zarumieniony policzek i rusza zdecydowanym kro-
kiem po granitowej kostce, pociągając mnie za sobą.

Tyle rozmaitych myśli wiruje mi w głowie, splątanych w gordyjski
węzeł lęku i paniki, że jedynym sposobem, aby się nie rozprysnąć na
kawałki, jest je stłumić. Wchodzę więc posłusznie do środka i poddaję
się zabiegom, które dla mnie zamówił, starając się opróżnić umysł z ja-
kichkolwiek myśli, aż wreszcie jest równie czysty i bezchmurny jak niebo
w słoneczny letni dzień.

O piątą, wyklepana, wypolerowana, wygładzona i wypacykowana, jadę
prosto do Michaeljohn, gdzie moje włosy zostają ujarzmione i upięte w wy-
myslny kok. A potem do Gucciego, gdzie Trace wybiera dla mnie sukien-
kę - czarną, dzięki Bogu - która leży na mnie idealnie i jest doskonała na
premierę filmu (premierę!) w Leicester Square, gdzie staram się nie wisieć
u jego ramienia w sposób zbyt oczywisty i pełen adoracji. A potem do Bou-
jisa, gdzie tańczymy do czwartej nad ranem; i dopiero wtedy dostarcza mnie,
slaniającą się, do domu, a potem do łóżka. W końcu zapadam w sen.

W niedzielę jedziemy do Oksfordu na popołudniowy piknik - pie-
czony bażant, grillowane szparagi, trufle nadziewane marynowany-
mi cebulkami i te najdrobniejsze, najśłodsze wczesne truskawki, a do
tego butelka schłodzonego Krug Tete de Cuvee - i leżymy nad brzegiem
rzeki, mając przed oczami uroczy stary budynek uniwersytetu na prze-
ciwległym brzegu; to nie ten, gdzie miał wykłady Nicholas, tamten jest
w głębi, bliżej centrum...

Nie myśleć nie myśleć nie myśleć.

Tuż przed ósmą Trace odwozi mnie do domu, do Wiltshire; po czym
dzwoni do mnie z komórki, zanim jego auto zdążyło zniknąć za zakrętem.

- Tęsknię za tobą - mówi.

- Odjechałeś dwie minuty temu!

- Tęsknię za tobą - powtarza z naciskiem.

- Ja za tobą też - mówię, przerzucając stos kopert na podłodze,
w nadziei że Liz prędko przywiezie dzieci i pusty dom, zimny pomimo
włączonego kuchennego pieca, wypełnią ich krzyki i śmiechy. - Ale nie
możemy rozmawiać, kiedy prowadzisz, nie chcę, żebyś miał wypadek.

- Zadzwoń do ciebie jutro - obiecuje.

I dzwoni. Dzwoni rano, w południe i po południu; sprawdza, jak się czuję, jak mija mi dzień, a o siódmej porzywa mnie na swym białym koniu (no dobrze, ciemnozielonym aston martinem) na kolację. Kiedy odwozi mnie później, dużo później, jestem tak zmęczona, że zasypiam, ledwo przykładam głowę do poduszki.

Przez cały tydzień codziennie mnie odwiedza i co wieczór ze mną wychodzi: do teatru, do kina (komedia romantyczna z nowym przystojnym aktorem, którego dotąd nie znałam, jakimś Matthew McConaughey; całe lata nie byłam w kinie), do galerii sztuki, do lokalu na kolację. A potem zabiera mnie do swego wiejskiego domku, gdzie spędzamy parę godzin w łóżku - miło i aktywnie, choć nie ma w tym takiej swobody jak z Nicholasem; no, ale minęło sporo czasu, musimy się siebie nawzajem od nowa nauczyć.

Nigdy nie zostaję na noc. Jestem potrzebna dzieciom, muszę usiąść z nimi rano tak jak zawsze przy śniadaniu, stała i niezmienna niczym opoka. Teraz, kiedy odszedł ich ojciec.

Dzięki Trace'owi jestem wciąż tak zajęta, że jeśli dodać do tego dzieci i pracę (nie wiadomo dlaczego, pomysły na dania przychodzą mi teraz bez trudu; gorączkowo pędzę je zapisywać), nie mam ani chwili na rozmyślanie. Na zastanowienie się, co robię czy dokąd to wszystko zmierza. Jestem jak tancerka, której partner nagle zniknął z parkietu, a kolejny natychmiast ujął jej dłoń i zawirował z nią w walcu, tak że prawie nie zdążyła zarejestrować zmiany.

Mam wrażenie, że siedzę na karuzeli, a kolory i kształty przemykają obok mnie z taką prędkością, że wszystko się zamazuje i zlewa.

Choćbym chciała, nie wiem, jak zejść z tej karuzeli.

Pierwsze ostrzeżenie pochodzi od Kita.

- Za szybko się to wszystko dzieje, złotko - mówi, ugniatając mi ramiona, gdy wszywam tasiemki z nazwiskami - i za wcześnie. Bóg mi świadkiem, że nie chcę ci psuć przyjemności, ale nie możesz tak po prostu przeskoczyć z małżeńskiego łóżka w ramiona niewątpliwie apetycznego kochanka. To nie w twoim stylu.

Odgryzam nitkę.

- Skąd wiesz?

- Aniołku. Ledwie trzy tygodnie minęły, odkąd wmaszerowałeś do mieszkania jego dziewczyny i powiedziałaś mu, żeby nie wracał do domu, a następnie zwymiotowałaś bohaterko na jej sofę. I natychmiast potem ruszyłaś prosto do swojego ukochanego z piaskownicy...

- Nie z piaskownicy...

- I wskoczyłaś mu do łóżka...

- Czy to przypadkiem nie Nicholas...

- I od tamtej pory - ciągnie nieustępliwie Kit - on włoży cię po całym mieście z jednej superimprezy na drugą. Premiery, wernisaże, przyjęcia... Nie masz ani chwili dla siebie.

- To nie ja chciałam...

Kit nie przyjmuje żadnych argumentów. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam, żeby był tak poważny.

- Od miesiąca twoja pięknie wykrojona stopa - a tak przy okazji, te pantofle od Giny są super - praktycznie nie tknęła ziemi. A sypialnię wymalowałaś na tak upiornie słodki róż... Czyś ty zwariowała, Malin - che, Barbie jesteś czy co?

Puszcza moje ramiona i siada na krześle naprzeciwko mnie.

- Słuchaj, złotko, nie twierdzą, że nie należy ci się trochę rozrywki. - Wzdycha. - Ale Trace w najlepszej wierze nie pozostawia ci ani chwili na myślenie. A myślenie to właśnie to, moja droga, co ci jest bardzo potrzebne, zanim zdecydujesz, co dalej.

- Nie mogę - mówię. - Nie mogę, Kit. Jak tylko zaczynam myśleć, rozpadam się na kawałki, załamuję się, nie jestem w stanie nic robić...

- Malinche, abstrahując od wszystkiego innego, to nie jest w porządku wobec Trace'a. Jeśli ma się wam udać, to musi to być uczciwe. No i prędzej czy później będziesz musiała stanąć twarzą w twarz z Nicholasem...

- Tak naprawdę to jutro - mówię słabo. - Jutro jest pogrzeb Edwarda.

Kit długo milczy. Zapala papierosa: teraz, kiedy nie ma Nicholasa, poddałam się i pozwalam mu palić w kuchni. Powoli wydycha smugę dymu.

- Trace czy Nicholas?

- Nicholas - odpowiadam momentalnie, po czym zakrywam ręką usta, wystraszona tym, co usłyszałam. - To się nie liczy - szepczę. - To tylko siła przyzwyczajenia...

- Właśnie dlatego powinnaś pomyśleć - mówi.

Moje krzesło zgrzyta obrzydliwie po kamiennej podłodze.

- Tu nie ma o czym myśleć! - krzyczę w udręce. - Przecież ja nie mam wyboru! Nicholas odszedł i nie zamierza wracać! Żeby choć raz zadzwonił i zapytał, jak sobie radzę...

- Kochasz go jeszcze?

- Jakie to ma znaczenie, skoro on nie kocha mnie? A Trace kocha. Rozpieszcza, rozwesela, traktuje jak kogoś wyjątkowego. Kochałam go, odkąd pamiętam, nie mogę sobie nawet wyobrazić, że kiedykolwiek było inaczej!

- Ale przecież mnie też kochasz - mówi Kit. - A to przecież nie to samo, prawda?

Zaczynam drżeć. Kit gasi niedopałek i przytula mnie, wspierając brodę o czubek głowy.

- Dlaczego mi to robisz? - szlocham w jego koszulę. - Przecież nawet nie lubisz Nicholas'a.

- Bo ktoś ci musi pomóc spojrzeć prawdzie w oczy. Bez względu na to, jaka jest. Nie możesz chować głowy - i serca - w piasek. Musisz sobie pozwolić na żałobę po małżeństwie. Nie możesz tak po prostu przedstawić się na Trace'a, tak jakby było wszystko jedno, ten czy tamten.

Nie takie to proste, myślę nazajutrz, patrząc, jak trumnę z ciałem Edwarda Lyona opuszczają w ciemną ranę, wyrwaną w łonie ziemi pośród jaskrawej zieleni murawy. Łzy płyną mi po twarzy. Zawsze wierzyłam, że każdy z nas ma swoją bratnią duszę - *basherta* - wyjaśniłam Nicholasowi wkrótce po tym, jak się poznaliśmy - to oznacza w jidysz osobę, która jest nam przeznaczona - ale może to czczy wymysł, że życie ma porządek i cel, może to wyłącznie chaos i nic więcej... Trzydzieści lat temu byłam pewna, że Trace jest moją bratnią duszą; potem spotkałam Nicholas'a i uznałam, że to on jest człowiekiem, którego przeznaczył mi los. A teraz? Teraz nie wiem, w co wierzę. Nie wiem nawet, czy w ogóle w coś wierzę.

Wiem tylko, że Trace mnie pragnie. A Nicholas nie.

Po pogrzebie przystaję obok Nicholas'a, który pomaga matce wsiąść do samochodu. Nie wiem, co powiedzieć. Bo co można powiedzieć mężczyźnie, z którym dzieliło się łóżko przez ponad dziesięć lat, a który teraz patrzy na ciebie, jakbyś była przezroczysta, jakby cię tu w ogóle nie było?

- Nie chciałam, żeby tak wyszło - udaje mi się w końcu wykrztusić. - Chciałam przeczekać. Próbowałam.
- Od dawna wiedziałas? - pyta krótko.
- Od przyjęcia w Towarzystwie Prawniczym.
- Jak...

Jak on może być tak klinicznie chłodny? Tłumię szloch... a może to było jego imię?

Przestępuje niezręcznie z nogi na nogę.

- Malinche, czy jest jakaś szansa, żebym...

Czuję, że nie jestem gotowa, żeby widzieć go w domu, opróżnić jego szafy, zdejmować książki z regałów; nie jestem gotowa, żeby pochować nasze ślubne zdjęcia w ramkach, teraz leżące twarzami do dołu, ale mimo wszystko wciąż obecne. Żal sprawia, że mój ton jest ostrzejszy, niż zamierzałam.

- Nie, Nicholas. Przykro mi.

- Zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmi... ale to nie ma żadnego znaczenia. Proszę...

- Oczywiście, że to ma znaczenie - dla mnie, nawet jeśli nie ma dla ciebie! Nie jesteś jedyną osobą, której to dotyczy. Nie ty powinieneś decydować, czy to ma znaczenie czy nie.

- Wiem, że jesteś zła, ale...

- Zła to mało powiedziane: wyrzucam z siebie wściekle. - Nawet w przybliżeniu.

- To niemożliwe, żebyś naprawdę chciała rozwodu.

Rozwodu. Odczułam to słowo jak uderzenie młotem. Oczywiście, myśle tępo. Przecież będzie chciał się z nią ożenić... Wzruszam ramionami.

- A czego innego się spodziewałeś?

- Czy możemy przynajmniej porozmawiać? Co z dziećmi? Czy pomyślałaś, co to dla nich...

- A ty?

Dwóch grabarzy przechodzi obok nas z łopatami w rękach. Nicholas odprowadza ich wzrokiem. W oczach ma taki smutek, że mimo woli mój gniew słabnie.

- Nicholas - mówię cicho - to nie jest miejsce ani czas. Na razie powiedziałam dzieciom, że zajmujesz się babcią. Kiedy przyjdzie właściwa pora, powiemy im, że ty... że my...

- Czy mogę się z nimi zobaczyć?
- Oczywiście! Zorganizowałabym wam spotkanie wcześniej, ale ty cały czas byłeś albo w pracy, albo w szpitalu. Uznałam, że nie trzeba ich w to wszystko wciągać.

Kątem oka widzę, że Trace wysiada z samochodu - prosiłam go, żeby poczekał w środku; nie chciałam, żeby Nicholas go widział, nie teraz, nie tutaj, na pogrzebie ojca - i rusza w moją stronę. Zatrzymuje się parę metrów dalej, obok grupki żałobników, i czeka.

Patrzę znowu na Nicholasa. Jego twarz ma dziwny wyraz, jakby tęsknoty. Nagle, nie wiadomo dlaczego, mam wrażenie, że nie było tych wszystkich lat, że stoję z nim przy ołtarzu z dłonią w jego dłoni, a złota obrączka, która lśni na moim palcu, jest taka nowa, taka jeszcze obca. I teraz, dziesięć lat później, kiedy stoimy obok innego kościoła, na pogrzebie, a nie na ślubie, dociera do mnie z zaskakującą wyrazistością, że wciąż go kocham, że jestem naznaczona tą miłością jak piętnem, że choć smutek roztrząskał *mnie* na *tysiąc* kawałków, *miłość trwa, jest centrum mojego istnienia*, moim absolutem; i że jedyne, co powinien zrobić, to powiedzieć mi teraz, że mnie kocha, i nic innego nie będzie się liczyć, naprawdę nic...

On jednak mówi chłodno:

- W takim razie chciałbym się z nimi spotkać w ten weekend.

Ustalamy warunki tych bolesnych spotkań. U jego matki; nie jestem jeszcze w stanie znieść myśli, że tamta kobieta miałaby przy tym być. Jakaś część mnie chciałaby z nim walczyć, utrudnić mu kontakt z dziećmi, zranić go w jedyne sposób, jaki jest mi jeszcze dostępny. Ale to by zraniło również nasze córki; nie mogę im tego zrobić, i tak już bardzo cierpią. Choćbym była na niego nie wiem jak wściekła, choć go nienawidzę w tych przedświtowych godzinach, kiedy nie ma przy mnie Trace'a, a ja szlocham samotnie w poduszkę - nie mogę im tego zrobić.

Zegnam się i odchodzę. Do Trace'a, który kocha mnie szczerze i bezwarunkowo. I po raz pierwszy dociera do mnie, że straciłam męża na zawsze.

- Powiedziałaś, że mi dasz!
- Wcale nie! Powiedziałam, że dam ci później
- Już jest później! Dawaj, mamusia powiedziała, że mamy się dzielić...

- Ale ja jeszcze nie skończyłam! Tak nie można...
- Ale ja chcę już!
- Oddawaj! Oddawaj, bo zepsujesz! I tak nie potrafisz... No widzisz, co zrobiłaś? Zaraz powiem mamie! Maaa-mooooo!

Do pokoju wchodzi Louise.

- Proszę natychmiast przestać! - nakazuje ostro. - Obudźcie małą. Jeszcze jedno słowo i żadna z was nie zobaczy więcej PlayStation.

- Nie wiem, co temu Nicholasowi strzeliło do głowy - mówi, wracając do kuchni. — Takie drogie elektroniczne zabawki w ich wieku... Kupuje sobie ich akceptację, i tyle.

- Wygląda na to, że skutecznie - zauważam.

- Dzieci nie są głupie, Malinche. Przejrzą tę grę...

- Wyprawa do Chessington w zeszłym tygodniu to był wielki sukces - mówię w rozpaczy. - Jak wrócili, cały czas tylko słyszałam, jak to Sara zabrała je na wszystkie karuzele i kolejki, Sara pozwoliła im umalować sobie twarze, Sarze w ogóle nie przeszkadzało, że kompletnie przemokła na deszczu... - Skubię nerwowo paznokcie. - Jest ode mnie prawie o połowę młodsza, nie musi im kazać myć zęby i odrabiać lekcje. To jasne, że będzie dla nich ciekawszym towarzystwem niż stara nudna matka, nic dziwnego, że Nicholas...

Louise z całej siły uderza dłonią w stół. Podskakuję prawie do sufitu; ze zmywalni dochodzi oszalałe skrobanie pazurków o drewno. Biedny Don Juan umiera ze strachu.

- Przestań gadać te bzdury - mówi porywczo Louise. - Użalenie się nad sobą nic ci nie da. Twoja najstarsza córka ma o wiele więcej rozsądku, niż ci się wydaje. Po prostu cię wypróbowuje. Naciska guziki i patrzy na twoją reakcję, żeby sprawdzić, co czujesz w związku z tym wszystkim.

Przygryzam policzek.

Louise zakłada ręce na piersi.

- Panna Zrzucić-Majtki ma teraz komfortową sytuację. Zabiera twoje uroczę dziewczątka do parków tematycznych, bawi się z nimi w przebieranek, zaplata warkocz... Łatwo grać dobrą macochę, jak można wydać trochę kasy na rozrywkę, a po paru godzinach ma się problem z głową. Całkiem inaczej by było, gdyby musiała mieszkać z nimi na okrągło.

Nigdy do końca nie przywykłam do tego, że moja matka chętnie używa młodzieżowego slangu.

- No właśnie - rzucam gniewnie, idąc do zmywalni, żeby uspokoić Don Juana. - Metheny po powrocie dwie noce spała w moim łóżku, a Sophie zachowuje się po prostu jak świnia. Nie odrabia lekcji, nie chce sprzątać klatki królika, jest wredna dla siostr...

- Samo życie. Właśnie tego potrzeba Nicholasowi.

Ciskam królikowi marchewkę.

- Do czego zmierzasz?

Krzywi się.

- To chyba nie w porządku nie zgadzać się na ich pobyt w mieszkaniu *madame*. Nicholas powiedział, że spotkania z dziećmi to dla jego matki trochę za wiele tak prędko po śmierci Edwarda. Może powinnaś pozwolić, żeby spędzały weekendy z dwojgiem zakochanych w ich rozkosznym gniazdku. W ich wypieszczonym, małym londyńskim mieszkanku - jedna sypialnia, zero ogrodu...

- Nie mogę, Louise, one tam przewrócą wszystko do góry nogami - jęczę, przerażona i zachwycona zarazem.

- Posłuchaj, Malinche - mówi stanowczo. - To jasne, że dobro dzieci jest na pierwszym miejscu, ale nikt ci nie każe być świętą. Ta mała dziewczynka sprzątnęła ci męża sprzed nosa. Pora, żebyś ty go jej utarła za pomocą dawki prawdziwego życia. I zabieraj ze sobą tego swojego przystojniaka. Nicholasowi dobrze zrobi, jak pozna smak lekarstwa, które ci zaaplikował. A zanim zaczniesz wygryzać sobie dziurę w drugim policzku - dodaje szorstko - przypominam, że to nie ja narzygałam jej na sofę.

Siedzimy z Trace'em w ciemności. Dziewczynki zasnęły w końcu na tylnym siedzeniu. Trace wyłączył silnik, ale żadne z nas nie ma siły wysiąść.

- Taak... To było mocne uderzenie, co?

Wybucham śmiechem, który zamienia się w półszloch.

- Tak mi przykro... Nie wiem, co powiedzieć.

- Myślę, że określenie „kompletna katastrofa” trafnie opisuje sytuację. Hej - mówi, gdy zaczynam gorzko płakać - rozluźnij się. Wszystko jest w porządku. Nikt nie oczekuje, że dzieci będą aniołami. Im bardziej ci zależy, żeby się właściwie zachowywały, tym mniej prawdopodobne, że tak będzie, przecież wiesz. No, Mal... Nie lubię, kiedy płaczesz.

- Ale one były okropne! - zawodzę. - Nigdy nie widziałam, żeby się tak zachowywały! Nie wiem, co w nie wstąpiło, jestem pewna, że dla kochanki ojca nie są takie...

Przytula mnie. Kładę głowę na jego ramieniu. Pod policzkiem czuję bicie jego serca: równe, mocne.

- Słuchaj - mówi półgłosem - to dla nich trudny czas. Może to było trochę za wcześnie jechać razem do Francji. W końcu będą się musiały przyzwyczaić, ale może to po prostu dla nich za wiele, skoro równocześnie muszą sobie radzić z Nicholasem i Sarą. Daj im trochę czasu, a zobaczysz, że wszystko samo się ułoży.

Obcieram nos wierzchem dłoni. Trace ma rację. Ostatnie weekendy były okropne... Patrzeć, jak dzieci - moje dzieci! - idą w ramiona innej kobiety... No, nie dosłownie, Nicholas miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby oszczędzić mi jej widoku. A jednak. Nie wiem, czy dałabym radę to znieść, gdyby nie Trace.

Zasługuję na Oscara za te przedstawienia pod jej domem. Uśmiechnięta, pogodna, tak jakby żadna troska nie mąciła mi snu... Nie, Nicholas nie zobaczy, że ból rozdziera mi serce. Mam swoją dumę.

Ubieram się przed odwiezieniem dzieci starannie niż kiedykolwiek od dnia ślubu. Nie jestem ofiarą. O nie.

- Obcięłaś włosy - powiedział Nicholas którejś soboty.

- Kit namówił mnie, żebym poszła do jego stylisty w Londynie - wyjaśniłam i zanim zdążyłam ugryźć się w język, dodałam: - Podoba ci się?

Chętnie wymierzyłabym sobie kopniaka za tę tęskną nutę w moim głosie, ale ku memu zdumieniu Nicholas odparł:

- Bardzo. Ostrzygłaś się prawie jak chłopak, ale do twarzy ci z tym. Nie wiem, czy cię kiedykolwiek widziałem z takimi krótkimi włosami...

Zabawne, że ból może dopaść człowieka bez uprzedzenia, w chwili kiedy się nam wydaje, że jesteśmy przygotowani na najgorsze. Gdy się kochaliśmy, Nicholas często nawijał sobie pasma moich włosów na palce, mówił, że lubi, jak są takie długie, i kazał mi obiecać, że nigdy ich nie obetnę... Twierdził, że uwielbia, jak opadają mi na twarz, kiedy jestem na wierzchu, bo wyglądał wtedy, jakbym się kompletnie zapomniała.

- Nosiłam taką fryzurę, zanim się poznaliśmy - powiedziałam opانونym głosem. — Później nigdy mi nie pozwalałeś obciąć włosów. Upierałeś się, że powinnam mieć długie.

- Naprawdę?

Nawet nie pamięta.... O Boże, kiedy ten ból ustanie?

Uśmiechnęłam się melancholijnie.

- Upierałeś się przy wielu rzeczach.

Wróciłam do samochodu i szlochałam przez całą godzinę jazdy do ślicznej wiejskiej rezydencji, którą Trace wynajął dla nas na weekend. Trzeba mu przyznać, że nigdy nie dał poznać po sobie, by głaskanie mnie po plecach, kiedy płacząc jak dziecko, wywoływało u niego inne uczucia niż zachwyty. Nie wiem, czy zdobyłabym się na podobne opanowanie, gdyby sytuacja była odwrotna i to Trace szlochałyby w mój podołek.

Kiedy Nicholas zadzwonił, żeby spytać, czy mogłabym zatrzymać dzieci w ten weekend, byłam zachwycona. Dni powszednie są takie żmudne: wyprawic dziewczynki do szkoły, posprzątać, poprać, pomóc w odrabianiu lekcji, i tak od poniedziałku do piątku; dopiero weekend to prawdziwa przyjemność. Tak mi ich brakowało przez ostatnie parę tygodni, kiedy były z ojcem! Będziemy musieli ustalić z Nicholasem inny harmonogram spotkań: na przykład wizyta u ojca w środku tygodnia i w co drugi weekend. O Boże, jakie okropne są te wszystkie sprawy związane z rozstaniem...

Już wcześniej mieliśmy z Trace'em zarezerwowane miejsce na agroturystycznej farmie w Normandii; teraz zadzwoniliśmy, by uprzedzić, że przyjedziemy z dziećmi. To będzie dobra okazja, żeby przedstawić im Trace'a we właściwej roli. Nie po prostu jako przyjaciela mamusi, tylko... no, jako przyjaciela.

Od samego początku szło źle. Ledwie wsiedliśmy do samochodu, zaczęło się bombardowanie pytaniami: Dlaczego nie jedziemy do tatusia na ten weekend? Czy on już nie chce nas widzieć? A w przyszły weekend pojedziemy? Dlaczego nie wiesz? A możemy do niego zadzwonić? Dlaczego nie możemy? A później będziemy mogli? A kiedy? A potem nieustannie dąsy na przemian z ponawianymi co pięć minut żądaniem, żeby się zatrzymać, bo siusiu, bo pić, bo mdli... Kiedy w końcu Trace powiedział, że wszyscy zapinają pasy i wstrzymują się z siusaniem i innymi tego typu rzeczami, dopóki nie dojedziemy do Eurotunelu, Sophie mruknęła pod nosem, ale tak, żeby było słychać: „Nie jesteś naszym ojcem. Nie będziesz nam mówić, co mamy robić”.

Po przyjeździe do Francji było jeszcze gorzej. Na farmie bardzo im się nie podobało: pościel szorstka, pokój za zimny, a jedzenie zbyt

cudzoziemskie; nudziły się, nie mogły oglądać telewizji, nie miały nic do roboty. Może byśmy poszli na plażę? E tam, pada! To może spacer nad rzeką? Wzięłam wasze kurtki z kapturami, gdzieś tam jest tak płytko, że można pobrodzić... Nie? No dobrze, a co powiecie na przejażdżkę na kucykach? W lesie pod drzewami będzie sucho, a kucyki są bardzo przyjazne, będziecie mogły je karmić... To co w takim razie chcecie robić? Nie, już wam mówiłam, tatuś jest zajęty w ten weekend. Nie wiem, co robi. Nie, nie mogę zadzwonić i go zapytać. Nie!

Kiedy w niedzielę rano właścicielka *pension* powiedziała, że zachorowała jej matka i że jest jej szalenie przykro, ale nie będzie mogła przygotować nam lunchu, *c'est hien dommage*, zrozumie, jeśli w tej sytuacji zdecydujemy się wyjechać wcześniej - natychmiast rzuciliśmy się na tę szansę.

Droga powrotna to był jedyny spokojny fragment całej podróży, myśleliśmy posępnie, zerkając na śpiące na tylnym siedzeniu dziewczynki.

Trace wnosi bagaże, a ja budzę Sophie i Evie; wloką się zaspane ogrodową ścieżką, a ja niosę Metheny na górę do sypialni. Nie budzi się nawet wtedy, kiedy ją rozbieram i kładę do łóżeczka.

Stoję długą chwilę i patrzę na córkę. Blask księżycy złoci jej krągły policzek, ciepły jak dojrziała brzoskwinia.

Nasze dziecko ostatniej szansy, nazwane na pamiątkę gitarzysty jazzowego, którego tak uwielbia Nicholas. Jeszcze nie ma nawet dwóch lat. Co się z nami stało? Jak to możliwe, że wszystko się popsuło... tak szybko?

Przysiadam na parapecie i patrzę, jak Trace wyładowuje z bagażnika dziecięcy wózek. Ruchy ma pewne, jakby robił to od lat. Ale nie robił, przypominam sobie. To nie on jest ojcem twoich dzieci. Choć kiedyś marzyłeś, żeby był.

Kit miał rację, kiedy mówił, że nie przeszło mi jeszcze z Trace'em, kiedy poznałam Nicholas. Kochałam Nicholas, nie mam co do tego wątpliwości. Ale nie dałam sobie czasu, żeby wrócić do równowagi; zamknęłam oczy i rzuciłam się w nowy związek głową naprzód. Kto wie, może po prostu wykorzystywałam Nicholas, żeby zamknąć drzwi za Trace'em? I w ten sposób wszystko zaczęło się nie tak jak trzeba od samego początku. Kiedy złożono mi Sophie w ramionach, wpatrywałam się w siebie z Nicholasem w osłupiałym zachwycie, ledwie dowierając, że ta cudowna istota to nasze dzieło, ale zarazem jakaś maleńka cząstka mnie zastanawiała się, jak wyglądałoby moje utracone dziecko,

dziecko Trace'a. Raz na rok wymykałam się do malutkiego kościółka w Salisbury, żeby zapalić dla synka świeczkę - bo to byłby chłopiec, jestem pewna - i pomyśleć o dawnym ukochanym. Ilekroć pokłóciliśmy się z Nicholasem, sekretny zakątek mego serca zwracał się nielojalnie ku Trace'owi. Zastanawiałam się, czy on też odwołałby wyjazd na narty z powodu pracy, nie potrafiłby kupić choć jednego prezentu na Gwiazdkę czy podważał mój autorytet u dzieci - zależnie od tego, jaki drobiazg okazał się cynglem, który wyzwolił spór. Mój wewnętrzny kalendarz odnotowywał jego urodziny, rocznicę dnia, w którym się poznaliśmy, i tego, w którymśmy się rozstali. Śledziłam jego wyczyny na kolumnach plotkarskich, powtarzając sobie, że te igiełki zazdrości to po prostu rozczarowanie, że wciąż nie chce dorosnąć. Nigdy nie przyznałam się do tego nawet sama przed sobą, ale był w takim samym stopniu elementem mojego małżeństwa, w jakim byłam nim ja - podskórny nurt, nieustannie odciągający mnie od Nicholas'a.

Gdybym nie była tak skoncentrowana na nim, na jego nagłej fizycznej obecności w moim życiu po dziesięciu latach funkcjonowania wyłącznie w wyobraźni, dostrzegłabym, co się dzieje z Nicholasem. Może nawet w porę, żeby położyć temu kres.

Wyciągam rękę, żeby zaciągnąć zasłonę. Trace zamyka właśnie samochód; spogląda w górę, uśmiecha się, macha do mnie. Jest naprawdę porażająco przystojny.

Przez wszystkie te lata wierzyłam potajemnie, że Trace to moja bratnia dusza, którą odebrał mi zły los. Nicholas'a traktowałam jako rozsądny wybór, gwarancję stabilności, rzetelności i bezpieczeństwa; jako solidnego małżonka, kochającego i kochanego, oczywiście, ale nie tą dziką, namiętną, niepohamowaną miłością, jaką kochałam i byłam kochana przez Trace'a.

Ale Trace'a i mnie nie rozdzielili zawistni bogowie. Prozaiczna prawda jest taka, że nigdy do siebie nie pasowaliśmy. Ja w głębi duszy zawsze uważałam, że na niego nie zasługuję, i właśnie dlatego tak chętnie uwierzyłam w najgorsze. A on chciał mnie po prostu usidlić.

Nic się nie zmieniło. On nadal biega w kółko, siłą woli zmuszając życie, by mu się podporządkowało. A ja, choć już nie czuję się gorsza, widzę, jak strasznie jesteśmy niedobrani. I zawsze byliśmy. Mnie nie jest potrzebny zbawiciel; jest mi potrzebny partner. Przyjaciel, ktoś równy. Nicholas.

Ręka mi drży. Przez cały ten czas tęskniłam za czymś, co nie istniało, pozwalając, by to, co naprawdę istotne, wymknęło mi się z rąk.

To Nicholas jest miłością mego życia, nie Trace. To Nicholasa kocham miłością prawdziwą, zrodzoną przez lata lojalności, wspólnego śmiechu i obopólnej czułości; a także łez i zmartwień, to jasne. Radość i rozczarowanie, zadowolenie i nuda: właśnie z tego składa się małżeństwo, właśnie na tym polega prawdziwa miłość.

Cicho zamykam drzwi od pokoju Metheny. Nie znaczy to, że nie kocham Trace'a: owszem, kocham. Ale nie na tyle, żeby to mogło zadziałać, nawet jeśli wydaje się łatwe i bezpieczne.

Podnosi na mnie wzrok, kiedy wchodzę do kuchni, i przesuwa w moją stronę kubek herbaty.

- Pomyślałem, że dobrze ci to zrobi.

Łzy napływają mi do oczu. Jakie to będzie trudne.

- Nie - mówię cicho.

Od razu wie, że nie mówię o herbacie. Cień przebiega mu po twarzy i natychmiast ustępuje miejsca jego zwykłemu łatwemu uśmiechowi.

- To był tylko zły dzień, Mal - łagodzi. - Parę złych dni. To nie ma żadnego znaczenia. Następnym razem pójdzcie łatwiej...

- Nie.

Pozornie rozluźniony, wciąż uśmiechnięty, opiera się o zlew. Tylko zbiegające kostki palców zdradzają, że to gra.

- Może pojedę do domu i zadzwonię jutro rano? - mówi, dbając, by jego głos brzmiał neutralnie. - Późno już, oboje jesteśmy zmęczeni, mamy za sobą długą podróż. Może w przyszłym tygodniu moglibyśmy...

- Trace - przerywam mu. - Z tego nic nie będzie. Wiesz to równie dobrze jak ja.

Oczy mu ciemnieją. Mięśnie szczęki poruszają się, ale nie mówi nic.

- Wiesz, że mam rację - ciągnę. - Po prostu jesteśmy zbyt różni, Trace. O co innego nam chodzi. To była dla ciebie miła rozrywka grać rolę męża i ojca przez te parę miesięcy, i świetnie sobie radzisz z dziewczynkami, ale to nie dla ciebie. W każdym razie... jeszcze nie. My tak naprawdę nie pasujemy do twojego życia. Ja nie jestem osobą, którą powinieneś mieć u boku. Powinieneś prowadzić po czerwonym dywanie jakąś efektowną długonogą modelkę, a nie taką starą zamężną kobietę jak

ja. - Dotykam jego ramienia; nie reaguje. - To nie jest życie dla mnie, Trace. I nigdy nie było. Może być ekscytujące przez jakiś czas, ale to nie jest mój świat. A ten świat - rozpościeram ręce, ogarniając nimi dziejące rysunki przytwierdzone przyklepcem do kuchennej ściany, rozwieszane na poręczach krzeseł kurtki, klocki Lego w misce na owoce - ten świat nie jest twój. Oboje utknęliśmy w przeszłości, widzieliśmy siebie takimi, jacy byliśmy trzynaście lat temu. Ale od tego czasu życie poszło do przodu. I my poszliśmy do przodu.

- Nauczyłbym się tego wszystkiego. Pieluszek i Pony Clubu, i całej reszty, jeśli o to ci chodzi.

- Nie o to...

- Nicholas - mówi ciężko.

- Nicholas - przyznaję.

Oboje wiemy, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

Trace dźwiga się z krawędzi zlewu.

- Muszę iść. Mam... do kogoś zadzwonić. Do pewnej osoby. Nic by się nie stało, gdyby... ale powiedziałem, że może zadzwonię. I muszę iść.

Oboje wiemy, że nie ma żadnej osoby. Ale będzie.

- Jesteśmy przyjaciółmi? - pyta lekko łamiącym się głosem.

- Najlepszymi - szepczę.

Po jego wyjściu długo siedzę przy kuchennym stole, zastanawiając się, czy nie popełniłam największego błędu w życiu, po raz drugi odrzucając mężczyznę, którego kocham. A potem dotykam obrączki na palcu - i wiem, że choć to było straszne, mam rację. Za bardzo mi na nim zależy, żebym miała go skazywać na życie tego, który zawsze jest na drugim miejscu. A ponieważ kocham mojego męża, tak właśnie by było.

Cztery dni później Nicholas składa pozew o rozwód.

Nie mogę uwierzyć, że to zrobił. Że naprawdę poszedł do adwokata i wyrzygał z siebie historię naszego małżeństwa przed kompletnie obcym, niemal wirtualnym człowiekiem, że przegrzebał brudy naszego wspólnego życia w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby we mnie cisnąć, tak żeby ten obraźliwy zarzut zachowania sprzecznego z rozsądkiem brzmiał wiarygodnie.

Jak on mógł? Jak mógł mi to zrobić?

Chowam głowę w ramiona pośród tych ohydnych prawnych papierów rozsypanych po całym stole. Nie jestem w stanie nawet ich przeczytać; pierwszy akapit wystarczy. Nie mam siły się poruszyć. Wiem, że powinnam coś zjeść, ubrać się, posprzątać kuchnię, ale nie potrafię znaleźć w sobie energii nawet na to, żeby podnieść głowę. Dzięki Bogu Liz, w odpowiedzi na mój skowyt, kiedy otworzyłam poranną pocztę, natychmiast przyjechała i zabrała dziewczynki do szkoły.

To się dzieje naprawdę. Wszystko skończone. On nie zamierza wrócić, rzucić mi się do nóg i błagać o przebaczenie. On mnie opuszcza i żeni się z tą dziewczyną.

Nienawiść rozkwita w moim sercu i momentalnie zamiera, niezdolna znaleźć swego obiektu. Moja rozpacz jest tak wszechogarniająca, że nie ma we mnie miejsca na nic innego.

Nagle tama pęka i wybucham płaczem. Wyję jak ranne zwierzę, całe godziny, aż w końcu brakuje mi łez i wstrząsa mną tylko ciężkie, suche łkanie. Ciemność zalega mi duszę. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jak to jest się uśmiechać.

Parę godzin później jak przez mgłę dociera do mnie szmer hamującego na żwirze samochodu. Mija minuta czy dwie i uświadamiam sobie czyjaś obecność w pobliżu. Oglądam się i widzę za oknem Sarę.

Jakie to ma znaczenie. Nic już nie ma znaczenia.

Otwieram drzwi i wracam w bezpieczne ciepło pieca, ciałniej otulając się szlafrokiem.

Nabiera powietrza. Uprzytamniam sobie, że jest zdenerwowana. Jakie to dziwne. Nie wyobrażam sobie, że można być zdenerwowanym. Czy w ogóle cokolwiek czuć.

- Chce go pani odzyskać? - pyta.

Brzmi to, jakby pytała, czy ma mi zwrócić piłkę. Właśnie wpadła przez płot i pomyślałam sobie...

Patrzę przez chwilę na tę dziewczynę - nie, to określenie rozgrzesza ją zbyt łatwo, tak jakby była za młoda, żeby cokolwiek rozumieć, jakby nie była odpowiedzialna za to, co zrobiła - na tę kobietę, która tak beztrzesko wzięła do ręki moje życie, wytrząsnęła z niego to, co chciała, a resztę cisnęła na bok. Czerwony pryszcz, jak po ukąszeniu owada, szpeci jej brodę.

Stawiam czajnik na rozgrzanej płytce.

- Herbaty?

Waha się, po czym kiwa głową.

- Trochę to potrwa. To nie jest czajnik elektryczny.

- Nie ma sprawy.

- Przepraszam, że jestem nieubrana. Nie spodziewałam się...

- Wiem. Powinnam była zadzwonić, ale pomyślałam, że nie będzie pani chciała mnie widzieć...

- Nie chciałabym - mówię - gdybym miała wybór.

- No tak.

Zapada milczenie.

Robię gest w kierunku stołu.

- Może pani usiądzie. Przepraszam za królika, któreś dziecko wypuściło go dziś rano i nie mogłam go przekonać, żeby wrócił do klatki. - Drapię się po wewnętrznej stronie dłoni, tam gdzie mam uczulenie. - Nie powiem, żeby mu to miała za złe, też bym nie miała ochoty siedzieć cały dzień w czymś takim. Wypuściłabym go na ogród, ale coś mu się może stać. Ostatnim razem, jak był na dworze, o mało co nie zjadł go pies sąsiadów...

- Evie? - zgaduje Sara.

- Chciała, żeby się zaprzyjaźniły - wzdycham.

Uśmiecha się. Zaskoczona, uśmiecham się także.

Jesteśmy jak dwie turystki w obcym kraju, próbujące znaleźć wspólny grunt - „A z której części Wiltshire? Och, to nadzwyczajne, ojciec chrzestny mojego syna mieszka całkiem niedaleko od państwa” - by poczuć się mniej samotnie. W kupie bezpiecznie. Woda się gotuje; krzątam się wokół herbaty, wybieram dwa kubki, które nie są wyszczerbione, stawiam na stole mleko i cukier. Pośpiesznie zbieram papiery rozwodowe i chowam je pod rysunkiem Metheny.

Więź między nami, jakkolwiek była, znika.

- Co pani ma na myśli, pytając, czy chcę go odzyskać?

Zegar po dziadku tyka głośno w holu. Gdzieś koło moich nóg kica Don Juan, skrobiąc pazurkami po kamiennej podłodze. Nie podobają mi się jej perfumy: mocne, syntetyczne. Od ich zapachu lekko mnie mdli.

- Muszę wiedzieć - zaczyna w końcu, patrząc w kubek. - Nie mogę nic dalej robić, dopóki się nie dowiem. Nie chcę wracać co dzień

do domu w niepewności, czy go zastanę. - Pasek torby zsuwa jej się z ramienia; poprawia go. - Po prostu muszę wiedzieć, czy między wami wszystko skończone.

Ona nie przyszła, żeby przywrócić ład. Nie przyszła przeprosić. Nie zamierza mi powiedzieć, że to była potworna pomyłka. Ona przyszła po zapewnienie, że nie ukradnę go jej z powrotem.

Histeryczny śmiech wrywa mi się z ust. Zakrywam je ręką.

- Pani oczekuje ode mnie pomocy? - pytam z niedowierzaniem.

Czerwone plamy wyskakują jej na policzki.

- Wiem, że to śmiesznie wygląda. Na pewno mnie pani nienawidzi, i ma pani do tego wszelkie powody. Ale jest pani teraz z Trace'em. Nicholas nie jest już pani potrzebny. Czy nie może mu pani pozwolić odejść na dobre? Tak żeby mógł być szczęśliwy ze mną?

Opieram się ciężko o zlew, tyłem do niej.

- Ja go nie zatrzymuję.

- Ale on musi wiedzieć, że u pani się zmieniło. Inaczej nie zatrzaśnie za sobą drzwi. Musi mu pani powiedzieć...

- Ja nic nie muszę - przerywam zimno.

Głośno przełyka ślinę. Otulam się ciaśniej szlafrokiem.

- Przepraszam - mamrocze. - Nie to miałam na myśli. Oczywiście, że nie musi mu pani nic mówić. Po prostu... ja nie rozumiem. Wasze małżeństwo nie istnieje, żyje pani z innym, wiem, że to przykre dla pani, że sprawy potoczyły się w ten sposób, ale to nie moja wina...

Odwracam się gwałtownie.

- Skąd pani przyszło do głowy, że nasze małżeństwo nie istnieje?

- Ale przecież... - Porusza się niespokojnie. - Przecież jest Trace...

- Nie - mówię przez zaciśnięte zęby - nie ma. Przez parę tygodni po odejściu Nicholasa wypełniał lukę. Czy raczej usiłowałam ją nim wypełnić. Ale nic nie jest w stanie zaleczyć tej rany w sercu, którą mi pani zadała, odbierając męża. Nic.

Przygryza wargę. Przypominam sobie nagle, jaka jest jeszcze młoda; i jak mało wie.

Wystarczająco dorosła.

- Czy pani ma pojęcie, co pani zrobiła? - pytam. - Czy pani choć przez chwilę o tym pomyślała? Wie pani, co to jest słuchość, jak dziecko płacze przed zaśnięciem w sąsiednim pokoju, bo tatuś odszedł, a ono

myśli, że to może jego wina? - Drzę z gniewu. - Wie pani, co to jest zobaczyć je rano i widzieć oskarżenie w jego oczach, bo nie potrafiła go pani ochronić przed cierpieniem? Zabrała pani moim dzieciom to, co chciałam im dać przede wszystkim: szczęśliwy, stabilny dom. - Zamykam oczy; żal dławi mnie w gardle. - Nie wie pani: nie jest pani matką. Będą nosiły te blizny do końca życia. Ten bagaż zaciąży na każdym związku, jaki kiedykolwiek spróbują stworzyć. Matka by tego nie zrobiła. Matka nie zniszczyłaby dzieciństwa trzem małym dziewczynkom tylko po to, żeby sobie dogodzić z mężczyzną.

Z każdym słowem zdaje się wzdrygać, tak jakbym ciskała w nią kamieniami. No i dobrze, myślę gorzko. Niech boli. Bardzo dobrze.

- Myśli pani, że moje małżeństwo nie istnieje, bo śpi pani z moim mężem? Coś pani powiem, Saro... Małżeństwo to ciężka praca. Bardzo ciężka. Jeśli obie strony nie dadzą z siebie wszystkiego, nie uda się. Czasem jest pięknie i romantycznie, tak jak sobie wyobrażamy, kiedy stoimy przed ołtarzem i obiecujemy sobie nawzajem, że będziemy się kochać, dopóki śmierć nas nie rozłączy. A czasem - głos mi twardnieje - jest ciężko i źle, tak że ledwie można znieść widok drugiej osoby. Albo nudno do łez. Wystarczy jedno potknięcie i wszystko się wali.

Zakładam włosy za uszy. Ręce trzęsą mi się z gniewu. Czy ona wie, jak to jest, kiedy dziesięć lat twego życia zostaje ot tak, zdmuchnięte, w ciągu paru godzin? Kiedy mężczyzna, którego kochasz, z którym masz dzieci, odchodzi do innej kobiety?

- Nasze małżeństwo jak najbardziej istniało i miało się znakomicie, dopóki nie poznał pani. Ale pani to nie obchodziło. Spodobał się pani, więc go sobie pani wzięła. I już.

- Ja go nie zmuszałam - protestuje. - Miał wybór. On też tego chciał.

- A który mężczyzna by nie chciał? - Parskam śmiechem. - Jest pani ładna. Młoda. Nie jest pani jego żoną. Oczywiście, że chciał. Ale kto zrobił pierwszy ruch, on czy pani?

Odwraca wzrok.

- Nie zawsze będzie pani miała dwadzieścia sześć lat - mówię gorzko. - Nie zawsze będzie pani miała gładką cerę i jędrne ciało, W pani wieku człowiek myśli, że zawsze będzie młody. Czterdzieści lat wydaje się równie odległe jak sto. Ale czterdziestka podpełźnie po cichu. Lata mijają i nic, aż tu nagle pyk! - budzi się pani któregoś dnia i stwierdza,

że biodra są szersze, a usta cieńsze, a piersi o połowę bliżej rozstępów na brzuchu. Co się stało, do diabła? Ale on - dodaję - będzie miał po prostu posrebrzone skronie i bardziej wyrazistą twarz, i sekretarki dalej będą odprowadzały go wzrokiem, kiedy będzie mijał ich biurka.

Obejmuję się dłońmi za ramiona. Prawie już jej nie dostrzegam.

- Poślubiasz mężczyznę, rodzisz mu dzieci i mówisz sobie, że to bez znaczenia, że nie jesteś już taka młoda, że twoja skóra nie jest już tak napięta, a rysy tak czyste, bo on cię i tak kocha. Przystajesz uważać: pozwalasz mu, żeby cię oglądał, kiedy ci leci z nosa, bo jesteś przeziębiona, albo kiedy włosy masz w strąkach, bo nie masz czasu ich umyć, i myślisz, że to nieważne. - Chodzę tam i z powrotem po kuchni, strasząc królika pod stołem. - W pracy zjeżdżasz z szybkiego pasa, żeby zrobić miejsce młodemu, dyspozycyjnemu piraniom bez obowiązków rodzinnych, i mówisz sobie, że dawać mu coś, dzięki czemu chce wracać do domu, to o wiele ważniejsze niż awans i kariera, że i tak jesteś dla niego interesująca. Wiesz, że są młodsze od ciebie, piękniejsze, bardziej ekscytujące, ale to ciebie wybrał i ciebie przysięgał kochać. — Dreszcz mnie przebiega. - Umieszczasz go w centrum swojego życia i swojego serca, tam, gdzie powinien być... a potem w jednej chwili wszystko znika. Było - nie ma. I już.

- Ja... przepraszam. Nie chciałam, żeby tak wyszło - szepcze.

Podskakuję; zapomniałam, że ona tu jest.

- Mogła pani mieć każdego, kogo zechce - mówię bezradnie. - Mogła pani mieć mężczyznę wolnego, bezdzietnego, mogącego kochać panią bez przeszkód. Dlaczego musiała pani wziąć sobie mojego męża?

- Bo się w nim zakochałam - odpowiada po prostu.

Po raz pierwszy zauważam cienie pod jej oczami, zmęczenie na twarzy. Rozpoznaję w niej strach i niepewność, które idą ręką w rękę z miłością. Nie stać mnie, żeby wybaczyć jej to, co zrobiła. A jednak nieoczekiwanie dla siebie samej zaczynam - zaledwie zaczynam - ją rozumieć.

- W małżeństwie nie chodzi tylko o miłość - wzdycham.

- Tak. - Składa ręce na podołku. - Teraz to rozumiem.

Zaczyna mi ciec z nosa. Wycieram go, jak dziecko, rękawem szlafroka.

- Nie chciałam pani zranić - mówi błagalnym tonem. - Wiem, że to żadna pociecha. Ale ja tego nie chciałam. Nie jestem zła. Nie sądziłam,

że to tak wyjdzie. Wciąż myślałam, że potrafię powiedzieć stop, że nikt się nawet nie dowie...

- Proszę, dosyć. - Wyczerpana padam na krzesło. - Dlaczego pani przyjechała, Saro? Czy Nicholas o tym wie?

- Nie. - Odsuwa krzesło od stołu i wstaje. - Mówiłam sobie, że jest pani szczęśliwa bez niego. Byłam przekonana, że nie zainteresowałby się mną, gdyby wam było ze sobą dobrze. Ale tak nie jest, prawda?

Kręcę głową. I nagle słyszę, powiedziane głośno i wyraźnie:

- On kocha panią, nie mnie.

Wstrzymuję oddech.

- Mnie nigdy nie kochał. W każdym razie nie aż tak. - Trze oczy dłońmi i przypomina mi w tym geście Evie. Gdzieś w głębi czuję drgnienie współczucia. - Nie był gotów mnie pokochać. Myślałam, że to nieważne, bo ja go będę kochać w dwójnasób, za nas oboje, ale to nie działa w ten sposób, prawda? No i - uśmiecha się blado - okazało się, że mimo wszystko mam sumienie.

Zakłada torbę na ramię. Ręce jej drżą i uprzytamniam sobie, jak wiele ją kosztowała ta konfrontacja.

- Po co pani przyjechała? - pytam ponownie.

Wzrusza ramionami. Po chwili posyła mi smutny półuśmiech.

- Sama próbuję sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Wątpy pęd intymności kiełkuje między nami. Jesteśmy, bądź co bądź, związane miłością; miłością do tego samego mężczyzny.

- Czy mogę przed wyjściem skorzystać z toalety? - pyta.

Wskazuję ręką ubikację na parterze. Ona przyjechała dać mi wybór: weź go sobie albo mi go zwróć. Proste.

Tyle że to nie zależy ode mnie. To nie ja powinnam do niego przyjść. To on powinien przyjść do mnie. To on podjął decyzję o odejściu; powinien więc też podjąć decyzję o powrocie. Inaczej nigdy nie będę miała pewności; i ta niepewność podkopie wszystko, co ewentualnie spróbowałibyśmy zbudować. Muszę usłyszeć, że mnie kocha, nie od niej, tylko od samego Nicholasa.

Otwiera drzwi toalety i wystawia głowę. Wyraz jej twarzy to dziwna mieszanina bólu, zakłopotania - i nagłej, kolosalnej ulgi.

- Czy nie ma pani przypadkiem zapasowego tamponu? - mówi. - Niespodziewanie zaczął mi się okres.

Nicholas

Rozwód to trudna materia. Zwłaszcza wówczas, jeśli wolno mi wyrazić tę opinię, gdy twój prawnik patrzy na ciebie wzrokiem, który mówi jasno i niedwuznacznie, że wszyscy mężczyźni to sukinsyny, a tobie pozostaje kręcić się na krześle, czując, że twój penis najchętniej schowałby się w myślą dziurę, gdyby tylko mógł.

Janis Schultz nie ma na biurku w swojej spartańsko urządzonej kancelarii ani jednej fotografii czy jakichkolwiek innych osobistych akcesoriów. Rozdziela nas gruba płyta z polerowanego szkła, na której znajduje się komputer oraz cienka teczka z aktami: moimi. Zawiera aktualnie jeden formularz zgłoszenia i dwa arkusze papieru, na których pani mecenas Schultz sporządza notatki profesjonalną, pewną ręką. Wiem, że kiedy sprawa nabierze rozpędu, ta samotna teczka zacznie wypływać z siebie listy, faksy, formularze do wypełnienia, urzędowe oświadczenia, na które trzeba będzie składać przysięgę, aż wreszcie papierów będzie tyle, że wypełnią pudło głębokie na pół metra. Oboje z Malinche będziemy musieli dostarczyć kopie wyciągów z banku i z kart kredytowych, polisy ubezpieczeniowe i dowody nabycia akcji, szczegółowe informacje o źródłach dochodu i wydatkach – nie tych, których można by oczekiwać, standardowych i powszechnych, typu opłaty szkolne czy hipoteczne, lecz dotyczących rozmaitych intymnych detali naszego życia, jak leczenie osteoporozy, siłownia, mycie okien, prywatne badanie proktologiczne: wszystko jawne, wyłożone do beznamiętnego rozpatrzenia i oceny.

Dywan jest najwyraźniej nowy: w pokoju ostro pachnie gumą. Robi mi się od tego kwaśno w ustach. Ujmuję palcami mostek nosa; boli mnie głowa.

Pani Schultz słynie z chłodnego profesjonalizmu i wyważonego podejścia. Nie znałem jej wcześniej — to jeden z powodów, dla których ją wybrałem - ale że znam jej reputację prawniczki, która nie ściąga nagłówków gazet i zwykle szuka rozwiązań polubownych dla swych klientów, jest jasne od samego początku, że takie konfrontacyjne określenia jak „zwycięstwo” nie pojawiają się w tym pomieszczeniu.

Jest postrzegana jako adwokatka żon. Formalnie będzie reprezentować mnie, ale typowe w tej sytuacji gladiatorские zapędy mogą zostać pohamowane przez żdźbło współczucia dla mojej żony. Może zrównoważy to choć trochę moją naturalną przewagę związaną z tym, że dobrze znam ten cały proces patroszenia człowieka. Nade wszystko zależy mi na tym, aby wszystko przebiegało uczciwie.

- Nie da się przekonać pańskiej żony, aby to ona złożyła pozew? - pyta Janis Schultz.

- Nie pytałem jej o to - odpowiadam.

Postukuje piórem o podkładkę.

- I nie chce pan czekać dwa lata.

To już nie jest kwestia tego, czego chcę, tylko co jest słuszne. Sara jest ze mną w ciąży; nie mogę jej zostawić samej. Moje małżeństwo z Mal jest zakończone, co do tego nie ma wątpliwości. Jedyna honorowa rzecz, jaką mogę zrobić w tej sytuacji, to przeciąć ostatecznie tę nić i postarać się zachować jak należy wobec Sary, której jedyną winą jest to, że mnie kocha.

- Doskonale. A jak sformułujemy podstawę skargi rozwodowej, panie Lyon?

Waham się. Nawet jeśli Malinche znalazła pociechę w ramionach innego mężczyzny, nie mogę się zdobyć na to, żeby występować o rozwód z powodu jej zdrady; to by była monstualna hipokryzja. Jednak moje opcje, jak doskonale zdają sobie sprawę, są ograniczone.

- W przypadkach takich jak ten - mówi ostrożnie pani Schultz - zarzut zachowania sprzecznego z rozsądkiem często prowadzi do apellacji wzajemnej, o ile istnieje podstawa.

Wzdycham ciężko.

- Istnieje - mówię.

Sprokujemy Malinche, stawiając jej zarzut zachowania sprzecznego z rozsądkiem („Czwartego bieżącego miesiąca pozwana płuła butelki na mleko letnią wodą, a nie gorącą, tak jak to było ustalone od początku małżeństwa”). Prawnicy poradzą jej z pewnością, aby mi dowała i wystąpiła z własnym pozwem, wysuwając zarzut zdrady. Wówczas ja uznam słuszność zarzutu, co zagwarantuje, iż rozwód zostanie orzeczony.

Pani Schultz zakłada nogę na nogę. Przez szklaną płytę widać, że jej szara wełniana spódnica podjeżdża lekko w górę, odsłaniając parę centymetrów uda. Ma prawie sześćdziesiąt lat; moje zainteresowanie jest czysto akademickie.

Podnoszę wzrok. Patrzy na mnie chłodnymi jak stal oczyma.

- Myślę, że to wszystko, panie Lyon - mówi.

Uścisk ręki ma mocny, męski. Szybkim krokiem odprowadza mnie do drzwi.

Zatrzymuję się na moment. Na szafce dostrzegam kremowe kartonowe pudełko, z rodzaju tych, w jakie pakowane są ręcznie robione czekoladki. Żłota etykieta przytrzymująca wstążeczkę świadczy, że bombonierka pochodzi z Belgii.

Momentalnie dopada mnie wspomnienie: Malinche czekająca na mnie w kancelarii, może w miesiąc czy dwa, odkąd się poznaliśmy. Było późno; wszyscy poszli już do domu. Udało jej się przekonać sprzątaczkę, żeby ją wpuściła, i usiadła w ciemnym pomieszczeniu, czekając, aż wrócę z sądu, dokąd posłał mnie Fisher z jakąś delikatną sprawą, którą nie chciał zwracać sobie głowy.

Wszedłem do gabinetu i natychmiast wyczułem jej obecność.

- Nie zapalaj światła - powiedziała, gdy sięgnąłem do kontaktu.

Wstała z krzesła i wyjęła mi z ręki teczkę. Rozpięta płaszcz - i blask ulicznej latarni ozłocił jej nagie ciało. Miała na sobie wyłącznie pas do pończoch w kolorze kawy i ciemne pończochy ze szwem.

- Zamknij oczy - powiedziała. - Otwórz buzię.

Chwilę trwało, zanim rozróżniłem smaki: gorzka czekolada z pomarańczowym aromatem. Rozpłynęła mi się na języku, a tymczasem Mal uklęknęła, odpięła mi spodnie i biorąc ptaka w usta, wyciągnęła rękę. Następna czekoladka... Tym razem z koniakowym nadzieniem.

Wyszarpnąłem się w obawie, że dojdę zbyt prędko, pchnąłem ją na biurko i zacząłem zachłannie całować. Jej usta smakowały czekoladą i miętą. Z pulsującym członkiem zsunąłem się niżej. Brodawki też miały posmarowane czekoladą, a owłosienie łonowe posypane kakaowym proszkiem. Kiedy włożyłem jej język do środka, miałem wrażenie, że cała zmieniła się w jedną wielką czekoladkę z płynnym kremowym nadzieniem, które smakowałem, smakowałem i wciąż mi było nie dosyć.

Odtąd aromat czekolady przywodził mi na myśl tamten wieczór.

Wychodzę z kancelarii pani Schultz i wzywam taksówkę. Nie dając sobie ani chwili na myślenie, polecam kierowcy, żeby mnie zawiózł na Waterloo.

Kiedy docieram do Salisbury, jest pusto jak wymiółt; znowu wzywam taksówkę i każe się zawieźć do Stapleford. Trwa to ponad czterdzieści minut. Czterdzieści długich minut, wciągu których pewność, jaka mnie tu przygnała, wyparowuje, a jej miejsce zajmuje kłęb wątpliwości i strachu. To szaleństwo. Szaleństwo. Mał ma wszelkie prawo, żeby nie wpuścić mnie za próg. I z pewnością tak właśnie zrobi.

- Proszę tu stanąć - mówię nagle do taksówkarza, kiedy dojeżdżamy do wsi.

Hamuje ostro na poboczu i wysiadam.

- Trzymaście funciaków, kolego.

Podaję mu przez okno banknot dwudziestofuntowy. Kiedy grzebie w poszukiwaniu reszty, patrzę w kierunku wzgórza. Dom jest pogrążony w ciemności; wygląda na to, że jej nie ma.

Uświadamiam sobie, jak żałosne jest to całe przedsięwzięcie. Mał na pewno nie będzie chciała mnie widzieć. Dała mi jasno do zrozumienia, że nie jestem już jej potrzebny - za co mogę winić wyłącznie siebie. Nie mogę oczekiwać, że nagle zmieni decyzję, tak jakbyśmy byli dziećmi i negocjowali wymianę kart Yu-Gi-Oh. A trzeba jeszcze brać pod uwagę Sarę. Siedzi teraz w Londynie, w ciąży z naszym dzieckiem, zastanawiając się, gdzie ja do diabła mogłem pojechać. Jak moja obecność w tym miejscu wróży naszemu przyszłemu pożyciu?

Nachylam się do taksówki, aby powiedzieć kierowcy, że wracam na stację, ale on właśnie w tej chwili wciska pedał gazu i z rykiem znika w ciemności.

Na pobliskim polu cicho parszają konie. Przekładając teczkę do drugiej ręki, cofam się na trawiasty skraj, żeby zejść z drogi kolejnemu samochodowi; jego zbliżanie się sygnalizują kołyszące się świetlne smugi, gdy sunie po wyboistej wiejskiej drodze. Wdeptuję w rów; buty i skarpetki mam mokre.

Za dwa dni mojej żonie zostaną doręczone papiery informujące, że ze względu na jej sprzeczne z rozsądkiem zachowanie żądam rozwodu. Wiem z doświadczenia, że jeśli do tego dojdzie, nie będzie odwrotu. Nasi najemnicy wejdą na ring, żeby walczyć w imieniu każdego z nas, nasze pozycje otoczą okopy. Pełna wahania, ostrożna życzliwość, jaka panuje między nami obecnie, zniknie, zmieciona przez burzę wyciąganych na światło dzienne detali pożycia, formularzy ubezpieczeniowych i rozmaitych „mój klient uważa”, „biorąc pod uwagę interes”, „bez uszczerbku dla” i tym podobnych. Choćbym nie wiem ile jej płacił, będzie to mniej, niż potrzebuje czy zasługuje. Choćby zagwarantowano mi nie wiem jaki wymiar kontaktów z dziećmi, i tak będzie to za mało.

Jeżeli jest jeszcze jakaś szczelina, jakaś szansa, by cofnąć czas, to teraz.

Ściskając mocniej neseserek, prę ostro w górę. Kocham Mal. Muszę ją o tym przekonać. Rzucić się jej do nóg i błagać o przebaczenie, choćby mnie to nie wiem ile miało kosztować. Będę, cholera, spał w zmywalni z królikiem, byle tylko dała mi szansę. Poradnictwo rodzinne, terapia, kościół, kastracja, zgodzę się na wszystko. Popełniłem tylko jeden błąd: gigantyczny, to prawda, najgorszy z możliwych, ale czegoś mnie nauczył. Chyba potrafi to zrozumieć? *Errare humanum est, bądź co bądź*. Oczywiście musi minąć trochę czasu, żeby odbudować zaufanie, nie spodziewam się, że mi wybaczy z dnia na dzień, ale jeśli oboje dołożymy starań, jeśli będzie nam zależało, żeby się udało...

Front domu nadal jest ciemny, kiedy do niego docieram, ale z tyłu widać smugę światła z kuchennego okna.

Obchodzę szopy, chrząszcząc butami po żwirze. Boże, jak mi zimno w nogi. Ocieram się o zarośla lawendy; jedwabiste kosmate listki łaskoczą mnie po ręce. Przez prawie dziesięć lat chodziłem tą ścieżką, a nigdy, aż do tej chwili, nie doceniałem jej tak naprawdę. Balon nerwowego podniecenia narasta. Ona musi zrozumieć, musi, musi...

Wychodzę zza rogu w chwili, gdy otwierają się tylne drzwi: Mal wstępuje w trójkąt światła rzuconego przez ciepłą poświatę z kuchni. Nadzieja dodaje mi energii. Może usłyszała moje kroki; może wychodzi mi naprzeciw...

A wtedy wychodzi za nią Trace i otacza ją ramionami. Uścisk się przedłuża; słyszę śmiech mojej żony, gdy figlarnie uchyla się od pocałunków. Pocałunków innego mężczyzny.

Mam wrażenie, że lodowaty powiew przeciąga mi przez serce. Nie-wiele czasu potrzebowała, żeby znaleźć zastępcę. Co ja sobie wyobraża-łem? Przyszedłem jak skruszony grzesznik, gotów się czołgać, przyob-lec wór pokutny i posypać sobie głowę popiołem... A ona...

Cofam się, drżąc z gorzkiej furii. Wiedziałem, że ona z nim jest, ale zobaczyć go we własnym domu, z moją żoną! Ten człowiek przez cały czas, od dnia, kiedy poślubiłem Malinche, tkwił za kulisami, czekając na swoją szansę. Może nawet wcale nie za kulisami; może od początku był w centrum sceny... Zawsze myślałem, że świeczka, jaką Mal dla niego pali - bo wiedziałem o istnieniu Trace'a Pitta, zdawałem sobie sprawę, jak wiele dla niej kiedyś znaczył - to po prostu nostalgia szczęśliwej skądinąd mężatki, lekki żal za pierwszą a utraconą miłością. Możliwe, że byłem w błędzie. Może to wcale nie była miłość utracona.

Świetnie.

Doskonale.

Skoro tak, to proszę bardzo.

Gniew słabnie, zanim jeszcze dojeżdżam do Londynu. Czuję się wy-palony, pusty. Tego ranka, kiedy papiery od pani Schultz mają upaść na pogryzioną przez królika wycieraczkę w Stapleford, ogarnia mnie obez-władniające poczucie utraty, tak jakby mi ktoś umarł. I w pewnym sen-sie tak jest. Całe dotychczasowe życie i wszelkie wyobrażenia o przy-szłości, z Malinche u boku - wszystko to zniknęło. Przepadło.

Sara jest cały dzień poza kancelarią; nikt nie potrafi powiedzieć, do-kąd poszła, kiedy o to pytam, ale nie ma w tym nic niezwykłego. Odkąd nasz romans wyszedł na jaw, Sara jest traktowana jak nazistowski kola-borant we Francji w czasach rządu Vichy.

Zamykam się w moim gabinecie i zabieram do pracy, zadowolony z tej chwili wytchnienia.

Gdy tuż przed siódmą wracam do domu, Sara siedzi po ciemku z kieliszkiem w ręce. Na stole stoi do połowy opróżniona butelka czerwonego wina.

Poluzowuję krawat i wieszam marynarkę na poręczu krzesła.

- Chyba nie powinnaś pić.

- To nie ma znaczenia.

- Może i nie ma. Ileż to dzieci zostało poczętych, gdy matka wypła o ten jeden za dużo. - Sięgam po kieliszek - Niemniej uważaj. Pierwsze dwanaście tygodni...

- Widziałam się dziś z Malinche.

Kieliszek roztrzaskuje się na marmurowym blacie.

- Chryste! Gdzie jest kosz na śmieci?

- Z twoją żoną, Malinche.

- Tak, zrozumiałem! - Zgarniam odłamki na gazetę. - Gdzie, na Boga? Przyjechała tutaj?

- Nie. Ja pojechałam do niej.

Wrzucam szkło do plastikowej torby wiszącej na uchwycie kuchennej szafki i padam ciężko na sofę obok Sary.

- Co się dzieje? - pytam.

Wodzi palcem wokół wilgotnej krawędzi kieliszka, co wywołuje ostry, śpiewny odgłos.

- Powiedziałaś jej, że kochasz ją, a nie mnie. Powiedziałaś, że powinna cię przyjąć z powrotem. No, może nie dosłownie, ale zrozumiała, o co mi chodzi.

Gapię się na nią oszupiały.

- Co jej powiedziałaś?

- Daj spokój, Nick. Mówię tylko to, co oboje już wiemy. To żadna nowina.

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć, zatkać lukę między nami kolejnym kłamstwem, kolejną starannie opracowaną porcją myślenia życzeniowego - i odkrywam, że nie mogę. Sara znalazła w sobie odwagę, której ja nie miałem, i ośmieliła się powiedzieć, że w pokoju znajduje się różowy słoń. Chodzić nadal wokół niego na palcach jest bez sensu.

Wstaję, znajduję drugi kieliszek i nalewam sobie solidną porcję skoczka. Pałacy płyn spływa mi do żołądka; ciepło rozchodzi się po ciele. Po drugiej stronie ulicy zebrze nastolatka; w narzuconym na chude

ramiona kocu wygląda jak indiańska squaw. Buty ma nie od pary: jeden to adidas na grubej podeszwie, a drugi - granatowy półbucik o startym obcasie. Przez to ma dziwny, utykający krok.

Opuszczam żaluzje.

- Pojechałaś taki kawał drogi, żeby jej to powiedzieć?

- Nie. To znaczy tak... Nie wiem. - Pociąga łyk wina. - Nie wiem, co zamierzałam jej powiedzieć, Nick. Nie zastanawiałam się nad tym specjalnie, skoro chcesz znać prawdę. Po prostu chciałam się dowiedzieć, w taki czy inny sposób.

- Czego, na Boga?

Sara wpatruje się we mnie, jakbym z rozmysłem udawał tępego.

- Czy ona cię nadal kocha.

W pokoju robi się nagle bardzo cicho. Słyszę, jak krew pulsuje mi w skroniach. Uświadamiam sobie, że z całej siły ściskam kieliszek, dopiero kiedy obrączka wpija mi się w palec.

- I co powiedziała?

Znowu sięga po butelkę.

- Ja nie jestem w ciąży, Nick.

Brakuje mi tchu. Kalejdoskop możliwości eksploduje mi w głowie.

- Nie wiem nawet, czy w ogóle byłam. Nigdy nie zrobiłam testu...

Tak, wiem - mówię z zaciśniętymi zębami. - Dwa razy nie miałam okresu, co dzień rzygałam jak kot, więc myślałam...

- Myślałaś? - Gwałtownie odstawiam kieliszek. - Myślałaś?! Jezu Chryste, Sara, to nie jest zabawa, do pioruna, tu chodzi o życie innych ludzi!

- Zdaję sobie sprawę!

- Ja się chciałem z tobą ożenić!

- No więc już nie musisz! A skoro tak, to wszystko w porządku, tak czy nie?

Zbliżam twarz do jej twarzy, zniżając głos do syku. Słowa padają jak rozgrzane do czerwoności kamienie w lodowate jezioro.

- Co to było, jakaś sztuczka? Żeby mnie złapać? Jak wtedy z tą szminką?

Odskakuje, jakbym ją uderzył.

- Przyjąłem wtedy twoje wyjaśnienie, choć miałem wątpliwości. Ale to... Stara jak świat, podręcznikowa sztuczka - prychem - a ja ją, psia-

krw, kupiłem! Kiedy miałaś mi zamiar powiedzieć? Jak zaprowadzę cię do ołtarza z poduszką pod suknią? Boże!

- Ja nie udawałam, Nick! Nigdy bym tego nie zrobiła, przysięgam, ja nie jestem taka! Po prostu się pomyliłam...

- Dlaczego miałbym ci wierzyć?!

Zrywa się na równe nogi. Oczy błyszczą jej od gniewu i łez.

- Wracaj do niej, Nick! No już! - Popycha mnie, uderzając rozpostartą dłoń w pierś. - Nie wiem, po co czekałeś tak długo! Zabawiłeś się, przypomniałeś swojemu siurkowi, jak to jest, więc możesz już wracać do domu, do żony i do tych swoich porąbanych dzieci, a o mnie zapomnieć raz na zawsze. Przecież tego właśnie chciałeś, odkąd się tylko wprowadziłeś, tak czy nie? - Pierś jej faluje. - Tak czy nie? No powiedz!

Nagle wydaje mi się niewiele starsza niż Evie. Uderza we mnie poczucie winy. Moje postępowanie jest nie do wybaczenia: wobec żony, wobec dziewczynek i wobec Sary. Żadna z nich sobie na to nie zasłużyła. A teraz straciłem wszystkie. Mal jest z Trace'em, a my z Sarą nie mamy sobie do zaoferowania nic oprócz oskarżeń i żalu. Córki będą mnie nienawidzić; jeśli po latach coś niecoś rozumieją, to w najlepszym razie mogą od nich oczekiwać jedynie współczucia. Jestem sam. I sam do tego wszystkiego doprowadziłem. Boże...

Wyciągam rękę, ale Sara ze złością ją odtrąca.

- No idź! Na co czekasz?

- Nie chciałem, żeby to tak wyszło, Sara. Nie chciałem cię skrzywdzić. Któregoś dnia...

- Do jasnej anielki, oszczędź mi tej drętwej mowy!

- Przepraszam.

Unosi podbródek.

- Nie masz zamiaru mnie spytać, co powiedziała?

Zdejmuję marynarkę z poręczy krzesła. Nie potrzebuję, żeby Sara mi mówiła to, co i tak już wiem. Gdyby Mal miała dla mnie choćby strzęp uczucia, zadzwoniłaby po odsłuchaniu wiadomości, którą jej zostawiłem w ostatni weekend. Nie ścisłałaby się przed dwoma dniami z Trace'em.

- Będę w Dorchester - mówię ze znużeniem. - W każdym razie dzisiaj.

Nie porusza się.

- Zobaczymy się w poniedziałek w pracy. Wtedy pogadamy...

- Odchodzę - mówi wyzywająco. - Godzinę temu Fisher przyjął moją rezygnację.

- Fisher!

W oczach ma złośliwe iskiereki.

- Powiedział, że na jakiś czas wraca do pracy, dopóki nie znajdziesz kogoś na moje miejsce. Wspomniał też coś o zawieszeniu emerytury. Żeby mieć oko na sprawę. Wziąwszy pod uwagę - jak on to ujął? - pieprznik, który udało ci się zaprowadzić, odkąd odszedł.

Przetrawiam to przez chwilę.

- A ty?

- To chyba nie twój interes, prawda? Nie martw się, dam sobie radę. W przyszłym tygodniu mam rozmowę w BBC... drugą, prawdę mówiąc. Szukają prawnika od rozrywki i show-biznesu. To podobno dziedzina z przyszłością. Bardzo dobrze płatna... i trochę bardziej podniecająca niż to, komu należy się garnek, nie sądzisz? A gdyby nie wyszło - wzrusza ramionami - to zawsze mogę sobie zrobić przerwę w pracy na jakiś czas. Całe życie marzyłam o sływie Wielkim Kanionem.

Waham się chwilę przy drzwiach.

- Gdybym nie był żonaty... gdybyśmy spotkali się wcześniej...

- Nie - mówi Sara gwałtownie. - Nie.

Na dworze bezdomna nastolatka wyciąga rękę po pieniądze. Sięgam do kieszeni i daję jej małe turkusowe pudełeczko, które zamierzałem wręczyć Sarze dziś wieczorem.

Kiedy przechodzę na drugą stronę ulicy i zatrzymuję taksówkę, nieletnia uciekiniarka otwiera pudełeczko i odkrywa w środku pierścionek z dwukaratowym diamentem.

Przypadki walki o dzieci są zawsze najgorsze; obawia się ich każdy prawnik. Trudno się nie przejmować rozpaczą matki, gdy siedzi po drugiej stronie biurka, mnąc w rękach chusteczkę, i błaga, żebyś znalazł jakiś sposób, aby dzieci wróciły do niej. Dzieci, które w chwili, kiedy odkręcasz wieczne pióro, aby zanotować szczegóły - „dwaj chłopcy, cztery i siedem lat, urodzeni w Chepstow, starszy ma alergię na orzeszki ziemne, rodzina męża dysponuje znacznymi środkami” - są uwożeni po kryjomu do jakiegoś ciasnego, brudnego mieszkania w Teheranie czy Rabacie, gdzie powie się im, że matka umarła, da nowe imiona i nowe

życie. Dzieci, których według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy więcej nie zobaczy, chyba że mąż się zlituje i je zwróci.

Otwieram leżącą przede mną teczkę. Jest w Leili Sabra coś, co mnie wzrusza. Może to utrata własnych córek, ciążyła mi na sercu jak głaz; nasze sytuacje są nieporównywalne, ale smutek trudno zważyć i zmierzyć. Nie czujemy się ani trochę mniej nieszczęśliwi przez to, że ktoś cierpi jeszcze bardziej.

Jednak współczucie dla pani Sabra nie jest jedyną przyczyną, dla której siedzę w sobotnie popołudnie w kancelarii, przekazując drogą elektroniczną pokaźne sumy w dolarach amerykańskich do różnych miejsc na kuli ziemskiej - w tej chwili do Bejrutu - żeby posmarować łapę pośrednikowi, z którego usług korzystaliśmy w podobnych przypadkach w przeszłości. Jestem tu, bo zwyczajnie nie wiem, gdzie poza tym mógłbym się podziąć.

Moja matka pogrążona jest we własnym smutku; nie mogę dokładać jej swojego. Żona ma nowego partnera, dawną młodzieńczą sympatię, z którym wiedzie obojętny żywot - w moim domu, na mój koszt, z moimi dziećmi - i ewidentnie już mnie nie potrzebuje. A kochanka wyrzuciła mnie z domu, choć jest we mnie zakochana; dla dobra nas obojga, jako że - choć to niewygodne dla wszystkich zainteresowanych - wciąż kocham moją żonę.

Pocieram skronie. Żałosny bajzel, w jaki zamieniłem własne życie, to więcej niż parodia.

Podłączam iPod-a - przynajmniej za odkrycie tego rewolucyjnego kawałka technologii mogę podziękować Sarze - do komputera; pokój wypełniają kojące dźwięki gitary Pata Metheny'ego, a ja do ich wtóru zaczynam układać pismo do sądu. To jedna z korzyści pracy w sobotę: żadnych telefonów, wizyt, bez przeszkód możesz sobie słuchać na cały regulator *Sueño con Mexico* - z albumu *New Chautauqua*, bez wątpienia najlepszego ze wszystkich - jeśli akurat masz na to ochotę.

Zatrzymuję spojrzenie na zdjęciu mojej najmłodszej córki. Nasze dziecko ostatniej szansy, jak mawiała Mał, dziecko, które wielkodusznie pozwolono mi ochrzcić nazwiskiem gitarzysty jazzowego, którego tak uwielbiam. Jeszcze nie ma nawet dwóch lat. Co się z nami stało? Jak to możliwe, że wszystko się popsło? Tak szybko?

Pociechą byłoby móc pomyśleć, że są jeszcze w naszym związku jakieś szczeliny, których krawędzie wystarczy nacisnąć, a rozszerzą się w rozległe zatoki. Ale skończyłem z kłamstwami, nawet wobec siebie samego. Naga prawda jest taka, że popełniłem błąd - i popsulem wszystko.

Zmuszam się, aby skupić uwagę na ekranie komputera. Ucisk w żołądku trochę ustępuje, kiedy zapuszczam się w labirynt szczegółów sytuacji finansowej państwa Sabra. Zawsze łatwiej zaprowadzić porządek w życiu innych ludzi niż w swoim własnym. Freud miałby sporo do powiedzenia, jeśli chodzi o mój wybór zawodu, wzięwszy pod uwagę tragedię, jaka naznaczyła moje wczesne dzieciństwo.

Ciekawe, czy przy wyjściu z labiryntu nie czeka gdzieś na mnie Minotaur, myślę zakątkiem świadomości, ciągnąc nitkę z jednego konta bankowego do innych: w Bejrucie, Szwajcarii, na Kajmanach i Cyprze. Moją uwagę przyciąga depozyt gotówkowy w Guernsey. To troszkę bliżej, teraz rzadko pierze się tu pieniądze; więc pojawia się szansa, że może się nam uda...

- Co do mnie, to zawsze wolałam album *Still Life (Talking)* - słyszę nagle od drzwi głos Mal.

Podskakuję, rozlewając wystygłą kawę. Moja żona jest blada, ale poza tym wygląda na opanowaną. Ma na sobie obcisłą sukienkę w kolorze palonych ziaren kawy, ostrzejszą, bardziej seksowną niż jakikolwiek inny ciuch, który na niej widziałem. Jest w niej coś, co w odległy sposób przypomina mi Sarę; przez chwilę myślę, że chodzi o tę chłopięcą fryzurkę, ale potem uświadamiam sobie, że raczej z racji wyzywającego uniesienia głowy. Nie sposób wywnioskować z jej nieprzeniknionego wyrazu twarzy, co myśli.

A, i wysokie obcasy. I szminka.

- Czy wiesz, że on wykorzystał tam głos swojego dziecka? - pytam ochryple. - Zmienił go komputerowo i podłożył pod gitarę. Ilekroć weźmie ją do ręki i zagra choć jedną nutę, słyszy głos swojej córeczki.

- Bardzo latynoskie brzmienie jak na chłopaka z Missouri - mówi Mal.

Raz jeszcze uprzytamniam sobie, jak ją kocham - i jak wiele straciłem.

- Skąd wiedziałas, że tu jestem? - pytam po chwili.

- Nie było cię ani u Sary, ani u Daisy. Nie prosiłeś o spotkanie z dziewczynkami. A poza tym - dodaje - zawsze łatwiej ci było rozwiązywać problemy innych ludzi niż własne, prawda?

Wchodzi do środka, bierze do ręki zdjęcie Metheny i muska palcem twarz naszej córeczki.

- Kiedy się dowiedziałam, że masz romans - mówi - myślałam, że tego nie przeżyję.

- Malinche, tak strasznie mi przykro. Nie mogę ci...

Odkłada zdjęcie i zwraca się gwałtownie ku mnie.

- Zamknij się, Nicholas. Tym razem nie chodzi o ciebie. Zamknij się i słuchaj.

Milknę, wystraszony siłą jej gniewu.

Odwraca się tyłem, tak jakbym przestał się liczyć. Czekam, by zaczęła mówić, ona jednak podchodzi do półek z książkami i przegląda rozmaite dziecięce wytwory, jakie zgromadziłem przez lata: kartki na Dzień Ojca, bałwanek z waty, kapturek na czajniczek z odciskami dłoni, jakieś dzbanuszki. O ciężką księgę w skórzanej oprawie oparte są fotografie z dziesięciu lat naszego życia: w Brighton Pier, tego lata, kiedy się poznaliśmy; ślub; z każdym kolejnym dzieckiem w objęciach w chwilę po tym, jak przyszło na świat. Rodzinne wakacje na Krecie i we Francji, moje czterdzieste urodziny, osiemdziesiąte - mojego ojca. Oprawione w ramki certyfikaty moich kwalifikacji jako stewarda rodzinnych spraw. Mała drewniana szkatułka, którą kupiliśmy podczas miodowego miesiąca i która do tej pory zachowała ciężką, słodkawą woń kadzidła, które kiedyś się w niej znajdowało.

Wysokie obcasy podkreślają jej łydki i seksownie unoszą pośladki. Czuję, że ptak mi sztywnieje, i uderza mnie myśl: ona już nie wygląda jak moja żona.

No, ale przecież nie jest już moją żoną, prawda?

- Złamałeś mi serce - mówi, nie odwracając głowy. - Ale wiesz, co odkryłam, Nicholas? Serca się zrastają.

Moje nie.

- Trace — rzucam przez zęby.

- Trace jest częścią mojej przeszłości, Nicholas. Zawsze był. Po prostu sobie tego nie uświadamiałam. - Odwraca się w końcu i patrzy mi w oczy. - Nie zamierzam ci tego ułatwić. Nie zamierzam ci pozwolić,

abyś powiedział, że nie zwracałam na ciebie dostatecznej uwagi, nie dawałam ci czegoś, co było dla ciebie ważne, i dlatego poszukałeś tego gdzie indziej. Może to i prawda, wybaczone, że moja uwaga czasem odpływała, skoro wychowywałam twoje dzieci i prowadziłam ci dom; ale nawet to nie jest usprawiedliwieniem. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co mi zrobiłeś.

Drży; z gniewu lub ze złości, a może jedno i drugie, nie wiem.

- Wszyscy bywamy znudzeni, Nicholas! Wszyscy czujemy się zaniedbywani, wszyscy mamy wrażenie, że nie poświęca się nam dostatecznej uwagi! Myślisz, że prasowanie twoich koszul, odwożenie dzieci do szkoły, przyrządzanie łazani z telefonem przy uchu, bo trzeba sprawdzić, jak się czuje twoja matka, wystarcza mi, że się w tym spełniam?

- Oczywiście, że nie...

- Ja też mam marzenia, Nicholas! Jestem czymś więcej niż tylko żoną i matką! Ale wiesz co? Być żoną i matką jest dla mnie ważniejsze niż cokolwiek innego. I dlatego uznałam, że mi to wystarcza. Że się spełniam.

Ścisła krawędź szafki. Widzę, jak szybko bije jej puls u nasady szyi. Bierze głęboki oddech.

- Miałam ochotę się zabić, kiedy odszedłeś. A potem miałam ochotę zabić ciebie. Byłam na ciebie taka wściekła. Nie tylko moje życie rozważyłeś, ale i Sophie, i Evie, i Metheny. Nie myślałeś o nich?

Milczę. Nie ma na to odpowiedzi i ona o tym wie.

- Wszystko zniszczyłeś, i po co? Dla paru ostrych numerków, które straciły smak, jak tylko zaczęło się prawdziwe życie. Och, Nicholas, jak mogłeś być taki głupi! - Z widocznym wysiłkiem opanowuje się, przełyka ślinę. - Ale po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że nie chcę marnować reszty życia na gniew i nienawiść. A Trace'a kiedyś kochałam. Tak łatwo było ześliznąć się w to z powrotem.

- Czy on tu jest? - pytam zazdrośnie. - Czeka na ciebie na dole?

- Ona była u mnie w zeszłym tygodniu - mówi Mal, ignorując moje pytanie.

- Tak, wiem. Mówiła mi.

- Zapytała mnie, czy nadal cię kocham.

Ciekawe, przemyka mi myśl, czy właśnie tak czuje się człowiek na moment przed śmiercią. Kiedy każdy zmysł jest wyostrzony, a świat,

który za chwilę opuścisz, staje się tysiąc razy żywszy, bardziej wyrazisty. Czuję zapach jej szamponu: pomarańcza, mango, ananas i cytryna, zmieszane z ciepłą, przypominającą świeżą pościel wonią jej ciała. Szorstkich wełnianych spodni łaskocze mnie w kroku. Słaby syk dochodzący z głośników komputera - album jest stary, nawet ten cud technologii, iPod, nie może zdziałać cudów - zagłusza bicie mojego serca. Smuga tuszu pod oczami Mal świadczy, że płakała, zanim przyszła.

- I co jej powiedziałaś?

- Powiedziałam, żeby się zabierała do domu - rzuca ostro Mal. - Ona nie ma w tej sprawie nic do gadania. Nie ma prawa wiedzieć, co ja myślę czy czuję. Nie miałam zamiaru z tobą rozmawiać, Nicholas, a już z pewnością nie miałam zamiaru zrobić pierwszego kroku. Ale później - głos jej się zmienia - Kit dał mi to.

Wyciąga rękę. Na jej dłoni leży kasetka. Z rodzaju tych, jakie można znaleźć w telefonicznej sekretarce.

- Przyszedł nakarmić Don Juana i te cholerne chomiki, jak byłam we Francji. Zobaczył, że mam wiadomość, i odsłuchał, bo pomyślał, że może to coś pilnego...

- Wyjął ją! - wykrzykuje. - Co za skurwiell!

- On tylko starał się mnie ochronić, Nicholas. Zostawiłeś wiadomość o trzeciej w nocy, mogłeś być pijany i rano zmienić zdanie. Ale kiedy mu powiedziałam, że z Trace'em skończone...

Mam uczucie, jakby fajerwerk eksplodował mi w sercu.

- Z Trace'em skończone?

- Nicholas, ty nigdy nie słuchasz.

Dzersejowa sukienka przylega ciasno, podkreślając jej dziewczęcą sylwetkę. Jest bez stanika; widać sterczące pod cienką dzianiną brodawki. Ptak mi pulsuje; siłą woli zmuszam się, żeby nie zerwać się z krzesła i nie chwycić jej w ramiona.

- Powinieneś wiedzieć, że spałam z Trace'em - mówi, patrząc mi w oczy. - I to nie raz.

Fala gniewu jest tak silna, że gdyby tu stał, złapałbym faceta za gardło i udusił.

- Tak - mówię zbielełymi ustami.

- Potrafisz się z tym pogodzić?

Z trudem przełykam ślinę.

- W mojej sytuacji nie mam prawa...
- Dla mężczyzny to co innego. Chodzi o dumę. O terytorium. Nie bez powodu mówi się o zdradzionym mężczyźnie „rogacz”. Na określenie zdradzanej kobiety takiego słowa nie ma. Dlatego cię pytam, Nicholas. Czy potrafisz zostawić to za sobą?

Nagle dociera do mnie, co ona mówi.

- Musisz być pewny - ostrzega. - Zastanów się, zanim odpowiesz. Przypominam sobie, jak przedwczoraj obejmował ją na pożegnanie, jak naturalnie wpasowywała się w jego ramiona. Wyobrażam ją sobie w łóżku z Trace'em; jego tors na jej drobnych piersiach, jego ręce na jej pośladkach, jego członek... Na samą myśl o tym czuję mdłości.

A potem próbuję sobie wyobrazić życie bez Mal - i nagle wszystko robi się proste. Nie ma potrzeby dłużej się zastanawiać.

- Trace to przeszłość - mówię. Biorę głęboki oddech. - Przeszłość to przeszłość. Jakie to ma znaczenie, czy coś wydarzyło się przed tygodniem czy dziesięć lat temu?

Robi krok w moim kierunku. Wstaję, ale nie zbliżam się do niej. Podnosi twarz i jeszcze raz podziwiam olśniewającą urodę kobiety, w której się zakochałem dziesięć lat temu. Jakie to dziwne, że ta eteryczna kruchość kryje w sobie taką siłę.

- Czyli to, co tu powiedziałeś - otwiera dłoń z kasetą - to prawda?

- Nie byłem pijany. I nie zmieniłem zdania.

Patrzy na kasetę, potem na mnie.

- Byłeś idiotą. To, co zrobiłeś, jest nie do wybaczenia. Nie zasługujesz na jeszcze jedną szansę. Dlaczego miałabym cię przyjąć z powrotem?

Moje własne słowa, zwrócone teraz przeciw mnie.

- Ja też bym chciała cofnąć czas. Ja też żałuję, że nie powiedziałeś mi wcześniej, jaki jesteś ze mną szczęśliwy, jak to dobrze wracać do mnie co wieczór i budzić się przy mnie co rano. Masz rację: popełniłeś potworny błąd i nie masz nic na swoje usprawiedliwienie.

Twarz ma zimną, nieruchomą. Przenika mnie chłód. Ona nie przyszła dać mi drugiej szansy. Przyszła, żeby się upewnić, że w pełni zdaje sobie sprawę, co trzę. I to wcale nie z goryczy, tylko dlatego, że woli zrobić to tu i teraz, a nie na sali sądowej. Nie dla niej metody, jakimi posługują się tchórze. Nie będzie używała dzieci jako narzędzi zemsty, nie będzie mnie wysysała finansowo. Mogę sobie wyobrazić, ile ją koszt-

wało, żeby tu przyjść; ale wiem, że za chwilę podkreśli rachunek grubą kreską i odejdzie.

A ja oddałbym wszystko co mam, byleby została.

- Zdam sobie sprawę, że już dla nas za późno - mówię cicho. - I przez resztę życia będę tego żałował. Masz rację. Miałem wszystko i pozwoliłem, żeby wysliznęło mi się z rąk. Sam do tego doprowadziłem i mogę mieć pretensje tylko do siebie. - Uświadamiam sobie, że płaczę; i że nie dbam o to. - Nigdy bym nie skrzywdził świadomie ciebie ani dzieci, ale wiem, że krzywda wyrządzona mimo woli boli tak samo. Och, Mal... Zasluguję na to, ale ty nie... ty nie...

- Nie - mówi. I dodaje innym głosem: - Ale ty też nie.

- To wszystko moja...

- Dość, Nicholas. Dość samooskarżania się. Wierzę, że mnie kochasz. Nie byłoby mnie tu, gdybym nie wierzyła. A ja kocham ciebie. Jeśli nadal pragniesz drugiej szansy, to ją masz.

Gapię się na nią z otwartymi ustami.

- Co?

- Chodź do domu - mówi moja żona.

- Jesteś... pewna? Po tym wszystkim, co zrobiłem?

- Nicholas, nie tylko ty to zrobiłeś. - Uśmiecha się smutno. - Nie tylko ty nie doceniałeś tego, co masz, dopóki tego nie straciłeś. W zeszłym tygodniu zdałam sobie sprawę, że nawet gdybym miała być nieszczęśliwa z tobą, to i tak będę szczęśliwsza, niż gdybym była szczęśliwa z kimkolwiek innym. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Rozumiem. Mimo skomplikowanej semantyki.

- Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

- Wiem. Ja też nie. No, ale to zależy głównie od ciebie, prawda?

- Ona odeszła z firmy. Nie będę się z nią więcej spotykać. Wiesz o tym, prawda? Ani z nią, ani z żadną inną, przysięgam, Malinche...

- Trace wrócił do Londynu - mówi Mal. - Parę dni temu wpadł i powiedział, że chce, żebym odkupiła jego udziały w restauracji w Salisbury. Musiałam wziąć pożyczkę w banku, ale... nie wiem, czy o tym wiedziałeś... twój ojciec był tak hojny, że mi coś zostawił, nawet całkiem sporo, i myślę, że chyba by się cieszył...

- Wiedziałem. Mówił mi, że ma taki zamiar - uśmiecham się. - Bardzo by się cieszył.

- Chcę pracować - mówi Malinche zdecydowanie. - Nie w pełnym wymiarze, rzecz jasna; zatrudnię menedżera i szefa kuchni. Ty i dziewczynki zawsze będziecie na pierwszym miejscu... ale potrzebuję to zrobić dla siebie. Czy mogę liczyć, że będę interesująca dla ciebie, jeśli nie będę interesująca dla siebie samej?

- Ale ty jesteś dla mnie interesująca - zapewniam. -I to bardzo.

- To jest druga szansa, Nicholas, nie *carte blanche*. Nie mogę obiecać, że zawsze będę potrafiła patrzeć na ciebie i nie widzieć zarazem jej. Ani że kiedyś nie rzucę ci tego w twarz. Nie jestem święta, wiesz o tym. I chcę, żebyśmy o tym rozmawiali, a nie zamieśli to pod dywan, zgodnie z twoim zwyczajem. Oboje musimy nauczyć się żyć z tym, co się stało. To potrwa. Nie możemy tak po prostu wrócić do przeszłości, jakby nic się nie zmieniło.

- Wiem. Wiem, że muszę odzyskać twoje zaufanie. I oczywiście będę spał w innym pokoju, dopóki...

- Dlaczego?

- No, przecież ty... to znaczy...

Zdaję sobie sprawę z bliskości jej ciała, z tego, że jej piersi okrywa tylko cienka dzianina sukni, z błysku uda w rozcięciu spódnicy. Jej zapach jest boleśnie znajomy i zarazem podniecająco egzotyczny. Zmieniła się. A może po prostu odkryła w sobie i ujawniła to, czym była od początku?

W jej miodowych oczach widzę wyzwanie. Wyzwanie - i coś jeszcze, coś, co wygląda jak pożądanie...

- Seks jest bardzo ważny, Nicholas - mówi. - Jeżeli zamierzasz spać w osobnym pokoju, to równie dobrze możemy od razu dzwonić do mecenasa Schultz i...

- Chryste, nie! Nie chcę tego, chcę ciebie! Zawsze cię pragnąłem, mam cię we krwi, w mózgu, w każdej komórce ciała, dzięki tobie bije mi serce, dzięki tobie mam po co budzić się rano. Jezu, czy ty tego jeszcze nie rozumiesz?

Ciepły uśmiech rozjaśnia jej twarz.

- To właśnie chciałam usłyszeć.

Robię krok w jej kierunku, ale ona się cofa. Nie spuszczając ze mnie oczu, rozpina sukienkę i pozwala jej opaść na podłogę. Pod spodem jest naga. Wysoko osadzone piersi są jędrne jak w dniu, kiedy ją poznałem.

Ma nogi tancerki i postawę królowej. Brzuch nie jest tak napięty jak dawniej, ale jego miękkość wydaje mi się bardziej podniecająca, niż gdyby był twardy, umięśniony, wytrenowany na siłowni.

Jej ruchy znamionuje pewność siebie, jakiej nie widziałem u mojej żony od lat. Panuje nie tylko nad tą chwilą, uświadamiam sobie, ale nad całym swoim życiem. Dokonała wyboru.

- Zamknij oczy, Nicholas - mówi.

- Po co?

Śmieje się.

- Nie pytaj. Po prostu zamknij oczy.

Robię, o co prosi. Po chwili czuję jej rękę na rozporku. Odpina go.

- A teraz...

Poznaję ten zapach. I dociera do mnie, że choćby nie wiem jak trudna była droga, którą mamy przed sobą, choćby nie wiem ile czasu zajęło nam odbudowywanie małżeństwa, uda się nam, i będzie lepsze i mocniejsze niż kiedykolwiek, przetrwaliśmy to, co złe, i jestem najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem...

- ...otwórz buzię.

Czekolada.